

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.

43330
LAWSON'S HENRY / 1875

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH
HOFMANOWEJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcją

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENIŃ.

TOM XI.

INSTITUT

ADAM I EWA BACHNICH PAN

Biblioteka

d. Nowy Świat Nr 72

00-100 Warszawa

Tel. 26-68 63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY:

GEBETHNER I WOLFF.

MAURZYCY ORGELBRAND.

MICHAŁ GLÜCKSBURG.

G. SENNEWALD.

EDWARD WENDE.

1877.



Дозволено Цензурою
Варшава, 3 Декабря 1875 г.

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki, 2406

4085
<http://rcin.org.pl>

KRYSTYNA.

AMTZYAK

DO CZYTELNIKA.

Kiedym podawała do druku *Karolinę*, życzyłam jej, żeby zajęła miejsce na okrągłym stole w salonach dam naszych; dziś puszczając w świat *Krystynę*, pragnę dla niej czego innego: oto, żeby każda matka złożyła ją na biurku dorosłej córki. Ta odmiana chęci wytłómaczy, zda mi się, dostatecznie wszelką różnicę, jaką Czytelnik upatrzy między temi dwiema powieściami; różnicę, która będzie może, raz na krzywdę, drugi raz na korzyść mniej wydatnej, ale podobno więcej szacownej *Krystyny*.

Saint Germain en Laye.
dnia 23 Września 1840 roku.⁵

ADMISSION

The following conditions apply to all students admitted to the University of Toronto. These conditions are subject to change without notice. It is the responsibility of the student to read and understand these conditions at the time of admission. The University of Toronto is not responsible for any loss or damage to personal property brought to campus. The University of Toronto is not responsible for any injury or damage to persons or property on campus. The University of Toronto is not responsible for any loss or damage to personal property brought to campus. The University of Toronto is not responsible for any injury or damage to persons or property on campus.

K R Y S T Y N A.

ROZDZIAŁ I.

Wieczór.

— Kiedyż skończysz, mój aniołku? — mówiła słodkim i powolnym głosem piękna jeszcze pani Rawiczowa, siedząc sobie wygodnie na kanapie, do córki, która się krzątała po skromnym ale schludnym salonie, i zastawiała go jakby dla licznych gości.—Już wszystko dobrze, ślicznie, zupełnie jakem chciała; odpocznij téż przecie choć chwilkę, a potem idź się ubierać. Siódma wybiła, wszyscy proszeni na wpół do ósmój. Zosia i Ludwika od godziny się stroją; ty nic o siebie nie dbasz, a ja chcę koniecznie, żebyś mi była dziś ładna.

— O! moja droga mamó — odpowiedziała Krystyna układając nuty na fortepianie — próżne chęci; choćbym od samego rana przed zwierciadłem zasiadała, nic nie pomoże.

— Bo już przybrałaś sobie taką opinią i wszystkim ją chcesz narzucić. Przyznam ci się, mój aniołku, wszystko w tobie lubię, tém jedném strasznie mnie gniéwasz...

— Jeśli tak, to przepraszam jak najserdeczniej...

— I nie chcesz mi wierzyć, że z pannami zawsze tak się dzieje; która sobie szczerze i mocno powie: „będę ładna i podobam się;“ to jest ładna i podoba się; najpiękniejsza niechże się zaniedba, niech się ubierze nie do twarzy, niech się wciśnie pokornie do pokoju i gdzie w kącie siądzie, nikt na nią ani spojrzy.

— Już nasza Zosia choćby nie wiem co włożyła i nie wiem gdzie się schowała, każdyby zobaczył że prześliczna.

— Co innego nasza Zosia! piękność jakich mało na świecie. Ależ Ludwika, Sabina, powiedz mi szczerze, czy tak znowu bardzo ładniejsze od ciebie?

— Może twarz Ludwiki nie wiele regularniejsza od mojej — odpowiedziała Krystyna stawiając właśnie w tej chwili świecę przed zwierciadłem — ale znacznie młodsza, wyższa; a co Sabina, to przecież cudo urody. Sędzina zawsze mówi: w naszym towarzystwie dwie są tylko piękne panny, jej córka i Zosia.

— Jeszcze też z tym kłamstwem nie odezwała się przy mnie — przerwała z niezwykłą żywością pani Rawiczowa — i wiesz, pewnoby usłyszała jakie grubijaństwo odemnie.

— Chciałabym być przy tym — zawołała z uśmiechem córka — byłoby to coś nowego.

— Czy może być, Sabinę równać z moją Zosią? Ona czarna, chuda, niezgrabna. Jak kupionych wdzięków tu i owdzie nakładzie, jak się wystroi i przymilać zacznie, zapewne, że nie źle wygląda, i nie jednemu w oko wpadnie. I otóż właśnie dlatego, mój aniołku, tak cię zawsze proszę, żebyś więcej myślała o sobie; widzisz jak wiele może staranie i chęć podobania się. A czy wiesz, Sabina starsza od ciebie; kiedyśmy wyjeżdżali z Warszawy, ona właśnie się rodziła, ty dopióro w rok potem. Ona się uważa za młodziuchną, a ty się masz za starą...

— Winszuję jój, ale cóż ja temu poradzę? u mnie co prawda, to prawda; i kiedy panna ma lat...

— Otóż i tego niecierpię; zawsze wyjeżdżasz z tym swoim wiekiem...

— Widzi mama, jednak i teraz moich lat nie wymówiłam; to sekret, co po dwudziestu leciech nie łatwo się wymyka z ust kobiécych.

— Tak, ale każdemu powtarzasz: żeś dziesięć lat starsza od siostry, pięć lat od brata, a jak na złość ten Wacław tak wczesnie zarósł i zmężniał.

— Już co kłamać, kochana mamó, tego nie potrafię, choćbym chciała. Obie tego nie umiemy.

— Broń Boże kłamać; ale niéma żadnej potrzeby wszystko gadać każdemu i przy obcych, jak na przykład wczoraj wieczór...

— Wczoraj! — powtórzyła Krystyna wsuwając małą sofkę w okno, żeby więcéj miejsca zrobić — a któż to był u nas?... Pan Stanisław. O! ten wie dobrze moje lata: trzymał mnie do chrztu.

— Przecież był i ktoś drugi.

— Prawda.... Referendarz! I przed tym nie zaszkodzą takie rzeczy: on sam stary.

— Bardzo cię przepraszam, wcale nie stary, młodszy od nieboszczyka mego męża; a przytém człowiek rozumny, pięknego imienia, dobrego tonu, majątny, i chce się żenić.

— Już jestem w domu, i wiem do czego to wszystko zmierza—zawołała Krystyna przybiegając żywo do matki i całując ją w rękę—mama kochana ma znowu dla mnie widoki; nie będzie nic z tego, z wielkiém przeproszeniem; kiedy pan Referendarz nie stary a bogaty, zapewne szuka panny ładnej albo z posagiem. Oto jednej z nich — dodała wesoło, gdyż właśnie pokazały się we drzwiach dwie młode osoby; jedna szesnastoletnia, nadzwyczajnej była urody, aż coś zajaśniało w pokoju, coś zapachniało w powietrzu gdy we-

szła; po całej postawie drugiej i po jej ubiorze, zgadnąć było można, że posażna.

Obie stanęły wyprostowane przed panią Rawiczową, i pytały się; jedna: „Czy dobrze tak, mamó?“ druga: „Wszak dobrze tak, ciociu?“

Chociaż siostrzenica była pierwsza w domu i starsza, przecież ciotka nie zaraz na nią spojrzała i nie zaraz jej odpowiedziała; bo długo nie mogła oczów oderwać od swojej Zosi. Jakoż musi to być dla matki uczucie nader miłe patrzeć na urodziwą córkę; uczucie pisarza nad książką, malarza nad obrazem, wynalazcy nad machiną, choćby też arcydziełmi były, niczém jest zapewne w porównaniu. A jeszcze kiedy się zdarzy, jak tu właśnie się trafiło, że córka była żywém lecz wydoskonaloném powtórzeniem matki; bo i panią Rawiczową, lubo mniejszego wzrostu od prześlizniętej Zosi, niegdyś między pierwsze piękności warszawskie liczono, i to z przydomkiem „pieścidelka.“

— Dobrze — odpowiedziała nareszcie obydwom — ze staraniem a przecież od niechcienia. Ty, moja Ludwiniu. przypominasz doprawdy jakąś heroinę, w tych perłach i długich kręconych włosach; możeby jednak zsunąć trochę perły z czoła i podpiąć włosy; cokolwiek zanadto na szyję spadają.

A tak mówiąc do siostrzenicy, córce kazała nachylić się do siebie i układała jeszcze troskliwiej już troskliwie ułożone ciemne włosy i jasne róże w tych włosach. Krystyna tymczasem ukończywszy zupełnie układ salonu, powiedziała idąc ku drzwiom:

— Wybornie, żeście już gotowe; posiedźcież przy mamie, może czego potrzebować będzie; może też kto i przyjedzie; a ja pobiegnę co tchu się ubrać: wrócę najdalej za kwadrans.

— O! spiesz się, spiesz — zawołały obie — niech Bóg broní, żeby się goście zaczęli schodzić bez ciebie.

I Ludwika stanęła przed zwierciadłem zsuwając z czoła szacowne uryańskie perły, któremi ustroiła głowę i podpinając czarne włosy. Zosia zaś pewna, że jęj do twarzy, walcowała sama po pokoju, chcąc się dowiedzieć daleko ważniejszej rzeczy, czy dobrze tańcować będzie.

— Doskonale! — zawołała obiegłszy wkoło cały salon. Już nie wiem doprawdy, czego ta nasza mama nie wymyśli, a Krystyna nie zrobi. Ot! i sala balowa z naszego bawialnego pokoju. Co na to powię pani Sędzina? cieszę się serdecznie na jęj zadziwienie. Onegdaj jeszcze ruszała ramionami z pogardą, i mówiła: „Chyba w młynka będziecie się tu kręcili po jednęj parze.“ Ma młynka. A to mówiąc walcowała jaknajwiększém kołem po pokoju, muszcząc białą i przejrzystą sukienką stołki, stoliki, sofeczki; zdawała się jak lekki obłok pędzony wietrzykiem.

— Pani Sędzina szydziła z naszego salonu — powiedziała Ludwika poprawiając ciągle swój ubiór, któremu nadać chciała jeszcze więcj romantyczności — a pewno najpięrsza zawita i córkę wystroi jak na bal do Namiestnika. Doprawdy, już idą; ktoś wszedł do przedpokoju: słyszałam.

— To nie one, to Waclaw — krzyknęła Zosia przerywając swój taniec na chwilę; a ledwie wszedł dorodny młodzieniec, nie dając mu czasu przywitać się z matką i z cioteczną siostrą, porwała go i musiał z nią okrażyc parę razy salon.—Przecudownie—wołała tańczując.—Trzpiot! trzpiot!—wołał tancerz, a przeciez tańcował.

— Czy nie spróbujesz z Ludwinią? — zapytała pani Rawiczowa syna, widząc, że siostrzenica rzuciła się w krzesło jakby już omdlewając.

— I owszem, gdyby tylko chciała....,—powiedział nieśmiało Waclaw sadzając siostrę na najbliższym stołku.

— Nie wiem czy będę mieć siłę? — szepnęła Ludwika słabym głosem—i bez muzyki nie umiem.

— Krystyny niema żeby nam zagrała?—spytał.

— Jeszcze nie ubrana—wyrzekła z lekkim przyciskiem matka—zawsze z tym ubiorem na ostatni moment.

— Ale bo też ona wszystko sama robi — przerwała z żywością jeszcze zadyszana Zosia — kto do herbaty przyrządził? kto grzanki pokrajał, kto poncz zaprawił, kto mi suknię przerobił, kto Ludwice nawłókl perły, kto mamie czepeczek ustroił, kto salon zastawił? ona, wszystko ona; kiedy od wczoraj ani się tknęła pióra i książki, a dziś wszystko zrzuciła ze swego stołu do pisania, żeby był drugi stół do kolacji. Ręczę i teraz nie ubiera się, ale sałatę przyprawia, albo kompót gotuje.

— Otóż kompót gotowy od południa, moja ty obronicielko — powiedziała Krystyna wchodząc do pokoju ubrana w białą suknię, świeżo, lecz bez żadnej ozdoby — a ja cały ten czas się stroiłam, i jestem.

A pocałowawszy siostrę po drodze z prawdziwie macierzyńskim uczuciem, stanęła przed matką, pytając się jak tamta niedawno: „Czy dobrze tak? mamó.“

— Dobrze, moje dziecię — odpowiedziała matka; lecz już nie było na jej wyrazistej twarzy owój radosnej dumy, co nie dawno; owszem, przebijał się lekki smutek. Czemużes choć róży nie wpięła we włosy?—spytała się—wiecznie te ciemne wstążki.

— Bo mi się zdawało, że róże dla Zosi — odpowiedziała łagodnie.

— Zobaczysz, nigdy nie dostaniesz męża — wymówiła matka, grożąc jej pół żartem, pół do prawdy.

— Ja o tém wiem dawno, i mniejsza o to. Byle mama się nie martwiła, mnie zawsze będzie dobrze na świecie.

Odpowiedź pani Rawiczowój przerwały nowe osoby wchodzące. Były to, zgodnie z przepowiednią Ludwiki, Sędzina z córką wystrojoną jak na bal największy. Suknia tiulowa biała z igły zdjeta, na grodenaplowej, trzewiki i rękawiczki białe, jakieś świecidła i ponsowe kwiaty w czarnych

włosach; aż dziwnie się wydawała przy skromnie ubranych pannach domowych, i przy skromniejszym jeszcze salonie.

— Proszę, proszę, i wcale nie najgorszy salonik się zrobił — mówiła pani Sędzina obchodząc z powagą pokój i patrząc pompatycznie w około; a pióra strusie, pływające na jój białym berecie, chód i cały układ przypominały jakąś ptasią matronę, bodaj czy nie gęsiego rodu.

— Aleście też podobno i ściany powybijali, moi kochani państwo — dodała z przekąsem, postrzegłszy drzwi zwykle zasłonięne blejtrmem, teraz otwarte, a to dla wsunięcia fortepianu do przyległego gabinetu.

— To myśl naszej kochanej matki — powiedział Waclaw z przyciskiem — i wyśmienita; miejsca parę łokci tym sposobem nam przybyło.

— Doprawdy, parę łokci? — powtórzyła już innym tonem Sędzina — ja też nie mogłam się pomiarkować, jakim cudem ten pokój tak urósł. Doskonały koncept!

A wtórowała jój zdziwieniu i pochwałom córka, spoglądając mile i żywo na pana Waclawa i śmiejąc się na głos.

— Do czego przypiąć ten strój i te śmiechy? — szepnęła Ludwika trącając Zosię — nieznośne stworzenie! słabo mi się robi, kiedy na nią patrzę.

— To nie patrz — odpowiedziała tamta cicho — co ona nam może zawadzić; więcej tańcować od nas nie będzie, rzecz pewna, a to grunt.

Tu znowu drzwi od pokoju się otworzyły i wszedł pan Stanisław Gozdawa, zacny, szczery, dawny przyjaciel domowy a z nim ktoś drugi.

— Kto to ten pan stary, taki wyświeżony w pudrze, z żabotem i z orderami? — spytała się Sabina Ludwiki — jeszcze go u was nie widziałam.

— Pan Referendarz, herbu Jastrzębiec; wczoraj pierwszy raz pan Stanisław przedstawił go cioci. Powiadają że

ma milion, serce jeszcze bardzo czułe, i koniecznie chce się żenić.

— Doprawdy — przerwała pani Sędzina, która także pilnie nadstawiała ucha—doprawdy?— powtórzyła. A mru-gnąwszy rozjaśnioném okiem na córkę, dodała prostując się: — Pójdźmyż do pani Rawiczowój; nie politycznie kryć się i rozmawiać po kątach, a ją zostawiać samą.

I nim się rozpostarła na kanapie, dygnęła kilka razy przed Referendarzem, którego jój mianowała gospodyni; a w ciągu pięcio minutowej rozmowy znalazła sposobność zręczną czy niezręczną zwrócenia jego uwagi na córkę, która siedziała przy niej na brzegu stołka, krygując się i przygryzając wargi.

— Bardzoś źle zrobiła—szepnęła Zosia do Ludwika— widzisz, już i matka i córka wszelkimi sposobami wabią starego.

— Ale młodym dadzą pokój, i ja przecież wolniej odetchnę; umówię się z Wacławem o tańce.

— Tak, ale pan Stanisław nie dla Sabiny Referendarza przyprowadził.

Tymczasem gości coraz przybywało, zwłaszcza młodzieży płci obojga. O ósmój Krystyna zasiadła do fortepianu, i było już komu tańcować mazura w sześć par.

Działo się to w pierwszą Środę po Nowym roku. Prawie wszyscy co się zebrali u pani Rawiczowój, pierwszy raz tańcowali tych zapust. Wieczór był sobie bez żadnej przesady; osób zaproszono w samą miarę, tancerzy prawie drugie tyle co tancerek, a prawie wszyscy znajomi między sobą i sobie równi. Prócz Zosi, na którą patrzeć zwłaszcza kiedy tańcowała, już mogło być lubą rozrywką, było kilka panien wcale ładnych; gospodyni dziwnie miła, rozmowna, uprzejma, choć sama nie ruchawa, umiała wszystko ożywiać; panny domowe za przykładem najstarszój, więcj jeszcze zajęte gośćmi płci niewieściej i osobami w wieku,

niżli mężczyznami młodymi; napojów do woli; wieczerza nie wykwintna, ale obfita i smaczna; muzyka nieustająca, bo prócz Krystyny i drugiej panny, grał doskonale jeden Kapitan od strzelców: dosyć, że zabawa i tańce poszły wybornie, jakby na największym balu i za najlepszych czasów; pani Rawiczowa, co jęj się już od wielu lat nie zdarzyło, dopiero po piérwszej po północy wstała ze swojej kanapki i poszła wolnym krokiem do łóżka. Młodsza córka i siostrzenica chciały jeszcze zasiąść przy nięj i rozmawiać o przecudownym wieczorze, i o tém, jaka szkoda że już się skończył, ale Krystyna nie pozwoliła.

— Jutro, jutro opowiemy wszystko mamie; już bardzo zmęczona, dajmy jęj się wyspać: jak dziś nadużyjemy jęj dobroci, na przyszłą Środę wieczoru nie będzie.

Jakby wodą oblane dwie młode panienki uciekły każda do siebie; a nie wyszło pół godziny, kiedy już spały smacznie, śniąc jeszcze o zabawie i o tańcach.

ROZDZIAŁ II.

Co d a w n i é j b y ł o .

Pani Rawiczowa doznała w życiu swoim wielkich odmian losu. Do lat dwudziestu trzech była może jedną z najszczęśliwszych kobiet w świecie. W miernym urodzona stanie, w Warszawie, córka ukochana zacnych rodziców, liczném i zgodném otoczona rodzeństwem, piękna, dosyć posażna, w ośmnastu leciech, właśnie w pierwszym roku wielkiego sejmu poszła za godnego człowieka i znakomitego urzędnika, który kochał ją z całej duszy, i którego wybrała sama z pomiędzy kilku zalotników.

Pierwsze czasy jéj zamężcia zeszyły jak najmiléj, a jeżeli lekka chmura émiła niekiedy ową jasną pogodę, to chyba tęsknota za dziećmi których nie miała, albo niespokojność o dalsze losy kraju, która więcéj jeszcze jéj męża dręczyła, lubo zdaniem wielu była zbytęczną.

Lecz z owéj lekkiéj napozór chmury zebrała się wnet straszliwa burza; a zaledwie piąty rok od zamężcia pani Rawiczowéj upłynął, kiedy już jakby na morzu po rozbiciu okrętu, wszystkiego napróżno koło siebie szukała. Wszystko zginęło: mąż urząd stracił, posag u bankierów przepadł.

Zostało jęj tylko ze skarbów serca domowe szczęście, a z majątkowych wioska maleńka, którą pan Rawicz miał po rodzicach o mil ośm od Warszawy, nad Bzurą, ale która nie była ani urządzona, ani zagospodarowana, gdyż w nięj dotąd nigdy nie mieszkał, zajęty będąc od najpierwszjęj młodości, jak wówczas tylu innych, rzeczą publiczną.

Pan Rawicz był to człowiek niepospolity. Syn jedyny szanownych ale niemajątnych rodziców, był z dzieciństwa celem całej ich miłości i ambicyi. Siedzieli oboje zimą i latem w skromnjęj wiosce, żałując sobie wszystkiego; wstawali przed świtem; ojciec pracował i trudił się do nocy za domem, matka krzątała się i ślęczyła w domu, a to jedynie żeby ich i ukochany Michał odebrał jak najlepszą edukacją, żeby go mogli utrzymać w konwiktie Pijarskim, na równi z najbogatszą młodzieżą; żeby go ujrzeli kiedyś celującym między najpierwszymi i użytecznym krajowi.

Pobłogosławił Bóg ich poświęcenie. Młody Michał tyle pilności i zdatności okazał, iż najznakomitsze domy życzyły go za towarzysza i przyjaciela synom swoim; a gdy nauki skończył, nie potrzebował butwieć długo w biurach na podrzędnym miejscu, w krótkim czasie uzyskał korzystną i wydatną posadę.

Niedługo jednak poczciwi rodzice cieszyli się na tęg ziemi widokiem cnotliwego i według ich serca syna. W gorący skwar sierpniowy, stary ojciec stojąc nad żeńcami, przepalił głowę i w kilka dni umarł. Matka od śmierci męża, którą zrazu zdawała się znosić odważnie, zaczęła niknąć powoli. Już tęg jedynak nie tylko nie potrzebował wdowiego jęj grosza, ale nawet mógł jęj udzielać części swoich dochodów, gdyby tylko pozwoliła; już więc nie czuła się potrzebną nikomu, i zgasła w półtora roku po dozgonnym przyjacielu, prawie bez choroby.

Młody Rawicz jakkolwiek ojca żałował głęboko, stratę matki jeszcze mocnjęj uczuł; oddał się z większą pilnością

publicznej pracy, zatopił się w niej zupełnie; ale już go nie tyle cieszyły postępy i nagrody; nie miał komu o nich w ciągu tygodnia donosić, a w Sobotę w wieczór, nie miał do kogo jechać na całą noc, żeby się pochwalić, nagadać, poradzić, uścisk odebrać, błogosławieństwo usłyszeć.

W taki jeden sobotni wieczór samotny i próżny, kiedy, choć już pół roku od śmierci matki minęło, on jeszcze ciężkiego żalu sieroty utulić nie mógł; kiedy jeden z jego najlepszych przyjaciół, towarzysz szkolny, kolega na urzędzie, pan Stanisław Gozdawa, wprowadził go do domu państwa Śrzeniawów. Były tam trzy córki nadobne, dwie już w wieku zamężcia; lecz on upodobał sobie najmłodszą z rzędu, śliczną, wesołą, roztrofną Terenię; i zaraz tego wieczora coś mu szepnęło w duszy: „Albo ta będzie moją żoną, albo żadna w świecie.“

Terenia miała dopiero rok piętnasty; drobnego wzrostu, nierozwiniętych jeszcze rysów twarzy, nie wydawała i trzynastu. Pan Rawicz przyrzekł jej rodzicom czekać jak chcieli, póki dwie starsze siostry nie wyjdą za mąż; czekać, choćby lat siedm jak Jakób na Rachelę, byle ją kiedyś dostał. Nie czekał jednak dłużej nad trzy lata. Panny Śrzeniawianki sływały z bogobojnego i domowego wychowania; mówiło za niemi zgodne rodziców pożycie, przykładne cnoty matki, mówiła téż i uroda, i kilka tysięcy czerwonych złotych, które ojciec kładł każdej pod poduszkę; znalazły więc rychło dostojnych nawet mężów: a śliczna Terenia, chociaż daleko majątniejsi kawalerowie jej się trafiali, Michała Rawicza wybrała sobie bez żadnej obcej namowy.

Starszy od niej o lat dwanaście, słusznego wzrostu i mężczyń twarzy, lecz wcale nie piękny, wzbudził przecież żywe przywiązanie; może ją ujęła sława jego cnót obywatelskich i wysokich zdolności? bo są kobiety, co choć młode, podobne zalety najwięcej cenią w mężczyźnie; może zniewoliła ją prawdziwa jego miłość? uczucie potężne, któ-

remu serce niewieście rzadko kiedy się oprze, i rzadko kiedy nie odplaci owój ujmującej i luběj daniny zupełną wzajemnością.

I potrzebowała pani Rawiczowa tego zapasu kochania i szacunku w mężu; naprzód, żeby w powodzeniu i w towarzystwie młodych i znakomitych mężczyzn, których dom jēj był schadzką przez lat kilka, nie dać się uwieść próżnością; potem, żeby znieść niedolę i wiejską samotność.

Jakoż, zmiana zupełna fortuny, dla niěj nieznośniejszą być mogła niż dla wielu innych. Delikatnego zdrowia, z dzieciństwa wychowana w największych pieśczołach i wygodach u rodziców, którzy, według polskiego obyczaju, nad stan swój żyli, wydana młodo człowiekowi, co ubóstwając ją wydawał dochody swoje co do grosza, byle ona się nie postrzegła, że go nad najętniejszych przeniosła; jakkolwiek z natury swojej rządna i oszczędna, nie miała przecież żadnego wyobrażenia ubóstwa i niedostatku, i zupełnie była gotowa powtórzyć to, co niegdyś powiedziała królowa Marya Leszczyńska słysząc o nędzy ludu w rok nieurodzajny: „Nie pojmuje jak może kto umrzeć z głodu, bo ja gdybym miała na dzień bułkę chleba i szklanę wina, wyżyłabym jak najłatwiej.“

Kiedy więc się odkryło, że państwu Rawiczom nic nie zostało prócz wioski, ona osądziła w swojej niewiadomości, iż to jedno w ich położeniu się zmieni, że nie będą mogli żyć w Warszawie, mieć otwartego domu; martwiła się tēm z jednej strony, bo lubiła bardzo miasto i gości; ale z drugiej, mówiła sobie: „Przecież, i na wsi ludzie do rzeczy żyją; moje siostry choć bogatsze odemnie, zimą i latem w swoich dobrach siedzą; a zapewne świeże powietrze posłuży mojemu zdrowiu.“ Gdy już tedy na dobre wybierać się trzeba było z Warszawy, i pan Rawicz powiedział żonie: „musimy się pożegnać ze wszelkim zbytkiem, przedać sprzęt domowy, zostawując to jedynie czego ścisła wy-

można potrzeba“ ona podjęła się zrobić sama ten podział, spisać co mieli i bez czego obejść się mogli; a gdy nazajutrz mąż zapytał o ten ostatni wypis, znalazł na nim: Dwa wielkie zwierciadła, trzy wazony chińskie, parawan z piór i kilka obrazów olejnych w szerokich ramach. Uśmiechnął się z razu na ten widok, wnet jednak westchnął głęboko. Gorzką jest rzeczą dla sumiennego i kochającego męża, truć spokojność, zdzierać lubą zasłonę z oczu téj, której szczęście zaprzysiągł i radby życiem okupił!.. Ale pan Rawicz kochał prawdziwie żonę i był rzetelny; zamiast się unieść fałszywą delikatnością, zamiast ją łudzić, odkrył jęj całą prawdę, bez żadnej ogródki: „Majątkiem naszym jedynym—powiedział jęj—jest wioska z nędznym dworkiem, stu tysięcy nie warta; osłoni nas własnym dachem, zachowa od głodu, ale nic więcéj. Trzeba więc wszystko sprzedać co mamy, żeby mieć choć trochę gotowizny na zagospodarowanie się, na pierwszy rok; wyłączam jedynie kanapkę i klawikord dla ciebie, książki dla nas obojga; zresztą, zastaniemy w Olszankach łóżka żelazne, proste stoły i szafy dębowe, jakie zostały jeszcze po moich rodzicach, i żyć będziemy zupełnie inaczej jak dotąd, ubogo, samotnie. Wiem, że to straszliwa i nie pojęta dla ciebie odmiana; ale wiem, że moja Terenia, pobożna, rozsądna, zniesie mężnie ten cios srogi, a zamiast powiększać jeszcze, już i tak ciężki mój smutek, będzie mi jak dotąd była osłodą, pociechą, szczęściem, aniołem mojego życia.“

Gdzież jest kobięta, któraby na podobne słowa ukochanego męża nie rzuciła się mu na szyję, nie ucałowała twarzy, rąk jego, i nie przyrzekła ze łzami i z wewnętrzzną dumą, zrobić wszystko z siebie, żyć w ubóstwie, bez zabaw, bez ludzi się obejść, zamknąć się choćby w więzieniu, byle z nim, byle on był swobodny, spokojny, jęj szczęścia pewny, i zawsze równie jęj ufał, równie ją kochał!

Zrobiła tak pani Rawiczowa; lecz co większa i co nie każda z nas potrafi, dopełniła przyrzeczenia święcie a wesoło; i to nie przez trzy dni, trzy miesiące, trzy lata, ale przez całe życie; bo już nie było w jój przeznaczeniu, wrócić kiedybądź do dawniej pomyślności.

ROZDZIAŁ III.

Pewien rodzaj kobiety.

Pani Rawiczowa była kobietą, jaką nie często widzieć się zdarza, i jakiej może nie zawadzi przypatrzeć się nieco bliżej. Była co się zowie szczęśliwie urodzona, same wady jej nie szkodziły; owszem, i może źle robię że to odkrywam: jeszcze ją miłszą i powabniejszą czyniły. Była na przykład leniwa, wykwintna, wybredna, wygodnisa o zdrowie swoje i o piękność nad miarę troskliwa, pokój i cichość do zbytku lubiąca. Niecierpiała wstawać rano, chodzić, wglądać, krzątać się, męczyć; roboty grubiej albo mniej przyjemnej ani się dotknęła, ognia, słońca nawet, bała się. Gdyby jakiej innej kobiecie, równie miernego stanu jak ona, zachciało się w tém wszystkiem naśladować, pewno źleby wyszła; te wady jednej tylko ślicznej Tereni uchodziły; były w zupełnej harmonii z nią całą; dosyć było na nią spojrzeć, usłyszeć ją mówiącą, żeby się o tém przekonać. Twarz drobna, regularna, nosek prosty, gładki, jakby na

wzór przez biegłego snycerza uciosany, oczy czarne powłó-
 czyste, płeć aż blada tak biała i delikatna, wzrost mały,
 kibić wiotka, rączka i nóżka precudowne, głos dźwięczny
 i miły, chód powolny, układ cały miękki, ujmujący, każde
 ruszenie nadobne, coś w całej osobie przypominającego
 wschodnie piękności, a więcej jeszcze coś zdradzającego pod
 tą niewieścią i słabą powłoką wyższą istotę: oto już w oczach
 wielu było jój wad usprawiedliwieniem. Łatwiej jeszcze je
 przebaczał każdy co ją bliżej poznał, a raczej nie przeba-
 czał, zapominał. Jakoż pani Rawiczowa mimo oczywistego
 lenistwa i pozornój nieczynności, zbierała wszelkie owoce
 największego krzątania się i najgorliwszych gospodarskich
 zachodów; nigdy się nie nudziła, mało wydawała pieniędzy,
 nie narzekała na służących, i trudnoby gdzie napotkać, nad
 jój miłszego domu i lepiej urządzonego. Bo pani zawsze
 była u siebie, zawsze przyjąć gotowa, starannie ubrana, ra-
 da, uprzejma, mówiąca, a koło niej zawsze było ładnie, mi-
 ło i cicho, i wszystko szło jakby z płatka.

Jeszcze w domu rodziców, którzy nietylko ją pieścili,
 ale jak to mówiono dawniej, *obserwowali*; wszystko, od jój
 najmłodszych lat bądź przypadkiem, bądź z umysłu tak się
 układało, że ona wymyśliła, zachęciła, kierowała, matka
 albo siostry zrobiły, nie dając jój się ruszyć do niczego;
 a jeźli Terenia pochwaliła ich robotę, co nie zawsze się
 trafiało, już im to było dostateczną nagrodą. Jak poszła
 za męża, nie zmieniła ani układu ani postępowania; owszem
 od chwili zamężcia, słabując cokolwiek, a przynajmniej ma-
 jąc pozory do tego, jeszcze mniej ruchawą i skrętną, jesz-
 cze troskliwszą o siebie się zrobiła, i jak mąż mówił:
 „ślub wzięła z kanapką.“ Ale z tój kanapki rządziła domem
 jakby z tronu, i rządziła wybornie.

Rzadkiego porządku i akuratności koło siebie i w tём
 wszystkiём co do niej należało, wielkiej objętości i przyto-



mności umysłu, codziennie wieczór zapisawszy co do grosza dzisiejsze wydatki, obejmowała myślą cały obchód domowy dnia jutrzejszego, i upatrzyła najlepszy i najtańszy sposób załatwienia go. Każdemu ze służących wydała wyraźnie stosowne polecenia; każdy nazajutrz rano musiał przyjść zdać sprawę ze swego; nie wymagając od nich doskonałości i nie zrzędząc wcale, nic przecie nigdy za żadnego nie zrobiła, ani na nic nie patrzyła przez szpary; i oni wiedzieli o tém; a skoro jój w czém uchybili, nie łajała sama, tylko straszyla jegomością; gdy postrach nie pomagał wzywała męża na prawdę; a on jako człowiek rozsądny, nigdy jój nie zawiódł, nigdy przed oskarżonemi nie sprzeciwił jój się, zawsze swoją sankcyą stwierdził jój znaczenie; i jeżeli jój się zdarzyło omylić się, ostrzegał ją o tém wtedy dopiéro, kiedy sami się zostali.

Tym samym trybem i równie pomyślnie lubo na trudniejszą i zupełnie nieznaną sobie stopę, poprowadziła ubogi domek wiejski; a w tém całym kubiécem i tak ważném powodzeniu, jeżeli wiele była winna wyższości własnego umysłu, podobno równie tyle mężowi.

Pan Rawicz jako człowiek rzetelnie oświecony, znał ludzi, i wiedział że doskonałych niéma. Brał ich więc i używał takiemi jak byli; a surowy dla występków, folgował wadom. Owa rzadka umiejętność służyła mu na urzędzie, służyła w towarzystwie, służyła i w domu. Bo nie prawdziwy to mędrzec, a nawet nie prawdziwy mężczyzna, co zamknięty w gabinecie, rozległe kraje urzędza, nad szczęściem niezliczonych pokoleń pracuje, a charakteru żony nie zna i głową własnego domu nie chce być i nie umie.

Pan Rawicz nim się ożenił ze śliczną Terenią, już odgadł ją zupełnie; a mimo namiętnój miłości, postrzegł jój wady: przystał na nie, lecz wziął górę nad nią samą. Rozpoznał, że ów rodzaj lenistwa, owo zaniedbanie, rozpieszczę-

nie, wykwintność, już były jakby drugą jej naturą; zostawił jej tedy ów krój powierzchowny i mniej ważny w jego oczach; a tém silniejszego użył starania do rozwinięcia i wzmocnienia duszy, do oświecenia i dobrego skierowania rozumu, do pozyskania zupełnego jej szacunku, zaufania i miłości. Kto wie nawet, czy biorąc żonę piękną i dużo młodszą od siebie, kto wie, czy bardzo się gniewał na owo jej lenistwo i opieszalność? przewidywał bowiem to co się stało: że będzie wołała pilnować domu, niż ubiegać się za światem.

A kiedy zmiana fortuny, kiedy ubóstwo spotkało ich nagle, mimo tego, że wszyscy znajomi, zwłaszcza znajome litowały się nad nim i powtarzały ruszając ramionami: „Co on zrobi na wsi, przy biędzie, z taką księżniczką?” on wcale się nie troskał, i jak dawniej, tak teraz mówił w sobie „Jeszcze nie widział kobiety, którąbym porównał z moją Terenią!” Wiedział on nawet, i zaręczał to przyjaciołom, że żona gotowa była na jego skinienie prostą gospodynią się zrobić, ze świtem wstawać, do krów chodzić, i t. p., ale wiedział także, ileby ją mogły kosztować podobne zatrudnienia, i jakby mogły z czasem zmienić jej charakter. Odprawiając tedy cały dwór warszawski, zatrzymał z podziwieniem wielu, najpiérwszą w nim figurę, pannę służącą, osobę już w wieku, ale bardzo skrzętną, poczciwą, znającą się, która była u rodziców pani Rawiczowej przez lat dwadzieścia, a którą ona przezwała oddawna „prawą ręką swoją.“ Panna Salomea okazała się dwa razy potrzebniejsza pani swojej w ubóstwie niż w dostatkach; i bez wątpienia przymnożyła swemu państwu w czwórnasób owe sto kilkadziesiąt złotych, które jej płacili na rok.

Pani Rawiczowa nieznając się bynajmniej na wiejskiem gospodarstwie, bo nigdy nie była dalej za Warszawą jak w Willanowie i na Bielanych i to spacerem, a niemając ani ochoty ani wątku na próby i doświadczenia, mężowi zosta-

wiła rolę, pańszczyznę, konie, trzody, cały *zadom* jak go zwała: pannie Salomei oddała panowanie nad kurami, nabiałem, dziewczkami, całą ciężką i ręczną pracę; sama tylko ze swojej kanapki pomagała obojgu krédką i główką; na to się siłąc najmocniej: żeby jak najwięcej sprzedać, jak najmniej kupić, a wszystko bądź domowe, bądź kupne, jak najbardziej oszczędzać, jak najlepší użyć.

Trudno tego zataić, z początku osobliwie, było jój bardzo dziwno i przykro, z pięknego mieszkania na Krakowskiém Przedmieściu, ozdobionego wytwornie, przenieść się do niskiego dworku, co prawie na prostą chatę wyglądał; z dobrego kucharza spaść na prostą dziewczkę, z kilku służących na jedynego chłopaka, Józefka. Ale przyrzekła mężowi i Bogu znieść wszystko; znosiła więc, i jeszcze tyśiącznemi wynalazkami umilała samo ubóstwo, i powtarzała nieraz z zupełną szczerością: „Co do mnie, prawie mi się nic nie zmieniło na świecie; mam zawsze to com najwięcej lubiła i lubię: wygodki, porządek, cichość.“

Jakoż pod jój zarządem a wykonaniem panny Salomei i Józefka, skutkiem różnych handlów i oszczędności, nie wyszło trzech miesięcy, kiedy domek Olszański całkiem inną postać przybrał. Kuchnia i czeladź przeniosły się do najbliższej chałupy, którą zamieniono na folwark; ściany dworu wybielono zewnątrz i wewnątrz; szyby przepalone i papierem łatane, zastąpiono nowemi; podłogi zrównano i zaprawiono; do drzwi od sieni przywiązano wagę żeby zamykały się same, i zrobiła się przedpokojem; cztery izby z których dom się składał przybrały nazwę pokojów, dwa alkierze gabinetów; w największym i najwidniejszym pokoju z oknem na wschód południowy, w wygodném miejscu, ustawiono kanapkę jójmości, a naprzeciw niój piękny wiedeński klawikord; mniejszy gabinet przeznaczony został na gotowalnię, większy na bibliotekę dla jegomości. Przed oknami, na troskliwie uprawnych grządkach i obsadzonych

barwinkiem, zasiano rzedy i inne pachnące kwiaty; na sto kroków w półkole wytknięto nizki płotek z kołków wierzbowych; odwieczną lipę wprost domu stojącą, co dotąd ocieniała same wióry i śmiecie, oczyszczono i otoczono ławką; mały sad zdziczały, a z drugiej strony będący, zarosły gęstą i wysoką trawą, skoszono nisko i okrzęsano drzewo każde. Pani Rawiczowa dla której to podwórze i ten sad stały się granicami świata, w codziennych przechadzkach z parasolikiem w ręku, wydeptała małą nóżką kręte ścieżki między drzewami, a te wolnym czasem Józefek wygracował i wygrabił; przezwala ławkę pod lipą altaną, a sad angielskim ogrodem; w piękne dni kazała zastawiać śniadanie w ogrodzie, skromny obiad i wieczerzę pod lipą a widać było, że jęj wszędzie i zawsze miło i dobrze.

Gdyby pan Rawicz mógł więcj kochać swoję Terenię niż dotąd, zapewne byłby ją za to samo pokochał. Mężowie radzi są podobnemu obejściu; i mało którego cieszy tēm żona, kiedy sobie ujmuje wszelkich wygód, pracuje jak najęta, choćby tēz i co oszczędziła, jeżeli przytēm, zrędzi, narzeka, skarży się, płacze i ma się za nieszczęśliwą. Mężczyzra biorąc żonę, w obliczu Bogu i prawa przysięga jęj utrzymanie i opiekę, bierze na siebie jęj los i szczęście; sumiennemu srogą jest boleścią kiedy widzi, że mimo najszczerszych starań i chęci, nie jest w stanie zadosyć uczynić temu przyrzeczeniu. Kochająca żona swobodą i szczęściem wypłaca się najlepięj mężowi i miłość swoję mu dowodzi. Szemrania i narzekania dla niejednego są jakby śpilkami w serce; a przecięz nieraz zapominamy się i dręcymy tych, których szczęście droższe nam od życia...

Rzadkimby tēz był a zapewne i nauczającym, wierny obraz pożycia państwa Rawiczów, owęj wzajemnej chęci ich ożywiającej, żeby każde z nich szczęśliwe było ile możności, mimo przeciwnego losu, a to nie tyle jeszcze dla

siebie, ile dla zaspokojenia drugiego. W skromnych też owych Olszankach, gdzie często ledwie nie na pierwszych potrzebach zbywało, gdzie książki i muzyka zastępowały miejsce towarzystwa i zabaw: oboje byli swobodni, weseli; a ślicznój, młodój, do świata przyzwyczajonój pani Rawiczowój, ani przyszło na myśl szemrać na Opatrzność i żałować świata.

ROZDZIAŁ IV.

W y c h o w a n i e.

Niedługo, do życia skromnego i samotnego owój przykładnej pary, przybył wdzięk niezmierny, żądany oddawna. Pani Rawiczowa od czasu mieszkania na wsi, doświadczała wielkiej odmiany w zdrowiu; jadła więcej, tyła cokolwiek a przecież czasami bywała mocno cierpiąca i więcej niż kiedy turbowwała się o siebie. Już mąż jeszcze troskliwszy o jej zdrowie niż ona sama, chciał zwyciężyć wszelkie trudności, sprzedać ostatnią łyżkę srebrną, i zawieźć ją do Warszawy, do doktorów, kiedy się okazało, że owe odmiany i cierpienia bardzo pomyślną miały przyczynę. Pani Rawiczowa przez pięć lat napróżno dzieci pragnąca, teraz była przy nadziei. Piérwsze chwile po tém odkryciu zajęła najżywsza radość. Któreż małżeństwo kochające się a bogobojne, nie ucieszy się nadzieją potomstwa, owym dowodem błogosławieństwa Boskiego nad ich związkim! Ale wnet przystąpił żal do duszy ojca: czemu nie wtenczas spotkało go to szczęście, kiedy mógł otoczyć żonę wszelkim ratunkiem i wygodami? Przystąpiła okropna niespokojność do serca troskliwej matki: jakim cudem tego syna (bo piérw-

sze dziecko zawsze ma być synem) urodzić, wychować potrafi, kiedy ani biegłego lekarza, ani nawet jednej doświadczonej kobiety nie ma przy sobie? Panna Salomea bowiem w tym razie prawą jej ręką być nie mogła; owszem pomnażała jej trwogę, powtarzając bardzo często z oczyma wznieścionymi w górę: „Święty Antoni, jak to będzie!“ Bo jakkolwiek była zawołaną lekarką, i już w Olszankach wielką sobie zrobiła sławę maściami na rany, wodą na oczy, dekoktami na kaszel, spirytusami na suche bole, przecież z młodemi matkami i z niemowlątkami żadnych dotąd nie miała stosunków.

Lecz we wszelkich trudnych razach Opatrzność pomaga tym, co Jój ufają szczerze, obierając najczęściej za szafarkę łask swoich przyjaźń dobrych ludzi. Już od samego przyjazdu państwa Rawiczów do Olszanek, z kilku stron ich dochodziły uprzejme chęci sąsiadów zapoznania się z niemi; widzieli sami dowody tych chęci w kościele parafialnym, o pół milki odległym, w Wolenicach, dokąd jeździli co święto; ale bądź rozsądek, bądź duma były powodem, że nie mogąc tak przyjąć u siebie jakby u drugich przyjmowani byli, dali sobie słowo nie robić wcale nowych znajomości. Przyjeżdżał do nich czasami pan Stanisław Godzawa, ów dawny przyjaciel, który osiadł w Warszawie i tém więcej ich kochał, że sam się nie żenił; przyjeżdżali niekiedy krewni, uczęszczał także ich proboszcz woleniecki, szczęśliwem zdarzeniem, mąż równie światły jak wzorowy kapłan, lecz od innych zupełnie stronili. Przełamała jednak ich postanowienie granicząca z niemi pani podstolina Porajowa. Żwawa, uczynna, zawsze w ruchu, dowiedziawszy się o spodziewanej a pierwszej słabości młodej sąsiadki, zajechała do Olszanek; i z takim dobrém sercem, z taką ujmującą otwartością ofiarowała swoje usługi, iż niepodobnem się stało je odrzucić. Trafiło się téż, że wiek jej, dalekie pokrewieństwo z matką samego Rawicza, ułożenie

nawet, lubo zupełnie odmienne, przystało pani Rawiczowej, i wnet nastąpiła między niemi uprzejma poufałość, jak gdyby od lat kilku się znały. Podstolina sławna gospodyni i lekarka, od lat siedmiu zamężna, miała już czworo dzieci i wszystkie szczęśliwie na wsi powiła i wyhodowała; ręczyła, że i z piękną sąsiadką tak będzie, i nie omyliła się. Mimo całej niespokojności męża, mimo wzdychań panny Salomei i wszelkich najokropniejszych własnych przewidywań, pani Rawiczowa w środku zimy urodziła jak najszczęśliwiej zdrowe dziecko; a ten jeden był smutek i zawód, że nie syna, jak życzyli i prorokowali wszyscy, tylko córkę.

Była to nasza skromna i niewydatna Krystyna. Dano jęj to imię dla zacnej Podstoliny, co ją podawała do Chrztu, wraz z panem Stanisławem, który zjechał umyślnie na ten uroczysty obrzęd. Lecz wnet inny jeszcze zawód na biednej dziecinie się okazał. Czerstwa, tłusta, zdrowa, matce co ją sama karmiła, Jagusi wiejskiej dziewczynie co ją piastowała, prawie żadnego nie zadająca kłopotu, mała Krystynka im więcej tyła i rosła, tém większe okazywała podobieństwo nie do ślicznej matki, niestety! ale do ojca, który nawet na męczyznę był prawie brzydki; jego nos duży i spuszczone, małe piwne oczki, usta szerokie, powtórzone były w jęj twarzyczce, jakby w pomniejszającym zwierciadle.

Napróżno pani Rawiczowa rozkochana w nięj ślepo, jak matka w dziecku, a jeszcze w piérwszém, w każdym najnieforemniejszym rysie widziała wdzięk: rzeczą było aż nadto widoczną, że jęj córka będzie brzydka.

— Mniejsza o to — mówiła z zadąsaną minką, kiedy kto z domowych żale swoje nad tém rozwodził — dla tych co ją pokochają, będzie bardzo ładna; a że takich znajdzie, ani wątpić: równie miłego i poczciwego dziecka niéma na całym świecie.

I zgadła kochająca matka. Krystyna rosnąc w lata, coraz piękniejszą odkrywała duszę; a od chwili urodzenia swego, urok prawdziwy rzuciła na każdą chwilę życia pani Rawiczowój, urok, który przeszedł daleko wszelkie powaby dostatków, świata i miasta. Najprzód nacieszyć się nie mogła karmieniem córki, owém zadaniem Opatrzności, które jest razem dla matek zatrudnieniem i odpoczynkiem, powinnością i rozkoszą; potem, kiedy już dziewczynka trochę się odchowala, chodzić i szczebiotać zaczęła, ani pojmowała jak mogła żyć tak długo bez swego aniołka, bo tak zawsze zwała córkę, jak mogła obchodzić się przez lat tyle bez jój pieściot i posług? Z większém upodobaniem niż kiedybądź siedząc w domu, zawsze i wszędzie z lubą dzieciną koło siebie, ledwie parę razy ustępowała silnym naleganiom uprzejmój sąsiadki, i do niej na czas jakiś jeździła, a robiła to więcej jeszcze dla swego aniołka niż dla siebie; bo Krystyna wśród dzieci Podstoliny bawiła się wybornie, a z najmłodszą Anielą zupełnie się zaprzyjaźniła. Wielka siła kochania, nadzwyczajna rzetelność, pobożność jakby wrodzona, łatwe pojęcie, rozsądek, pracowitość, delikatność, cichość i słodycz, a przytém moc duszy niepospolita, te okazały się główne cechy charakteru dziewczynki i te rozwinęły się najpomyślniej z wiekiem; same zaś okoliczności posłużyły do wczesnego ich dojrzenia.

Pani Rawiczowa dopiero w pięć lat po pierwszém dziecięciu doczekała się pożądanego syna, a w drugie pięć lat obdarzył ją Bóg drugą i już ostatnią córką. Wié każdy, jak prędko dojrzewa dziecię, co zawsze jest wśród starszych, co ma rychły obowiązek dawania dobrego przykładu, nawet opieki młodszemu rodzeństwu. Krystyna odbyła tę wyborną szkołę. Nikt sobie tóż w domu nie przypominał, żeby ona co dziecinnego zbroiła, żeby się uparła, skłamała, żeby potrzebowała kary, ostrego połajania. W pierwszych latach ciągle pod okiem rozsądnój matki, nic złego nauczyć się

nie mogła; w dalszych przekonana wcześniej o obecności Boga, o konieczności prawdy i posłuszeństwa, nie złego zrobić nie potrafiła; a skoro braciszek odrósł od ziemi, i siostrzyczka się urodziła, ona już dziesięcio-letnia uważała się zupełnie jako ich mistrzyni i opiekunka. Prócz tego, wiadomą jest, lubo nieco niebezpieczną prawdą, że najczęściej wady rodziców nadają dzieciom przeciwne przymioty. Lenistwo pani Rawiczowej, potrzeba konieczna usługi i wyręczania się, jęć wykwintność, zrodziły wcześniej w córce: czynność, roztropność, skrzętność i zręczność. W wieku, kiedy za innymi dziećmi ciągle chodzi piastunka i wszystko za nich robi, ona już matce służyła. Zdarzyło się jeszcze, że właśnie kiedy skończyła lat dwanaście, panna Salomea umarła. Chorując pierwój dosyć długo, jednak na nogach niemal do ostatniej chwili, życzliwa sługa mogła przynajmniej wprawić chętną i roztrofną panienkę do zastąpienia jęć we wszystkiem, i tak się to pomyślnie udało, że jakkolwiek wszyscy we dworze i we wsi serdecznie żałowali poczciwej sługi, nikt prawie nie postrzegł zmiany pierwszego ministra: tak bowiem zwała posadę panny Salomei pani Rawiczowa; nawet lekarskich sekretów pod dyrekcją matki jak najlepiej wyuczyła się dziewczynka.

Owe domowe zatrudnienia, choć dosyć liczne, nie przeszkodziły bynajmniej Krystynie do oddania się umysłowym. Może nie miała z natury nadzwyczajnego usposobienia do nauki, rozum jęć był więcej uważający niż bystry, była raczej rozsądna niż dowcipna; ale dwie przyczyny dopomogły bardzo do jęć rozwinięcia i do skierowania jęć myśli do rzeczy użyteczniejszych, jak w zwyczajnej edukacji dziewcząt: brak urody i troskliwość ojca.

Wiadomo każdemu, że piękność w niewieście, acz dar wielce uroczy i pożądany, ma przecież wielkie swoje niebezpieczeństwa. Skoro dziewczę czyta w zwierciadle i w oczach wszystkich ten miły sąd: „ładnam,“ snadno próżność w nią

wmówi i drugi sąd bardzo mylny: „nie potrzebuję niczego.“ Przeciwnie dzieje się z brzydką: chciałaby ona wszelkimi sposobami nagrodzić mimowolną winę; dobrocią, umiejętnością, talentami pozyskać serca i pochwały. Krystynie wszyscy powtarzali od kolébki: „Dziewczynka nie ładna, musi być dobra, pracowita, uczyć się pilnie;“ i dziewczynka słuchała ślepo; a zwyciężając wady swoje, ucząc się jak najpilniej, skarbiąc sobie miłość wszystkich, pewną była, że inaczej robić nie może.

Do tego pan Rawicz widząc wszelkie swoje dawne nadzieje i widoki zawiedzione, zmuszony dla chleba do oddania się prostemu i mozolnemu gospodarstwu, całą słodycz i ozdobę swojego życia, swojej przyszłości, założył w zadośćuczynieniu pięknej i ważnej części przeznaczenia mężczyzny; to jest w kształceniu córki i w dopełnieniu tego dzieła przez żonę.

Bo jeżeli pan Rawicz jako mężczyzna, uznawał wraz z całym rodem swoim, władzę i pierwszeństwo mężczyzn nad kobietami, jako człowiek cnotliwy i myślący należał do małej liczby tych, co chcą i umieją użyć tej władzy na dobre, i co wyższości swojej dowodzą nie większą siłą fizyczną, ale większą mocą moralną. Od początku nie pragnął on mieć w swojej Tereni ani niewolnicy ani pani; chciał mieć, jak uczy Pismo Święte, pomoc podobną sobie, uległą, bo słabszą. Nie pochlebstwem ją zniewolił, ale wyższymi własnymi zaletami i słusznym ocenieniem jej rychłych przymiotów; a od chwili jak mu rękę przyrzekła, zamiast obudzać w niej próżność, starał się ją przekonać, że nie samą przemijającą urodę w niej kocha, lecz więcej daleko, nieśmiertelną i piękną duszę; a gdy tę doskonalić będzie, coraz większą jego miłość zjedna. Więcej jej postępu w dobrém, niżeli stroju i zabaw pilnował; znosił jej do czytania nie romanse szkodliwe i lekkie książki, ale gruntowne i budujące dzieła; nie wyśmiewał jej pobożności,

owszem utwierdzał ją w niej: w rozmowach nie zabawiał ją plotkami, obmową, żarcikami często nieprzyzwoitemi; nie on do niej się zniżał, wolał ją wznosić do siebie; zwierzał jęj się cały, mówił o swojej dzisiejszj choć poważnej pracy, o planach jutrzejszj; pytał ją o jęj zatrudnienia, dawał rady na obecną chwilę, na przyszłość; a w samych wyrazach najczulszj miłości szanował jęj niewinność jako skarb drogi, który już nietylko do niej, ale i do niego należał. Kiedy śliczna Terenia została jego żoną, nie zaniechał, owszem podwoił tych starań; zawsze w każdj chwili, w każdym razie znajdowała w nim przykład, zachętę, podpore, dobrą radę; a on w niej miał prawdziwie drugą połowę samego siebie, którj czulość i dowcip uzupełniały, czego jęj brakować mogło w sile i w umiętności. Gdy przyszło do wychowania dzieci, on kierował, ona wykonywała; a skutkiem tęj odwiecznej władzy, którą Bóg dał mężczyźnie nad kobiętą, często jedno jego słowo więcj ją oświecało od dziesięciu uwag matki i wprawiała się wcześnie w uznawanie piérwszeństwa i wyższości mężczyzny.

Skoro rzeczy idą właściwym torem, toczy się gładko i mile. Mimo szczupłych dochodów państwa Rawiczów, mimo braku tysiącznych przyjemności życia do jakich niegdysz nawykli, mało który pałac wspaniały mógł się równać w lúbem, w wyższem zajęciu ze skromnym dworkiem olszańskim. W poranki matka z córką pomodliwszy się razem, uczyły się; po obiedzie zdawały ojcu sprawę z dzisiejszych nauk, prosiły o wskazówkę na jutro; wieczorem popisywały się muzyką, a potęm on im czytał głośno jakie piękne i zajmujące dzieło, które przy jego uwagach nabywało w dwójnasób wartości. Wnet przybył do nauki i do słuchania Waclaw, a gdy ojciec zajął się nim jeszcze wyłączniej, chcąc mu ścisłych nauk i starożytnych języków udzielać, zastąpiła go przy matce prześliczna Zosia, która już nie jednę, ale

dwie nauczycielki miała, bo Krystyna chciała w nią przelać wszystko co sama umiała.

Wszystkie zaś te nauki i starania, których wysokim i rzetelnym końcem było wychowanie owych dzieci po chrześcijańsku, dla Nieba, dążyły do dwóch bliższych celów, jakie lubo są niby treścią każdój edukacyi, przecież mało kto je zakłada tak jasno i sobie samemu i wychowankom swoim.

Wiadomo, w jakich czasach żył i wykształcił się pan Rawicz. Był to czas wstrząśnień i popraw społecznych; a każdy człowiek światły i bogobojny, odróżniając nadużycia od dobrodziejstw, pragnął dołożyć skuteczną i baczną rękę do ważnego dzieła postępu. Póki pan Rawicz na znacznym będąc urzędzie, należąc do pism obywatelskich, kierował wszystką swoją naukę i pracę ku dobru kraju; gdy już ubogim ziemianinem został, zebrał w domowy obręb całe światło, całą gorliwość swoją; i osądził nawet, że tym sposobem odda i krajowi najlepszą przysługę, na jaką w położeniu obecném mógł się zdobyć. W wychowaniu dzieci założył więc sobie przysposobić je do tego: żeby każde z nich, z miejsca na jakim Opatrzność je postawi, potrafiło przyłożyć się do poprawy społecznej; zważając zaś zmienność fortuny, w owych czasach już tak pospolitej, do tego celu dołączył drugi: żeby każde z dzieci jego miało los niepodległy w sobie, kawałek pewnego chleba w rękę, a do tych dwóch celów zamierzył dojść nie ogólnie i teoretycznie,¹ ale szczególnie i praktycznie; czyli mówiąc po prostu, chciał żeby każde jego dziecko posiadało gruntownie obok umiejętności użytecznej, rzemiosło. Tak jest, *rzemiosło*; i niech to nikogo nie obrusza, a zaręczam że Rawicze dobra szlachta: klejnot to herbowy z dawnych, jeszcze przed Łokietkiem; r. 1280, bywali już Wojewodowie tego imienia.

Zresztą nie dziwiłabym się, choćby ta chęć kogo obru-

szyla, bo samą panią Rawiczową, która miała w sobie do-
 syć skłonności do tego cośmy nawykli zwać arystokracją,
 z razu bardzo przykrą była owa myśl *rzemiosła* dla jej
 dzieci! Ale mąż rozsądny przeczytał jej kilka rozdziałów
Emila, zacytował królów rzemieślników, Kościuszkę tokarza,
 a co największa, samego *Zbawiciela*, który od dzieciństwa
 pracował wraz z przybranym ojcem nad prostą ciesielką.
 Przed tym ostatnim przykładem umilkła duma szlachecka;
 a pobożna matka przyrzekła mężowi nie tylko nie sprzeci-
 wiać się jego woli, ale nawet pomagać mu do wypatrywa-
 nia skłonności i zdatności dzieci. Bo zapewne nikt nie
 wątpi, że pan Rawicz wiedząc jak wiele do dalszej dosko-
 nałości zależy na tém: żeby młodym nie narzucać ani rze-
 miosł, ani powołań, do jakich nie mają usposobienia z na-
 tury, postanowił przedewszystkiem odgadywać swoje dzieci
 w tym wieku, kiedy one są same sobą, takie jak wyszły
 z rąk Boga, kiedy jeszcze ręka ludzka nie zepsuła, a przy-
 najmniej nie starła tych pierwotnych i każdemu stworzeniu
 właściwych znamion.

Ciało rozwija się pierwój niż dusza; dziecię każde,
 zwłaszcza to, które zbytęcną usługą zbałamucone nie jest,
 prędzej coś potrafi wykonać ręką, niż głową; wczesnie więc
 państwo Rawiczowie dostrzegli w małej Krystynie nadzwyc-
 zajną zręczność do krajania, do igielki; jedną lalkę miała
 w życiu, którą pan Stanisław z Warszawy jej przywiózł,
 a na wzór tój jednej lalki, robiła sama różnej miary, w ró-
 żnych strojach, bez liku; i uszczęśliwiała niemi wiejskie
 dziewczątka, nawet dzieci pani Podstoliny. Waclaw znowu
 zawsze miał coś do roboty z kawałkami drzewa i z nożem:
 strugał, przymierzał, składał, i ledwie siedm lat skończył,
 kiedy sporządził wózek bardzo foremny dla młodziej sio-
 stry, którego koła obracały się doskonale.

Nie czekając przeto dłużej, pan Rawicz przeznaczył

córcie krawiectwo za rzemiosło, a synowi stolarkę. Panna Salomea która wówczas żyła jeszcze, znała wcale dobrze krawiecką sztukę, i wszelkie rodzaje szycia, tylko już dobrych oczów nie miała; pani Rawiczowa zaś lubo z robót kobięcych najchętniej cienką pończoszkę albo śnieżną siatkę robiła, przecież znała się wybornie jak każda rzecz powinna być zrobiona, i miała we wszystkiem wiele gustu, nie brakło tedy Krystynie na zasadach i na radach; a kiedy jeszcze matce wypadło raz posiedzieć czas jakiś dla zdrowia w Warszawie, wzięli do niej za ostatecznego mistrza Kuśnierskiego, wsławiającego się wtedy krawca żeńskiego, który po dwóch miesiącach powiedział:

— Mało który czeladnik lepiej krawczyć umie: panienka mogłaby wyzwolenia żądać.

Dla Waclawa zaś pan Rawicz postarał się o osadzenie dobrego stolarza w Olszankach, i ta okoliczność ożywiła niezmiernie wolne chwile chłopczyka: prawie wszystkie spędzał w stolarskim warsztacie: tam terminował zarówno z wiejskim chłopakiem razem z nim przyjętym, a ta praca była dla niego zabawą. Prócz tego, codzienne przechadzki nabrały nowego powabu. Już i tak żadna nie była nigdy bez celu, bo pan Rawicz brał z sobą syna w pole w czasie odmiennych robót około roli; pozwalał mu rozmawiać z kmiołkami, ich zdania, rady a nawet nauki zasięgać; i paniczek pod przewodztwem gospodarzy i parobków, nieraz wzięł się do pługa, brony, kosi i sierpa, i uczył się jak ich używać, o ile mu młodociane siły dozwoliły. Lecz od czasu jak się zajął stolarką, las stał mu się także skarbcem wiadomości. Wioska jego rodzinna miała nazwę swoją od otaczającej ją olszyny, gęsty bór był także niedaleko; uczył się tedy chciwie nazwiska, użytku, zalet każdego rodzaju drzewa. Owe przechadzki, rozmowy i zatrudnienia, bliższe przestawanie z pracującym ludem, wpoilo w niego głębo-

kie zamięłowanie natury, przywiązanie serdeczne do kmiotków i do ojczywego zagona, a pan Rawicz nieraz z radością szeptał żonie:

— Bóg da, umiejętnością naszego Wacława będzie gospodarstwo.

Może kto przeczytawszy to ostatnie słowo powie, ruszając ramionami:

— Nie daleko szukał ów przezorny ojciec mądrości dla jedynaka! toć u nas lada kto gospodarować potrafi i syn szlachecki jest urodzonym gospodarzem.

Niech mi wolno będzie zbić ten zarzut, i powiedzieć tu słów parę o powołaniu gospodarza, czyli ziemianina polskiego; lubo już wielu świadomszych odemnie mówiło o tém obszerniej i piękniej, i na właściwszém miejscu.

Pan Rawicz, jak każdy prawdziwy przyjaciel ludzkości, marzył o poprawie losu włościan naszych, o nadaniu im własności, o ich uwolnieniu; ale zmuszony myśleć o opędzeniu potrzeb dnia każdego, bez gotowych pieniędzy, wreszcie nie usposobiony ani wychowaniem, ani kierunkiem nauk do takiego dzieła, nie był w stanie zaprowadzenia w wiosce swojej żadnych wielkich i zbawiennych odmian. Wszystko tedy co rad był a nie mógł dopełnić; wszystko to pragnął przekazać, ułatwić synowi; w podobieństwie jak zrobił Dawid dla Salomona, Łokietek dla Kazimierza.

I proszę nie uśmiechać się złośliwie nad tém porównaniem. Wolno rzecz małą stosować do dużej, byle jednego rodzaju były. A czyż właściciel najniższej wioski u nas, nie jest jakby królem? Czyż każdy u siebie nie mógłby dać przykładu owego rządu sprawiedliwego, owój troskliwości o dobro ludu? Czyż nie mógłby tak się przywiązać do ziemi przypadłej na niego po ojcach, do jój pomyślności i wzrostu, jak król do tronu; w dzieci wpajać tę miłość i tę staranność, a ojcowskiem obchodzeniem się z włościanami, słodzeniem ich niedoli, nadzieją coraz lepszego bytu, przy-

wiązywać do następców swoich lud osiadły w jego wiosce, jakby do prawowitej dynastyi? O! zdaje mi się, że u nas jest przyszłość szczęśliwości społecznej, powszechniej, jakiej może inne narody nie mają, ale trzeba żebyśmy się wszyscy na niej poznali. Obejdziemy się i bez teoryi *Fouriera*; każda wioska nasza, już *Falanster* gotowy, tylko trzeba wziąć się szczerze za ręce, poprawić, oświecić mieszkańców, zacząwszy nieraz od dziedziców.

Pan Rawicz przynajmniej był podobnego zdania. Tak rozumiejąc gospodarstwo czyli ziemiaństwo, to powołanie, tę umiejętność rad był naznaczyć synowi za cel edukacyi i całego życia. Z upodobaniem patrzył na jego coraz większą wprawę w stolarce, bo rzecz jest pewna, że kto wcześniej zręczności w jednej mechanicznej pracy nabędzie, i inne potrafi, a u nas w gospodarstwie właściciel ziemi powinien znać i umieć prawie wszystko, gdyż bardzo mało jeszcze mamy ludzi podrzędnych, uzdatnionych: każdego dopiero uczyć potrzeba. Jednak pan Rawicz, nie chcąc krępować syna i powtarzając mu zawsze, że wolno mu będzie, do lat przyszedłszy, jaki zechce wybór uczynić: być księdzem, żołnierzem, doktorem, prawnikiem, urzędnikiem i t. p., otwierał mu tymczasem obszerne pole nauk, gruntując wszystkie na Wierze, a mianowicie historią narodów i przyrodzenia, w których tak łatwo rękę Boga, Jego sprawiedliwość, mądrość i Opatrzność wykazać. Więcej jeszcze rozwijał umysł jego niżli go napełniał; więcej z nim rozmawiał niż czytał; więcej jemu dawał mówić niż sam mówił: zgoła, raczej go sposobił do wszystkiego niż uczył dokładnie jednej tylko rzeczy; boć najlepsza edukacya jest ta, co wzrost daje władzom umysłowym wychowanek, i podwaja moralną siłę jego: żadna nie może wystawić skończonego człowieka.

Zamierzał sobie przecież ów rozsądny ojciec, aby syn dopełnił tych domowych wiadomości w szkołach krajowych; skończywszy je, po dwudziestu leciech, za granicą douczyć

się pojechał; a wtedy dopiero, poznawszy nieco świat i siebie samego, albo przystał na życzenie rodziców i ziemianinem został, albo wreszcie inny zawód sobie obrał, lecz raz obranemu oddał się zupełnie.

Krystyna dzieliła prawie wszystkie nauki brata. Pan Rawicz, który całą młodość spędził między znakomitemi osobami i znał wiele kobiet wyżej wychowanych, wiedział dokładnie: że mało gdzie trafiono na rzetelny sposób udzielania im światła. Jak dziś tak i wtedy już, prawie powszechnie była uznaną potrzeba, a nawet konieczność edukacji dla każdej kobiety co dostąpić do niej może; ale jak dziś, tak wtedy, u wielu, owo światło, jak zwyczajnie „na początku“ zdawało się, że jeszcze nie wyszło z zupełnego chaosu. Bo w ogólności mylnie prowadzone i skąpo mierzone były, a może i są jeszcze nauki u dziewcząt; najczęściej wyobraźnią i niepotrzebną tkliwość rozwijają, i powierzchowność mają tylko na widoku. Prawie wszyscy rodzice chcą przedewszystkiém, żeby ich córki się podobały, jak już przyjdzie w świat je wprowadzić, i żeby rychło mężów dostały: o resztę się nie pytają, ani téż nie myślą dla nich o odmiennym losie.

Pan Rawicz inną drogę wybrał dla córki: on chciał jęj udzielić wyższego światła, ale chciał żeby to światło nie olśniło ją, tylko oświeciło; to jest, żeby jęj dopomogło do tego, żeby lepszą i szczęśliwszą była. Widząc ją bez majątku, a co gorsza dla kobiety, widząc ją pozbawioną wszelkich wdzięków urody, bogatszy w doświadczenie od żony, nie wróżył jęj wiele od ludzi i od losu; pragnął przeto, ażeby jak najwięcej rzetelnęj wartości w samej sobie miała, i bądź co bądź, szczęśliwą, swobodną i użyteczną być potrafiła. Postanowił tedy uczyć ją z dzieciństwa samych gruntownych rzeczy, samej prawdy, nie bałamucić żadnemi bajkami młodocianęj jęj wyobraźni; pracować silnie nad rozwijaniem jęj władz umysłowych, zmusić ją do

myślenia, do zastanawiania się, do uwagi; wpoić w nią smak do prac ciągłych i poważnych, niewychodząc przecież w niczem z granic niewieściego zawodu. Stosując zaś wszystko najchętniej do potrzeb własnego kraju, na téj ogólnej umiejętności, jedną szczególną zapragnął wcześniej podać córce; przysposobić ją do niej, zachęcić, aby późniejszą pracą posunęła ją do wysokiego stopnia, tak, żeby nawet drugim udzielać jój mogła: bądź pisząc książki, gdyby talent autorski miała; bądź ucząc, do czego każda kobieta jest powołaną: tą umiejętnością była *polszczyzna*; to jest wiadomość dokładna tego wszystkiego co Polski się tyczy: dziejów, ziemi, ludu, literatury, a najprzód mowy ojczyściej.

Przechodziło nawet przez głowę panu Rawiczowi, żeby córkę żadnego innego języka nie uczyć prócz polskiego i innych słowiańskiego szczepu, a to dla tego, żeby czysto mówiła i pisała po polsku, żeby się wzmogła w zapas wyrazów i obrótów przyrodzonych naszemu językowi. I zapewne, wartoby kiedy na jakiej pojętnój niewieściej główce zrobić podobne doświadczenie, ale sam nie znał słowiańskich dyalektów, biblioteka jego najobfitsza była w dzieła francuzkie; na wsi, bez pieniędzy, nie mógł téż mieć ani książek, ani nauczycieli w pomoc do wykonania tego planu: dosyć że przestać musiał na czczych marzeniach, i Krystyna od dziesiątego roku uczyła się po francuzku, ale uczyła się tego języka, jak Wacław łaciny: czytała, rozumiała, znała zasady, lecz nie mówiła nim ani pisała, chyba przy godzinie lekcyi francuzkiéj, i wszystkiego uczyła się po polsku.

Pani Rawiczowéj możeby to dosyć przyjemnie było, gdyby jój ukochana córeczka szczebiotała po francuzku od kolebki, jak tyle dziewczątek jój wieku i stanu; lecz ulegając w tém jak we wszystkiém, wyższemu światłu męża, po niejakiach sporach przystała na spełnienie jego woli; i wnet musiała przyznać, iż miał wielką słusność za sobą. Oboje

przekonywali się codziennie, jaką jest nieocenioną pomocą, jakim bogactwem i ułatwieniem dla młodego i budzącego się umysłu, wszystkie myśli, postrzeżenia własne, w jednej, w rodowitej wyrażać mowie, i wszystkie wiadomości od drugich, w niej odbierać. Jest to w podobieństwie to samo, co pozwolić wspaniałej rzece płynąć swobodnie i obficie jednym przyrodzonym korytem, zamiast ją rozdzielić na kilka sztucznych kanałów. I nie wątpimy o tém ani na chwilę: jeżeli u nas literatura blisko przez dwa wieki na niższym stała stopniu niż gdzieindziej; jeżeli język polski, mianowicie w prozie, nie wiele postąpił przez lat tyle, z téj to pochodzi przyczyny, że z dzieciństwa bałamucimy się obczyzną. Jedną z kobiet głęboko uczonych, która nad potęgą wychowania wiele rozmyślała; bezstronna, bo cudzoziemka *), napisała wyraźnie: „Północ słowiańska prawie nie liczy geniuszów, a to dla tego, że tam dzieci od pieluch kilkoma językami mówią.“ Pytajmy Mickiewicza, Zaleskiego, czy mieli bony francuzki? czy z rodzicami i rodzeństwem po francuzku mówili i korespondowali? Krystyna więc jakkolwiek nie była żadnym geniuszem, przy tém wychowaniu domowém i polskiém, w ośmnastu latach, na wsi, prawie bez kosztu, a co ważniejsza, bez zarozumienia i przesady: więcój, porządniej i lepiej umiała od wielu panien tegoż samego wieku, które od kolebki, piastunki, guwernantki i metrowie wszelkich narodów, uczą; a które skoro cokolwiek wyrosną, rodzice z wielkim nakładem po pierwszych stolicach europejskich obwożą, dla tak zwanego dokończenia, a raczej zbałamucenia rozpoczętej edukacyi. Była podstawa, była jedność w jéj umiejętności, była i wyższa i prawa dążność, a obok tego jak największa skromność i prostota. Ojciec bowiem nie uczył jéj, jak jest zwyczaj pospo-

*) Pani Necker de Saussure.

łty, kawałkami; nie obmyślił najprzód dla niej ogromnego koła nauk, i nie znaczył go, że tak powiem: potrochu, punkcikami, nie pytając się, czy połowę, czy mniejszą jeszcze część naznaczyć zdąży; ale odrazu kreślił całe kółko, najprzód małe, potem coraz większe, tak, że zawsze była całość. Nie przywiązywał się też jedynie ani w umiejętnościach, ani w moralności do rzeczy minionych, ale więcej bliższych czasów i przyszłości szukał; tak, w historii powszechniej nie zatrzymał się kilka lat, jak jest zwyczaj u nas na Grekach i Rzymianach, zostawiając do szczęśliwszych czasów, które zwykle nigdy nie nadchodzą, średnie i dzisiejsze wieki; lecz mówiąc o wszystkich ludach i epokach, najobszerniej dawał poznać obecne, zowiąc samą politykę, historią dzisiejszą. Toż i w moralności: nie tyle rozprawiał jakiem dziecię być ma; o powinnościach córki ledwie dał wspomnąć; bo to przy takich rodzicach samo z siebie przychodziło; ale rozwodził się obszernie nad powołaniem żony, matki, obywatelki, ziemianki, nad powołaniem kobiety w dzisiejszym postępowym wieku, zgoła, nad temi rzeczami, co często są prawie zapomniane w wychowaniu naszych dziewcząt.

Niech kto nie sądzi, ażeby tym sposobem obudzały się w młodej Krystynie myśli wybujałe, niepotrzebne, uczucia zbyt tkliwe, chęć niewczesna zmiany stanu, których wiele matek tak się obawia dla dorastających córek, że truchleją kiedy przy nich kto wspomni o małżeństwie, o dzieciach, i radeby ukryć przed niemi, że rodzaj ludzki na dwie odmienne połowy się dzieli? Nie, zupełnie inaczej się stało. Krystyna wcześniej do uwagi, do zastanawiania się, do pracy poważnej i ciągłej wprawiana, cudami i zjawiskami natury, zdarzeniami historycznymi, podaniami rodzinnymi, zgoła, prawdą karmiąc wyobraźnię swoją, nie miała ani czasu, ani miejsca, na owe myśli i marzenia, które najczęściej ztąd pochodzą: że nasze dziewczęta

grając, jakby w przelocie sam kwiat nauki zrywają; przeto ich umysł lekki, bo próżny, unosi się w górę i buja. Po wtóre, z rzetelnego stanowiska patrząc na miłość i na małżeństwo, Krystyna nie była wcale co to zowią romansową. Rodzice nie tając bynajmniej przed nią głównego przeznaczenia kobiety, wcześniej jej wystawili: że „serce niewieście stworzone jest do kochania, ale nie koniecznie do kochania miłosnego; owszem, każda, a zwłaszcza nie piękna, mało rachować na miłość powinna; bo to uczucie lube, silne, czarujące, lecz płochę, ślepe, nietrwałe, niebezpieczne, dla najpiękniejszej kobiety, krótką, jedyną ma porę, i tylko w parze z małżeństwem iść powinno; inaczej, jest wstydem, występkiem, nieszczęściem; małżeństwo zaś jakkolwiek stan święty i właściwy, w dzisiejszych zwłaszcza czasach nieraz wcale się nie trafia, rzadko kiedy jest dobrane, a choćby najszczęśliwsze było, zawsze jest pasmem trudnych obowiązków i wielkich cierpień; gdyż skutkiem wyroku jeszcze na Ewę zapadłego, „żona poddaną jest mężowi, a każde dziecko, boleścią matki, czasem jej życiem okupione bywa.“

Takie nauki postawiły wcześniej Krystynę w sferze rzeczywistej, która nigdy dla wyobraźni niebezpieczną nie jest; serce jej i umysł były w zupełnie szczęśliwem i pożądanem dla każdej młodej panny położeniu; czując w sobie, że mogłaby pokochać serdecznie i uszczęśliwić zacnego mężczyznę, życzyła znaleźć kiedyś takiego, któryby się poznał na niej, pokochał ją i oddał jej się tak cały, jak jej ojciec żonie swojej; ale życzyła sobie tego spokojnie, oddając w tém, jak we wszystkiem los swój Bogu; i nie chciała gwałtem iść za mąż, jak gdyby już dla kobiety niezamężnej nie było ani szczęścia, ani sposobu być użyteczną i szanowaną. Nie ładna i nie posażna, oswoiła się nawet rychło z tém niekoniecznie pochlebnem, ale bardzo zbawiennem przekonaniem: że miłość nie jest dla niej, i że nie pójdzie wcale zamąż; gdyż za lada kogo iśćby nie chciała, a taki

któregoby ona osądziła godnym swego wyboru, zapewne na nią nie spojrzy. Ojciec przy każdej sposobności zawsze ją utwierdzał w tém przekonaniu, a przynajmniej powtarzał, że jeżeli pójdzie zamąż, to późno; ale matka ani sobie wspomnieć dała o tém, żeby córka zostać miała „starą panną.“ Od lat czternastu mając zalotników i przejęta wysokimi zaletami Krystyny, na to jedynie się zgadzała, żeby ją nie wydać przed dwudziestym rokiem; gdyż co do tego sama przyznawała: iż teraz, kiedy weszło w zwyczaj daleko więcej żądać od kobiet niż dawniej, ani można im się odważać na zamęście przed tym wiekiem. „Mój aniołek pójdzie zamąż wcześniej niżbyśmy radzi, i pójdzie wybornie —mawiała zawsze—mężczyźni mają rozum, znają się na tém co dobre i wiedzą jakich żon do szczęścia potrzeba. Bóg dobry nie odmówi mi téj pociechy.“

ROZDZIAŁ V.

Parę słów o przedostatnich wypadkach.

Mimo wszelkich nadziei i zaręczeń pani Rawiczowój, widzieliśmy sami w pierwszym wstępnym rozdziale tój powieści, że już Krystynie młodość mijała, a jeszcze mąż się nie trafił. Właśnie kiedy ów naznaczony dwudziesty rok kończyła, cios tak wielki i dolegliwy uderzył jój matkę, iż braku spodziewanej pociechy nie mogła nazwać nieszczęściem. Pan Rawicz umarł po kilkoletniej chorobie, która tak zwolna i nieznacznie postępowała, że nikt w domu, ani żona, ani on sam nie postrzegli niebezpieczeństwa, aż już wtedy kiedy ratunku nie było. Pan Rawicz przez krótki był Księstwa Warszawskiego, mimo nalegań przyjaciół nie przeniósł się do stolicy; wolał we własnym powiecie być chwalebnie i użytecznie czynnym: ale kiedy przyszło znowu zaprzestać tych obywatelskich posług, wyrzec się upragnionych nadziei, już nie zniósł tego nieszczęścia z takim mężstwem jak niegdyś, a gasnąc pomału, z końcem roku 1814 życie zakończył.

Nic będziemy się tu rozwodzić nad żalem wdowy i sierot. Pani Rawiczowa odchorowała ciężko stratę męża, stru-

dzenie w jego ostatniej słabości, bo co w tym razie, mimo wrodzonego lenistwa, nie dała się w usługach koło chorego wyprzedzić nikomu, nawet Krystynie, i długo, bardzo długo wierzyć sobie nie chciała, ażeby potrafiła wyżyć bez niego. Przekonaną była, że sama, bez podpory, bez przewodnika, całą odpowiedzialność na to życie i na tamto, za dzieci, za siebie, cały sposób utrzymania się mając na swojej jedynj, biédnej głowie, nie wystarczy, nie wytrzyma... a już i obojga rodziców od lat kilku pochowała.

Przez pół roku po stracie męża, nie z przywidzenia jak dotąd wielokrotnie, ale z głębokiego przekonania, wierzyła że umrze; i ledwie nie codzień żegnała się z dziećmi, błogosławiła ich, i gotowała się na śmierć. Przecież kiedy starania lekarzy, rozsądna troskliwość Krystyny, a nade wszystko rady i słowa pociechy światłego i życzliwego kapłana, podnieść zdołały ów umysł niedołą znękany; kiedy zaczęła przychodzić do zdrowia, z siłami ciała objawiła się dawna moc duszy: czas, religia, przywiązanie do dzieci, wrodzona wesołość przemogły nareszcie i złagodziły smutek; i wróciła jeźli nie do ubiegłego już na zawsze ziemskiego szczęścia, to przynajmniej do spokojności. Lecz sama przyznawała, że bez Krystyny, która od śmierci ojca, już nie tylko córką, ale przyjaciółką, opiekunką jej była, bez tego widocznego anioła swego, nigdyby ten cud nie nastąpił.

— Pan Bóg chciał żebym żyła, żebym się uspokoiła, — mawiała często — i jej użył za narzędzie Opatrzności swojej. Nie dał jej dotąd męża, żeby mnie lepiej i zupełniej poświęcić się mogła. Niech będzie Imię Jego pochwalone!

Ale im więcej się oswajała z prawdziwém i już spełnioném nieszczęściem, tém silniej dręczyć ją zaczynała niepokojność o dalszy los Krystyny, jakby gniew i żal do mężczyzn, że się nie poznawali na nią; słowem, chęć niezmysłona wydania jej koniecznie zamaż.

Wspólną bywa ta chęć wielu dobrym matkom; śmieją

się z niej niektórzy, a ona jest przecież jednym z jasnych dowodów całej bezinteresowności macierzyńskiego przywiązania. Każda matka im dłużej ma przy sobie miłe, lube dziecię, tém więcej je kocha, tém więcej go potrzebuje. Niejedna kiedy o własnej przyszłości pomyśli, ani wie, ani pojmuje jak obejść się potrafi dzień jeden bez tój córki ukochanej? a jednak pragnie ją wydać z domu, choćby i daleko, byle szczęśliwie. Bo czuje że nie urodziła jój i nie wychowała dla siebie; a podobnie czując i czyniąc wypełnia odwieczne prawa społecznego porządku, stosuje się do woli Stwórcy, który nie daje ale powierza do czasu dzieci rodzicom, aby je usposobili do życia miłego Jemu, użytecznego ludziom.

Lecz jakkolwiek szlachetne jest i naturalne źródło owój chęci tkliwych matek, wyznać należy, iż w nie jednéj a pani Rawiczowa była z ich liczby, do zbyt wysokiego posuwa się stopnia: najprzód, każda co prawdziwie jest pobożna, takby powinna przyjmować z ręki Boga pociechę jak brak pociechy, i myśleć sobie, że Ten wspólny nasz Pan i Ojciec „najlepiej radzi o swojej czeladzi.“ Co więcej, tą zbytnią chęcią i jój okazywaniem w słowach i w czynach, więcej przeszkadzają niż pomagają; a nareszcie srodze drećzą owe córki, których szczęścia tak gorąco pragną. Niéma zapewne panny coby nie życzyła sobie iść zamaż,^a a dobrze według serca; ale wiele je-t takich, które idą ladajako, byle już raz zakończyć te matczyne zachody i troski.

Nasza pani Rawiczowa przypisując najwięcej niezamężcie córki smutnym okolicznościom domowym, które jój najpiękniejsze lata skwasiły, wreszcie ciąglemu mieszkaniu na wsi, gdzie tylko krewnych i dawnych przyjaciół widywać mogła, zapragnęła mocno przenieść się na czas jakiś do Warszawy, pewną będąc, że tam wnet zięcia znajdzie. Życie ich wiejskie dużo téż się zmieniło. Ze śmiercią pana Rawicza znikł wdzięk jego największy; Wacław najprzód

w szkołach Warszawskich, później jeden z pierwszych uczniów w nowo założonym uniwersytecie, na święta tylko i na wakacje przyjeżdżał; i tęskniło bez jedynaka serce matki, bez tego, którego nie można było powiedzieć żeby lepiej od córek kochała, ale przecież inaczej: bo to był syn, bo on jęj najwięcej ojca przypominał.

Gospodarstwo zupełnie na głowie dwóch kobiet wiele zadawało mozołu; nawet sąsiedztwa pani Podstoliny już nie było: od lat ośmiu wydawszy zamąż jedyną córkę Anielę, w dalekie strony, w Krakowskie, sama wraz z mężem i z trzema synami przeniosła się do Księstwa Poznańskiego, czwartemu a najstarszemu wypuszczając wioskę graniczącą z Olszankami. Dorastała téż druga córka pani Rawiczowój, prześliczna Zosia, i już z trudnością przychodziło matce trzymać dłużej ów świetny kwiat w ukryciu. Było to co się zowie dziecko zepsute, ale zepsute pieczętami i kochaniem, a przeto mimo wad godne kochania. Prócz tego że już ręka Opatrzności jakby ją pogłaskała, stwarzając ją nadzwyczaj piękną i udatną, miała jeszcze owe dary wrodzone, które chcąc czy niechcąc podobają się każdemu: była żywa, wesoła, zabawna, śmiała, dowcipna, otwarta.

Zdolności umysłowych takich jak Krystyna, a raczej takiej chęci do nauk i do pracy nie okazywała bynajmniej; słodyczą, gospodarnością, rozsądkiem siostry także się nie poszczyciła, owszem od samego dzieciństwa była w niej hardość, lenistwo, upór i fantazya; ale serce miała kochające i dobre, duszę wspaniałą i szlachetną, zamiłowanie cnoty i sprawiedliwości wielkie; a jakby przeznaczona do zrobienia hałasu na świecie, do zawrócenia nie jednej głowy, wszystkie błyszczące zdatości jęj się dostały: w tańcu choć jeszcze nie uczonym, porywająca była jęj lekkość nadobna; talent do muzyki miała niepospolity i głos dziwnie piękny. Wydoskonalenie tych wrodzonych zdolności było także jednym z powodów pani Rawiczowój do przeniesienia się do

miasta. Jeszcze od męża tę łaskę otrzymała, że muzyka będzie dla młodszéj córki i umiejętnością i rzemiosłem. Sama grając dobrze na fortepianie, może nie biegle, lecz z wielkim gustem i znajomością, od siódmego roku nad nią pracowała; lecz wyżej ją posunąć, już nie była w stanie. To wszystko zważywszy, po długich naradach z księdzem proboszczem i z panem Stanisławem Gozdawą, który testamentem nieboszczyka mianowany był opiekunem pozostałej wdowy i sierot, pani Rawiczowa się namyśliła, że wioskę wypuści na trzy lata w dzierżawę ekonomowi, a sama na ten czas osiedzie z dziećmi w Warszawie.

Myśl ta i naszéj Krystynie bardzo do smaku przypadała. Lubiła ona wprawdzie wieś niezmiernie, kochała ją nawet, bo cały jéj układ, wszystkie skłonności, zwyczaje i zalety, były w harmonii ze wsią i z naturą; oceniała rzetelną godność polskiéj ziemi, nie pragnęła innego powołania na całe życie, i już go wykonywała o ile tylko mogła: przecież na trzyletni pobyt w Warszawie bardzo się cieszyła, bo upatrywała w nim nową i wielką sposobność wykształcenia się. Już z książek czerpała dużo, nad samą sobą pracowała wiele, zacisze wiejskie, ręczne i gospodarckie zatrudnienia zbogaciły ją w praktyczne cnoty domowe i niewieście; dusza jéj nabrała hartu w nieszczęściu, znała nawet cokolwiek ludzi, o ile ich znać można kiedy kto jeszcze młody a dobry: znała krewnych macierzystych, znała rodzinę męża, swojéj przyjaciółki Anieli, bliższych sąsiadów Olszańskich, ale życia publicznego, zgromadzeń, towarzystw, zakładów, widowisk, znakomitych ludzi, zgoła wszystkiego co tylko miasto mieć może, nie znała wcale i była tego wielce ciekawa. Niejedna z czytelniczek moich, może tu powie a przynajmniej pomyśli:

Nieboga! cóż ona mogła znaleźć odpowiedniego chęciom swoim i ciekawości w Warszawie? Teatr, parę sklepów i koniec.

Otóż przepraszam, najprzód każde większe miasto, dla osoby, która tylko w niém przypadkowo parę razy była, ma osobliwości swoje, a polska stolica dla Polki zawsze jest więcej ucząca od wszelkich zagranicznych: bo ją uczy tego co wiedzieć powinna, co z jęj dalszém przeznaczeniem się zgadza; powtóre, Warszawa od czasów Augusta II, do znaczących choć mniejszych europejskich miast liczona, w piérwszych latach kongresowego Królestwa miała rzetelny swój urok, istotne zalety, własną że tak powiem barwę, i kto z Polaków albo z Polek nieodwiedził jęj wtedy, krzywdę wielką zrobił sobie samemu. I tychto wszystkich rzeczy Krystyna była ciekawą; zwłaszcza, że brat jęj, którego uczuciem siostry i matki kochała, należał do tego życia, a listownie i ustnie ciągle ją zachęcał do przypatrzenia się jemu bliżej.

Jednak ten projekt jakkolwiek skromny nie byłby przyszedł do skutku, gdyż wiele osób straszło panią Rawiczową, iż mimo całej skrzętności Krystyny, nie wystarczą w mieście pięciu tysiącami, kiedy niespodzianie te szczupłe fundusze powiększyły się smutnym trafem. Siostra najstarsza pani Rawiczowój, majątna i także wdowa, w Augustowskiém mieszkająca umarła; a umierając wyraziła wolę swoją, żeby jęj córka jedyna, siedmnastoletnia Ludwika, nie była przy żonatym już bracie Antonim, ale przy ciotce, i żeby na jęj utrzymanie i na dokończenie edukacji dwieście dukatów rocznie wypłacanych było, aż do jęj zamęścia. Rok cały zszedł na różnych zwłokach pana Antoniego a raczej jego żony, nim dopełnili jęj ostatniej macierzyńskiej woli; nareszcie w Sierpniu 1819 roku przywieźli sami siostrę do Olszanek i tam ją zostawili, domagając się jednak koniecznie, żeby ciotka jak najprędzej z nią do Warszawy pojechała.

I tak się stało. Przenosiny i nowosiedliny odbyły się pomyślnie jeszcze za pięknęj jesieni. I matka i siostry

obecne były pierwszemu rozdawaniu nagród w uniwersytecie, i widziały Wacława otrzymującego złoty medal za rozprawę konkursową. Nie paradne ale wygodne mieszkanie obrano na Freta ulicy, a to najwięcej dla sąsiedztwa pana Stanisława, który już od lat trzydziestu stał na rogu Długięj; kilka nowych znajomości się zrobiło, kilka dawniejszych odnowiło; a między innemi z panią Sędziwą mieszkającą prawie naprzeciwko, która także nie majątna, a pragnąca wydać choćby gwałtem ostatnią córkę, korzystała chciwie z każdej okazji pokazania jęj i wystrojenia. Pani Rawiczowa zaś w inny sposób, stosowniejszy do swoich gustów i do wyższych zalet Krystyny, przedsięwzięła zwabić jęj męża. Chciała dom swój przyjemnym zrobić i uczęszczanym. Zawsze u siebie, gdyż dawnym obyczajem wychodziła tylko do kościoła i na spacer, wyznaczyła Środy na formalne już wieczory, które z wielką radością Zosi i Ludwiki przez całe zapusty miały być tańcujące. I taki to pierwszy wieczór odbył się, jak czytaliśmy w pierwszym rozdziale.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz wieczorn.

Nie wiem jaki jest gust dzisiejszych młodych panien, ale ja pamiętam, że kiedy byłam w ich wieku, a życie mi schodziło mile przy dobrej matce, wśród siostr kochanych, lubiłam bardzo wesołe wieczory, ale więcej jeszcze *nazajutrz*. Wtedy siedząc w ścieśnionem kółku opowiadałyśmy matce, jak i co było, kto nam co powiedział i my jemu; a matka to pochwały, to lekkie napomnienia, to także uwag i zdań swoich o rzeczach i o ludziach nam udzielała. Było tam zabawy drugie tyle co na wieczorze, a nauki więcej niż w tej całej książce; bo któż wystawić może z zupełną prawdą wdzięk życia zgodnego rodzeństwa? kto oddać potrafi słowa dobrej matki do dzieci? i jak tu wyrazić piórem na papierze, przed obcemi, owe żywe, prędkie, poufale rozmowy kochających się osób i ciągle żyjących z sobą, co rozumieją się sercem, a zatem półsłówkiem, spojrzeniem, uśmiechem, i które byle co zabawi, do śmiechu pobudzi, uszczęśliwi, jak to bywa w młodym wieku i wśród swoich?

Otóż i w domu pani Rawiczowój, choć udał się wieczór przedziwnie i nasze trzy panny zabawiły się wybornie,

przecież jeszcze podobno była im miłsza owa godzinka, którą spędziły po kawie przy okrągłym stole w jadalnym pokoju, przypominając sobie jedną po drugiej wszystkie okoliczności wczorajszego zebrania.

— Już ja mamie powiadam — odezwała się żywo Zosia — pan Referendarz zakochał się w Krystynie, nadskakiwał jęj niesłychanie, oka z nięj nie spuścił, a Sędzina aż bladła ze złości.

— Sabina — dodała Ludwika — przybiegała co moment do matki i wskazywała na nich ledwie nie palcem; a jeśli siedziały przy sobie, tręcały się i szeptały do ucha.

— I was dwie muszę za to połajać — przerwała pani Rawiczowa — w kompanii macie także zwyczaj tręcania się i mówienia pocicbu śmiejąc się. Bardzo to niegrzecznie, nieobyczajnie, i drudzy obrazić się mogą; nie wiedząc o czém mówicie, każdemu przychodzi na myśl że o nim. Zawsze jesteście z sobą, możecie więc bezpiecznie odłożyć wasze sekreta do chwili, kiedy będziecie same. Ale i mój aniołek nie był bez nagany; uważałam Krystyno, żeś była jak z lodu dla Referendarza.

— Moja droga mamó, kiedy on mi się wcale nie podobą, a wierzyć zaczynam że ma jakieś widoki.

— Doprawdy — zawołała z radością matka — cóż ci mówił?

— Grzeczności co się zmieściło, i nie można inaczej powiedzieć, tylko że dowcipne i delikatne; cóż, kiedy przytém wiele mówił o czułości, o miłości: widać ma jeszcze niezmyśloną ochotę, żeby się w nim kto zakochał.

— Niech się uda jak w dym do Sabiny — odpowiedziała Ludwika — choć go kochać nie będzie, powie mu że go kocha i może jęj uwierzy.

— Ty coś strasznie masz do tęg Sabiny — wyrzekła z uśmiechem ciotka.

— Ale bo co za kokietka, aż się nie godzi, i zupełnie

bez serca; boć nikogo kochać nie musi, kiedy tak wszystkichby zwabić rada. Widziałam sama, w mazurku trzymała za rękę dłużej niż było potrzeba pana Edwarda, gadała i śmiała się do Referendarza, a oczami rzucała na Wacława.

— I to ostatnie najwięcej się Ludwice nie podobało — szepnęła figlarnie Zosia.

— Zapewne. Mam przecież prawo wymagać, żeby Wacław był zawsze przy mnie i mną jedną zajęty, kiedy on dla mnie jest wszystkiem.

— I pokazujesz to zanadto, kochana Ludwiniu — powiedziała ze słodyczą pani Rawiczowa. — Wiész, jak mi pochlebia twoje przywiązanie do mego syna, (tu Ludwika rzuciła się z zapalem do ręki ciotki i ucałowała ją serdecznie), wiész także w jak delikatném położeniu jestem względem ciebie: nie utrudniaj mi go więcj i nie szkodź samj sobie.

— Ale bo to już takie moje szczęście, że choć sama kocham z takiem poświęceniem, ani Wacław, ani ciocia, ani nikt mnie nie kocha — powiedziała Ludwika przyciskając obiema rękami serce i wznosząc oczy do góry z boleścią.

— Kochany cię wszyscy, aleś ty majątna, a my ubodzy...

— Cóż to szkodzi, i owszem — wyrzekła bez namysłu dziedziczka nieco dumnie.

— Ja właśnie nie chcę, żeby ktokolwiekbydź to *owszem* przypuścił — odpowiedziała z godnością pani Rawiczowa. — Chcemy żebyś wypróbowała samą siebie przez te parę lat. Jeśli przez ten czas się nie zmienisz, wtedy brat twój i wszyscy przyznają: że to nie było urojenie młodj, niedoświadczonj dziewczyny, lecz szczere, prawdziwe przywiązanie, a przed szczęściem twojém zniknie różnica majątku.

— Mama nas tylko łaje i wyrzuca nam nasze śmiechy i szeptj — zagadała tu Zosia widząc, że się na poważną rozmowę zanosi — mama chyba nie zważała, jaki ten pan

Edward był zabawny; jeszcze nic podobnego nie widziałam: Krystyna sama ledwie się wstrzymała od śmiechu, niech powie....

— Prawda, w kłopotach był nieborak, zupełnie zerwany na troje; rozsądek ciągnął go do Ludwika, i nawet zdaje mi się, że ma na nią widoki....

— A niechże mnie Bóg broni — krzyknęła przerażona Ludwika, odpychając nawet rękami ten wniosek, jakby poczwarę jaką — prędzej śmierci niż takiego męża, choćby sto razy był bogatszy. Gdybym nawet Wacława nie kochała, nigdybym za takiego dudka nie poszła. Cóż z tego, że był w Paryżu, kiedy nietylko nie widział pani Genlis, ale nawet nie wie, że żyje jeszcze; on nie ma żadnej poezji w duszy, żadnego uczucia w sercu; o Paryżu nic nie wie, tylko którzy najlepsi restauratorowie, i o niczem nie gada, tylko o majątkach, stosunkach, interesach....

— Ja też cię za niego wcale nie wydaję — kończyła Krystyna z uśmiechem — tylko powiadam czegom pewna, że jako bliski sąsiad twego braterstwa i daleki kuzyn pani Antoniowój, wszedł w nasz dom z intencją starania się o ciebie, i wczoraj więcej niż kiedy miał ten projekt na pamięci; tymczasem Sabina wabiła go wszelkiemi siłami, przez samą grzeczność musiał ję być cokolwiek wzajemny, a jego oczy zwracały się mimowolnie na naszą Zosię.

— I żeby mama wiedziała — i tu prześliczne dziewczę śmiało się na głos, pokazując dwa rzędy ząbków białych i równych jak perły — co on mi za pocieszne rzeczy gadał, jak się zdobywał na niegodziwą francuzczyznę; ja mu zawsze odpowiadałam po polsku i w żart obracałam jego dziwne pochwały. Żeby przynajmniej dobrze tańczył; zadaje sobie wiele pracy, to prawda, ale cóż, kiedy nic ucha nie ma i taki niezgrabny. Okulary nosi a zawsze wpada na drugich. Ledwie nie płacę tego angleza com z nim tańczyć musiała, wieczna szkoda czasu.

— Któż się tedy mojej Zosi najlepiej podobał?

— Najlepiej trzech: pan Feliks do mazurka, pan Jan do walca, a kapitan jak grał doskonale walce przemyskie i kotyljona panny Lang. I inni mi się podobali, ale ci najlepiej.

Na te słowa Krystyna spojrzała nieznacznie na matkę i uśmiechnęły się obie.

— Ciocia też nie się nie wypytuje Krystyny — odezwała się uspokojona Ludwika.—Ja dobrze uważałam, pan Tomasz znowu do niej wzdycha jak dawniej, a mówi daleko więcej, może dla tego Referendarz do serca nie trafił. Wczora tak się zagadali, aż Krystyna zmyliła kolój w mazurku.

— Tak to mój aniołek dokazywał?— zawołała matka zacierając z radości śliczne zawsze rączki.

— Czysta obmowa— odpowiedziała wesoło córka — on mi cały wieczór gadał o Sabinie. Ledwie nie płakał biedny chłopiec, bo ona ani patrzyła na niego. „A jeszcze dziś po obiedzie, mówił mi, byłbym przysiągł, że mi sprzyja; byłem u nich, zastałem ją samą w pokoju, rozmawiała ze mną tak wesoło, tak łaskawie.“ Uspokajałam go jak mogłam najlepiej i tłómaczyłam ją, lecz to nie wiele pomagało.

— Trzeba mu było powiedzieć po prostu co ja zawsze mówię—powiedziała Ludwika— Sabina nie godna miłości tkliwego mężczyzny, to zimna kokietka.

— Mnie bardziej niż komu źle mówić o niej nie wypadalo; wreszcie czego jej mam psuć los: pan Tomasz lada dzień się oświadczy, pewna jestem.

— Szkodaby go dla niej—szepnęła matka.

— Jeśli ją kocha, to ją przerobi—mówiła dalej Krystyna—a ja zawsze swoje powtarzam: Sabinie tylko zamąż iść trzeba, będzie taka dobra żona jak siostry. Cała jej wabność, to sieci na męża; jak raz go złowi, złoży broń i odmieni się zupełnie.

— Daj Boże! — wymówiła już głośniej pani Rawiczowa — zakładaćbym się jednak nie chciała, i takie przyzwyczajenie zawsze jest nie piękne a szkodliwe. Gdyby ona miliony miała, nie wystawiłabym mego syna na tę próbę, i bardzo będę się dziwić rodzicom pana Tomasza, jeśli na ten związek pozwolą. Ale o kim ja prawdziwie dobrze trzymam, i która ze wszystkich wczorajszych panien najlepiej mi do serca przypada, to Celina, córka naszój gospodyni; jakże ona ślicznie ułożona, jaka skromna, roztropna, i jaka ładniutka, zupełnie jak ja lubię. Przyznam się wam, że nigdy nie myślała, żeby córka aptekarza tak dobrze wychowaną być mogła. I sama pani Gozdicka coraz lepiej mi się podoba; daleko więcej jest z nią do mówienia niż z Sędziwą i z Radczynią, choć one urzędniczki i szlachcianki.

— A to widzę słusznie, pan Stanisław mamę przesyła o arystokracją — zawołała Zosia skacząc z radości i klaszcząc w ręce—dobrze że wiem, będę ja z tego korzystać przy okazji.

— Jabym się sama z tego chciała poprawić, moje dzieci, i uznaję, że to bardzo nie dobrze; ale cóż poradzić, przyzwyczajenie druga natura. U moich rodziców tak wiele znaczyła godność szlachecka, że dotąd mieszczanin, kupiec, bezherbowy, mimowolnie przedstawia mi zawsze kogoś niższego odemnie. Przekonywam się przecież coraz mocniej, iż prawdziwą i jedyną różnicą między ludźmi jest wychowanie; i bardzobym rada, żeby moja Zosia, a nawet Ludwinia zapatrywała się na Celinę. Jak ona dla wszystkich grzeczna, z jakim uszanowaniem dla starszych; co powie, to rozsądnie i żadnej przesady nie ma w sobie.

— Ja tam w niej nic osobliwego nie widzę—mruknęła pod nosem Ludwika— taka sobie naturalna że aż prosta i zimna; i nawet, jeśli mam prawdę powiedzieć, nie byłam jej bardzo rada między nami. Pan Feliks, co to przecie na wielkim świecie bywa, wyraźnie z niej żartował. Tańcował

z nią prawda kilka razy, ale mi mówił w sekrecie dlaczego? Oto słyhać ją eterem, to go orzeźwiało... Jak się też śmiałam z tego konceptu...

— A wcale nie dowcipny—przerwała Rawiczowa—jak drugi raz pan Feliks z podobnym się odczwie, zgań mu, bardzo proszę, albo też powiedz, że on wódką trąci, bo wiem, że jego ojciec największe intraty ciągnie z gorzelnii; a to gorszy handel, bo gorzałka nie jednego zabiła. Możem arystokratka, może mam zbytzną słabość do szlachty, do imienia, ale żarcików z ucziwych profesyi niecierpię; mam to od mego męża, który z nikogo szydzić nie pozwalał. Pan Feliks tak gadał przed tobą, jak to młodzi paniczko-wie umieją, żeby też coś powiedzieć i ująć za dowcipnego; tymczasem prosił Wacława o przedstawienie go pani Gozdzińskiej i był dla niej z wielkiem uszanowaniem.

— I Celina całej młodzieży się podobała — dodała Krystyna—żadnego tańca nie opuściła.

— Ale i ty, mój aniołku, tańcowałaś dosyć? — zapytała pani Rawiczowa.

— O! byłaby tańcowała dwa razy więcej — odpowiedziała Zosia—wszyscy ci panowie mówili, że z nią przedziwnie tańcować; ale cóż kiedy zawsze to nam grała, to się krzątała koło częstowania, a tak mało było czasu...

— Ona się bawiła waszą zabawą — przerwała matka patrząc mile na starszą córkę—jak zawsze, najnniej o sobie.

— A wszak prawda—powiedziała Krystyna całując ją w rękę — wszystko dobrze i składnie poszło. Nasz Józef aż mnie zdziwił, tak dał radę wszystkiemu. Goście zjadali i zapijali smaczno; a nasze kapłony zupełny tryumf odniosły, znikły na powietrzu...

—Wié ciocia — dodała Ludwika — kilku młodych mi mówiło, i to z dobrego tonu, że daleko wołą takie staropolskie wieczory, gdzie i wino i pieczyste, od owych ele-

ganckich, na których tylko pianki roznoszą. Powiadają, że jest siła i ochota do tańca.

— Ja też nie odmienię tego trybu — zapewniła pani Rawiczowa.

— Zapewne — zawołała Zosia — kolacya wszystkim się podobała, ale się to bardzo nie podobało, że od północy nikt nie zachęcał do tańca i przed pierwszą wszystko się skończyło.

— O tak, pan Feliks mi mówił — odpowiedziała jakby z wymówką Ludwika — że na wielkim świecie wysmianoby taki wczesny wieczór; w elegancyi dopiero koło dziesiątej się schodzą, a tańczą najmniej do trzeciej: to dopiero przyjemnie i zabawnie.

— Nie widzę, moje dzieci — odezwała się na to z uśmiechem pani Rawiczowa — co może mieć jedna godzina zabawniejszego od drugiej? Czyż nie to samo tańcować od ósmej do pierwszej, co od dziesiątej do trzeciej.

— Zawsze pięć godzin, to prawda — dołąła Zosia — przecież już inaczej i nie modnie.

— Niech sobie będzie i nie modnie, ale rozsądniej i zdrowiej. Człowiek nie dla zabawy stworzony; zabawa powinna być tylko wytchnieniem po pracy. Kto całą noc na tańcach spędzi, ten cały poranek spać musi i cały dzień jest do niezego; a z nocy robić dzień, z dnia noc, to kodeks próżniaków, i samo Pismo Święte tego zakazuje. Jam rada z duszy dostarczać wam niekiedy przyzwoitej rozrywki, ale miałabym sobie za grzech marnować drogi czas waszjej młodości, waszą świeżość i zdrowie. Cóż wam złego? moje dzieci, zabawiłyście się wczoraj, a dziś każda wstała o zwykłej godzinie i wyglądacie mi dobrze.

— Ja ani czuję zmęczenia — powiedziała Zosia, a wtórowała jej Ludwika.

— Tego ja też chciałam i spodziewam się, że nauki pójdą dziś równie dobrze jak innych dni. Bo wczynie wam

zapowiadam, a jak wicie umiem dotrzymywać słowa: skoro zobaczę, że tańczące wieczory głowę wam nadto zaprzętają, to ich nie będzie.

— O mammo! o ciociu!—krzyknęły boleśnie dwie młode panienki.

— Tak, nieinaczéj, moje dzieci. Niech sobie świat mówi i robi jak chce, ja komuś wyższemu jak światu zdać z was rachunek będę musiała. Ale my tu gawędzimy — dodała patrząc na zegarek — już dziewiąta; idę się ubrać; jak wrócę, wiem, że wszystko będzie już ślicznie urządzone w bawialnym pokoju i zasiądziemy do pracy. Przygotujcie się dobrze i wszystko znieście odrazu; głowa mnie trochę boli, nie chciałabym męczyć się bardzo i gniewać.

Stało się według jéj woli. W tym domu każde słowo matki miało moc prawa; Krystyna jako najstarsza strzegła jego wykonania, a młodsze, skoro je kto dopilnował, pełniły chętnie, gdyż jeszcze więcej niemi rządziła miłość niż bojaźń.

ROZDZIAŁ VII.

Listy Krystyny do Anieli.

~~~~~

Nie wiem jak się to wyda czytelnikom moim, lecz ja myślę prowadzić dalej tę powieść najwięcej „listami Krystyny,” które właśnie mam w ręku. Owe listy pewno nie każdemu się podobają i mało kogo zabawią; może nawet nie odpowiedzą oczekiwaniu jakie poprzednie rozdziały wzbudziły: są one pełne domowych, małoznaczących drobno-stek, raz bardzo proste, drugi raz zbyt poważne, a najczęściej zadłgie. Ale jabym raz na zawsze przekonać moich czytelników chciała, iż ja wcale siebie nie uważam za pisarza dramatycznego, za mistrza wielkich, oryginalnych obrazów. Jestem sobie skromny malarz-amator, który w pracach swoich małej miary i zawsze tego samego rodzaju, jedną tylko osobę chce jakotako wystawić, jedną myśl wydać; i jeżeli mam całą prawdę powiedzieć, daleko sobie więcej życzę nauczyć, zachęcić do dobrego powieściami mojemu, niż zadziwić lub zabawić; nie idzie mi o to bynajmniej, czy według zasad sztuki są pisane, ale czy moralne i użyteczne?

Taką uczyniwszy spowiedź, już do końca wszelkich tłumaczeń zaniecham, i iść będę swoją drogą, na nic się nie oglądając.

---

LIST PIERWSZY.

*D. 13 Stycznia 1820 r. z Warszawy, we Czwartek.* „Podobno pierwszy raz w życiu, kochana Anielo, zmartwiłam się na widok długiego listu od ciebie. Jam się spodziewała oddawna kilku liter z doniesieniem, którego dnia tu zjedziecie i jak długo zabawicie z nami; aż tu wczoraj oddają mi pakiet z Ugorza i zupełnie inne nowiny. Dzieci wszystkie wam słabe, kaszlą, boisz się dla nich krost jakich; państwo Chorążtwo także nie radzi waszemu oddaleniu się w tój porze; on sam jakiś nie swój, i samaś prosiła męża, żeby zostać i zaniechać zamiaru spędzenia tych zapust w Warszawie.

Nie mogę inaczej, tylko pochwalić twoje postępowanie, pocziwa Anielo i pokochać cię więcej jeszcze; lecz i serdecznego żalu wstrzymać przytém nie mogę. Wystaw sobie, ale jużby może lepiej tego ci nie pisać, w naszym domu jest wolne mieszkanie do Wielkanocy, na drugiem piętrze, nad nami; bylibyśmy parę miesięcy pod jednym dachem. Coby to chwil miłych na lubej pogadance zeszło, a jakbyśmy wiele mieli do gadania! Półtora roku cię już nie widziałam, życie moje, a już z jakie pięć miesięcy zbywamy się wzajemnie krótkimi, niedokładnymi listami; najprzód, przynosiny nasze bardzo mnie zajęły; potém, spodziewałam się ciebie na pewno, a choć nieraz przychodziła mi wielka ochota do pisania, mówiłam sobie: szkoda czasu; poco pisać, kiedy lepiej i bezpieczniej gadać. Teraz mnie prosisz żebym ci to wszystko nagrodziła ogromnemi i częstemi listami, jak bywało dawniej w Olszankach; żebym ci znowu

przesyłała obszerne uwagi nad wszystki $\acute{e}$ m co we mnie i ko $\acute{e}$ ło mnie si $\acute{e}$  dzieje; prosisz, a ch $\acute{e}$ by $\acute{s}$  nie prosiła, podobno samabym si $\acute{e}$  wzięła do takiego pisania: ju $\acute{z}$  mi do niego dawno tęskno. My z sob $\acute{a}$  wzrosły: zupełnie razem nauczyłyśmy si $\acute{e}$  myśleć i kochać; jest wiele różnicy w charakterze, w urodzie, w przeznaczeniu nasz $\acute{e}$ m, ale serca si $\acute{e}$  rozumieją. Ile my-to mamy wspólnych wspomnień i dla nas tylko znaczących! ile-to jest rzeczy, które ja tylko tobie śmiem powiedzieć... O! moja Anielo, szkoda że tu nie przyjedziesz, że cię nie uściskam, że nie zobaczę czy dobrze wyglądasz, czyś zdrowa, czy stan umysłu taki jak ja lubię; szkoda, bo prawdziwie zdałabyś si $\acute{e}$  do życia które tu prowadzimy; szkoda jeszcze i dla tego, że nie wiem, doprawdy, czy potrafię ci napisać to wszystko cobym do powiedzenia miała? Miasto, zupełna odmiana życia, różne znajomości, widoki bardzo mnie ożywiły, posunęły, bardzo wiele do myślenia dały; są t $\acute{e}$ ż i domowe a sekretne przygody, któreby cię tak $\acute{z}$ e zajęły... Zupełnie mi szyki popsuła nagła wiadomość, że tu nie przyjedziesz. Ani wiem cd czego zacząć. Oto najlepiej będę pisać co mi pod pióro przyjdzie, byle prędko i du $\acute{z}$ o; będę si $\acute{e}$  starała zdać ci jak najdokładniejszą sprawę z tego wszystkiego co si $\acute{e}$  u nas działo przez te kilka miesięcy: za porządek jednak i kol $\acute{e}$ j w opowiadaniu wcale nie r $\acute{e}$ c $\acute{z}$ ę. Ju $\acute{z}$  to najprzód wybaczyć musisz, że ci nie opiszę Warszawy, chocia $\acute{z}$  pierwsze tygodnie po usadowieniu si $\acute{e}$  zeszły nam na oglądaniu tego wszystkiego, co w ni $\acute{e}$ j jest godn $\acute{e}$ m widzenia. Wiesz, jak si $\acute{e}$  cieszyłam na tę uczącą pielgrzymkę, z krzywdą nawet kochanych Olszanek, które z mniejszym  $\acute{z}$ alem opuściłam ni $\acute{z}$ by należało. Ze Świąckim w r $\acute{e}$ ku, z dawniejszemi jeszcze opisami, z notatkami kilku żyjących uczonych, udzielonemi nam łaskawie, obchodziliśmy najprzód całe miasto i z przedmieściami, nie pomijając „Pragi,” szukając i znachodząc niemal na ka $\acute{z}$ d $\acute{e}$ j ulicy, pamiątki. Moja matka nie chodziła z nami, jak łatwo zgadu-

jesz, jeszcze mniej wychodzi w mieście jak na wsi: ale nam towarzyszył wszędzie Waclaw i poczciwy pan Stanisław, który zamieszkały tu od nie wiem wielu lat i zupełny antykwaryusz narodowy, doskonałym jest przewodnikiem. Zapisywałam sobie wszystkie ciekawsze szczegóły. Obejrzeliśmy potem kościoły jakie tylko są z ich grobami i napisami. Mało jest w Warszawie pięknych; w każdym jednak znajdziesz osobliwość jaką, dowiesz się czegoś ciekawego, zwłaszcza wypytując się ludzi starych kościelnych, albo zaglądając do ksiąg dawnych parafialnych. „U Fary, gdzie Pan Jezus stary“ zatrzymaliśmy się najdłużej. I wiész, nie bez zasady jest ta przypowieść ludu; ów wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, taki piękny i słynący cudami, już blisko od trzechset lat jest w tym kościele. Niegdyś, wielce ceniony jako sławnego mistrza dzieło, ozdobił on katedrę Norymberską w Niemczech; ale w pierwszych czasach reformy Lutra, z innemi figurami i obrazami świętymi, skazany został na spalenie. Szczęśliwym trafem, gościł tam wtedy dla interesów handlowych Jerzy Baryczka, rajca warszawski; pobożnym uczuciem zdjęty, wyprosił ten krzyż u władzy miejscowej, rozebrać go kazał na części, przewiózł tak do Warszawy mil przeszło sto, i umieścił w kościele Św. Jana; kaplicę zaś dzisiejszą fundował Stanisław Małopolski, podchorąży braclawski. Od czasu jakem się o tém dowiedziała, ile razy jestem u Pana Jezusa, modlę się serdecznie za duszę Jerzego i Stanisława, a bywam ile mogę najczęściej; nigdzie lepiej się nie modlę... byłam tam dziś, i ofiarowałam tam dzieci wasze... obaczysz, będą zdrowe. Taka jest głęboka i potężna litość w téj bolejącej a łagodnej twarzy... podobny wyraz musiał mieć Zbawiciel, kiedy wdowie z Naim syna powrócił!.. Między zajmującemi podaniami o tym Świętym wizerunku, wspomnąć ci muszę choć o jednym; chrześcijański poeta, Woronicz albo Brodziński, piękną legendę mógłby z niego napisać: „Dawniej, dawniej, przez nadzwyczaj-



czajną łaskę, włosy rosły na głowie Pana Jezusa; rosły, a długością swoją zasłaniały Boskie Oblicze, w które nie-szczęśliwi wpatrywali się z taką pociechą; namyśliła się tedy władza duchowna na ich obcinanie: co rok, w pierwszy dzień, w dzień Imienia Jezus, w obecności kapłanów i mnogiego ludu, panienka niewinna ubrana w bieli, złotemi nożycami strzygła błogosławione włosy; razu jednego, młode, piękne ale skalane ręce dotknęły się Świętego czoła, i cud ustał..“

Zwiedziwszy kościoły byliśmy w miłosiernych zakładach, u Dzieciątka Jezus, u Ś. Kazimierza, u Bonifratrów, w niedawno założonym domu Towarzystwa Dobroczyńności, na czele którego jest pani Zamoyska. Po domach miłosierdzia przyszła kolej na warsztaty, na fabryki, na mennicę, dalej na zbiory nauk i sztuki, na galeryę Ossolińskich, na uniwersytet, na bibliotekę i gabinety jego: na wety chowaliśmy sobie Zamek. Tam nauczyłam się najwięcej. Byłam w Izbach sejmowych. Pan Stanisław opowiadał nam jak się to działo za wielkiego sejmu, w którym miejscu siadywał mój ojciec jako znakomity urzędnik w departamencie skarbowym; opowiadał i o późniejszych sejmach za Księstwa Warszawskiego, które my dobrze pamiętamy, chociaż tam wtedy nie były. Zosi i Ludwice bardzo się podobał ów sposób uczenia się chodzący historii Polskiej i wielu innych rzeczy; a byliśmy także w Łazienkach i w Willanowie, i zdaje mi się teraz żem znała Stanisława Augusta a co lepsza Jana Sobieskiego. O! doskonała taka metoda uczenia się dziejów krajowych z miejsc i z pomników; ale trzeba pierwój być obeznanym z rzeczami ojczystymi i zachować ile możności pewną kolej w tych zwiedzaniach. Mnie w tej mierze przedziwnie się udało; najprzód do dawnych dziejów naszych obejrzałam z waszój łaski starożytny nasz Kraków, potem widziałam Puławy, a teraz do późniejszych i do dzisiejszych Warszawę.. Ale nie miałam wcale mówić

ci o t $\acute{e}$ m; mam wierne i dokładne opisy, przeczytam ci je za pi $\acute{e}$ rwsz $\acute{e}$ m widzeniem si $\acute{e}$ , je $\acute{z}$ li b $\acute{e}$ dziesz miała t $\acute{e}$  cieka-wość; teraz przyst $\acute{a}$ pny do bli $\acute{z$ szych jeszcze, do domowych przyg $\acute{o}$ d... Znowu nie wiem od czego zacząć, tyle rzeczy ci $\acute{s$ nie mi si $\acute{e}$  pod pi $\acute{o}$ ro: oto opiszę ci jak ca $\acute{y}$  dzie $\acute{n}$  p $\acute{e}$ d $\acute{z}$ e. Wi $\acute{e}$ sz, s $\acute{l}$ abością jest moją dzielić czas i rachować si $\acute{e}$  z niego; zdaje mi si $\acute{e}$ ,  $\acute{z}$ e go tym sposobem przybywa; wreszcie, c $\acute{o}$ z być mo $\acute{z}$ e lepszą prób $\acute{k$ ą  $\acute{z}$ ycia—jak dzie $\acute{n}$ ?

Wstaję przed szóstą, a wychodzę z mego pokoju po si $\acute{o}$ dmi $\acute{e}$ j. Ta godzina z ca $\acute{e}$ go dnia najwa $\acute{z$ niejsza, jest jak-  
by ziarnem jego. Zacz $\acute{a}$ wszy dzie $\acute{n}$  modlitwą, przy ubi $\acute{e}$ ra-  
niu si $\acute{e}$  napr $\acute{e}$ dce, przy sk $\acute{l}$ adaniu i chowaniu rzeczy, bo  
zawsze sama i pok $\acute{o}$ j i wszystko utrzymuję w porz $\acute{a}$ d $\acute{k$ u,  
rozmy $\acute{s}$ lam sobie jakby ten dzie $\acute{n}$  w uczynkach Bogu po-  
świ $\acute{e}$ cić, to jest, jak u $\acute{z}$ yć najlepi $\acute{e}$ j. Przewiduję ca $\acute{y}$  ile mo-  
 $\acute{z}$ aości i urz $\acute{a}$ dam; nie ufaj $\acute{a}$ c dalsz $\acute{e}$ j pami $\acute{e}$ ci notuję sobie  
w dor $\acute{e}$ cznym dzienniku tak wspomnienia i zdobycze z dnia  
ubieg $\acute{l}$ ego, jako i to wszystko co dzie $\acute{n}$  mam zrobić, b $\acute{a}$ d $\acute{z}$   
w domu, b $\acute{a}$ d $\acute{z}$  za domem; zastanawiam si $\acute{e}$  pilnie nad samą  
sobą, a w cz $\acute{e}$ m wczoraj zb $\acute{l}$ ądzi $\acute{l}$ am, co zaniedba $\acute{l}$ am, w t $\acute{e}$ m  
dzie $\acute{n}$  zamierzam si $\acute{e}$  poprawić i obmy $\acute{s}$ lam sposoby. Bo im  
starsza jestem, moja Anielo, t $\acute{e}$ m wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j si $\acute{e}$  przekonywam  
jaką jest wielką powinnością my $\acute{s}$ l $\acute{a}$ cego cz $\acute{l}$ ow $\acute{i}$ eka  $\acute{z}$ yc z uwa-  
gą, pracować nad sobą, nie wypijać dnia duszkiem, i nie  
odwracać ocz $\acute{o}$ w od samej siebie, jakby od nie mi $\acute{l}$ ego lub  
nie nieznaczącego widoku. Ka $\acute{z}$ dy z nas kryje w sobie skarb  
w podobieństwie do g $\acute{o}$ r kruszcowych, ale szukać, odkopy-  
wać go musi; inaczej, ani nikt, ani on sam wiedzieć nie  
b $\acute{e}$ dzie, co ma, co mo $\acute{z}$ e? Tę pracę nad sobą uwa $\acute{z}$ am za  
konieczną, a razem nie widzę korzystniejsz $\acute{e}$ j; bo jakkolwiek  
nie przepadam wcale za mo $\acute{e}$ m *ja*, i znam pe $\acute{n$ o lepszych;  
przecież, przeznaczona wo $\acute{l}$ ą Opatrzności,  $\acute{z}$ yc z ni $\acute{e}$ m na wie-  
ki, interesem jest moim najwi $\acute{e}$ kszym zrobić z niego, co tyl-  
ko zrobić si $\acute{e}$  da. Cz $\acute{e}$ sto  $\acute{o}$ w nieprzyjaci $\acute{e}$ l, co $\acute{s}$ my go to

*leniuszkiem* przezwwały, choć się obudzę, trzyma mnie jakby przykutą do poduszki; zlepia mi oczy, szepce zdradliwie: „żem późno spać poszła, że ciemno, że zimno, że zdrowiu zaszkodzę, że drudzy tak nie robią i dobrze im;“ ale ja nie słucham: żegnam się, zrywam z łóżka, zapalam świecę, ubieram się ciepło, i ową pierwszą wygranę mojego dobrego *ja*, mam sobie za dodatek dalszych powodzeń. I to rzecz pewna, doświadczyłam tego mało sto razy: im owa godzina poranna dłuższa, tém cały dzień lepszy. I tak się już do niej nazwyczajam, że zupełnie brak mi czegoś kiedy jęj mieć nie mogę; choćbym nawet w ciągu poranku zamknęła się na jaką chwilę w moim pokoiku, już to nie to.

O siódmęj idę na dobry dzień do matki, a po wspólnych modlitwach przy jęj łóżku, po głośném przeczytaniu kilku kartek z jakięj książki duchownęj, zajmuję się najprzód domem, śniadaniem, a potém siostrami. Czego przez lat tyle uczyłam się pilnie, co drogi ojciec z taką troskliwością mi udzielał, teraz, już nietylko Zosi jak w Olszankach, ale i Ludwice oddaję. Uczę je historyi, geografii, literatury i tego co sama umiem najlepiej i czego douczam się codzię: *polских rzeczy*; reszta ich nauk cięży na biędnej naszęj matce, która zawsze czynną być umie i lubi, byle na swojęj kanapce. Ja zaś za moję pracę dzielę wraz z Zosią lekcyę rachunków i rysunku ciotecznęj siostry. Znasz mnie, radabym umieć jak najwięcej; naukę uważam za mój majątek, za moję wiano, za świat który wolno mi zrobić *moim*; wzięłam sobie tedy za zasadę: nie opuścić nigdy żadnęj sposobności nauczenia się czegoś użytecznego; choć tu niektóre panie i panuy śmieją się ze mnie, i mówią, żem za stara do metrów. Ja tęż tak późno zaczynając rysunek i niemając do niego wrodzonęj zdatności, wzięłam się odrazu do reguł, do perspektywy, i do najprostszej architektury, a zamiast farb i pędzli, kupiłam sobie cyrkiel i linijkę. Rozeszło się zaraz między naszemi paniami, bo

nie uwierzysz jak się tu matki i dojrzałe panny nami zajmują: „Panna Krystyna już matematyki się uczy; ta pani Rawiczowa z wielkiego rozumu, prawdziwie szaleje: na czém się skończy ta przemądra edukacya, chyba na łacinie.“ My zaś śmiałyśmy się serdecznie, kiedy nam to pan Stanisław powtórzył; i ja daleko wolę, żeby o mnie mówiono że matematyki, fizyki, a nawet łaciny się uczę, jak żem kokietka, plotka, próżniaczka. Dziwny jest wprawdzie ten przesąd w naszym miernym stanie przeciw kobietom co trochę więcej od innych umieją; ale dziwniejsze jeszcze byłoby uważać na niego, i hołdować mu, odejmując sobie rzetelnego światła dla tego, że tam kogoś razi.

Nie zważając bynajmniej na owo gadanie łaskawych przyjaciółek, które niemogąc tego strawić naszej kochanej matce, że nam staranne dała wychowanie na wsi, bez pensyi, bez guwernantki, trzymam się cyrkla i linii; znajduję rzeczą daleko przydatniejszą umieć rysować i wyrachować jak się należy rozmiar stodoły, chałupy, zrobić porządny plan wewnętrznego mieszkania, niż wycieniować krzywą twarz, albo nakreślić niezgrabne drzewko; a dalej przy braku zdatności i czasu, jużbym pewno nie zajechała. Ten mój talencik, w którym w trzech miesiącach i małym kosztem już dosyć biegłości nabyłam, sprowadzi mi zapewne nie jeden jeszcze przycinek, bo nie jest pospolity, bo jest gruntowny, użyteczny, a niewydatny. Biedneż te kobiety kiedy im tylko wolno bezkarnie iść owczym śladem i to jedynie umieć co błyszczy i dogadza próżności. Szczęście moje wielkie, że rodzice inaczéj tę rzecz widzieli, i mam w Bogu nadzieję, iż cała moja mądrość, o której mówiąc nawiasem, ludzie daleko więcej trzymają niż warta, nie będzie mi nigdy żadną przeszkodą do prostych prac i powirności kobiecych, jak dotąd nie była, owszem ułatwi mi i umli każdą. Żebyś ty wiedziała jak to przyjemnie szyjąc tyle co ja, mieć zawsze o czemsić myśleć, ile mi uwag, postzice-

żeń, porównań na koniec igły przychodzi; nieraz więcej i lepszych niż na koniec pióra. Dla mnie to jest nawet wyraźny dowód obecności nieśmiertelnej duszy, która tym sposobem sładzi i uszlachetnia ciało jego doczesne i pozio-me trudy: tak pan litościwy stoi przy ciężko pracującym kmieciu; tak matka choremu dziecięciu nuci nadobne piosnki. Ale wracajmy do opisu dnia.

Te wszystkie nauki przeplatane gospodarstwem, robotami krawieckimi, wyjściem na miasto, to do kościoła, to po sprawunkach, to po koniecznych wizytach, zajmują mi czas do samego obiadu; ledwie mam godzinkę żeby się ubrać, zajrzeć do kuchni, i rzucić okiem czy wszystko jest jak potrzeba do stołu, jak nasza Pani kochana sobie życzy i lubi. O w pół do drugiej Waclaw przychodzi i jemy. Po obiedzie gramy w wolanta, w obręcze; czasem ja zabrzędam: oni się pokręca. O trzeciej, Waclaw idzie na swoje kursa i nauki, w pokoju bawialnym zaczyna się muzyka; bo albo który jest metr, albo siostry przy mojej matce grają i śpiewają; ja zaś wymykam się do mego pokoiku; trochę ciemny, z oknem na podwórko; „ciasny ale własny“ odosobniony; czysty, moją ręką codzień ustawiony, ozdobiony: jak zamknę drzwi na klucz, jestem zupełnie u siebie, i myślę żem królowa. Moja Anielo, to prawdziwe szczęście mieć swoje *u siebie*, choćby też najmniejsze, najuboższe. Kto może mieć własny pokój i parę razy na dzień zamknąć się w nim na jaką godzinkę, ten usunął połowę trudów życia. Ja co wcale jeszcze nie doszłam i zapewne nigdy nie dojdę do doskonałości świętej Katarzyny, „która—jak mówi nasz Skarga—zbudowała sobie w sercu komórkę i nigdy z niej nie wychodziła,“ ja, potrzebuję koniecznie chwil samotnych, żeby żyć użytecznie i swobodnie. Są one dla mnie jak owe kamienie przy drogach pod cienistym drzewem złożone, na których wędrownik składa ciężar z jakim idzie, a wytechnawszy w chłodzie, ru-

sza dalej z nową siłą, pośpiewując sobie. Codziennie po obiedzie mam pozwolenie siedzieć w moim pokoiku do zmroku; i pewno nikt więcej nie rad odemuie porze, kiedy już dnia przybywać zaczyna: dziś jużem bogatsza o trzy kwadransy, a to jest jedyny czas kiedy pracować mogę.

Dziś piszę na owym dużym czarnym stole, Wacława roboty, dobrze ci znanym; innych dni czytam, wyciągi robię, zapisuję sobie schwyte wczoraj wiadomości, dorzucam do moich zbiorów i czas nie idzie, ale leci. O szarej godzinie albo chodzimy z siostrami po pokojach, albo siedząc koło matki gadamy sobie, albo wiersze piękne powtarzamy na przemiany; albo też co ja najlepiej lubię, bo to dowód dobrego jej zdrowia, kochana matka siada do klawikordu, i gra łagodnie, miło, do serca, jak ona grać umie. Siostry sobie gwarzą, a ja muzyki słucham i dumam w kąci. Nieraz myśl moja się przenosi w lata dziecinne i pierwszej młodości, do lubych Olszanek; staje mi ojciec przed oczami i łzy zasłaniają ten obraz; stajesz i ty Anielo: tak ściśle z temi latami pamięć twoja się wiąże! Czasem też ani się spostrzegę, kiedy wybiegnie myśl naprzód; wtedy różne rzeczy po głowie się snują, różne chęci i zamiary przychodzą...

Ty mnie znasz, Anielo, i wiesz dobrze, że co do mnie, zostałabym bez żadnego żalu, ani do Boga ani do ludzi tak jak jestem. Do czegoż, proszę cię, takie troskliwe wychowanie, tyle pracy nad sobą? do czego pobożność od dzieciństwa we mnie wlewana i słowami i przykładem, gdybym nie umiała zgadzać się z losem, i być szczęśliwą bądź co-bądź? Ty wiesz nawet, jaki jest zdawna mój system, jakie ulubione zdanie: „Człowiek może i powinien być szczęśliwym; szczęście zależy nie może ani od urody, ani od majątku, ani od nikogo na ziemi, bo szczęście prawdziwe jest w Bogu i w nas samych.“ Zaklinam ci się tedy na wszystko co najświętsze, że mogłabym zostać panną na całe życie i być szczęśliwą; ale mnie bardzo dręczy i zasmuca

matka. Już tyle wycierpiała, takie straty poniosła, zdrowie ma słabe, a widzę jak myśl że mnie nikt się nie zdarza, ciągle ją dręczy. O nią w piętnastym roku oświadczył się nasz ojciec, i ona nie może tego zapomnieć. Naprawdę jej przypominam niezmierną między nami różnicę: ona była śliczna, a ja sobie prawie brzydka; o niej była sława znacznego posagu, a tu każdy wie o jednej wiosce na nas czworo; wreszcie, przekładam jej często: że w ostatnich wojnach wielu młodych chłopców wyginęło i najpewniej mój Bogdan był w liczbie owych; że w czasach takich jak dzisiejsze, dla rozmaitych przyczyn, musi koniecznie wiele panien nie iść zamąż: nie nie pomagają te wszystkie moje przedstawienia; a kiedy mówię, na co się martwi rzeczą, która mi jest obojętną? odpowiada: „że tém więcej ją to gryzie i gniewa, bo szkoda, żeby taka osoba jak ja, która szczęścia udzielać umieć, nie poszła zamąż, nie uszczęśliwiła nikogo, nie wychowała dzieci, słowem zmarniała, jeszcze i wyśmiana była.“

Już to prawdę mówiąc, kochana Anielu, ja sama, gdyby mi kto dał do wyboru, czy wolę być meżatką czy starą panną? powiedziałabym bez zająknięcia się: „meżatką.“ Darmo, małżeństwo jest stanem najwłaściwszym dla kobiety, i stawia ją na jej prawdziwem miejscu. Po wszystkie wielki ideałem niewiasty była i będzie żona i matka. Co więcej ci powiem, skłonność do tego stanu musi nam być już wrodzona, bo ja mimo tego co mi od dzieciństwa mówił ojciec i co sobie sama codzień powtarzam, mam przecież w głębi duszy jakby przecucie, że pójdę zamąż i dobrze, a ta nadzieja mi się bardzo uśmiecha. Tymczasem, nie ma do owego zamęścia prawie żadnego podobieństwa; choć się jakie ukaże, to i znika. Między nami mówiąc, nie wiele lat mi brak do trzydziestu; nie byłam nigdy ładna, jak wiesz, a teraz doprawdy, nie pięknieję; kiedy sobie przypomnę jak wyglądałam na twojem weselu i widzę się teraz, mówię

sobie: „Wtenczas byłam wcale niczego.“ Jeżeli więc wtenczas nie podobałam się nikomu, gdzież się nam teraz podobać? Powtóre, co mnie także potwierdza w przekonaniu że mimo wszelkich przeczuć, ów ktoś co mi był przeznaczony, albo się nie urodził, albo gdzieś przepadł, to owa, uwaga: iż im jestem starszą, tém się robię trudniejszą. Tak, nieinaczéj; dziś mało widzę takich za którychbym poszła, i wolę sto razy nie pójść wcale za męża, jak za byle kogo. Pamiętasz, kiedym miała szesnaście lat i bywał u was ten stary major taki pocieszny; wszyscy mnie nim prześladowali; gdyby się był oświadczył i rodzice powiedzieli: „Idź za niego!“ byłabym poszła, bez żadnego namysłu i wstrętu. Dziś, kochanko, na niczyje słowo, nawet na matczyne nie wzięłabym męża; koniecznieby mi potrzeba, jeżeli nie miłości gorącej—gdyż znam że do tego uczucia, wdzięki mają tylko prawo—to przynajmniej bardzo serdecznej przyjaźni, szacunku i przekonania: że i sama będę szczęśliwszą niż teraz jestem, i kogoś drugiego uszczęśliwię.

Powiedz sama: co zna dziewczyna szesnastoletnia? nic. Co widzi w małżeństwie? wyprawę, wesele, szal, kocz czterokrotny, to że ją panią nazwą, że własnych służących mieć będzie, że sama pójdzie i pojedzie wszędzie, każdą książkę od deski do deski przeczyta, słowem, będzie coś znaczyć; czepeczek włoży, na kanapie i w tyle powozu usiądzie, a inne starsze panny zazdrościć jęj będą tych wszystkich przywilejów. Ja miałam już czas i porę przypatrzeć się zblizka różnym stadłom, i widziéć, że jakkolwiek stan małżeński jest stanem naturalnym, pożądanym, stanem, który kobiécie żyjącej w świecie najwięcej cnót i zasług podaje, przecież łatwym ani swobodnym nie jest. Małżeństwo każde jest niewolą; kobiéta idąca za męża, ślubuje posłuszeństwo: tak chciały Boskie i ludzkie prawa. Zapewne, każda kobiéta, zwłaszcza póki młoda, zawsze zależy od kogoś, ale to zupełnie inaczéj. Ja dziś, naprzykład, zależę od matki, do-



gadzać powinnam jój woli, jój gustom; lecz już urodziłam się i urosłam z tą uległością, obróciła mi się w naturę i prawie nic mnie nie kosztuje. Z mężem rzecz wcale inna. Może być najlepszy, najrozsądniejszy, jednak w tysiącznych razach będzie miał zdania, gusta przeciwne moim, które mnie będą razić samą nowością swoją; a przecież stosować się do nich będę musiała, i to codziennie, przez całe życie. Potem, wszystkie młode panny widzą zwykle w małżeństwie same przyjemności, same uciechy; ja choćby tylko z twego przykładu, widzę że przynosi za sobą utratę zdrowia i wielkie cierpienia. Z innych miar tyle szczęśliwa, cóżes już nie wycierpiała, biedna Anielo, rodząc dzieci prawie co rok, a co gorsza tracąc je... Nareszcie, widzę w małżeństwie rodzaj bardzo niebezpiecznej loteryi; samą będąc, mogę niemal ręczyć za siebie, że będę się dobrze prowadzić i będę szczęśliwą; jakże tu ręczyć za kogoś drugiego? tymczasem moralność i szczęście żony ściśle z moralnością i szczęściem męża są złączone; a wzięwszy go raz, ani opuszczać, ani zamieniać się nie godzi: już klamka zapada, świat zawiązany.

Bezwątpienia puszczać się na to wszystko trzeba, bo w cóżby się obrócił porządek społeczny, gdyby wszystkie panny przelekły się powinności żon i matek, i chciały żyć samopas bez trosk i obowiązków? Nie mam też téj obawy, i prędzej podobno braknie słońca na niebie, niż panien gotowych iść zamaż; ale kiedy Opatrzność co losem każdego z ludzi rządzi, którą z nas widocznie uwolni od tego obowiązku, zastanowiwszy się, nie widzę doprawdy, czegoby nad tém córki i matki rozpaczać miały? Te zwłaszcza co są prawdziwie pobożne, czemu nie mają sobie przypomnieć: że teraz kiedy już jest dosyć ludzi na ziemi, nie ma prawa, coby koniecznie nakazywało każdej kobiecie iść zamaż; owszem panieństwo dobrowolne ale serdeczne i szczere jest przez Kościół zachwalane i doradzane. A co na owo zdanie,

że kobieta niezamężna marnieje, to nigdy się nie zgodzę. Czyżbym ja miała być zerem, które tylko postawione obok jedności coś znaczy? bardzo przepraszam, ja w sobie czuję, że i sama przez siebie nie schodząc bynajmniej z niewieścięj drogi, przecież częmsiś być mogę i zdać się drugim na coś. I doprawdy, czasem aż sobie życzę nie iść zamaż, żeby przykład dać niektórym pannom i zmusić wszystkich do szanowania tego stanu. Bo powiedz sama, moja Anielo, czy to nie jest obrażać Boga, chcieć utrzymywać: że istota na obraz Jego stworzona i nieśmiertelna, ma być niczém, ma być nieszczęśliwą dlatego, że mężczyźni obojętnym okiem na nią patrzą? Czy to nie jest prawdziwém szaleństwem widzieć jakąś śmieszność, jakieś wieczne dzieciństwo w tój z nas, która dla braku urody, posagu, albo z innych jakich okoliczności nie znalazła męża? Odpowiesz mi na to: „stare panny po części same sobie winny, że się z nich ludzie śmieją; prawie wszystkie albo w pretensjach i chcą wiecznie uchodzić za młode, albo tóż złe, kwaśne, obmawiają tylko i próżnują.“ Zgoda i na to; otóż ja ci opiszę, jaką ja będę, a przynajmniej jaką być chcę, bo my nędzni ludzie, tylko za chęci nasze ręczyć możemy.

Najprzód, wiesz dobrze, iż zdawna powiedziałam sobie, i zdaje mi się, każda panna choćby najpiękniejsza i najbogatsza powiedzieć to sobie powinna: „Zdarzy mi się zamaż dobrze, to pójdę; nie, to nie.“ A stosownie do tego postanowienia, wcześniej myśleć jakby w tym ostatnim razie serce i życie zapełnić, jak obejść się bez tój powabnej ale zdradliwej, ulotnej miłości, a raczej nie myśleć, ale już tak postępować. Zamiast tedy zajmować sobie niepotrzebnie głowę jak to ja kiedyś będę szczęśliwą, jak to we mnie ktoś, kiedyś kochać się będzie i ja w tym ktosiu, jak urządę domniemany dom mój, jak wychowam przyszłe dzieci; wolę myśleć o tém, żebym już dziś była szczęśliwa, żeby mnie kochali ci co mnie dziś otaczają, żebym dopełniła wszyst-

kiego co do mnie dziś należy, i nabywała jak najwięcej cnót i światła, pewną będąc że żyjąc sobie w taki sposób, jeżeli tylko mam mieć męża, dostanę go najprędzej i najłatwiej. Tak sobie zamierzam być do lat trzydziestu, gotowa do zmiany stanu, ale zupełnie spokojna i swobodna. Gdyby w tym wieku, który uważam za koniec młodości w kobiecie, nie było już dla mnie żadnych dawniejszych i przybliżonych widoków zamężcia, wtenczas powiem sobie stale, powiem przed Bogiem: „Nie pójdę zamaż,“ włożę czepek, ubiór poważny, zaniecham szczerze wszelkiej wabności (której i teraz mam nie wiele), dam pokój tańcom, hucznym zabawom, wszelkim strojom, czytywać będę żywoty świętych panien i wszelkie książki duchowne dla tego stanu pisane, i będę się uważała w duchu, jako prawdziwa chrześcijańska wdowa, co to nietylko nie idzie zamaż, ale nawet podobać się żadnemu mężczyźnie nie ma ochoty; a do obowiązków córki, siostry, do dzisiejszych zatrudnień moich, przybiorę sobie jakie inne ciągłe, zajmujące, użyteczne, a jeźliby tego potrzeba była, to i korzystne.

Bo przyznam ci się, ja nie mam za żadną sztukę ani też zasługę, żeby panna, zwłaszcza majętna dała sobie radę na świecie, i żyła zdrowa i wesoła, używając wolności swojej i dochodów na zabawy, uciechy, podróże, na próżnowanie, zbytki i stroje; ja chcę żeby użyteczną była społeczeństwu; żeby coś robiła przydatnego ludziom, zbawiennego w oczach Boga; żeby dla tego samego że jest wolna i zdrowa, że się towarzystwu dziećmi nie wypłaca i daleko mniej ma trosków i trudów od mężatek—chcę mówić—żeby sobie sama obrała szlachetne obowiązki: każda zaś znajdzie podobną robotę, osobliwie w naszym kraju, gdzie niwy obszerne odłogiem leżą. Niechby tylko wszystkie panny trzydziestoletnie jeden cel obrały sobie, tenby wszystkim wystarczył: oto trudnienie się wychowaniem, wpajanie Wiary w młode serca. To jest cząstka najpiękniejsza a przynaj-

mniej najogólniejsza powołania kobiet; jesteśmy urodzonymi mistrzyniami rodzaju ludzkiego, płcią pobożną może i dla tego przez Apostoła nazwaną, że my pierwsze mówimy dzieciom o Bogu. Skoro która z nas własnych dzieci nie ma, niech się zajmie cudzemi: zawsze jest więcej dzieci niż matek. I bogata, i uboga, i średniego majątku znajdzie przed sobą pole otwarte. Bogata niech się trudni dziećmi ubogich, czy na wsi mieszka czy w mieście; uboga, niech uczy i wychowuje bogate; miernego majątku która ani potrzebuje chleba, ani też wiele udzielić go może, niech się zajmie dziećmi brata, siostry, innych krewnych, albo też dziećmi włościan; niech wreszcie spróbuje pisać edukacyjne dzieła: w takich dziełach zwykle więcej na moralność niż na zdarność patrzą...

Ale już sama nie widzę co piszę, ściemniło się. Już też Zosia kołaczę do drzwi. Kochana matka mnie ostrzega, że oczy na nic zepsuję. Codzień ta sama historia, bo codzień się zapominam. Ale Zosia drzwi wybije... Idę, idę tej minuty. Bądź zdrowa, kochanie moje: do jutra!“

*Nazajutrz, w Piątek po obiedzie.* „Odczytując wczorajszą moją ramotę, widzę że odbiegła daleko od zamierzonego porządku; chciałam ci opisać dzień mój, a tu się wsunęło całe życie jak było, jest, być ma, i zupełna rozprawa o stanie panieńskim. Już miałam ochotę podrzeć wszystko, inny list zacząć; ale nie mam czasu, a tyle mam ci jeszcze do powiedzenia. Niech więc idzie jaki jest, proszę tylko pana Ignacego żeby mnie nie bardzo wzięął na zęby, jeżeli przypadkiem ten list w jego ręce wpadnie. Dziś, stan mego umysłu inny; wrócę po prostu do opisu dnia, i może już nie zboczę.

O szarej godzinie tedy, kochana matka gra a ja słu-

cham, i miałaś dowód jak marzę. Nareszcie wierny nasz Józef, który wszystko w Warszawie gorsze znajduje niż w Olszankach, wnosi światło, i bierzemy się do roboty i do czytania. Te roboty muszą już być ładne, a książki zabawne i nowe; a to najprzód dla tego, że jak wiesz, około naszej matki wszystko musi być zawsze czyste, ile możności wykwintne; i dla tego jeszcze, żeby choć kto z gości przyjdzie, roboty nie chować ani jej się wstydzić, a książkę móżdż czytać dalej, lub przynajmniej mówić o niej. Piękna robótka w rękę, nowa książka na stole, kiedy kilka osób się zejdzie, nie tylko podają materję do rozmowy, ale nawet oszczędzają bliźniego, który inaczej musiałyby koniecznie być na placu; boć trzeba o czemsiś gadać. Jużto kiedy sami tylko są mężczyźni, a jeszcze młodzi, o rozmowę turbować się nie trzeba. Nie wystawisz sobie jaki jest ruch umysłowy w tej Warszawie, na wsi mieszkając, wyobrażenia o nim mieć ani można; ja zawsze sądziłam że jeden Wacław taki myślący, zapalony, nadziei pełny, a tu oni prawie wszyscy tacy, nawet ci co kiedy mazura usłyszą, tańczą do upadłego; i zdaje im się, że oni we wszystkiem nową erę zaczną dla kraju. Nasza matka, która niekoniecznie lubi wielkich politykowań, bo się zawsze boi żeby z tych żwawych sporów do kłótni nie przyszło, zwraca ile może rozmowę do literatury; a w tym celu prenumerujemy „Pocziwą babunię, Gazetę Warszawską“ i mamy i znamy wszystko co dziś w kraju wychodzi lepszego. Wiesz jak kochany ojciec to lubił; zawsze powtarzał że tym sposobem choć na osobności trzymać się można jeszcze świata; przyzwyczał nas też zupełnie do tego, żeby koniecznie znać i wiedzieć, co się w obecnej literaturze polskiej dzieje. Miał w tym celu stosunki z księgarzami i drukarzami całego kraju, i tym sposobem tanięj mu przychodziły wszelkie dzieła. Utrzymujemy te stosunki; porozumieliśmy się prócz tego z kilkoma osobami do spólnego trzymania pism peryodycznych; pan

Stanisław, który połowę dochodów swoich w książki kładzie, także nam bardzo pomaga, i mamy wszelkie polskie nowości, wiemy o celniejszych zagranicznych. Wiele osób strasznie to zastanawia, że nie powiem gorszy: jak można nie będąc majątnym wydawać pieniądze na książki? Bo u nas jest wkorzeniony ten przesąd, iż daleko lepiej zjeść, wypić, ustroić się za dukata, jak dać parę złotych za książkę. Nie dalej jak wczoraj, Sędzina zobaczyła u nas powieści Niemcewicza i Okolice Krakowa przez Wężyka; kosztują dwanaście złotych; zaczęła wołać ruszając ramionami: „Zbytki! zbytki!“ A moja matka ję na to ze swoją przednią minką: „Co też kosztuje pani kapelusze?“ „Czterdzieści złotych, odpowiedziała napuszona; od *Cavot*, na model paryzki.“ „Więc mój zbytek daleko tańszy, a ja wolę kłaść w głowę niż na głowę.“

W ciągu naszego wieczornego czytania, codziennie kilka osób się zejdzie; nasza kochana matka ma czego pragnąć: nasz dom już się zrobił jednym z owych punktów zebrania, które świecą w każdym większym mieście, w podobieństwie jak gwiazdy na szerokiem niebie. Wielki świat, co także w każdej stolicy być musi, a o którym my, Bogu dzięki, tylko zdaleka słyszymy, jakby słońce jaśniejące z pogardą na te skromne gwiazdki spogląda, i najpewniej ani wie, że one istnieją; tymczasem każda z nich jest sobie także światem albo słońcem. Jakim sposobem moja matka utworzyła ten nasz światek i to w tak krótkim czasie, trudnoby opowiedzieć; lecz my co ją znamy, wiemy dobrze, że ona cicho i nieznanie zawsze robi wszystko co zechce. Sama nikomu ani oddała ani oddaje wizyt, tłómacząc się słabością zdrowia i szczupłością dochodów, które ję nie pozwalają ani powozu trzymać, ani się stroić. Rano i po obiedzie wcale nie przyjmuje, wymawiając się znowu naukami Zosi i Ludwiki, dla których do miasta przyjechała; ale w każdy wieczór od szóstej godziny drzwi nasze są otwarte, schody,

przedpokój i pokój bawialny oświecone, wszędzie czysto, w miarę ciepło, klawikord nastrojony, stół do wista nągotowany; ona sobie siedzi z siatką czy z pończoszką na swojej kanapce, a przed nią duży stół okrągły, na około którego rozstawione stolki, i my siedzimy czekając na gości, jak ja na męża, od niechcenia.

Z początku, zgadujesz łatwo, sami bywali mężczyźni. Pan Stanisław przyprowadził kilku swoich przyjaciół, głębokich polityków i zawołanych wistowych graczy; zgłosiło się i parę takich, co dawniej uczęszczali do rodziców; Wacław już od tak dawna w Warszawie, namówił profesorów więcej na niego łaskawych, przedstawił nam swoich bliższych kolegów, wszystko młodych ludzi, do rzeczy i nie próżniaków; bo jedni kształcą się na lekarzy, drudzy na prawników, ten aplikuje się w biurze, tamten wojskowym naukom się oddaje, a prawie wszyscy prócz tego piszą to wierszem, to prozą, wielkie widoki mają na przyszłość; zgoła, przez cały dzień są zajęci i pięknych myśli są pełni, więc radzi temu, kiedy w wieczór zdarzy im się wytchnienie i poufała pogadanka z takimi co ich rozumieją: dosyć, powiadam ci, od Października nie pamiętam wieczoru, żebyśmy sami byli. A pojmujesz, że z uprzejmością i rozumem naszej matki, przy nowościach literackich, grze, muzyce i trzech pannach, z których jedna prześliczna, druga młoda i posażna, trzecia bez pretensyi, nudy nie mogły mieć miejsca. Bawiliśmy się też od początku precudownie i niezmiernie zasinakowałam w tym sposobie życia. Bo, moja duszko, powiedz sama, czy może być co miłszego, jak po całym dniu pracowicie i użytecznie spędzonym mieć u siebie przyjemne towarzystwo; i cóż dziwnego, że w takim razie gospodyni i domowi wszystko robią co mogą, żeby ich gościom czas zszedł dzisiaj jakotako, i żeby mieli ochotę powrócić jutro? Rozeszła się wnet w naszej skromnej sferze sława tych wieczorków: żony, matki, siostry łaskawych panów co

u nas bywali, wyraziły nam przez nich dobrą chęć swoje bywania także. Przyjeliśmy oczywiście tę grzeczność z wdzięcznością; zawitały tedy i panie i panny, i bardzo im byłam rada.

Lubię towarzystwo mężczyzn i zgadzam się na to, że kiedy niema ani jednego okrągłego kapelusza w salonie, tylko same czepki i warkocze, nie tak jakoś zabawa idzie i rozmowa nie jest tyle zajmująca i użyteczna; ale lubię także bardzo, kiedy są dorzeczne kobiety; i moja matka nieraz mi wymawia, że rozmowniejsza z niemi niż z mężczyznami. Ale bo ojciec tyle razy mi powtarzał, jakoby złym znakiem było w pannie, kiedy się nudzi z kobietami i nie dba o nie, iż ja tak od pierwszej młodości się wprawiałam; i wiesz jakie mam szczęście do kobiet i do księży. Choć to podobno zła wróżba, to szczęście nie opuściło mnie i tu. W imieniu mojej matki jam pooddawała tym wszystkim paniom wizyty, mile byłam przyjęta i jesteśmy z sobą jak najlepiej. Może są niektóre takie, bez którychbyśmy się i obeszli, ale co robić? trzeba brać ludzi jak są, i umieć żyć ze wszystkimi; nie mogą być wszyscy rozumni i zabawni: wszak nie trudno znaleźć nudnego i między mężczyznami. Żeby jednak osoby tego rodzaju niezbyt często miewać u siebie i już odrazu, nasza matka umyśliła dawać co Środa formalny wieczór z tańcami; dla niezupelnie dobranego towarzystwa to zabawa najlepsza. „Taniec, wist i śmierć równają wszystkich:“ takie jest zdanie.

Pojmiesz łatwo, jak nasze panienki rade są tym wieczorom; i mnie cieszyły, a najwięcej dla ciebie, bo wiem jak lubisz taniec, a jak ci się rzadko zdarza do niego sposobność. Już dwie takie Środy się odbyły i udały się nad spodziewanie nasze. W te dni nie kończy się, jak w inne na samój herbacie z grzankami: o dziesiątej jest zawsze porządna kolacya, w czasie tańców roznoszą wino, wodę z sokiem. o dwunastej dają poncz w szklankach, i za-



ręczam ci, że nasi goście bawią się przedziwnie, żalując tylko że nie dłużej, bo o pierwszej już po wieczorze; i ja jestem w tém zupełnie zdania naszój matki: znajduję, że to bardzo dosyć. Poco przesycać się zabawami; z wytchnienia robić zamęczenie, z tego co ma być zdrowiem, chorobę? Młodzieży, zwłaszcza tym co i w wielkim świecie czasem bywają, wcale się to nie podobało; ale widząc, że inaczej być u nas nie może, kontenci i z tego co mają, a którzy nie kontenci, to nie przychodzą; i mniejsza o nich. My wcale o to nie dbamy żeby u nas wszyscy trefnisie i panicze bywali. Na co się przydać mają, proszę cię, ubogim szlachciankom? Zawrócą głowę: nie więcej. Żyć w swoim kółku z równemi sobie, rzecz najlepsza; jeżeli jakiej szukać wyższości, to wyższości światła: taka nie zaszkodzi ale pomoże. Szczycić się też możemy w naszym gronie, nie tyle imionami co ludźmi.

Pomyślne utworzenie naszego światka i w taki sposób, matka nie przypisuje tyle sobie, ile panu Stanisławowi. Prawda, że on szczerze jest naszym opiekunem i prawdziwym przyjacielem domu; troskliwy jak drugi ojciec o wszystko co nas dotyczy. Rzadki wieczór żeby nie przyszedł, a powaga jego, znajomość świata i ludzi, wyższe światło, bardzo nam są użyteczne. Nieoceniony to skarb owi dawni przyjaciele, owe puścizny serdeczne po rodzicach; droższe tysiąc razy od klejnotów familijnych: nieraz on sobie porządzi i połaje którą z nas, jest wymagający, obraźliwy, a kiedy słaby to i kapryśny. Zosia czasem się mu żywo odetnie, Ludwika nie może ukryć że ją nudzi, Wacław zawinie się i wyjdzie z pokoju; ale my z matką jak sobie przypomnimy, że on z kochanym ojcem do szkół chodził, na urządzie kolegował, że nas wszystko troje piastował i za każde gotówby dać życie, jakże mu wiele przebaczymy i jak wysoko cenimy! Niezmiernie go to cieszy, że nasz dom taki się zrobił wzięty i przyjemny, i coraz nam kogo no-

wego przyprowadzi. Ostatni jednak jego towarzysz niezupełnie mi się podoba, a coś bardzo ucieszcza; jest to pan referendarz Jastrzębiec, człowiek wyższego tonu, rozumny, majątny, ale już stary a jeszcze w umizgach, czego ja niecierpię; starość szanowna kiedy na swoim miejscu być umi: jak tylko stary udaje młodego, już mnie z całego uszanowania skwitował. Od czasu jak Referendarz u nas bywa, zagląda jeszcze częściej niż dawniej pani Sędzina ze swoją córką Sabina, zawsze wystrojoną i jak moja matka mówi: pod bronią.

Wystaw sobie, dwie jej siostry młodsze i mniej ładne wyszły zamąż, a najstarsza niby piękna nie może i nie może; chciałabym żebyś widziała jak matka i córka manewrują nad zdobyciem męża. Jest czasem z czego uśmieć się serdecznie, i byłoby czém napełnić nie jeden arkusz papieru. W zwyczajne wieczory po herbacie, roboty i książki odkładają się na bok i bawimy się w gry różne, to biegane, to gadane lub pisane. Te ostatnie zowią się rozumne, ale często są sobie bez najmniejszego sensu, i wtenczas tém więcej śmiechu. Trafi się też niekiedy co ładnego, nawet czasem składne wierszyki się złożą; mnie także udało się kilka razy dobrze coś napisać i powiedzieć. My jeszcze w Olszankach z kochanemi rodzicami do tych igraszek rozumnych wprowadzone były, jak sama pewno pamiętasz; ale od czasu owych moich piśmiennych powodzeń, straciłam łaski pani Sędziny: dawniej wychwalała mnie pod same niebiosa, teraz przypina mi łatki jak może, i zowie mnie przemądrą. Mieliśmy sto pociech nie dalej jak wczoraj. Panna Sabina widząc, że mój dowcip zajmuje naszych gości, mianowicie pana Referendarza, nauczyła się w domu z książki, kilku szczytnych myśli i poetycznych porównań, które sobie ułożyła w zapytania i w odpowiedzi, i za pierwszą sposobnością napisała; ale zapomniała biedaczka, że jej kartki do niej nie wrócą; żal jej zaś było konceptów: więc

przypinała odpowiedzi jak się nadarzyło, a matka unosiła się nad jej rozumem, wraz z panem Tomaszem Nieszawą, ślepo w niego zakochanym.

Trzeba ci wiedzieć, moja Anielo, że ten pan Tomasz, z którym poznaliśmy się zaraz po naszym przyjeździe do Warszawy, bo Wacław stołował się przez te wszystkie lata u jego rodziców, bardzo zacny jest chłopiec; gruntownie pobożny, co rzadko niestety! między dzisiejszą młodzieżą; wcale przystojny, pracowity, ma już nie zły urząd w skarbie i zapewne z czasem dorobi się chleba, gdyż bardzo pilny; ale przytém niezgrabny, nierozmowny, niepokazny i jak to mówią, nie orzeł. Zaczął był okazywać jakąś skłonność ku mnie. Moję matkę to cieszyło, lubo może w duszy chciałaby coś świetniejszego dla swego aniołka. Co do mnie byłam, jak to wiesz panny są względem niektórych kawalerów: „zrobi się, a no, niechże i tak będzie; nie robi się, nie wielka szkoda.“ Przecież dla tego samego żem go sobie nie bardzo życzyła, i że strasznie gasł przy innych młodych co u nas bywają, zaczynałam wierzyć, iż mi się dostanie. Nie byłby on zapewne wzbudził we mnie miłości, ale szacując go, byłabym mogła pokochać go z czasem; w towarzystwie pewnoby mi go nikt nie pozazdrościł, lecz w domu byłby z niego mąż dobry, delikatny, przykładowy, z którymbym się zgadzała w najświętszych serca uczuciach. Niejednemu byłoby się mogło wydawać, że on w wielu rzeczach niższy odemnie, aleby w tym sądzie prawdy nie było. Bo ja, z twojem przeproszeniem, zupełnie jestem przeświadczona: że owa wyższość kobiet, z którą jest teraz moda wyjeżdzać, i która tyle młodych mężatek, w ich mniemaniu własnem, nieszczęśliwemi czyni, jest zupełnie sztuczna i bez gruntownych zasad.

Zastanów się tylko, proszę, na czém ona polega? Oto młode kobiety czytają więcej poezyi i romansów niż mężczyni; i cała ich nauka, całe światło jest pozorne, błysz-

czące, wydatne. Wyobraźnia u nich robi się daleko bujniejszą, czułość wykwintniejszą, tłómaczą swoje myśli ustnie i piórem nierównie subtelniej, nabierają tysiącznych wymagań i dziwactw, i sądzą się daleko wyższe od mężów, którzy nie latają po powietrzu ale chodzą po ziemi. Ja co nie mam, zda mi się rozbujanego umysłu, poszedłszy za pana Tomasza, byłabym widziała, że choćby on ze mną rozmowy o uczuciach nie prowadził, romansowych listów nie pisał, subtelnych czułości nie gadał, przecież w wielu rzeczach miałby wyższość nademną; bo ja ledwie mam wyobrażenie tych nauk co on posiada, a do wyręczenia go na jego urządzie, z któregoobyśmy oboje uczciwe utrzymanie mieli, pewnobym się nie zdała. Lecz jak sobie w duchu uważam, dziś młode kobiety za nic mają to, czego nie umieją same; mąż, zawołany gospodarz, biegły prawnik, zdatny urzędnik, doświadczony lekarz, uczony wojskowy, nic nie znaczy, jeżeli romantyków nie ocenia i nie rozumie; jeżeli powiedzieć nie potrafi jaka różnica między tkliwością a czułością, jeżeli odrazu kalemburu nie rozumie i szarady nie odgadnie, i t. p.

Ale wpadam w humor satyryczny, dosyć nowy dla mnie i odbiegam od pana Tomasza. Prawdę rzekłszy, jakoś mi ciężko, nawet przed tobą, przyznać się do wstydu jaki mnie spotkał z jego łaski czy niełaski. Owo całe powyższe rozumowanie o mniemanój wyższości kobiet, zastosowane do mego przyszłego z nim szczęścia, rozbierane w wielu rozmowach z matką i z siostrami; moja zupełna już prawie rezygnacya na przyjęcie jego ręki w razie gdyby się oświadczył, na nic się nie przydały. Lubił mnie, to pewna; wprawdzie nie mówił jeszcze otwarcie, gdyż w ogólności nie mówił wiele, ale zaczął przychodzić codzien i codzien wcześniej; siadał zawsze przy mnie, różne miał względy dla mojej matki, dla sióstr, jego rodzice bywali u nas i szczególnie grzeczni byli dla mnie. Trwało to tak parę

miesiący. Wtém przyjechała ze wsi od córki swojej zameźnej pani Sędzina, odnowiła dawną znajomość z naszą matką i zaczęła ucześnieć do nas. Nie wiem czy pan Tomasz podobał się panie Sabinie, ale to jój się nie podobało, że na nią wcale nie zważał. Jak się wzięła uśmięchać do nieboraka, oczami strzelać na niego, chwalić go, pochlebiać mu; jak tęż jeszcze zobaczył ją kilka razy wystrojoną na teatrze i tańcującą po wieczorach, zwinął chorągiewkę i teraz rozkochany w niój na śmierć, a poczynająca się skłonność ku mnie obróciła się w przyjaźń, czém zapewne była od początku.

Bóg widzi, nie mam żalu do Sabiny; ona piękna, a przynajmniej udać się może za piękną, i jakoś umie z mężczyznami, do czego ja wcale nie mam talentu, a możebym i mieć nie rada; nie dziwię się więc bynajmniej, że mnie odsadziła, ale moja matka i siostry zapomnieć jój tego nie mogą; a co najlepsza, w domu państwa Sędziostwa nie przyjmują w wieczór, tylko po obiedzie albo rano; więc kiedy nie są na teatrze albo gdzie proszeni, do nas przychodzą: mój pan Tomasz bywa zawsze, i ten romans rozwija się pod naszymi oczyma. Jakie szczęście żem się nie zakochała w kawalerze, byłoby z czego suchot dostać! Lecz ja do pokochania się nie taka skora, i do wzbudzenia we mnie tego uczucia kogoś innego trzeba nie pana Tomasa. Nie siebie mi więc żal w tēm wszystkiém, tylko tego biednego chłopca; bo Sabina, jak zwyczajnie kokietki, grzeczna dla niego, a nawet czuła, kiedy nie ma kogo lepszego, skoro są inni, mój pan Tomasz w ką: wtenczas on do mnie przychodzi ze swemi skargami, których ja słucham wiernie, gdyż niezmiernie rada mu pokazać, że nie mam do niego najmniejszego żalu. Może nawet w tym celu i źle robię, prawie go do niój zachęcam; ale ty wiész co to jest dla kobiety przypuścić myśl samę, żeby mężczyzna mógł sądzić, że mamy albo mieliśmy na niego widoki,

kiedy on ich niema. Rzecz prawdziwie szczególna, jak ten pan Tomasz przy całym swoim rozsądku nie zgaduje przyczyny postępowania Sabiny; nie przyzwyczajony zapewne żeby piękna panna uważała na niego, nie może się tém dosyć nacieszyć; i choćby najwięcej się gniewał i rozpaczał, za jedném łaskawém spojrzeniem, już znowu zgoda i uwielbienie. Niezmiernie wiele ładne oczy mogą! Czasem mi żal i dla tego żem nie ładna—używałabym téj potęgi na dobre.

Ale już skończyć trzeba ów list ogromny; wszystko to na rachunek tego, iż w czasie długich wieczorów siedząc przy słabych dzieciach, potrzebujesz coś czytać dla rozrywki, i żem już tak dawno nie pisała obszernie do ciebie, nie rozmawiała z tobą. Szkoda że nie można rozdzielić się na dwoje i być razem we dwóch miejscach; mimo ciężkich mrozów pojechałabym zaraz do Ugorza pielęgnować twoje dzieci, grać w szachy i kłócić się z twoim mężem, czytać gazety państwu Chorążtwa. Pokłoń im się wszystkim odemnie, a każde dziecko pocałuj od cioci Tyny: wszak o mnie nie zapomniały? To tedy pan Henryk przyjedzie z Niemiec téj wiosny: dobrze; twój mąż będzie miał przecie pomoc z brata w interesach: strach tylko czy jego głęboka filozofia nie zajechała mu bardzo w głowę. Moja matka zawsze mówi: „Filozofy światem rządzić umieją ale wioską rzadko kiedy.“ Miałam ci jeszcze pełno rzeczy powiedzieć i bardzo zajmujących, ale to na inny dzień: teraz bądź zdrowa i swobodna.“

---

#### L I S T D R U G I.

*Z Warszawy, 22 Stycznia, w Sobotę.* „Niespokojna jestem o ciebie i o dzieci twoje, kochana Aniello. Wszyscy mnie tu pocieszają, że gdyby broń Boże było coś złego, pta-

kiemby nas doszło; napisz jednak skoro ten list odbierzesz; przy kłopotach mało jest czasu i pamięci, wiem dobrze; ale napisz zaraz choć dwa słowa i oddaj list panu Chorążemu, on pewno nie zapomni posłać go ze swemi do Skalmierza.

Ja tu niespokojną będąc o ciebie, częściej jeszcze o tobie myślę, jeszczebym częściej niż zwykle rozmawiać z tobą chciała, i choć dopiero tydzień temu jak wyprawiłam ogromny pakiet, przecież piszę i dziś i także rozpisać się zamierzam, a już nie o sobie, ale jakby o drugim mnie, bo o bracie. Długom się wahała czy ci to wszystko napisać, bo ta cała historia jest sekretem, a nie moim, ale jakże przed tobą co zataić? wreszcie gdybyś tu była przyjechała, pierwszego dnia domyśliłabyś się wszystkiego.

Wystaw sobie, sprawdziło się to coś żartem w lecie napisała. Ludwika z Wacławem podobno się pobierają. Ale czy uwierzysz, ona rozkochała się i oświadczyła pierwsza, i kocha się w nim zapamiętała, jak jeszcze nie widziałam: jemu w początkach ani się śniło. Przez owe parę tygodni w Olszankach, w Wrześniu, w czasie wakacyi, i tu z razu był z nią jak z ciotecznią siostrą, którą znał od dziecka, bez żadnych nadskakiwań i widoków; co więcej, nie podobała mu się wcale ani z rozumu, ani z ułożenia, ani z urody: osobliwie w jej czarnych oczach widział coś niemiłego. On brunet, wysoki, prędki, otwarty, chwali zawsze kobiety drobne, białe, potulne, naturalne; ona choć wcale przystojna, wysoka, śniada, decydująca, a co najgorsza pełna przesady, jakichsić udawań, kaprysów i tonów, o jakich my w prostocie naszej i wyobrażenia nie mamy. Na przykład, w jednym dniu zapali się do czego jak najmocniej i ostygnie zupełnie; w jednej godzinie omdlewa ze słabości i z bólu, smutna, płacze, wzdycha i znowu zdrowa i wesoła jak rybka, śmieje się na głos i skacze. Zgoła, nadzwyczaj żywo rzeczy bierze, a jak kochana matka osądziła swoim mu-

zykalnym zmysłem: nastraja się zbyt wysoko i musi koniecznie spuszczać z tonu.

Prawda, nasz Waclaw łatwo zająć może rozsądną nawet głowę; nie tylko przystojny chłopiec, zręczny we wszystkim, bo i konno jeździ doskonale i fechtuje się i strzela sławnie; nie tylko ma tę układność i przyzwoitą grzeczność, której nabywa zwykle mężczyzna wychowany z siostrami przy dorzecznej matce, ale nie pospolity człowiek z niego się robi. Znałaś go studentem niezgrabnym i długim, od tego czasu odmienił się zupełnie; te kilka lat w szkołach i na uniwersytecie, podróże po kraju w czasie wakacyi, uczęszczanie do dwóch czy trzech domów przyzwoitych, rozwinęły go i ukształciły; i rzadko dziś widzieć dwudziesto dwuletniego młodzieńca, coby równie był zapalony do nauki i do pracy, do wyjścia kiedyś na człowieka, do stania się użytecznym krajowi, a coby razem tak prostą i gorącą jak w dzieciństwie zachował Wiarę, tak serdecznie kochał rodzinę, tyle lubił domowe życie, i tyle miał uległości dla matki, a nawet dla starszej siostry.

Nieraz rozmawiając o nim zapłaczemy nad tém, że kochany ojciec nie doczekał téj pociechy z prac swoich... Prawda więc niezawodna, Waclaw może się podobać; ależ pannie rozkochać się i oświadczyć piérwszój, choćby i Waclawowi, to nasze proste i staroświeckie pojęcie przechodzi: przecież tak się stało i tak jest. My Bogu duszę winny, nie domyślałyśmy się niczego; aż tu, coś w miesiąc po naszym przyjeździe do Warszawy, raz w nocy kiedym sobie spała w najlepsze, Ludwika wchodzi do mego pokoiku, staje przed mojem łóżkiem jakby mara jaka, ściska mi nogi, całuje, na sekret zaklina i zwierza się. „Od piérwszego momentu jak spojrziała na Waclawa, kiedy przyjechał z Warszawy do Olszanek konno, w czamarze, zrobił na niój niesłychane, niepojęte wrażenie, jak dotąd nikt jeszcze. Na-



tychmiast powiedziała w sobie, że przyszła na nią chwila stanowcza, którą przewidywała oddawna, której się bała i pragnęła razem... długo wstydziła się swego uczucia, bez ustanku sobie mówiła żeby nie myśleć o Waclawie, a coraz więcej myślała; lecz już teraz do tego doszło, że ani we dnie ani w nocy odpędzić téj myśli nie może; śmiertelny raz ją ugodził, jój wyrok już zapadł; musi być żoną Waclawa: inaczej suchot dostanie i umrze. Ona więc, że braterstwo będą się srodze gniewali, że nie pozwolą, że ją prześladować i dręczyć będą, majątku nie oddadzą; ale tém lepiej: ona wszystko i więcej jeszcze znieść potrafi; woli dach słomiany z Waclawem, jak złote pałace z kim innym..“ i tysiąc tym podobnych rzeczy.

Bo trzeba ci wiedzieć, to znowu zupełnie inny rodzaj jak Sabina: w tamtéj próżność góruje, chęć wielbicieli, pójsia bogato za mąż; ta pragnie tylko westchnień, czułych spojrzeń, sekretów, tajemnic, zgoła przygód miłosnych: tamta jest kokietka, a ta romansowa. Nieboszka ciotka, która jak wiész owdowiała w tym samym roku co moja matka, mało się nią trudniła; przyjęła jakąś guwernantkę z końca świata, czytały co im tylko w rękę wpadło, i jój umiejętność, choć wcale gładko mówi po francuzku, dobrze tańcuje i gra niezłe na klawikordzie, jest prawie gorsza niż żadna, bo skrzywiona. A wielka szkoda: czułość ma nadzwyczajną, i żadnego uporu; daje powodować sobą; moję matkę i mnie bardzo poważa i słucha nas; i nie tracę nadziei, że kiedyś potrafimy z niéj zrobić osobę dorzeczy; choć przyznać należy dużo będzie do roboty. Tymczasem, pojdziesz łatwo, jak mnie jój wyznanie ździwiło i przeległo; w naszej rodzinie od babek, prababek, takie odmienne i surowe są wyobrażenia o miłości! Chciałam tedy najprzód w żart wszystko obrócić; ale szczerze się rozżaliła i tak płakała, rozpaczała, aż mnie litość wzięła. Było to w nocy, wszyscy spali, utuliłam ją jak mogłam, a nazajutrz sko-

ro świt, powiedziałam wszystko mojej matce. Kochana matka, z razu ucieszyła się pewnym losem dla Waclawa; Ludwika najmniej trzykroć sto tysięcy mieć będzie, byłaby rada wstać natychmiast i pójść ją uściskać. Bo już to jak wiiesz zdawna, ktokolwiek jedno z nas pochwali albo pokocha, ten prosto do jej serca trafia. Lecz po chwili przemogła macierzyńską tkliwość wrodzona szlachetność. „Boleśnie byłoby dla Waclawa wszystko być winnym żonie... coby pan Antoni i jego żona pomyśleli o nas?... coby ludzie gadali?... nieboszczyk ojciec nie byłby wcale rad tak wczesnemu postanowieniu syna..“ Takie względy wnet radość z serca wypędziły, a po długiej roznowie uradziłyśmy, żeby jeszcze z parę tygodni poczekać, czy jej szła ten nie minie? nic nie mówić Waclawowi, i mieć baczne oko na oboje. Ja zaś jako powiernica heroiny, miałam przekonywać ją zwolna, że to zapal przemijający, złudzenie młodej wyobraźni, romans, dzieciństwo. I w samej rzeczy, coraz dobitniej owa nagła miłość w takim świetle nam się okazywała; a ja w duchu zaczęłam sobie szczerze życzyć, żeby minęła jak najprędzej.

Tobie przyznać się mogę, ja mam więcej dumy dla mojego brata; nie radabym widzieć całą jego karierę zamkniętą w tych słowach: „Ożenił się bogato“ niech na tém skończy, zgoda; a i tak wolałabym, żeby się ożenił dobrze, choć nie majątnie; według serca, z godną siebie, godną matki naszój. I on dawniej tak zawsze mawiał, kiedy przypadkiem albo żartem zgadało się o żonie. Ależ to wypadkami i sercem trudno rządzić. Drugiego dnia po zwierzeniu się Ludwika, Waclaw pomieszany wpadł do mego pokoju i przyznał mi się, że w szczególném jest położeniu, szczęśliwy i nieszczęśliwy razem. Ludwika go kocha, kocha całą tkliwością, z całą niewinnością młodego, nowego serca; on widzi że to źle, niestosownie, nie zachęca jej wcale, oddala wyznanie jak może, ależ nie jest bez czucia, i nie rę-

czy jak długo tak panować nad sobą potrafi. „Gdybym mógł gdzie uciec daleko—mówił chodząc wielkim krokiem po moim małym pokoiku—możeby to minęło; lecz mieszkać pod jednym dachem, widywać się codzień... to męczarnia!.. a ta dziewczyna mimowolnie cała skłania się ku mnie: taki anioł, taka śliczna!“

Choć mi bardzo było żal pocziwego chłopca, powiem ci szczerze, rozśmieszył mnie cokolwiek ten piérwszy kłopot miłosny owego Wacławka, który niedawno jeszcze był dzieckiem; pomyślałam sobie także, iż Ludwika od swego przyjazdu w moich oczach nic nie wyładniała; widać, inne oczy się robią u młodego mężczyzny skoro się zakocha. On te wszystkie moje myśli odgadł: „Ty się śmiejesz ze mnie, powiedział mi z gorzką wymówką, masz mnie za szaleńca; jać to wiem doskonale, ona nie dla mnie, ona majętna; mnie teraz żony nie trzeba: ja chcę się uczyć, chcę świat poznać, chcę sam przez siebie coś znaczyć, coś dla kraju zrobić, człowiekiem zostać, a potem dopiero myśleć o ożenieniu się. Ale zkąd wiaść odwagi żeby jój to powiedzieć? jak jój mówić: „nie kocham cię“, kiedy to nieprawda; bo jak na mnie spojrzysz temi czarnymi prześlicznymi oczami, życiebym dał żeby się z nią ożenić, i to jak najprędzej... Żartuj sobie, Krystyno, żartuj, tyś szczęśliwa, nie znasz miłości, ale nie wszystkie dusze tak nieczułe... ona inna... ona nieszczęśliwa, ona dziś płakała... nie śmieję się siostrzo, żałuj, radź, co tu począć?“ I rzucił mi się do nóg, a łzy jak groch spadały z oczu, choć ich się wstydził i krył je jak mógł.

Odechciało mi się śmiać, cieszyłam go z całych sił moich; a tając zupełnie zwierzenie się Ludwiki, powiedziałam mu otwarcie, co o tych uczuciach myślę, i wbiłam w niego większy jeszcze punkt honoru, co do krzywdy jakąby zrobił sam sobie i nam, przywodząc panienkę matkę naszej powierzoną, do zupełnego zakochania się w nim.

Uradziliśmy żeby zwolna i nieznacznie unikać jęj zaczął, żeby zaraz po obiedzie odchodził, późno w wieczór wracał, słowem zwyciężał siebie, a obojętnością choć udaną odstręczał Ludwikę. Ale gdzietam: owe tak mądrze wymyślone manewra jeszcze przyspieszyły wybuch. Dziewczyna zaraz nazajutrz zmiarkowała wszystko; i nie wiele myśląc, w wieczór, jak się nasi goście zwyczajni rozeszli a Waclaw wybierał się do stancyjki swojej na górę, porwała go za rękę, uklękła przed moją matką, a nie zważając na przytomność Zosi, ognistemi wyrazami wypowiedziała całą swoją miłość i zamiary. Była to zupełnie teatralna scena, dla mnie przynajmniej niesłychanie przykra. Szło mi o matkę, która tego dnia była cierpiąca, szło mi o Zosię; wstydziłam się za Ludwikę, żal mi było Waclawa. Kochana matka jak zawsze, najpięrsza przysła do siebie, zrobiła, powiedziała co było potrzeba. Nie łając, nie gromiąc, owszem zupełnie jakby z chórem dziecięciem, głaskała, całowała Ludwikę, która zapowiedziała wcześniej: „że ani wstanie od jęj kolau, dopóki nie usłyszy, że ciocia pozwala jęj być żoną Waclawa, darować mu cały majątek.“—„Wierzę—odpowiedziała jęj, że kochasz mego syna i wdzięcznam ci za to niezmiernie; ale ani ja, ani ty żadnego nie mamy prawa do rozporządzania tobą: jesteś małoletnia, masz opiekuna w bracie. Trzeba jęgo zapytać: co on powie, to zrobimy.“—„Nie, nie—wołała silnie Ludwika załamując ręce—niech on, broń Boże, nie wie o niczém, niech tylko ciocia pozwoli.“—„Ja bez niego na nic pozwolić nie mogę—wyrzekła nasza matka stale—i wybieraj: albo jutro napiszemy wszystko panu Antoniemu, albo jutro zachodzą konie pocztowe, i Krystyna z Agnieszką odwożą cię do Malanówki.“

Ludwika się przelekła, wstała i zezwoliła na list. Chciała koniecznie pisać natychmiast i posyłać sztafetą na całą noc; ale nareszcie dała się przekonać, a kuenta, że przecież doznała jakiejś romansowej przygody, kuenta

zapewne z Waclawa, w którym było widać walkę najmniejszego uczucia, poszła, położyła się spokojnie i nawet niedługo zasnęła bardzo smaczno. Biedny brat całej nocy nie spał, i my z matką prawie nie zmrużyliśmy oka. Rzecz niezmiernie przykra, mieć sobie powierzona młodą osobę i żeby coś podobnego się zrobiło... My tak byliśmy pewne, że Waclaw cały zajęty nauką; tak ubezpieczone tém, że ona mu się nie podobała. Ale rachuj tu na obojętność dwojga ludzi, co oboje razem czterdziestu lat nie mają, i na pannę, której głowa zapalona i pełna romansów. Zawsze to jednak nauka, jak ile możności unikać potrzeba zbliżania się codziennego osób, między którymi miłość zawiązać się może, choćby się zdawało że do niej żadnego podobieństwa niema! Nasza matka teraz mówi, iż skoro podjęła się Ludwiki, nie powinna była pozwalać Waclawowi przyjeżdżać do Olszanek na wakacye, a tém bardziej w mieście nie dawać mu mieszkania w tym samym domu. Drugiego też dnia po oświadczeniu Ludwiki, Waclaw przeniósł się na Nowy Świat pod pozorem bliskości uniwersytetu, a jeszcze przed południem wyprawiony był list do pana Antoniego. Żałuję żem nie przepisała tego listu dla ciebie, nasza matka mało kiedy pisuje i pisać nie lubi, ale wiesz jak przedziwnie pisze. Każde jęj słowo tchnęło macierzyńską i prawdziwą dumą: każde było dowodem téj rzetelnie pięknej i czystej duszy, która cała się wynurza, bo nic w niej nie ma, czegoby się wstydzic mogła. Ludwiki list pół po polsku, pół po francuzku, powinien się być spalić w drodze, taki był ognisty.

Nasz pan Antoni, jak zgadujesz łatwo, zmieszał się bardzo odebrawszy oba; a ponieważ żona była dopiéro trzy dni po słabości, w gorączce, zdobył się na rzecz, jak na niego niesłychaną: zmyślił przed panią Antoniovą nagły interes do Warszawy i przyleciał tu w tydzień niespełna.

Oni oboje mają wysokie widoki dla siostry i dziwić im się tak bardzo nie można. Ludzie mówią wiele o bezinteresowności, jednak każdy czy dla córki czy dla siostry bogatego męża życzy. Jeżeli nie posażna, musi iść za takiego coby miał pieniądze; jeżeli majątna, czemuż nie ma wymagać tego, co się jój słusznie należy? Pan Antoni przeląkł się tedy niezmiernie miłości i zamysłów siostry; ale że to dobry człowiek w gruncie, (choć trochę próżny, i niedaleko widzi), ujęło go mocno postępowanie otwarte i szlachetne mojej matki; przytém rozczulił się także nad Ludwiką, która od chwili jego przyjazdu cała we łzach i w mdłościach, nie wiem zkąd, chyba z książek, dobierała trafnych i silnych wyrazów do wypowiedzenia swojej gorącej miłości dla Wacława, i do ujęcia go sobie. Dosyć, że nasz pan Antoni tak sobie postąpił, jak nigdy spodziewać się nie mogliśmy. Rozmówił się ostatecznie z siostrą sam na sam, potem z Wacławem, nareszcie w obecności naszej i pana Stanisława, wołę swoją wyraził na piśmie. To pismo wymogła na nim Ludwika, zapewne dla tego, że to już jakiś akt, jakiś dowód niezwyčajny. Treść tego pisma złożonego w ręce mojej matki jest taka: „Pan Antoni Korwin, brat jedyny i opiekun Ludwiki, jakkolwiek szacuje wysoko nasz dom, przecież otwarcie oświadcza, że nie życzy sobie, aby jego siostra szła za Wacławem; a to i dla blizkiego pokrewieństwa i dla innych dawniejszych widoków. Gdyby jednak oboje inaczej szczęśliwi być nie mogli, poświęci swoje przekonanie i sprzeciwiać się nie będzie ich połączeniu; ale chce żeby ostateczne słowo odłożone było do trzech lat, to jest do pełnoletności Ludwiki. Do téj pory żąda: żeby nie pisywali do siebie pod żadnym pozorem, żeby inna młodzież przystęp miała wolny do jego siostry, i nikt z obcych o tym całym układzie nie wiedział.“

Kochankowie choć niechętnie, przecież musieli przystać na ten układ. I co dziwnego! Z razu Wacławowi zdawał się

srogi; teraz, codziennie więcej się z nim zgadza; daleko weselszy i swobodniejszy niż był przedtem; zaprzęgił się do nauki z podwójnym zapalem; pracuje w dzień i późno w noc; nie tylko na kursa, ale do najlepszych stolarzy i mechaników tutejszych uczęszcza; namyślił się już formalnie, żeby według woli kochanego ojca kierować się na światłego gospodarza; z Ludwiką przybrał jakiś rodzaj powagi, wyższości, mówi jej prawdę, strofuje ją nawet czasem; wymówił się już parę razy, że ta zwłoka jest dla nich obojga dobrodziejstwem, bo oboje dojrzejają, i godniejsi będą swojego szczęścia. Ona zaś przeciwnie, w pierwszej chwili prawie szalała z radości; padała do nóg bratu, zwała go aniołem, zbawcą, ojcem; zaręczała, że choćby jej przyszło dziesięć lat czekać na Waclawa, przetrwa je mężnie; gdyż obok takiej pewności, znajdzie siłę do zniesienia wszystkiego.

Teraz codziennie więcej się użala na ten układ, smutnieje, jest cierpiąca (choć nie wiem czy to istotnie, bo w małych rzeczach wcale nie jest rzetelna), trzeba ją zapędzać do książki, do roboty; tyłkoby zawsze gadała o Waclawie: jak to będzie skoro już raz się pobiorą; rachuje minuty póki on nie przyjdzie, wygląda go oknem po całych godzinach, zawsze się użala że późno przychodzi, że krótko bawi, że niedosyć czuły, że ją nigdy samą z nim nie zostawiamy i nie pozwalamy im się wygadać; nieslychanie zazdrośna, wydaje się jej, że wszystkie kobiety go wabia, i podobają mu się lepiej od niej: słowem jest nieszczęśliwa; i doprawdy, ani wiem, jak ona te trzy lata przebędzie, i my z nią. Biędna nasza matka, co tak cichość i pokój lubi, już nieraz taka zmęczona, iż wyrzekłaby się na wieki majątniej synowej; chociaż znowu, prawdę mówiąc, nie zły to los dla Waclawa, a i nam posagu przybędzie. Ludwika ani chce słyszeć o tém, żeby jej przyszły mąż brał Olszan-ki, jak być miało, a nas sptać; żąda koniecznie, aby się wyrzekł zupełnie części po ojcu, a nasza matka, która jak

wiesz, ma na całym majątku dożywocie, podzielić go mogła między nas dwie według myśli swojej. Przyznasz sama, Anielo, szlachetność temu postępowaniu i piękną duszę tej, której podobna rzecz przyjdzie na myśl. Wacławowi żal wprawdzie Olszanek, chociaż o tym bardzo nie mówi. Jego tam każdy gospodarz kocha jak syna, każdy parobek jak brata; my znamy wszystkich naszych chłopków po imieniu; wśród nich urodziliśmy się i wzrosli: Wacława jako przyszłego dziedzica, wójt z wójtową trzymał do chrztu, jeżeli pamiętasz. Nie uwierzysz co za lament był w całej wsi, kiedyśmy do Warszawy na te trzy lata wyjeżdżali. Jak zbawienia pragnął naszego powrotu i żeby panicz już raz uczyć się przestał i dziedzictwo objął; pewna jestem, będą w rozpacz, jak się o tej zmianie dowiedzą.

Dosyć, że owa cała przygoda, lubo ma swoje powabną stronę, zmieszała i przyszłość naszą i pokój obecnej chwili. Wierzaj mi, rzecz nieznośna żyć z rozkochaną panną; i musi to jakoś wychodzić z porządku rzeczy, bo przynajmniej mnie, wszystkie te głośne westchnienia, te widoczne smutki, te czułości gadane zupełnie są przeciwne. Ja bo serce uważam jako świątynię, a każde uczucie mam za tajemnicę. Nie mogę nawet pojąć, jakto drudzy mają odwagę i śmiałość mówić głośno każdemu o tym co czują, a może więcej niż czują. Ja o mojej pobożności, o mojem przywiązaniu do matki, do rodzeństwa, do kraju, nie śmiałabym nigdy rozprawiać, choć te uczucia są powinnością, cnotą. Cóż dopiero miłość! która może być cnotliwą, do cnoty pobudzić, ale nigdy ani cnotą ani powinnością nie jest. Mnie się zdaje, że to słowo *kocham!* choćby oddawna było w sercu ognistemi literami zapisane, nie wyszłoby z ust moich, chyba w dzień zaręczyn i to zapewne z pewnym wstydem. A kiedy Ludwika mówi głośno i wielkimi słowami o swojej miłości, ja zawsze się rumienię daleko więcej niż ona.



Dla naszej małej owe obrazy i przykłady także nie bardzo potrzebne; ukrywać je zaś przed nią ani podobna, i kto wie możeby jeszcze gorzej. Moi rodzice byli zawsze tego zdania: iż daleko lepiej żeby dzieci od maleńka przypuszczane były ile możności do zaufania matki i ojca, i wiedziały od nich o tém co się w domu dzieje; owe sekreta, odosobnienie, taki skutek mają, że dzieci a zwłaszcza dziewczynki, dowiedzą się prawie wszystkiego, ale od służących i z najgorszej strony. Może tym sposobem swoboda, zupełna niewinność nie trwają tak długo; ale córka uczy się wczesnie nauki życia, nauki poznawania rzeczy i ludzi, wreszcie wstrzymałości tyle potrzebnej kobiécie; a rodzice zyskują jój ufność i poznają charakter. My z naszą matką zupełnie tak jesteśmy jak z najlepszą przyjaciółką; ona nic nie taji nigdy przed nami i my także przed nią. Zosia tedy wie o tém wszystkiém, i przecie to nie robi na niój złego wrażenia; i ona także gorszy się strasznie zapalami Ludwika i przedziwnie ją czasem napomina. Niepospolita piękność, którą zataić nie było także podobną rzeczą, wrodzona szlachetność i hardość, nadały jój niepojętą dumę i przedudowną obojętność z mężczyznami. Owa duma może z czasem przeszkodzić jój szczęściu, gdy ją zrobi zanadto wymagającą od losu i od ludzi, ale nateraz od wszelkiej przesady i kokieteryi ją ochroni, i przekonana jestem, że ochroni na zawsze. Jest bardzo grzeczna dla mężczyzn, wesoła z nimi, przyzwoicie śmiała; ale widać, że o nich nic a nic nie dba: kto więc, czy nie w tém jest przyczyna owój obojętności, iż dotąd żaden jój się nie podobał, a raczej nie odpowiedział jój marzeniom. Bo to dziwne jest, i nieraz mówimy o tém z moją matką: kto uczy podobnych rzeczy dziewczęta? Nikt jój tego nigdy nie powiedział, ma dopiero lat szesnaście, romansów nie czytuje, przecież, widać, już sobie ułożyła w główce własny swój romans.

„Ze dwa albo trzy lata będzie siedzieć cicho w domu,

będzie się rozwijać, kształcić, chociaż bez wielkiej pracy; potem stanie się coś nadzwyczajnego, jakiś wypadek nieprzewidziany i ona wzbudzi szaloną miłość, wielki los zrobi, któremu wszyscy dosyć wydziwić się nie potrafią; i będzie kochana, wielbiona, sławna na całą Polskę, a kto wie, czy nie na całą Europę, z urody, z talentów, z wspaniałości i z cnoty.“ Bo już to dusza szlachetna i bogobojna; a przy tém tyle prawdziwej niewinności, że choć przeczuwa namiętną miłość, nie wystawia sobie inną, przynajmniej dla siebie, tylko cnotliwą. Jęj anioł stróż osłania ją skrzydłami swemi, i nawet cień złego nie padł jeszcze na to młode serce. Ja sama patrząc na nią nieraz myślę, że ona wyróży sobie tę świetną przyszłość, i że może słusznym instynktem jest samowładna, wybredna, kapryśna, rozrzutna, bo jęj to ujdzie. Już, jeżeli ona nie zrobi losu z urody, to nikt. Jak cię kocham, codzień piękniejsza; daleko wyższa odemnie, i już się w niej całej rozwija owa nadobna harmonija, która naszą matkę dotąd tak prawdziwie piękną czyni; przytém ma w sobie jakieś życie, jakąś pogodę, jakąś władzę, coś zwycięzkiego, przed czém koniecznie nie jedno czoło schylić się będzie musiało. Dotąd, Bogu dzięki, ona sama i wszyscy za dziecko ją mają; i chociaż mężczyźni co bywają u nas, znajdują ją prześliczną, żaden w nią się nie kocha. Zdaje się, jakby nikt nie śniał ani słowem, ani spojrzeniem rozwiać owęj korony świętej czystości, co nad jęj czołem jaśnieje. Jest w mężczyznach wrodzona skłonność do uszanowania cnoty kobiet, a te którym uchybiają w wielkich czy w małych rzeczach, same sobie winny. I nie uwierzysz jak owa Zosia, którą my nawykli zwać „małą“, zaczyna już nabierać ułożenia słusznej panny.

Osobliwa nawet w tém dziewczyna, że cały swój rozum potrafi umieścić w rozmowie, i to bardzo dowcipnie i zabawnie; szczerze ci powiadam, z obcemi daleko ma więcej przyzwoitej śmiałości i przytomności odemnie; zdanie

swoje o rzeczach i o ludziach, w tym wieku zawsze zajmujące, bo szczere i własne, bez zajaknienia wyjawia, i każdemu ma coś do powiedzenia. Zupełnie do świata jest stworzona, polubiła miasto i ani zateśkni za wioską. Także nie pomojemu. Do nauki zawsze trudna tak jak była z dzieciństwa, nie żeby jej na pojęciu zbywało, owszem i pamięć ma i łatwość do wszystkiego, do czego się weźmie; ale nie bardzo chce się wiaść do czego, nawet czytać nie lubi: jak tylko poważną książkę weźmie, natychmiast ziewa; chybaby tak co z pism ulotnych, wierszyk, powieść. Nad muzyką siedzi dosyć chętnie; głos rozwija jej się coraz lepiej. Soliva, który jej lekcye daje, powiada, że niema równego w całej Warszawie, a pan Stanisław w siódmém jest niebie, kiedy ona śpiewa. Dotąd on jeden ją słyszy; mniejsza o to, nie dbamy o to, żeby się już popisywała. Broń ją Boże od zbyt rychłego zamęzcia, kochana matka sama zgadza się na to, jak niegdyś na mnie, żeby nie poszła zamąż przed dwudziestym rokiem; mimo pewnej powagi i statku, mimo ugruntowanych zasad niewieściój cnoty, dziecko jeszcze z niej wielkie, zając się nie umie, i w niczémby sobie rady dać nie potrafiła. Nieraz to mówimy, dla niej śmierć kochanego ojca największém stała się nieszczęściem, choć najmniej ją uczuła; nietylko jej nie mógł ukształcić, ową jej hardość w tęgość charakteru przerobić, ale jeszcze przez pierwsze lata po jego stracie, nie było nad nią takiego czuwania jakby należało.

Nasza matka spodziewa się zaradzić temu wszystkiemu, dobierając jej takiego męża jak miała sama, tylko bogatszego, i właśnie takiegoby jej potrzeba; z dojrzałym rozumem, z wielką stałością; szkoda tylko, że tacy nie często się rodzą. Tymczasem chcemy ile możności wprawiać ją do czynnego, do istotnego życia. Dwa lata poświęci naukom, osobliwie muzyce, którą może posiadać gruntownie, a na trzeci rok ona będzie naszą gospodynią i to zupełną. Owe drobne szczegóły domowe i pieniężne, zwłaszcza w takim

domku jak nasz, gdzie wszystko z trudnością przychodzi, przycinają skrzydeł wyobraźni. Nad korcem krup, nad pościem słońiny, a nadewszystko nad chudym workiem, trudno myśleć o nadzwyczajnych przygodach i o królewiczach. Ona też nie bardzo lubi tej poziomiej części powołania kobiet; ale biédaczkę kilka dni temu schwytałiśmy w łapkę. Był wtedy wieczór u naszej gospodyni, pani Gozdziickiej, bardzo zacnej osoby; Niemka rodem, jest Polką sercem całém i doskonała kucharka. Córka jej dziwnie miła panienka, w wieku Zosi, smażyła pączki na ten wieczór; była w czepeczku, przy fartuszku, ładniejsza niż kiedybądź; niezmiernie się to podobało naszej małej, i sama się naparła, żeby ją uczyć gotować. Wchodziły zapewne w tę chęć naglą: czepeczek, fartuszek i gust do przysmaczków; dosyć, że teraz dwa razy w tydzień chodzi na parę godzin do pani Gozdziickiej i kucharuje z Celiną. Wszystkie podobne zatrudnienia przedziwne w tym wieku: nietylko są kobiécce, ruch dają ciału, ale umysł z powietrza na ziemię wabia, na której jednak każdemu żyć najprzyzwoiciój, dopóki nas Bóg gdzieś wyżej nie powoła... Może pani moja weźmie do siebie te ostatnie słowa? wierzaj, przyszły mi bez żadnego widoku, bez myśli o tobie. Nie wymażę ich przecież kiedy się napisały i wiem że się nie rozgniewasz. Wszak przyjaźń na prawdzie stoi? Skończę jednak, bo już mnie aż ręka od pisania boli, a pisz też do mnie, pisz prędko: serce mi się ściska jak sobie przypomnę twoje tak długie milczenie.“

---

L I S T T R Z E C I.

*Dnia 3 Lutego 1820 r., we Czwartek.* „Odebrałam przecie wczoraj twój kochany i tak wyglądany list, droga moja, jedyna Anielo, i dziękuję ci za niego serdecznie. Nie na darmo jednak turbowałam się o was i martwiłam się twojém

milezeniem: było przecucie. Dzieciny wprawdzie zdrowe, Bogu dzięki, ależ pan Chorąży jak okropnie chorował! co to za szczęście żeście z domu nie wyjechali; wieczne-byście mieli wyrzuty sumienia, gdyby bez was było się stało jakie nieszczęście... a bardzo nastąpić mogło, kiedy tylko śpieszny ratunek i przytomność kochanego twego męża życie mu wróciły. Jak ty się przelądz musiałaś, a biedna pani Chorążyna... Prawdziwie, niéma tego złego coby na dobre nie wyszło. Ja się<sup>z</sup> tak martwiłam, żeście tu na zimę nieprzyjechali, a Pan Bóg wiedział co robi. Będąż poczciwi starsz-kowie kochać was teraz oboje dwa razy więcej, dopiero w ciężkich przygodach poznaje się i ocenia prawdziwe przywiązanie. Pójdę zaraz jutro do Fary podziękować Panu Jezusowi, że to wszystko minęło szczęśliwie, i bez szkody na twojem zdrowiu. Ależ teraz nową masz przykrość, duszo moja! mąż cię odjeżdża i nie wiezieć kiedy wróci; już chce koniecznie zakończyć raz ową nieznośną a wieczną Ukrainką sprawę. Żeby téż ten pan Henryk nareszcie przyjechał i wziął się przecie do roboty; jeździłby za interesami jako brat młodszy, nieżonaty i podróże lubiący, a wybyście kłopoty domowe razem dźwigali i we dwoje byłoby lżej. ☞ Doprawdy, aż sobie wymawiam, że ja się tu tak dobrze bawię, tak miłe życie pędzę, a ty tam troskasz się, nudzisz, a co gorsza, wnet tęsknić zaczniesz. Oto i wczoraj mieliśmy znowu niezmiernie wesołą Środę, a onegdaj wieczór daleko jeszcze miłszy, przynajmniej dla mnie.

Donosiłam ci podobno, że w liczbie owéj młodzieży, którą Waclaw do nas wprowadził, jest i kilku młodych autorów, mianowicie pisarzy pism peryodycznych. Ta okoliczność nie mało pomaga do ożywienia naszych wieczorów; bo wystawisz sobie łatwo, ile pismo każde nabiera ceny, kiedy się zna osobiście autora; kiedy można dojść, dowiedzieć się z jego ust, dlaczego co napisał? wyklócić się z nim delikatnie, jeśli się co nie podoba, a w następnych artykułach

dojrzyć własnych myśli i uwag. Ja nie mam tyle śmiałości i wymowy, żebym zupełnie sama prowadziła literackie spory, ale czytając dużo i z uwagą, wiedząc wiele rzeczy od Wacława, nieraz odezwę się z mojm zdaniem, i jestem nawet jakby pośredniczką, między starszyzną broniącą logicznie, choć może z uporem dawnych rzeczy, i młodzieżą, co często z przesadzonym zapałem chce „nowego“ we wszystkim. Nie uwierzysz, jakiej niewyczerpanej zabawy są źródłem te rozprawy; jak dowcipnie i z jaką zimną krwią moja matka, pan Stanisław, Referendarz, i kilku dojrzałych młodym przycinają; a ci znowu z jakim ogniem, z jaką duszą, i tak jakby szło o zbawienie, swoje chęci, nagany i widoki głoszą.

Jużto z przeproszeniem starszych, mnie samęj, choć wcale nie potępiam tego wszystkiego co wydał wiek ostatni, a nawet wiele dzieł wysoko szacuję, przecież wydawać się zaczyna, że literatura nasza już jakby odbyła jeden swój żywot i teraz koniecznie potrzebuje odrodzenia; że się na nie zanosi, i spełni się mimo oporu, jakiby mu stawiać kto zechciał. Jezuici łaciną, Sasi gnuśnością, Stanisław August i pruskie czasy francuzczyzną, wytępili prawie zupełnie całą polskość; niemal wszystko u nas szczipione na obcym, a sami tak nazwani nasi „ojcowie wymowy“ myślą i piszą z francuzka. Przy silnym życiu jakie dziś ogarnęło młodzież myślącą, wykrywa się pragnienie wyjścia z tych pieluch cudzoziemczyzny; ideałem młodych pisarzy jest narodowość; jeszcze może dobrze nie wiedzą w czym ona jest, gdzie jej szukać, ale już piszącemu dosyć okazać jej miłość, ażeby wziętość uzyskać: czego dowodem najlepszym tak mile przyjmowane młodociane pisma autorki Pamiętki, i najmniejsze piosenki ludu. Prawdziwy i godny naczelnik tych narodowców, choć może najmniej rozprawia, jest Kazimierz Brodziński, którego i ty znasz i lubisz ulotne więrsze, ale któremu zblizka przypatrzeć się trzeba, żeby dostrzedz

czém jest i czém być może, zwłaszcza jeśli mu okoliczności posłużą. Bywa u nas, chociaż nie tak często jakbyśmy radzi, bo nie lubi nowych znajomości. Młody jeszcze, bo zaledwie trzydziestoletni, miernego wzrostu, szczupły, niewydatny, małowówny, ma w sobie coś rzewnego, coś wyższego, że nie powiem coś świętego.

Zdrowia i szczęścia nie widać na tój łagodnej twarzy; jest on z tych ludzi, z duchem których Opatrzność pieściła się więcej niż z losem, dla których ciało jest zdaje się konieczną, chwilową powłoką, jakby tą suknią prostą, tą siermięgą, w jaką pan możny się odziewa, żeby uszedł wśród gminu. Choć nie wszyscy jeszcze poznali się na nim i wielu starszych ma przeciwnych sobie, życzeniem całej młodzieży jest, żeby on był professorem literatury naszej, i wielu utrzymuje: że jeżeli on nie będzie owym mesyaszem, którego dziś oczekujemy, a który może nie zjawi się w jednym pisarzu ale w kilku, będzie przynajmniej jego poprzednikiem. Każde jego nowe pismo, bądź wierszem bądź prozą, wzbudza niezmierne zajęcie; i onegdaj w wieczór zebrało się umyślnie u nas kilkanaście osób, żeby czytać ostatnią jego pracę: umieścił jój połowę w Pamiętniku Warszawskim z tego miesiąca, a drugie połowę udzielił nam w rękopiśmie. Jest to powieść wiejska wierszem, pod tytułem „Wiesław,“ mogę ci zaręczyć śmiało, nie czytałaś nigdy nic podobnego, tak polskiego, tak swojego; bo nie dosyć, że zamiast Tyr-sysa, Damona, Filidy i Chloi, jest Jan, Wiesław, Bronika, Halina: ale w miejscu owęj ckliwęj i przestarzałej Arkadyi, owych niewidzialnych pastuszych galanteryi, jest sobie czerstwe, rzeźkie Krakowskie, z tańcami, piosnkami i obyczajami swemi. Nowa szkoła zupełny tryumf odniosła. Byliśmy w zachwyceniu, pan Stanisław nawet chwalił: nie postrze-gliśmy, kiedy autor wymknął się z pokoju, a on uciekł przed oklaskami jakie przeczuwał. Dziś siostram zamiast lekcyi, dałam do przepisania całego *Wiesława* i posyłam ci

go; osądzisz sama; pewna jestem, nie jeden wiersz do samego serca twego trafi; płakać będziesz rzewniej i miliej niż nad romansem, a niekiedy uśmiechniesz się nadobnie i powiesz z nami: „Oto polski, ukochany poeta.“

Moja Anielo, jak mnie też kochasz, wypijcie mniej na rok dwadzieścia butelek wina, a trzymajcie choć Pamiętnik Warszawski. Tyle zasług mający Bentkowski go wydaje, a Brodziński jest jednym z głównych redaktorów, i w każdym tomiku coś swojego mieści; prócz tego są i inne rzeczy zajmujące. W onegdajszym naprzykład jest: „Rzut oka na terażniejsze wychowanie Polek, przez Polkę,“ któryśmy także z ciekawością przeczytali. Jest to rodzaj obrony zamilowania francuzczyzny przez nasze damy, artykuł wymierzony przeciw Brodzińskiemu i innym młodym pisarzom, którzy ten błąd Polkom wymawiają, i z tego względu, jak miarkujesz, nie trafił do mego przekonania; ale dobrze, gładko napisany, bez żadnej żółci, wiele prawd zamyka i rzuca myśl niezmiernie ważną, myśl założenia szkoły rządowej nauczycielk Polek. Jest to myśl głęboka, prawdziwie narodowa, zaradzająca złemu w samym zarodzie; i jeżeli kiedy dojdzie do skutku, cześć należeć się będzie tej, co ją pierwsza objawiła. O! nie uwierzysz, kochana Anielo, jak wiele już się robi dobrego w tym naszym kraiku, i jak daleko więcej jest jeszcze zbawiennych zamiarów. Ale ja zupełnie się zapomniałam, wasz ogrodnik miał przyjść po mój list o piątą, już słyszę zegar, kończyć trzeba; nie mam nawet czasu donieść ci o domowych sprawach naszych, a ciębie i ważne i drobne jednakowo obchodzą. Powiem ci jednak, choć tyle: kochana matka przez parę dni była nam cierpiąca, ale od Poniedziałku, Bogu dzięki zdrowa; nasza heroina, dla której tak wiele okazujesz współczucia, cokolwiek rozsądniejsza; wieczory środowe coraz świetniejsze, a na wczorajszym były wyborne sucharki i obarzanki, Zosi pieczywa. Sama jest do zjedzenia przy tej fabryce; w far-



tuszku, w rękawkach krótkich, w chusteczce nakrzyż, prześliczna. Dotychczas bardzo ją bawią te zachody. Nie wiem czy tak długo będzie. Mnie się zdaje, ona sobie wystawia, że jest królowną przebraną, i zupełnie tak wygląda.

Gdyby to się działo w romansie a nie na prawdę, pewnoby się zakradł do kuchni pani Gozdziickiej jaki książę w łachmanach żebraka, a znalazłszy naszą Zosię równie dobrą jak piękną, zakochałby się i ożenił... Ale mnie tu dziwy do głowy przychodzą a ogrodnik przyszedł i woła. Aż mi dziwno, że dziś tylko pół arkusza ci posyłam, tamte listy za to były ogromne i będą jeszcze takie, nie turbuj się. A nie martw się też bardzo, duszko moja, odjazdem męża; zajmij się koniecznie, pisuj do mnie często i długo, czytaj, szyj, a obaczysz, czas upłynie. Posyłam ci parę książek: *Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi filozofii*, przez Szaniawskiego, własność Wacława, *Wandy*, tygodnika płci pięknej i literaturze poświęconego, cały rok przeszły, 52 numerów; nie zgub, proszę, żadnego: dołączam i *Momusa*. Niewyczerpany nasz Żółkowski zawsze nowe ma koncepta; będziesz miała czém zabawić kochanego pana Chorążego. Tak ci się wypłacam jak mogę miejskimi płodami za wszystkie wiejskie przysmaczki, jakieś nam przysłała. Powiedz pani Chorążynie, że nie możemy się odejść róży, jej smażenia, fraszka kijowskie konfitury; musi mnie nauczyć jak kiedy do was przyjadę: nic nie pomoże. Bądź zdrowa, ściskam cię jak najserdeczniej.“

#### L I S T C Z W A R T Y .

*Z Warszawy d. 13 Lutego, w Niedzielę.* „Żwawo zaczyna iść korespondencya nasza, kochana Anielo, aż miło; ledwoś odebrała mój list pisany, zaraz napisałaś odpowiedź; widać męża w domu niema, masz czasu dużo. Ale niech ci

Pan Bóg nie pamięta, jakiś mi twardy orzech dała do zgryzienia. Od Piątku dumam nad twoim listem, już dwa poobiedzia mi zeszyły na samém notowaniu myśli jakie mi przychodzą, i byłoby tego bez końca; postanowiłam więc dziś odpisać ci bądź co bądź, i list co prędzej odesłać, bo widzę, im dłużej myśleć będę, tém gorzej zabrnę; i nareszcie ani ty mnie nie zrozumiesz, ani ja siebie. Zadosyćczylniwszy nabożeństwu niedzielnemu, zasiadam tedy i piszę, i nie wstanę, póki się nie wypiszę.

Moja Anielo! ty o mnie znowu trzymasz za wiele; takie zaś wymyślić mi zadanie! dla tego, że mieszkam w stolicy, że widuję kilku ludzi światłych, że ich słucham pilnie, i żywię się ich rozumem, już we mnie upatrujesz jakby niewieściego Salomona, i powiadasz, że obowiązkiem jest moim oświecać ciebie, wieśniaczkę opuszczoną, nietylko książkami, ale radami. Moja droga, wszystkie twoje piękne słówka nie złudziłyby mnie; aleś wyrzekła: że przyłożyć się mogę do twego szczęścia... Na takie wezwanie w ogień rzuciłbym się gotowa, nietylko wziąć się do pióra: powiem ci więc jak tylko potrafię najlepiej, co myślę o tobie i o sobie; gdzie przyczyna tego, że ty umiejac, jak wyznajesz sama, mniej odemnie, masz przekonanie, że umiesz zanadto i żałujesz, że cię matka nie wychowała w staropolskiej prostocie; nareszcie odkryję ci, kiedy tego tak żądasz, jakie dla ciebie upatruję lekarstwo.

Moja Anielo! ty wcale nie umiesz zanadto; trudno w tém przesadzić tak kobiécie jak mężczyźnie: grzeszysz jakością nie ilością światła. W domu edukacya twoja szła dorywczó, bez planu; zacna twoja matka dawnego wychowania, chciała z duszy, żebyś umiała daleko więcej od niej, i dla tego mało ci udzielała swoich nieocenionych wiadomości, zostawując wszystko osobom, które miała za nierównie mędrsze i zdatniejsze od siebie. Ty dostałaś z natury wielką pamięć, dewcip, bujną i obfitą wyobraźnię, a chęci

do pracy, do przysiedzenia nie wiele; czytałaś tylko chciwie to co cię bawiło: skłonność którą nie jedni rodzice i same młode panny biorą za wielką zasługę, a która najczęściej, z przeproszeniem twojem, jest tylko lenistwem zaśkórniem. Bo proszę, co można wymyślić łatwiejszego i miłszego jak czytanie zabawnój książki? Kochana pani Podstolina powtarzała nieraz z dumą: „Moja Aniela pożera książki, ani jój nastarczyć”—a ty czytając chwytając wyrazy, zdania z dzieł czytanych i mieściłaś je wcale zręcznie i stosownie to w rozmowie to na piśmie. Pamiętasz też zapewne, jak nieraz na naszych popisach naukowych przed rodzicami, przed panem Stanisławem i księdzem Proboszczem, ty w odpowiedziach i pracach, okazywałaś wyższość nademną; przypominam sobie ile ta wyższość korciła moją matkę. Ale ojciec zawsze powtarzał: „Pole nauk jest dla kobiet jakby polem kwiatów; większa ich część zrywa je niebacznie, stroi się niemi i jaśniej; z tój liczby jest Aniela; nasza Krystyna należy do pszczołek, ona miód zbiera, i nie wydatna, choć mozolniejsza jój praca.

Wreszcie, ty duszko moja, ładna, powabna, w ośmnastu léciech poszłaś z miłości za męża, i wnet zostałaś matką. Korzystając obszernie z przywilejów podobnego stanu, mając dobrego i przywiązanego męża, który dogadzał wszelkim twoim życzeniom, bez trudów gospodarskich załatwianych aż do zbytku przez Stryjenkę, rzuciłaś się znowu do ulubionego sobie zatrudnienia: do czytania; i na ów rachunek że mężatce wszystko czytać wolno, czytałaś co ci w ręce wpadło. Owe książki były to także romanse a gorsze od dawnych; one uniosły, zapaliły więcej jeszcze bujną i ognistą wyobraźnię twoją, szkodliwego, zbytecznego udzieliły ci światła, napoiły cię przekonaniem o wyższości twojój nad osobami które cię otaczają, nad sferą w jakić Opatrzność cię postawiła; słowem, pokłóciły cię z rzeczywistością.

Otóż, kochanko, co z tobą się stało, mój ojciec to

zawsze przewidywał, i mówił: że to samo ze wszystkimi kobietami wyższego usposobienia stać się może, jeżeli inny krój, inny kierunek nie będzie dany wychowaniu niewieścemu; jeżeli gruntownych, rzetelnych nauk nie zaczną udzielać kobietom od dzieciństwa, brać więcej z niemi na rozum; jeżeli wreszcie one same przyszedłszy do lat, szczerze pracować umysłowo nie zechcą. Naszym babkom dosyć było na gospodarstwie, na apteczce i na kądzieli, bo w prostocie po ziemi chodziły; swoją tylko drogę widziały przed sobą: nas wznieśli wyżej, w nas wzbudzili smak delikatniejszy, przed nami, otworzyli że tak powiem świat inny; trzeba nam więc silnej i rzeczywistej podpory, trzeba subtelniejszych, a przecież zdrowych i stosownych pokarmów. Wpojone mam więc głęboko to przekonanie i wpoiłbym go rada w ciebie: że każda kobieta której rozum jest wyżej posunięty, która się czuje na umysłowych siłach, powinna dla własnego szczęścia, a może nawet dla cnoty, mieć obok zatrudnień domowych i robót kobiecych, jakiś cel umysłowy w życiu, jakąś wyższą, zajmującą a użyteczną pracę; jakiś punkt, gdzieby zbyteczne wody w upust jaki wpływały z pożytkiem. Inaczej, owo wyniesienie ducha na nic się nie przyda, samą nawet pobożność zaszkodzi; bo zamiast kobietę prowadzić drogą prostoty i powinności, nasunie jej niepotrzebne uniesienia i przesadzone cnoty. Zawsze tedy mój ojciec powtarzał: „Nie będzie dobrze dzisiejszym kobietom, dopóki nie wejdzie w potrzeby staranniejszego wychowania—tak jak wszedł język francuzki—upatrywać, rozwijać w dorastającej paniencie jakąś szczególną do czegoś zdatność, którąby, pielęgnowana troskliwie, mogła zostać, w potrzebie, specjalną jej umiejętnością, czyli sposobem do życia; a tymczasem, w jakim bądź rodzaju się stanie, jakkolwiek los ją czeka, czy pójdzie zamaż czy nie, zajęła, nakarmiła jej wyobraźnię; zrobiła ją przyjemną i użyteczną sobie i drugim: wykazała, że tak powiem, owoc staranniej-

szój uprawy, ulepszonej natury, osłoniła ją od nudów i odwróciła jej umysł od tej chęci zabaw, strojów, i od tej nienasyconej próżności, co tyle pleć niewieścią krzywdzi.“

Kiedy owa zdatność okaże się do muzyki albo do rysunku, a jest sposobność do rozwijania tego talentu: to dobrze; zwłaszcza też u nas, gdzie piękne sztuki tak mało jeszcze zwolenników mają; ależ wtedy trzeba jeden albo drugi z tych talentów posiadać rzetelnie, z gruntu, z zasad, i posunąć go o ile można do doskonałości, a przynajmniej do tego stopnia, żeby być w stanie udzielania go; nie zaś, nabywać talenta od niechcenia, dla chwilowego popisu, dla błyszczenia, i w taki sposób, żeby wraz z metrem i z chęcią podobania się znikła cała biegłość. Takie niedowarzone talenta są tylko stratą pieniędzy i czasu, sidłem zwoźniczym; panna zwabiwszy sobie raz męża za ich pomocą, zarzuca je zwykle na wieki; często ta, co w domu rodzicielskim koncerta dawała, mazurka sama wygrać nie umi; a kiedy ściany salonów rodziców i krewnych, ustrojone są jej malowaniami, ona wzorku do haftu wyrysować z głowy nie potrafi.

Jednak, ponieważ w ogólności mało jest osób mających z natury prawdziwy talent, bądź do muzyki, bądź do malarstwa; ponieważ najwięcej kobiet nawet przy pracy zostaje przy zupełnej mierności; ponieważ talenta wymagają koniecznie mieszkania w mieście albo znacznego nakładu i mają wielkie swoje niedogodności, nierównie jest łatwiej a nawet bezpieczniejsz, obrócić sobie jaką naukową pracę: takowa każdej z nas, młodej czy nie młodej, na wsi, czy w mieście, majątniej czy ubogiej powieść się może; a kiedy talenta, mianowicie muzyka, starzeją się, a kto dwadzieścia lat temu grał pięknie, dziś, przez młodych z politowaniem jest słuchany: nauk staroświeckich niema; owszem, jak wino z wiekiem nabierają ceny. Nie widzę nawet, coby młodej

matce oddaniu się szczególnej jakiejś umiejętności przeszkodzić mogły dzieci? dla samej rozrywki, dla samej odmiany, dla wytchnienia i udoskonalenia swego, trzebać przecie mieć parę chwil w dniu dla samej siebie; przy dobrym rozkładzie godzin i rannem wstawaniu, czas się znajdzie: wszak go nigdy nie braknie na wizyty i zabawy? i doprawdy, więcej jest kobiet wyżej wychowanych, zwłaszcza majątnych, co mają nadto, nie zaś zbyt mało czasu. A co się tyczy tej wymówki, którą ty i każda powiedzieć gotowa: „Cóż ja mam takiego robić? ja nic nie umiém, nic nie potrafię;“ zbić ją bardzo łatwo. Wszystkie bez wyjątku piszemy: wszak niéma żadnej między nami coby listu nakręślić nie potrafiła, coby jakiej księgi z wyciągami nie miała, coby choć raz dziennika albo jakiego tłómaczenia nie zaczęła. Jeżeli wszystkie piszemy, nierównie więcej czytamy; i poszłabym w zakład z tobą: iż z trudnościami ci przyszło znaleźć młodą pannę czy panią, któraby z jakie dwieście tomów nie przeczytała, od czasu jak niby skończyła edukacją, a któraby się często nie użalała, że niéma co czytać? Idzie więc jedynie o to, żeby temu pisaniu i temu czytaniu nadać cel użyteczny, cel wyłączny, a przedewszystkiém żeby sobie zabronić wszelkich dzieł próżnych i lekkich, z których nie dobrego wycisnąć się nie da, zostawiając je jedynie na chwile słabości, albo na starość. O! jak pięknie i prawdziwie nasz Skarga powiedział: „Czas, który na próżném czytaniu trawisz, jakbyś motyle w powietrzu chwycił; pojawszy, rzucić je musisz, boć ci téż i palce zmasały.“

Czyż dzieje świata, dzieje przyrodzenia, te dwa wielkie i niewyczerpane źródła nauki, nie przedstawiają przygód i dziwów nierównie więcej zajmujących od wszystkich romansów? czyż nie jest grzechem zaprzętać młody umysł zmyśleniami, kiedy prawda tak jest obfita i cudowna. Bardzo pojmuję, że raz smak zepsuwszy na owych literackich łakociach, proste i pożywniejsze pokarmy nie podobają się

i ciężą. Jednak i żołądek naprawić i umysł wzmocnić można; doznasz tego sama, ale chciiej używać szczerze i stale mego lekarstwa: recepta w kieszeni jeszcze nikogo nie uleczyła. Zarzuć wszelkie lekkie książki. Sama przyznajesz, że czytanie, jak dotąd czytałaś, nie zaspokaja cię i nie służy ci: najprzód, nigdy tych książek nie masz do woli; powtóre, jak zaczniesz czytać, już się oderwać nie możesz; dzieci, robota, wszystko zalega, gotowaś cały dzień nawet na spacer nie pójść; potrzebie, romanse kłóca cię z rzeczywistością. Czytaj więc tylko dobre, uczące dzieła; nie będziesz już nigdy narzekać na brak książek; poważne dzieło połknąć się nie da: trzeba je czytać pomału, odczytywać, chcąc żeby się obróciło w pożytek; nie zapomnisz się także przy takiem czytaniu, owszem starania około dzieci, roboty ręczne, przechadzka, będą ci odpoczynkiem po umysłowej pracy. Naznacz sobie w tém czytaniu jeden cel główny, według swego upodobania lub potrzeby, i powiedz sobie: „aby to jedno dobrze umieć muszę.“ Bo skoro która z nas nie naznaczy sobie pewnego celu, skoro nie ograniczy swowego naukowego zakresu, nie nigdy prawdziwie nie umie; a co gorsza, liznąwszy wszystkiego, nieraz myśli jak mysz w bajce, że wszystkie rozumy posiada. Ileż młodych kobiet, co jak ty mają wolny czas i prawie codzien przez parę godzin niby umysłowo są zajęte; ale na cóż się zda ta ich robota, jeżeli planu i ciągu w niej niema? Tego roku weźmie się do obcych języków; na drugi, tłumaczyć zacznie jakie dzieło na polskie; to znowu rysunek albo muzykę rozpocznie i równie prędko zarzuci; a z tego wszystkiego zostaje nic, mniej jak nic: strata czasu i piędzdy.

W mojem przekonaniu, każda myśląca kobieta powinna zostawić po sobie jakiś ślad, że myślała. Jeżeli się staramy o przechowanie rysów naszej twarzy, zwłaszcza kiedy ta twarz jest miła i znacząca, czemużby pozostałym po nas nie udzielić owęj próbki naszej duszy? Wreszcie,

wzniósłszy się nad proste potoczne życie, potrzebna jest dla rozumu, prawie jak chleb dla ciała, jakaś praca ciągła, ważna, zawsze na doręczu, któraby przytrzymywała myśl naszą lekką i do bujania gotową; w podobieństwie, jak statek w miarę ładują, żeby go fale i wiatry nie unosiły: praca, mówię, dla którejby ochota była wstać raniiej, pokonać jak najprędzej domowe roboty, być samą, choćby najdłużej, nad którą dzieńby zszedł prędko i mile, choćby też w tym dniu, ani gości, ani zabaw nie było. Jak mnie usłuchasz, Anielo i jak się zajmiesz podobnie, dopiero poznasz ile takowe zatrudnienie ma wdzięku i korzyści. Obierz sobie tylko, powtarzam, jaki główny cel; niech to będzie z *dziejów świata*: historia jednego kraju, jednego wieku, historia kobiet sławnych, dzieci, nawet jednego człowieka; niech to będzie z *dziejów przyrodzenia*: bliższe poznanie tego lub owego królestwa, tej rodziny zwierząt, albo roślin; niech to będzie wreszcie z *dziejów literatury*: zgłębienie dzieł jednego rodzaju, ocenienie dokładne i porównanie dwóch lub trzech podobnych sobie pisarzy—a obaczysz, jak już nigdy nudzić się nie będziesz.

Każda dobra książka, każda nowa znajomość, każda poważniejsza rozmowa dorzuca ci do twoich skarbów; dzień każdy owoc swój przyniesie i pamiątkę zostawi. Będiesz miała zawsze jakąś myśl w głowie, jakieś żądanie, jakąś ciekawość, słowem, coś co cię zajmować będzie; a mieć szlachetne uczucie dla serca, mocne i użyteczne zajęcie dla umysłu, jużci potoczne szczęście gotowe. Bądź tego pewna: mojej pracy winnam rzadką swobodę, spokojność, humor jednostajny, owe dary których mi zazdrościsz, a których używam ciągle, choć nie jestem ani ładna, ani majątna, choć zamaż ani idę, i może nigdy nie pójdę; bo kiedy inne panny myślą o kawalerach, co się nie trafiają, o zabawach, co także z trudnością przychodzą, ja sobie myślę o książkach, o które daleko łatwiej; i nie potrzebuję ani tańców,



ani zgromadzeń, ani strojów, żeby się bawić wybornie. Gdybyś ty wiedziała, co to dla mnie za radość posłyszeć o jakimś nowym polskim dziele, w pismach czasowych znaleźć jaką wiadomość historyczną, z rozmowy starszych dowiedzieć się jakiego szczegółu, zobaczyć jaki pomnik, wreszcie poznać rodaka który albo już jest znakomity, albo nim być obiecuje! Na publiczne posiedzenie Towarzystwa przyjaźni nauk, które ma się tu odbyć dopiero w Maju, już dziś się cieszę, jak Zosia na bal; bo jak wiesz dobrze, przedmiotem mojej pracy, celem głównym wszelkich naukowych zatrudnień, jest *polszczyzna*.

Wychowana na wsi, wśród książek, i przez tak świątliwych rodziców; nie urodziwa, mając do jednej igielki wrodzony talent, wcześniej niż inne dziewczęta zaczęłam myśleć i uważać. Pan Bóg mi nie dał jak tobie ani dowcipu, ani wymowy, ani wyobraźni, ani bystrzej pamięci, ani nawet śmiałości; nie mogłam tedy popisywać się z moją umiejętnością; i przyznam ci się szczerze, na dobre mi to wyszło. Tylko z ust rodziców i dwóch szanownych przyjaciół, słysząc pochwały, i to pochwały przeplatane radą i naganą, nie mogłam wbić się w zarozumienie. Nie mając zarozumienia uczyłam się ciągle i pilnie, i pragnęłam umieć jak najwięcej. Mój ojciec widząc to i bojąc się, żebym chciawszy ogarnąć wszystko, nic nie objęła, nakłonił mnie, kiedy już miała ogólne ale porządne wyobrażenie główniejszych umiejętności, żebym się oddała jednej wyłącznie, wskazał mi rzeczy ojcyste, a jam chwyciła się ich skwapliwie.

„Poznać dobrze polskie rzeczy—mawiał on przeczuwając duch rozpoczynającej się dziś epoki\*)—winno być teraz

---

\*) Te wszystkie uwagi, pamiętać trzeba, pisane były trzydzieści i kilka lat temu.

dążnością tych wszystkich co myśleć umieją. Odkrywanie i wertowanie starych dzieł i rękopismów, dzieje i ocenienie naszej literatury, wykład krytyczny instytucyj, zgoła, całą erudycyę w téj mierze mężczyznom zostawić należy; już oni nawet wiele zrobili, a więcęj jeszcze robią; i niezawodnie dojdziemy wkrótce do rzetelnéj *publicznej* historii polskiéj: ale *domowa*, nigdy dokładną nie będzie, dopóki Polki nie wezmą się do zbierania do niéj drobnych a szacownych materyałów. Czyż mało Francya i Anglia winna w téj mierze listom i pamiętnikom kobiet swoich? Czemużby i Polki chwytąć nie miały na uczynku owych zajmujących szczegółów, co wymykają się mężczyznom; zważającym zawsze więcęj na ogół, na przyszłość? czemu nie mają zachować rodzinnych wspomnień? czemu każda co pisać umieć, niéma opisać—po polsku oczywiście—dla dzieci, dla przyjaciół, znaczniejszych wypadków, których była i jest świadkiem? czemu kiedy jéj się zdarzy widziéć jednego ze sławniejszych rodaków, nakreślić niéma, jak wygląda, co mówił, jak był ubrany, jakie wrażenie na niéj zrobił?

Cobyto, był za skarb znaleźć podobny pamiętnik po jakiej matronie z Zygmuntofskich czasów, albo z lat Sobieskiego, a nie sięgając tak daleko, niechbyśmy natrafili na takowy z panowania Stanisława Augusta, pochwycilibyśmy go także ciekawie. Podrobione tego rodzaju pisma zajmują nas i uczą; cóżby dopiéro było z prawdziwemi? A jeżeli która Polka lubiąca uważać i pisać, ciągle na wsi siedzi, sławnych ludzi nie widuje, znajdzie koło siebie wzory gotowe: pamiętki rodzinne i lud wiejski. Niéma u nas szlacheckiego domu, gdzieby familijnych tradycyj nie było, i gdzieby wypadki życia dziedziców nie łączyły się ściśle z wypadkami krajowemi; a raz zapisawszy te przygody, zostanie jeszcze skarb niewyczerpany w kniotkach. I oni mają podania i wspomnienia swoje. Nasze wioski, po więcęszej części dawne, są krwią i pożogą chlubnie znaczone,

i znajdziesz w nich rodziny, od kilku wieków na témże miejscu zamieszkałe; wdaj się ze staremi gospodarzami w rozmowę, a oni ci nie jedną rzecz ciekawą powiedzą, nie jedną godną pamięci wskażą mogiłę. Wreszcie spisywać sobie można obyczaje wieśniaków, ich przysłowia, piosenki, sposób mówienia, ubierania się, leczenia: zgoła, całe ich obejście, całe życie; będzie to zajmująca i użyteczna praca: z takich materyałów dopieroby można nasz lud prawdziwie poznać i opisać, a co większa, z rzetelną korzyścią dla niego pracować.“

Podobne słowa, uwagi, rady, wypiaستowały, że tak powiem, mój umysł, wlały we mnie chęć do narodowej pracy, pierwój jeszcze niż zrozumiałam co to narodowość; bardzo młodą będąc zaczęłam pisać pod okiem kochanego ojca, a choć go straciłam, piszę ciągle, i zdaje mi się nawet, jakbym tym sposobem czciła jeszcze pamięć jego. Domo we, potoczne rzeczy zapisuję w księdze, która *pamiętnikiem* się zowie; historyczne i inne układam prządkiem abecadłowym, pod tytułem *słownika narodowego*; piszę prawie codzień, to w jednéj, to w drugiéj książce, a ponieważ w téj całej robocie widzę ów ślad jaki mam zostawić po sobie, ów dowód tego, „żem myślała,“ troskliwie koło niéj chodzę i jestem baczna w doborze rzeczy, ostrożna w zdaniu, zwięzła w słowach; daleko czytelniejsze pismo i styl lepszy, poprawniejszy niż w listach, bo zawsze jest mi obecna pamięć, że te książki mnie przeżyją, dzieciom moim się dostaną, jeżeli je mieć będę, a jeżeli nie, to przechowają się u bratanków i u siostrzanów, jako *pamiętka po staréj ciotuni*; i może kiedyś, kiedyś, jaki Czacki dwudziestego wieku zawita do ich prawnuków, naprze się tych szpargałów, a jeżeli mu dać nie zechcą, gotów będzie i wykraść... Żartuj i śmień się, Anielo, z tych marzeń moich, ale sporządź sobie podobne: obaczysz jak mi będziesz wdzięczną. Masz koło siebie materyał szacowny: wyciągnij tylko pana Cho-

rażego na słowa; niech ci opowie o dziadzie swoim, towarzyszu Leszczyńskiego, o ojcu, o sobie; badaj i ją samą; osobiwie, pytaj się o jej młode lata, o wspomnienia z domu rodziców: wszystko co od nich usłyszysz, będzie miało wartość swoją. Ach! która rodzina tyle szczęśliwa jak wasza, że zachowała szanownych starców swoich, powinna korzystać z owych żyjących pamiętników, dopóki ich starczy. Ileżto już razy żałować mi przyszło, że nie znała rodziców ani mego ojca, ani mojej matki: książki nigdy nie nauczą tyle co ludzie..

Mimo jednak wszelkich zalet i przyjemności tego *pamiętnika* i *słownika*, nie ogranicza się na nich moja narodowa praca, i nie od nich się zaczęła. Podstawą całej musiały być dzieje Polski od początku do dziś dnia. Wiesz, że to była pierwsza nauka moja po historii świętej; matka mi je opowiadała, ojciec czytywał od samego dzieciństwa: mogło się być zdawać i mnie i każdemu, że je umiem bardzo dobrze; przecież, kiedy doszła do lat siedemnastu, właśnie tego roku coś ty poszła zamaż, ojciec mi kazał z Naruszewicza, z Albertrandego, i z innych pisarzy tak polskich jak francuzkich, utworzyć sobie *historję polską* mego pióra. Była to na całe dwa lata robota. Mam ją czysto przepisaną w kilku poszytach, na półarkuszach składanych przez połowę; rzadki dzień dotąd żebym na której kartce słów kilka nie dopisała; i sądzę że każda Polka co książki i pisanie lubi, powinna mieć taką „*swoję historję polską*“ i ciągle ją dopełniać, często odczytywać; inaczey trudno jej będzie umieć porządnie i dokładnie dzieje własnego kraju. Prócz tego, ojciec, w owym czasie kiedyśmy jeszcze Bentkowskiego dzieła o literaturze nie mieli, swoją ręką spisał kolejną lat, nazwiska i dzieła wszystkich polskich pisarzy godnych czytania, zaczawszy od najdawniejszych, i ja staram się ich poznawać, jak tylko sposobność się trafi. Skoro mam jednego z nich w rękę, zaraz sobie

osobny zeszyt robię, znacząc go stosownym rokiem, bo, niedosyć że czytam dzieło, wypisuję z niego wszystko co mi się lepiej podoba, daję krótką wiadomość i zdanie o pisarzu, i porządkiem dat owe zeszyty układam.

Od lat dziesięciu tak czytając i zbierając, już mam rodzaj kursu lepszej literatury polskiej, niedokładny zapewne, ale wystarczający na moje potrzeby; zrobił się, sama nie wiem jak i kiedy; a nie wystawisz sobie jaki jest szacowny, zwłaszcza dla mnie, która i połowy tych dzieł nie mam na własność, gdyż u nas polskie stare książki taką są rzadkością i od kilku zwłaszcza lat tak poszukiwane. Nie uwierzysz także jaką mi ten kurs jest teraz pomocą w uczeniu Zosi i Ludwiki. W ogólności te wszystkie moje zbiory jeszcze dwa razy więcej cenię od czasu jakem się podjęła obeznać siostry z rzeczami ojcystemi; zupełnie mam czém im krasić i uzupełniać historję polską, która jakkolwiek może jest najciekawsza, najwięcej romantyczna ze wszystkich nowoczesnych, przecież dotąd nie znalazła nikogo, coby ją od początku do końca obszernie a zabawnie dla kobiet i dla dzieci napisał. Tobie, jako matce, bardzoby przystała taka praca. Słyszałam nieraz od mego ojca, i dziś to mówią ogólnie: niewiedomość Polek w téj mierze wielu nie-szczęść naszych jest przyczyną. Matki poznawszy dokładnie skłonności i wady narodowe, (a gdzież je lepiej poznać jak w historyi), dopieroby potrafiły ukształcić, jak należy, młode pokolenie.

Zabierz się więc jak najprędzej do téj roboty, kochana Anielo. Pan Choraży, w swojej szafce za puzderkiem z gdańską wódką, obok kalendarzy i rękopismów, ma starą kronikę Bielskiego; widziałam ją sama, weź się do ję czytania; wiem téż, że masz pocziwego „Pielgrzyma z Dobromila“ i wydanie księdza Wagi, przez Joachima Lelewela; ja ci będę mogła udzielić Bandtkiego i kilka nowych dziełek o historyi polskiej Faleńskiego, Czerwińskiego; po je-

dnem panowaniu czytaj w każdej z tych ksiąg i pisz co spamiętasz. Przytém, zrób sobie poszyt z kilku arkuszy i notuj wszystko, czego od obojga stryjostwa, od księdza proboszcza, od sąsiadów, od domowych i wieśniaków stosownego i ciekawego się dowiesz. Tym sposobem będziesz miała jedną pracę poważną, której już wyznacz codziennie godzinę lub dwie, i drugą łatwiejszą, którą dopełniaj dopadkami. Prócz tego, ponieważ dużo siedzieć musisz w pokoju pana Chorążego, i użalasz się na brak roboty, gdyż twoją panna obszywa i ciebie i dzieci, zacznij jaką piękną, kunsztowną robotę ręczną, i daj sobie słowo że ją skończysz; a skończysz niezawodnie, jeżeli codziennie pracować koło niej zechcesz. Nie uwierzysz, jak ja wzdycham do tego, żebym, mając kiedyś czas i pieniądze, zająć się czemsiś podobnym mogła; i jak pojmuję, mimo całej mojej miłości do pióra i książki, że praca piękna igielkowa mogłaby także umilić i napełnić dzień mój. Co to za uciecha mieć taką robotę, o której obudziwszy się w nocy myślisz, rano wstawszy, albo wróciwszy z kąd do domu, bieżysz do niej, odsłaniaasz i przypatrujesz jak się wydaje, jak dużo zrobionego? a kiedy cię znajomi odwiedzają, pokazujesz im i popisujesz się. Ale żeby taka praca prawdziwie była miłą, trzeba żeby miała cel i użyteczność. Możeż być cel stosowniejszy dla pobożnej kobiety nad „ozdobę ołtarzy?” Pracowały pilnie do kościołów prababki nasze, pracują jeszcze dziś niektóre szanowne matrony; czemużbyśmy i my młodsze iść tym śladem nie miały?

Ułóż sobie naprzykład, Aniello, że wyszyjesz cały garnitur do waszjej kaplicy Matki Boskiej; zrób sobie jaką intencję, a na początek roboty weź się do kobierca. Widziałam właśnie wczoraj kobierzec bardzo gustowny, w kwadraty jednostajnej wielkości, które potem się zszywają; ułatwia się tym sposobem robota i urozmaica, gdyż każdy kwadrat może być odmienny. Z Krakowa będziesz miała łatwo

i wzory i włóczki, wiem nawet, że masz ich zapas nie mały u siebie. Jak to pięknie, jak miło będzie, kiedy da Bóg doczekać, twoja Marynia, a może i córka jój, ślub brać będą na tym kobiercu, przed tym ołtarzem, i zostanie na długie lata w Ugorskim kościele pamiątka po pani Anieli Nałęczowój. Wszak widzieliśmy w katedrze Krakowskiój, Anny Jagiellonki, co więćej, królowój Jadwigi roboty. Oto i zeszłój jesieni, zwiedzając kościoły Warszawskie, w nie jednym skarbcu widziałam naszych królowych i królewien prace; u Kapucynów jest ornat biały haftowany w kwiaty kolorowe, ręką Maryi Anny, córki Augusta III, bardzo dobrze zachowany. Gdyby nie ta jój praca, nie wiedzianoby wcale o tój królownie, chyba z genealogii. Gruntu, celu i wytrwałości, tego potrzeba i tobie i wszystkim wyżój wychowanym kobietom, w ich naukach i zatrudnieniach. Póki w edukacyi naszój, światło będzie tylko strojem, a talenta sposobem zabicia czasu albo zwabienia męża, póty ani się nie przydadzą na nic, ani zaspokoją; i zawsze na tём się skończy, że i drudzy dla nas i kobiety same dla siebie żalować będą dawnój ciemnoty.

Odczytałam całą tę moję ramotę i doprawdy, boję się czy się nie przełękniiesz; bo to z początku prawdy nie miłe, a potём zadanie tylu i takich prac! Ja tём nie wymagam, abyś ty wszystko tak dopełniła jak ja mówię; choć częsteczkę małą sobie obierz i wykonaj, a zobaczysz, i na tём wyjdiesz dobrze. Ale ja zupełnie zapominam, iż choć to dziś wprawdzie Niedziela, dzień więćej mój niż inne, przecież jest to Niedziela zapustna, Niedziela ostatnia, a dziś, jutro i pojutrze wszyscy z obowiązku szaleć muszą. I my szalejemy.

Drugi raz tych zapust nie u siebie jesteśmy na wieczór, jednak zawsze w domu, bo u naszój gospodyni. Nigdzie więćej nie bywamy, chociaż na różnych zaprosinach nie brakuje; nawet na bale księcia Namiestnika przysyłają

nam bilety. Musieli się dowiedzieć o naszej Zosi. Nie zwabią nas jednak. Nasza matka młoda, szczęśliwa i w dostatkach będąc, nigdy wielkiego świata nie lubiła; cóż dopiero teraz? a choćbyśmy mieli na stroje, na powóz, proszę cię, co nam po tych zabawach? Dla Zosi zawczasie, dla mnie zapóźno, dla obudwóch niepotrzebnie. I Ludwika do mierności przeznaczona, także się bez tego obejdzie. Moja matka zawsze powtarza: „Chcąc w wielkim świecie bywać z przyjemnością, trzeba mieć majątek i imię.“ I obie nigdy pojąć nie możemy takich matek jak Sędzina, co już nie mogąc bywać sama dla zbyt dużego kosztu, gwałtem tę swoją córkę wprasza i narzuca każdemu, żeby ją po wielkich balach obwoził; albo i tyle innych osób naszego stanu, co koniecznie chcą wyjść z niego i świecić się po najpiérwszych domach. Od czasu jak mieszkamy w Warszawie, uważam wielką słabość niektórych osób nam równych; wygadują na panów, szydą z ich tytułów, a drą się i pną do ich towarzystwa z całych sił; tamci ich odrzucają, dumają częstują, żartują z nich w oczy i za oczy; nie, oni trwają w swoim: wszystko znoszą, byle się mogli pochwalić, że siedzieli u jednego stołu, że tańcowali w jedném kole co książęta i hrabiowie. Czemu, kiedy można, nie żyć wśród swoich z równymi sobie, i każdemu téj przyjemności nie zostawić?

Mamy nadzieję zabawienia się bardzo dobrze, chociaż nie będzie młodych mężczyzn tylko starzy i same panny; ale za to każda z nas się przebierze: już mamy ubiory gotowe. Ludwika będzie jakąś heroiną Ossyana, nie można ją było na nic innego namówić; długie szaty muślinowe białe, włosy rozpuszczone, wieniec bluszczu na skroniach! Nie kosztowny przynajmniej ubiór, i powiem ci pod sekretem: owe zasłony i draperye ze staréj franki zrobione. Zosia będzie za Krakowiankę i już od rana krakowiaki śpiewa, tańcuje i skacze po wszystkich pokojach. Waclaw, który



sam jeden dostał to pozwolenie od pani Gozdziickiej, w ciągu wieczoru wpadnie przebrany także za Krakowiaka z piosnkami „Wiesława“ w ustach; a głos ma bardzo przyjemny. Ona tylko i my dwoje wiemy o tej niespodziance, nawet przed naszą matką nie powiedzieliśmy, żeby się uśmieła lepiej. Widzę, jak Ludwika będzie żałować, że wzgardziła strojem krakowskim. Ja sobie będę za gospodynią z Olszanek, moją kuzynką Banachową, i cieszę się zawczasu, jak czepek rąbkowym i karmazynowym gorsetem uszczęśliwię potem którą z naszych młodych mężatek. I twoje dzieci pewno się dziś przebierają i radość w całym dworze; zwłaszcza kiedy kochany pan Chorąży coraz lepiej przychodzi do siebie. Poco tu szukać wielkich, wytwornych i kosztownych zabaw? W kółku domowym tak dobrze a niewinnie zabawić się można. Posądzisz mnie może, iż z umysłu na czém inném kończę list jak zaczęłam, żeby złagodzić przykre wrażenie tylu uwag i moralów; doprawdy, samo z siebie tak się zrobiło. Ty wiesz, kiedy z tobą jestem, puszczam cugle myślom moim, a pióro wszystko pisze, tak jakby usta mówiły. Zawsze mi żal żeś nie przyjechała... Ale kończyć muszę, słyszę głos Wacława: zapewne mu brak czegoś do stroju. Bądź zdrowa, dziś pewno nie będzie kogo posłać na pocztę, więc nie pieczętuję listu i jutro ci napiszę jak się wieczór udał.

*Nazajutrz rano.* Przecudowny mieliśmy wieczór, kochana Anielo, i nasza niespodzianka udała się doskonale. Pani Gozdziicka zrobiła nam także figla na figiel; obie z Celiną urządziły w swoim stołowym pokoju zupełną karczmę i wiejskie wesele; były i grajki „skrzypce i basy“ i żyd z żydówką i z bachorkami. Jak Wacław wbiegł do pokoju, mnie saméj się zdawało, że to żywe powtórzenie „Wiesława.“ Jedna tylko Ludwika w swoich upięciach i rozpuszczonych kosach smutną grała rolę, i zgadłam że będzie w rozpaczy; ile że Wacław odurzony piosnkami, strojem

swoim i tańcem wybornie wywijał z Zosią, która była panną młodą, a lepiej jeszcze z Celiną, którąśmy na ten wieczór „Halina„ przewali. Przeleciała mi nawet jedna myśl, i daj Boże żeby tylko mnie.... gdyż z niepojętym wyrazem śpiewał tę zwrotkę:

Czemuż ja w Proszowskiej ziemi  
Małe zaznał dziecię?  
Byłbym między Krakowskiemi  
Najszczęśliwszy w świecie i t. d.

Aż mi się żal zrobiło Ludwiki, i jakiś strach mnie zdjął,  
bo i

Halina zapłoniona cała,  
Między starszyznę za stół uciekała.

Poszłam z Ludwiką do siebie; przebrałam ją w cały ubiór prócz czepka, z kawałka czarnego aksamitu zrobiłam jej naprędce czółko, nakładłam wstążek, sama się ubrałam za starą babę i przyprowadziłam ją jako druchnę weselną. Bardzo jej było do twarzy; daleko więcej na hożą dziewczoję jak na ulotną i przezroczystą Minwanę wygląda. Wacław prawy Mazur przejrzał dopiero wtedy; zaniechał krakowiaków i krakowianki, wesole mazurki śpiewać i tańczyć zaczął; dobra harmonia zupełnie wróciła, i spodziewam się, że nikt nie odgadł prawdziwego powodu naszego przebrania się. Jednak, kochanko moja, kiedy miłość narzucona, to jakoś bardzo niepewna i strasznie na chorągiewkę zakrawa. Dziwneż bo to jest uczucie ta miłość, i codzień się więcej przekonywam, że zakładać na niem szczęście i życie swoje, jest to postawić zamek na lodzie, zawierzyć róży, że zawsze kwitnąć będzie... Tej Ludwiki mi nieraz żal, bo nie wiedzieć zkąd, zapewne z romansów ma to przekonanie, iż wszystkie uczucia prócz miłości są jakby niezem, ona jedna trwała; nieśmiertelna, serce napelniająca; kto się nie

kocha, w kim się nie kochają, ten żyć nie powinien, nie wart. Gdybyś ty wiedziała z jakim politowaniem ona na mnie patrzy, za jaką zimną istotę mnie uważa... Nie miałabym się jednak z nią na serce, bo wszystko mi się wydaje, że mimo tego co gada i robi, więcej daleko siebie kocha niż Wacława... Jakże często samolubstwo postać czułości przybiera... Ale nie będę się wdawać w nowe rozprawy, list i tak ogromny i nową mam w domu robotę. Kochana matka, choć zmęczona wczorajszym wieczorem i tém wszystkiém, co słyszy o karnawałowych zabawach, dała się uprosić i będzie u nas „ostatni Wtorek.“ Trzeba trochę lepiej wystąpić jak zwykle, o strojach pomyśleć, być u pań naszych z wizytą, Wacława wyprawić po zamówienie tancerzy. Warszawa bardzo ożywiona w tym roku, i nie tylko są wielkie bale, ale mnóstwo wieczorów i wieczorków, gdzie także równie dobrze się bawią. Bądź zdrowa, moja Anielo, a odpisz mi jak najrychlej. Wyłaj mnie, jeżeli chcesz za wszystkie prawdy i rady, ale nie miej żalu i usłuchaj.“

---

#### L I S T P I A T Y.

*Z Warszawy, 21 Lutego 1820 r.* „Twój list przyszedł prędzej niż spodziewać się mogłam, i jest mi nowym dowodem poczciwości twego serca. Przyjąć ostrą prawdę i rady bez żalu, owszem z czułą wdzięcznością uznać winę z taką prostotą i wzięść się natychmiast do poprawy, wierzać mi, to nie każdy potrafi. Już tedy romanse potępione na wieczne czasy, kwadrat kanwy nałożony w krosna, wielki zeszyt z całej libry papieru zrobiony; Kroniki, Leleweł, Pielgrzym i Krasicki na stole. Zdawałoby się, że na jeden dzień to bardzo dosyć, ale żywość i zapał pani mojej nie przestały na tém.

Moja ty poczciwa Anielo, jakże ty mi się nic nie od-

mieniasz, jakaś ty mi zawsze młoda; ażby mnie to odmłodzić powinno, boć ja o rok młodsza od ciebie. Oświadczasz mi, między innymi, jako rzecz zupełnie naturalną i łatwą, że przekonana i nawrócona przezemnie, przypominając sobie nasze dawne lata, zostajesz autorką; a nie czekając, przysyłasz mi powieść z francuzkiego i wiersze do Warszawskiego pamiętnika; każesz mi się wywiadywać o sposób najkorzystniejszy wydania twego pierwszego dzieła, i zupełnie mnie łajesz, żem ja dotąd nic nie podała do druku. Wybacz, moja Anielo, ale przeczytawszy to wszystko, nie mogłam się wstrzymać od głośnego i serdecznego śmiechu. Tyś mnie chyba nie rozumiała. Jam nie miała najmniejszej chęci namawiania cię do autorstwa, ani też sama teraz nie myślę i nie mogę być autorką. Prawda, niegdyś w Olszankach i w Zatulinie, przechodziło nam to obydwom przez głowę; pamiętasz ową rycerską powieść cośmy napisały we dwie, której naprzemiany jedna kartka była *twoja*, druga *moja*, a którą miałyśmy kazać wydrukować w sekrecie i ofiarować memu ojcu na imieniny? Ja wtenczas i jeszcze parę lat później, byłabym nawet bez twojej pomocy na własną odpowiedzialność, jakie większe dzieło wydrukowała, z taką samą łatwością, z jakąbym była wtedy poszła za starego Majora; ale skoro raz dwadzieścia lat minęło, cała ta łatwość, ta wiara w siebie, a raczej ta niebacznosc gdzieś się podziały. Dziś, wiem nadto, jakiego męża do szczęścia potrzeba, żebym przyjęła pierwszego lepszego; a może zbyt znam jak pisać należy, żebym dzieła pisała i rzucała na pastwę najskrytsze myśli mojej.

Czy myślisz, że modna dziś autorka, nasza „młoda Polka“ której imię cytujesz dla zachęcenia i mnie i siebie, jak dojdzie do lat trzydziestu, nie będzie żałować swoich młodocianych „powieści historycznych?“ czy myślisz, że jej się wszystko tak szczęśliwie powiedzie jak „Pamiętka?“

Dla niej jednak, która, jak slysze, chce się już oddać zupełnie powołaniu autorskiemu i ma je za przeznaczenie swoje; dla niej, którą wszystko co ją otacza, zachęca i chwali do zbytku, może wreszcie i dobrze, iż tak młodo i odrazu puściła się w zawód autorski; później możeby się już była nie odważyła, albo okoliczności nie byłyby jęj tak sprzyjały; aleć wszystkie kobiety autorkami być nie mogą: to powołanie acz bardzo piękne, będzie zawsze wyjątkowém; ty, ja, tysiące innych w odmienném jesteśny położeniu, a choć zapewne równie światłe, może światlejsze jak ona, inną drogą iść powinnyśmy. Mnie na przykład, prócz innych przeszkód, moja matka nigdyby nie pozwoliła być autorką; najprzód zawsze sobie wystawia, że i tak ze szkodą zdrowia nad książkami siedzę; każdą naganę swego aniołka, a jeszcze drukowaną, pewnoby odchorowała, i byłaby pewną, iż raz ogłoszona za uczoną, nigdybym nie dostała męża; a wydać mnie zamąż, jest jak wiesz, najżywszém jęj pragnieniem. Wreszcie, muszę ci powiedzieć prawdę o sobie. Dawniej miałam i ja tę jakąś potrzebę udzielania się drugim; tę nie wiem czy wadę czy cnotę niezachowania nic w sobie ani dla siebie; ale za każdym rokiem zamykam się więcej. Kocham bliźniego tak jak dawniej kochałam, lecz i samą siebie równie kochać zaczynam; oddaję drugim godziny moje, usługi, starania, uczucia, myśli i wrażeń już im wszystkich nie oddaję, już je skarbię w sobie.

I tak, naukę lubię dla samęj nauki, a raczej dla samęj siebie; ona jest dla mnie, nie tylko wytchnieniem, zajęciem, ale sposobem doskonalenia się, promykiem wyższego światła, szczeliną lepszego życia; piszę sobie swobodnie, bez trosków, bez przymusu, bez żadnej obawy, żeby ktoś nicował moje słowa i sądził z nich o mnie to źle, to dobrze, a najczęściej mylnie; czytam to co mi się podoba, co dla mnie samęj jest użyteczne; zapasy które sobie zbieram

przedziwne są dla mnie, będą szacowne dla moich blizkich, może i dla kogo obcego za lat kilkadziesiąt, ale dziś wcale nie są do druku. Umiejętność moja jest sobie taka, jaką każda kobieta staranniej wychowana, mieć powinna dla swojej własnej potrzeby. Bo powiedz mi, cóż ja tedy tak bardzo umiém? Chrześcijanka i Polka znam moje Wiarę i kraj mój; zastanawiam się nad przeznaczeniem człowieka, nad powinnościami kobiety w dzisiejszym wieku, i zawsze czytam i wertuję jakie znakomite dzieło w tym przedmiocie, bądź święte, bądź świeckie, bądź polskie, bądź francuzkie, zresztą mam proste wyobrażenie innych wiadomości; talentu żadnego nie mam, język francuzki doskonale rozumiem, lecz go nie posiadam. Każda panienka co z pensyi wyszła, może się wydać i mieć za uczeńszą odemnie, a każdy mężczyzna co odbył szkoły, dwadzieścia razy więcej umiém. Gdzież tu jest powód, obowiązek do występowania przed publicznością, coprędzej, tak jak ty mnie chcesz przekonać? Wszak bardzo wiele młodych osób gra dobrze na klawikordzie, nie jednej się uda złożyć taniec jaki albo piosneczkę; czyż dla tego mają się za wirtuozki, czy dają publiczne koncerty?

Co się zaś tyczy poezyi do której mnie prawie gwałtem namawiasz, słowy i przykładem, przypominając mi znowu jakieś tam wierszyki i przysyłając mi swoje półarkuszowe „Dumania“, w tém, będę jeszcze gorzej nieubłagana. Nie lubię drukowanych wierszy, chyba bardzo piękne; poetą rodzić się trzeba: temu jedynie co ma ten święty ogień w sobie, temu wolno ogłaszać wiersze; bo taki bywa natchniony, taki ma myśli wielkie, nowe, tklive, trafiające do duszy, a czy jest rym i miara w tém co pisze, czy nie ma, zawsze jest poezją. Ale ubrać myśl ubogą i znaną w wyszukane słowa i w końcówki, choćby téż to komu z łatwością i potoczysto przychodziło, i narzucać tę swoją robotę drugim; w tém nie widzę żadnej zasługi, żadnego celu,

a widziałabym wielkie niebezpieczeństwo, gdyby i kobiety do tego rzemiosła się wzięły. Autorka *Pamiętki*, tego przynajmniej grzechu na sumieniu niema, co uważam jako szczęście i dla niej i dla nas; gdyż ta słabość wnetby gotowa stać się zaraźliwą, a już i tak dosyć, że prawie każdy młody mężczyzna musi odbyć jakby chorobę, ową manię wierszowania. Jeżeli cię jeszcze kiedy zakorci jaki gładki koncecik, jakieś słówko tkliwe i rymy same co się nawijają będą; zrób tak jak ja dotąd jeszcze czasami robię: ulegnij pokusie, napisz, ale zamknij na klucz, i nie pokazuj chyba tym, których bardzo kochasz. Już gdybyś koniecznie autorką być chciała, wołę sto razy pisać prozą; proza nie robi tyle zarozumienia, nie karmi tak niepotrzebnych myśli i uczuć, bo gruntowniejszą i treściwszą być musi. Prozą niepodobna, a przynajmniej trudno pisać o niczym; wierszem to bardzo łatwo przychodzi. Jeżeli mi nie wierzysz, weź swoje „Dumania“ i staraj się oddać te same myśli prozą. Z pół arkusza zrobi się pół ćwiartki, a i w tej pół ćwiartce ździwisz się sama jak znajdziesz mało rzeczy. Kochany ojciec rozbiierając podobnie moje szesnastoletnie wierszyki, przekonał mnie że nie poetka; on zawsze mówił: „Mia-ra i rym są dla niektórych myśli jak strój i sztuczne światło dla niektórych kobiet; na balu wydają się ładne, a jak je nazajutrz rano obaczysz, wcale co innego.“ I co ci jeszcze powiem: pisząc prozą, daleko prędzej się przekonasz czy uniesz pisać, to jest czy znasz język? wiersze i w tym złudzić mogą.

Ale poco ja ci też prawie jak masz pisać i dlaczego, kiedy jabym uważała za ciężki grzech przeciw przyjaźni, gdybym ci nie powiedziała szczerze i zaraz z góry: „Daj sobie pokój z autorstwem, to jeszcze nie dla ciebie.“ Już gdyby wybierać między nami dwiema; mnie mimo moich przeszkód, prędzejby już uszło wystąpić dziś, zaraz przed

publicznością. Nie mam głowy zapalanej, nie mam żalów do Opatrzności, nie chcę wcale odmieniać przeznaczenia kobiet; tylko radabym żebyśmy je poznały lepiej: wreszcie nie mam dotąd obszernych powinności przed sobą i nawykłam do pracy; moje pisma znudziłyby może nie jednego, aleby nie zepsuły nikogo, i nie przeszkodziły mi do niczego. Lecz tobie poco? Mówisz w twoich wierszykach:

Oni szczęśliwi! koło mnie ciasno...  
Ach widzę! świata częśćka zbyt mała  
Mnie się dostała.

Aniello! czyż zapominasz żeś matką? Żalisz się często na bezład i niedokładność twojego wychowania, uznajesz w mężu twoim brak starań wyższych, starań kobięcych; pracujże, ucz się, sposób się do tego, żebyś potrafiła córce dać taką edukację, jakąbyś była chciała odebrać sama; tak wychować we wszystkiem synów, jakbyś życzyła żeby mąż twój był wychowany. Wierzaj mi, wtedy nie będzie „ciasno koło ciebie,“ nie będziesz narzekać na twoją częśćkę, ani wierszem, ani prozą, ani słowem, ani uczynkiem. Żadnej kobiety nie pojmuję kiedy sądzi się być wyższą nad sferę niewieścią, a témbardziej matki. Jedno własne dziecko, jedną duszę nieśmiertelną mieć do ukształcenia, do uszczęśliwienia, jakież to wysokie, że nie powiem Boskie powołanie!...

Lecz do tego powołania, trudno przygotować się godnie, bez wielkiej pracy nad sobą; i wierzaj mi, Aniello, zrób tylko tak, jak ci radziłam w ostatnim liście: weź w klub wyobraźnię, wpraw się do uwagi, do przysiedzenia, zajmując się pracą poważną i ciągłą; choćby jej przedmiot nie zdawał ci się zupełnie trafiający w potrzeby twoje, sama praca będzie ci zbawienną, i naprowadzi twój umysł



na drogę dobrą i przyzwoitą. Wszak wiesz, są słabości powierzchowne, których chcąc się pozbyć, trzeba uleczonym być wewnątrz.

Wreszcie, wracając się do autorstwa, czy myślisz, że podobna praca nie byłaby najlepszym do niego nowicyatem? Teraz nic się podobać nie może co nie narodowe, a jakież autor będzie narodowy, jeśli nie zna ani kraju, ani języka swego? Na gruntownej wiadomości rzeczy ojczystych budując, nawet bez wielkiego talentu coś użytecznego i miłego utworzyć można. Ja sama wcale się nie zaklinam, że nigdy a nigdy nic nie napiszę; i mnie przychodzą czasem jakieś autorskie myśli i widoki; chowam przecież ich spełnienie do większej dojrzałości, a najpewniej choć co napiszę, nie wydam za życia. Znam to dobrze, iż w naszym już wieku nie godzi się tak odrazu wyskoczyć, a raczej wyrwać się na autorkę; to jedynie w pierwszej młodości udać się, a przynajmniej ujść może: ów maj życia wszystko ozdobi. Ale skoro zwiędnie pierwsza świeżość, zastąpić należy urok zaletą: kiedy kwiaty znikną, owocu potrzeba.

Odczytując twój list, przyznaję słusność niektórym twoim powodom; zapewne, u nas może więcej niż gdziekolwiek autorki są potrzebne; nie mamy dosyć książek i więcej jest poważnych niżli zabawnych; do wychowania, do nauki dziewcząt brak także wiele: te więc kobiety, które się czują na siłach, niech piszą; niech młode a uzdatnione matki, układają książki dla dzieci swoich, któreby potem i dla innych posłużyły; ale niech żadna nie pisze do druku bez poprzednich nauk, bez porachowania się sama z sobą, i niech każda pisze ile możliwości z siebie, po polsku, dla Polaków. Tłómaczeniom, naśladowaniom dajmy pokój: na nic się nie zda kłósować na cudzém polu, lepiej karczować własne: jest zasługa i przyszłość w takiej pracy.

I wiesz, moja Anielo, prócz dzieł edukacyjnych, które na pierwszym stawiam rzędzie, jakiebym sądziła książki

najwłaściwsze dla naszych uzdatnionych kobiet? Oto powieści obyczajowe, domowe; bez wielkich i nadzwyczajnych przygód malować rzeczy i ludzi z natury, jak je koło siebie widzimy. Dla mnie, zadaniem najtrudniejszym byłoby wymyślić i utrzymać intrygę, w mojej głowie siła wynalazkowa nie wielką; zdaje mi się, żebyś mnie ty w téj mierze zastąpiła; i wiesz co, nie chcąc cię tak zupełnie zbić z terminu autorskiego, proszę, szukaj tam w wolnych chwilach jakiej romansowej osnowy: chciałabym koniecznie tła prawdziwego a zajmującego. Jak się kiedy zjedziemy, ułożymy plan, a tymczasem zapisujemy sobie różne szczegóły, któreby do takiej powieści się przydały. Charaktery, anegdoty, przysłowia, nie gardzimy niczem. Mówiono u nas któregoś wieczora, że tak zbiera od lat kilku jedna z naszych pań, bardzo zacna, rozumna i dowcipna osoba, pani Jaraczewska, Krasińska z domu. Pięrstwą [młodość przebyła w wielkim świecie w Warszawie i w Krakowie; poszedłszy za mąż, prawie ciągle mieszka w swoich dobrach, w Lubelskiem, otoczona licznem sąsiedztwem; koło siebie zbiera wzory i wzorki, i zapewne kiedyś z bogaci naszą literaturę, nie jedną zajmującą i narodową powieścią \*). Róbmy sobie i my tak pomału, a kto wie co nastąpi za jakie lat kilkanaście. Słowem, moja Anielo, dobrze, że nie mam więcej czasu i rzucić pióro muszę, bo gdyby tak dłużej, gotowabym, widzę, skończyć zupełnie inaczéj ten list, jakem go zaczęła.,,

---

\*) W r. 1845 wyszły w Lipsku w Księgarni Zagranicznej plody tej autorki, w czterech tomach, pod nazwą: *Powieści Narodowe, Elżbiety z hr. Krasińskich Jaraczewskiej.* Przep. Wydawcy.

## LIST SZÓSTY.

Z *Warszawy, d. 2 Marca 1820 r.* „Moja Anielo, bodaj żyć i umierać z takimi osobami jak ty! bodajby, jeżeli kiedy na autorstwo się odważę, moje słowa taką wziętość zyskać mogły u wszystkich jak u ciebie! wszystko przyjmujesz, na wszystko się zgadzasz, wszystko pochwalasz co ja tylko ci powiem. Niezawodnie i ostatecznie na lat dziesięć odkładasz nasze wystąpienie jako autorek; tymczasem chcesz pracować z całych sił: już prawie wynalazłaś osnowę do naszej obyczajowej powieści, i przysyłasz mi jako pierwszy materyał do nięj, przedziwny opis kilku sąsiadów, co was właśnie w ten dzień odwiedzili. Możeby w nim nie wszystko uszło do druku, ale tak mnie zabawił, że m go przeczytała mojej matce: uśmieła się serdecznie i kazała ci podziękować. Wiesz, jak ona lubi czasem się uśmieć; zawsze mówi, że jęj to na zdrowie; i zupełnie jest wdzięczną, jakby za jaki dobry uczynek, tym co ją do szczerego śmiechu pobudzą. W naszej przyszłej powieści, ty musisz wziąć na siebie całą humorystyczną stronę, bo ja niemam talentu rozśmieszania, a to jednak dar bardzo miły i w codzienném pożyciu i w książce.

Dziwna rzecz, jak nasze myśli się spotykają. Tego samego dnia, coś ty w Ugorzu swój list pisała, mnie tu, szyjąc stanik dla Zosi, przyszła myśl, żeby zacząć sobie układać rodzaj „*żywej galerji portretów*.“ Postanowiłam wziąć dużą książkę z białym papierem; w pierwszej połowie każdemu z bliższych znajomych poświęcić kilka kartek, narysować z góry ogólny jego obraz, a potem za każdą zdarzoną sposobnością dodawać światła czy cieniu; drugą zaś połowę umyśliłam przeznaczyć przybyszom; skoro poznam kogo nowego, natychmiast zapiszę jakim mi się wydał, za-

strzegając sobie poprawki za dalszém poznaniem. Cóż mówisz na to Anielo, takie *uchwyty* z natury bardzoby nam się przydać mogły; najlepsi malarze, z podobnie kreślonych, swoje obrazy składają. Lecz przy innych zatrudnieniach jeszcze się nie zebrała na rozpoczęcie tój nowój pracy, a nawet na kupienie owěj książki; uważać przecie w ten sposób już zaczęłam, i na naszym ostatnim środowym wieczorze, gdyż trwają zawsze środy, mimo postu, tylko tyle że mniej liczne i bez tańców, uważałam szczególnie na panna Referendarza i na pół tuzina różnych panien, które do nas się zeszyły. Bo powiadam ci, jest błogosławieństwo na nasz dom; coraz jakaś nowa dziewica się zjawi. Biędne matki z temi córkami, jak kupcy z niepokupnym towarem; gdzie tylko posłyszą o nadziei zbycia się, dalej wiozą, przystrajają, pokazują. Otóż tedy, ponieważ u nas dosyć mężczyzn ciągle bywa, mamy zawsze i panien podostatkiem; pozwól niech ci prześlę moje postrzeżenia nad temi, co wczoraj były, nie mając jeszcze gdzie ich zapisać.

Jedną z tych panien znasz. Pamiętasz ową Pelasię, co to już z dziesięć lat temu przyjeżdża z ciotką do was, i z którój śmiałyśmy się, że taka dziecinna i niewinna, choć wtenczas była starsza od nas obydwóch; mówię wtenczas, bo dziś młodsza daleko odemnie, a zatém i od ciebie, a zupełnie tak ułożona jak dawniej. Prawie po dziewczęcemu ubrana, włosy gładko zaczesane, świeży kwiateczek za uchem, sukienka wązka i krótka, ledwie że majteczek nie widać; rumieni się za każdém słowem, oczy spuszcza, usta sznuruje, skoro mężczyzna jaki do niój się zbliży, odsuwa się jakby od bazyliuszka; sama do drugiego pokoju iść nie śmie, zawsze cioci w najmniejszój rzeczy się opowiada, i ciągle o lekeyach swoich wspomina. Wiele tych śmieszności ciotce przypisać należy, która ją za dziecko uważa i prawie na paskach prowadzi. Złe języki mówią że rada-

by wydać ją zamaż jak najpóźniej, sama nie mająca, utrzymuje się łatwiej przy majątniejszej siostrzenicy, i wmawia w nią, że za młoda do małżeństwa.

Sabinę znasz także już trochę z opisu; jest to sobie ni mniej ni więcej tylko kokietka; nam kobietom, nie ma do powiedzenia, prawie jest niegrzeczna i nieprzyjemna dla koleżanek; i wzięłabyś ją często za zupełnie ograniczoną, a przynajmniej za wielkiego mruka. Tymczasem skoro są mężczyźni, i tacy, którzy według niej na coś przydać się mogą, bo na innych ani patrzy, ani do nich gada, natychmiast przeistacza się jakby w inną osobę; rozmawia, śmieje się, nieraz i co dowcipnego powie. Już to żyćby nie potrafiła, gdyby nie miała zawsze jednego co ję nadskakuje, wzdycha i kocha się; kiedy ten jeden młody i ładny, to jeszcze lepiej: mowa daleko żywsza, śmiech głośniejszy; a kiedy młodego niema, ujdzie i stary. Ludwika ję niecierpi—wabi Wacława; „mnie odebrała jak wiesz pana Tomasza, a teraz z wielką zgrozą mojej matki i Zosi, ma niezmyśloną ochotę na Referendarza; i gdyby tylko on dał się złowić, natychmiast mój pan Tomasz, teraz w odwodzie trzymany, dostałby zupełną odprawę. Biędny chłopiec nie domyśla się niczego; kocha się codzień więcej i ma wszelką nadzieję. Jakże ję mieć niema, kiedy wystaw sobie, Sabina wszystkie jego grzeczności przyjmuje, nawet podarunkami nie gardzi? Już my na to z moją matką gniewamy się bez żartu; bo czyż się godzi tak płochy i nie szlachetnie postępować, i wyciągać na wydatki kawalera, którego się odmówi, gdy do oświadczenia przyjdzie? U nas, Bogu dzięki, wszyscy wiedzą, że nic ofiarować nie można; sam pan Referendarz książkami tylko się przysługuje, które przeczytawszy odsyłamy jak najskrupulatniej. Kiedy też pani Sędzina cała napuszona chwali się przed nami mówiąc z przyzwoiciem: „Moja córka dostała dziś przepyszny bukiet; moją córkę aż zęby bołą tak wiele jadła cukierków; mojej córce

ofiarowano łożę na teatr“ i t. p.; nasza matka jęj się zawsze pyta: „A kiedyż nas panna Sabina zaprosi na wesele?“ Sędzina wtedy czerwieni się, przygryza usta, niewie sama co ma odpowiedzieć, a w parę dni znowu się chwali i popisuje jakby z czém najlepszym.

Różne są sposoby widzenia rzeczy na świecie, i może być że teraz taka moda nastąła; ale nasza kochana matka trzyma się zwyczaju jaki był u jęj rodziców i zawsze powtarza: „Gdzie panny w domu, lepsza duma niż przystęp zbyt łatwy; mniej zabawy, mniej dogodzenia próżności, ale niesmaków i obmowy mniej także, a choć którego zalotnika miłość się odrzuci, szacunek jego zostanie.“ Moja matka często nawet wspomina, że u jęj rodziców, równie jak w wielu staropolskich domach, kiedy mężczyzna nieżonaty zapragnął bywać, pytano go się naprzód: „W jakich intencjach?“ Tęgo zwyczaju trudnoby już teraz się trzymać bez śmieszności; przecież dwóch takich paniczów, co zaczęli okazywać chęć robienia słodkich oczów do Zosi, oddaliłyśmy bardzo gładko, nawet nim ona się postrzegła. Tyle jest sposobów przyzwoitych zachęcenia kogo lub odstręczenia, osobliwie kiedy gospodyni tyle ma razem szczeroci i taktu co nasza matka; bo ona grzeczna jest dla wszystkich, lecz wcale nie jednakowa; ci których nie poważa, skarżyć się na nią nie mogą, ale tęż chęć się jedném słowem szacunku albo przyjaźni nie potrafią. Wreszcie tak jak nasz dom jest urządzony, mimo piękności Zosi, mimo posagu Ludwiki, nie każdy z młodzieży rad bywa u nas; i można powiedzieć, że lubić u nas bywać, jest już pochwałą młodego.

Nie przyjmujemy nigdy, jak wiesz, tylko w wieczór, rozmowa jest ogólna, często poważna; żadnych nięma szepców, żadnych *a parte* w kącikach, wszyscy siedzimy i bawimy się, nie tylko w jednym pokoju, ale u jednego stołu; a choć moja matka najczęściej ze starszemi przez część wieczoru gra w wista, nie brak nigdy młodszemu kołu na

przyzwoitości, bo ja zawsze jestem, a najczęściój i Wacław, który jako prawdziwie dobry brat, jest zupełnym stróżem obyczajów. On cały truchleje, skoro zmiarkuje, że jakie słowo nieprzyzwoite, zawcześne, skazićby mogło niewinność Zosi, obrazić godność Ludwiki i moją. Ach! właśnie wczoraj pan Stanisław opowiadał nam okropne skutki owój wolności przystępu, rozmów i obejścia się, jaką niebaczni rodzice dopuszczają częstokroć w domach swoich, myśląc, że tym sposobem prędzej i lepiej córki wydadzą zamaż. Tu w Warszawie jest rodzina zacna, uczciwa, dosyć dobrze się mająca; synów nie było, ale córek cztery, i wszystkie jedna w drugą, prześliczne. Wychowanie odebrały, jak to najczęściój—powierzchowne; francuzki język, taniec, trochę muzyki. Skoro dorosły, rodzice dom swój otworzyli, i wnet napełniła go młodzież wojskowa i cywilna, różnych stopni i różnego ukształcenia. Bywało wesoło, zabawnie od rana do nocy, podarunki się sypały, wieczory głośne trwały do białego dnia, gdziekolwiek panny się pokazały otaczał je huk wielbicieli; ale cóż ztąd wynikło? [o żadną nikt stosowny się nie oświadczył; każda przecież wzbudziła nie jedną namiętność i sama się zakochała, i oto już trzecia z rzędu gaśnie na suchoty przed dwudziestym rokiem. Bo cóż może być niebezpieczniejszego, jak młodą, rozwijającą się osobę karmić jedynie romansami, tańcem, niewczasami, strojami; jest to siarkę rzucać na tlejące się zarzewie. Ale ja odbiegłam od zamierzonych portretów; pisząc zwłaszcza do ciebie, nigdy na jednym przedmiocie ograniczyć się nie umiem, zawsze uboczne myśli się nawiną i iść za nimi muszę.

Celina, miła panienska, którą prawdziwie lubimy i szacujemy, a o której ci już wspominałam, zupełnie przeciwnie jest prowadzone. Może w domu państwa Gozdzičkih, jest nawet w téj mierze cokolwiek przesady cnotliwie ale bardzo nudno byłoby na świecicie, gdyby wszystkie urządzone

były na ten sposób. Tam nikt z młodzieży ani się poważy zajrzeć; parę razy do roku bywają wieczorki, lecz na nich same panny, przyjaciółki Celiny i starzy przyjaciele rodziców. Nasze środy są pierwszą i największą jej publiką; prawda, że też dopiero ma lat siedmnaście. Nie wzdycha nawet bynajmniej za światem; już tak przyzwyczajona i tak samo było z jej starszą a już zamężną siostrą. Wreszcie zbyt jest czynna i zajęta, żeby mieć czas na próżne tęsknoty. Wychowana zupełnie na prawdziwie dobry miejski sposób; umie języki, ślicznie gra na klawikordzie, a przytém i gotuje z kucharką, i przy balii z praczkami stanie, i z matką na targ pójdzie i ojcu w rachunkach pomoże. Nie jest piękna ale co się zowie nadobna; średniego wzrostu, składna, zgrabna, biała, gładka, ślicznych oczu niebieskich, jasnych włosów, skromna, rozsądna, naturalna, łagodna; wyborna przyjaciółka dla naszej Zosi, i szczęśliwy, kto jej przeznaczony na męża. Dostanie go pewno skoro zechcą rodzice, bo i posag uczciwy będzie. Czasem patrząc na nią różne mi myśli i żale do głowy przychodzą, ale cóż, już to wszystko zapóźno.. Jednak i matka i ona tak grzeczne były i są i dla nas i dla Wacława, że nam się aż zdawało koniecznem, powiedzieć im pod sekretem o Ludwice; nie zmieniły się nic od tego czasu, czem jeszcze podwoiły nasz szacunek.

Prócz tych trzech panien wspomnę ci jeszcze o dwóch, o których nie wiesz i słowa, zostawując sobie iune na dal. Są to córki urzędnika z Komissyi Spraw Wewnętrznych. Choć siostry rodzone, nie nie podobne do siebie. Starsza, panna Teofila, czerwona, krótka i gruba, jest sobie zupełny symplaczek i próźniaczek; mało umie, jeszcze mniej robi. Mówią, że jak miała lat piętnaście była bardzo świeża i ładna: ale od owego czasu upłynęło drugie lat piętnaście, i dziś z całej urody zostały jej się nie potrzebne jaskrawe rumieńce i jeszcze niepotrzebniejsze żale; gniewa się na



cały rodzaj ludzki, że dotąd zamaż nie poszła; poszłaby za lada kogo! niemal wszystkim to gada; wątpię jednak bardzo czy się zdarzy amator; taka osoba jak ona, ani młoda, ani posażna, ani utalentowana, jedynieby się mogła podobać uprzejmością, dobrocią, gospodarnością; a ona zawsze nadęta, zachmurzona, opryskliwa, obmowna, i niczem użytecznym nie zajęta. Matczysko poczciwe przez zbytnią dobroć nie dała jój się nigdy ruszyć do niczego; podobnie jak wiele matek w naszym stanie, myślała sobie: „Jak ją na panią wychowam, to i wydam za pana.“ Omyliła się ciężko nieboga. Z drugą jeszcze gorzej jój się nie udało. Panna Izabella młodsza trochę odemnie, blada, długa, sucha, dopiero od pół roku bawi przy rodzicach, i jeszcze widać gość w domu, bo żeby nie wiem co się działo, ona ze swego stołka nie wstanie. Nowa to ofiara ambicyi rodzicielskiej i źle zrozumianej dobroczynności niektórych pań nasyżych, wychowanica. Przez piętnaście lat w pańskim domu, w salonach, romansach i francuzczyźnie, nabyła niepotrzebnych wyobrażeń, wysokich tonów; i dziś jest heroina bez urody i kochanków, księżniczka bez mitry i posagu.

Owa jój opiekunka umarła, zapisawszy jój w testamencie, pieska, szal turecki i sto dukatów w dzień ślubu. Zapomniała, że podobnie wychowanej a ubogiej pannie bardzo trudno o męża; prosty szlachcic, mały urzędnik się boi, a pan nie chce. Mnie jój żal czasem, doprawdy jest niešťęśliwa; w własnym przekonaniu zupełnie jest wyższego świata mieszkanka, na nędzuy padoł ziemski zrzucona. Ona nie mówi, nie czyta, nie pisze chętnie tylko po francuzku, rodzice ani słowa nie umieją; książąt i hrabiów ma jedynie za ludzi, a tu żadnego nie widuje; a jeźli przypadkiem którą z dawnych Jaśnie Wielmożnych lub Jaśnie Oświeconych znajomości spotka, nie kłaniają jój się nawet. Przyzwyczała się do karety, do panien służących, do lokajów, a teraz trzeba chodzić piechotą, samą, po błocie, albo brudną do-

rozką jeździć, i na cały dom jedna kucharka i młodsza. Jak to i w dobrze czynieniu trzeba być rozważną i ostrożną! zapewne na oko zdaje się bardzo pięknie wziąć ubogą panienkę do siebie i uczyć ją, utrzymywać, kochać zarówno z własnymi dziećmi. Przecież, ten dobry uczynek najczęściej na złe wychodzi. Mojem zdaniem, dwa tylko rodzaje wychowanie udać się mogą: albo kiedy wychowanka zupełnie jest przysposobiona za córkę i opatrzona posagiem stosownym do wyższego życia do jakiego nawykła; albo też, kiedy od pierwszego dzieciństwa obrany ma stan, i wpojone to przekonanie, że edukacya którą odbiera, powinna być dla niej chlebem. Inaczej zawsze się okaże, iż lepiej było zostawić ją jak była.

Owa Izabella i Teofila, a Sabina trzecia do niecierpliwości mnie często przyprowadzają. Nic im ciągle w głowie tylko mąż, zalotnicy i zabawy. Życia nie rachują na dnie ale na wieczory. Spią póki mogą, choćby do dziesiątej, ubierają się jak najdłużej, pobrzdakają trochę na klawikordzie, wezmą do ręki romans albo robótkę na nic nie przydatną, i wyglądają kawalerów. Jeżeli który przyjdzie, pożartuje, jeżeli je gdzie zaproszą, dopiero duch w nie wstępuje. A jak się zjawi w ich towarzystwie jaki mężczyzna o którym myślą że ma zamiar się żenić: dopiero stroje, zasadzki, zupełne pospolite ruszenie. Padam do nóg za poníženie takowe! Ja zawsze im powtarzam — bo kładę im w uszy prawd co się zmieści — że mi się wydaje wielkim wstydem dla panny okazywać chęć pójścia zamąż; a prócz tego, jest to i zupełny brak polityki. Przecież każdy mężczyzna życzy sobie wzbudzić w przyszłej żonie jakieś przywiązanie; każdy rad daje wiarę owój pochlebnej myśli, że go nad innych przeniosła dla jego przymiotów, i idzie za niego, nie dla tego że on jeden się trafił, ale że najgodniejszy jój ręki. Nie wiem jak myślą panowie co żon szukają, ale co we mnie gdybym była mężczyzną, znikłaby natych-

miast skłonność do panny, skorobym zobaczyła, iż iść za mnie gotowa, nie poznawszy wcale czy mam w sobie wartość jaką, czy ją uszczęśliwić potrafię?

Dla każdej jednak z tych rzetelnie biednych panien, byłby pewny ratunek, byle tylko szczerze chciały. O Sabinę pan Tomasz dziś oświadczyć się gotów; gdyby go przyjęła, zaniechała wszelkiej kokieterii i poszła w ślady młodszych siostr, mogłaby być bardzo szczęśliwą. Pannę Teofilę (której pracy umysłowej zadać trudno) namawiam żeby się krawiectwa odemnie wyuczyła, i żeby przyrzekła matce, siostrze i sobie wszystkie suknie robić i przerabiać. „Obaczysz jak cię ta robota zajmie — mówię jej — jak ci będzie przyjemna, a i pieniędzy rodzicom oszczędzisz.“ Ona wierzyć, a raczej przysiedzieć nie chce. „Pannie Izabelli radzimy żeby za guwernantkę poszła do jakiego pańskiego domu. Prawda, nie umie wiele; ależ i francuzki co tu do nas przyjeżdżają nie bardzo mędrsze, i nikt nie wie czem pierwiej były; ona przynajmniej gruntowne ma zasady, piękne ułożenie i uczciwych rodziców. Cóż powiesz, moja Anielo, temi dniami zdarzało jej się miejsce korzystne i przyzwoite, ani ona, ani rodzice słuchać o tém nie chcą. „Służyć, brać pieniądze, to się nie zgadza z honorem familii, z honorem herbu, z honorem urzędu.“ Jak gdyby każdy zacząwszy od Króla nie służył komuś albo czemuś? jak gdyby każdy nie brał pieniędzy? jeden za zboże, drugi za towary, trzeci za rozum i t. p., jak gdyby mogło być wreszcie, zaszczytniejsze miejsce w jakim domu nad zastępowanie i wyreżanie matki... Życ bez celu, bez zatrudnienia, być ciężarem drugim i sobie, to dopiero jest poniżenie, obraza nie herbu i urzędu, ale Boga, i przyznam ci się; ja mam daleko większy szacunek, nie tylko dla guwernantki ale dla dziewczki, co w kuchni ciężką pracą odplaca grubą strawę swoją, niż dla panny na respekcie, co w salonie darmo kuropatwy zjada. Lecz u nas dziwne są jeszcze w wielu rzeczach prze-

sądy; i doprawdy, trudno czasem i nie przebaczyć naszym wielkim paniom, że zawsze biorą cudzoziemki do dzieci. Daleko mniejszy kłopot z niemi.

Ja nie lubię guwernantek obcych, wraz z wielu osobami, uważam je za jedną z plag naszego kraju; gdyby odemnie zależało wszystkie, bym grzecznie wyprosiła z Polski; przecież tym kilku co znam osobiście, przyznać muszę, że każda z nich umie być na swoim miejscu; ani się wstydzi swojego losu, ani nad nim ubolewa, ani znowu nie ceni się zbyt; jest t<sup>ę</sup>m cz<sup>ę</sup>m jest. Nasze Polki guwernantki mają się najczęściej za jakieś ofiary; wszystko je poniża, wszystko je obraża. Prawdziwie przez patryotyzm, przez miłość własną, wszystkie nasze panny, uzdatnione a ubogie, powinnyby się wziąć za ręce i usadzić na to, żeby cudzoziemki wcale potrzebnymi nie były. I wiesz, mnie czasami, obok różnych marzeń i widoków na przyszłość, przechodzi przez myśl, chęć wielka dania przykładu w t<sup>ę</sup>j mierze. W dom cudzy-bym nie poszła, bo niewiem czyby matka potrafiła obejść się bezemnie, czyby mnie dała komu innemu jak mężowi, zwłaszcza kiedy mamy się z czego utrzymać; lecz jeżeli do trzydziestu lat zamąż nie pójdę, a Bóg pozwoli nam naszą Żosię dobrze wydać i ożenienie Wacława do skutku doprowadzić: zarazbym, nie czekając czy przyjdzie czy nie, szkoła rządowa do skutku, wzięła sobie kilka majątnych panierek na wychowanie, i drugie tyle ubogich, coby się na guwernantki kształciły. Stosownie do słów Pisma Świętego: obfitość jednych ważyłaby drugich niedostatek i byłoby porównanie“ a przyt<sup>ę</sup>m jabym żyła w coraz większ<sup>ę</sup>j, wyższ<sup>ę</sup>j i użyteczniejsz<sup>ę</sup>j sferze, nie schodząc przecież w nicz<sup>ę</sup>m z domowego i kobięcego przeznaczenia, i kochana matka mieszkając sobie mogła zawsze w mieście, między ludźmi, wśród wygod, tak jak lubi...

Otóż widzisz, jakem znowu zboczyła z mego gościńca; zapowiedziałam ci portrety, a tu zrobiła się jakaś mozaika,

jak zawsze w moich listach do ciebie. Niechże przynajmniej zakończę w przyzwoitym torze, i niech ci opiszę w kilku słowach naszego pana Referendarza.

Ma sobie lat pięćdziesiąt z górą, a wydaje jeszcze więcej, chociaż wszelkie ślady wieku i choroby pokrywa starannie pudrem, wykwintem stroju, a nadewszystko grzecznością dla dam, nadskakiwaniem, i częstą a gorącą rozmową o miłości. Był on niegdyś, jak mówią, nie dobrze: bałamucił kobiety, szczycił się niewiarą. Dawne rzeczy, więc w oczach świata się zatarły i nikt o nich wręcz nie wspomina; przecież wiadome są wszystkim. Zresztą człowiek światły, mimo znacznej fortuny, nie dumny i nie chciwy; czytał i podróżował wiele, zna ludzi, maluje ich trochę czarno, ale bardzo dowcipnie; o wszystkiem mówi pięknie i gładko, choć nie zawsze po naszemu i nie zawsze jednostajnie; zdanie jego, jak uważałam już kilka razy, bardzo zależy od osób i od okoliczności, wpośród których się znajduje; woli daleko zmiąć się z prawdą niż z grzecznością: słowem, jest to co się zowie człowiek światowy i przyjemny. W większych jest łaskach u mojej matki, niż u mnie i u Wacława: częste miewamy o niego spory. Najprzód, znał dobrze naszego ojca i mówi że gdyby żył dzisiaj, byłby pewno przynajmniej ministrem; potem, ma tytuł, order, związki, a znasz skłonności arystokratyczne naszej kochanej matki, do których przyznaje się sama; nareszcie, bardzo jest rozumny i zabawny; ona zaś zawsze mówi: „gdyby nie sumienie, wolałabym złych jak głupich.“ Mnie ciągle tym zwiędłym kawalerem prześladują; a ja tylko wyglądam chwili kiedy się z nim tak stanie jak z owym naszym sąsiadem wdowcem, co to drugiego roku po śmierci naszego ojca bywał a bywał w Olszankach i wszyscy myśleli że o mnie się stara; aż tu on o naszą matkę szumnym listem się oświadczył. Kochane matczysko! podobno wten-

czas pierwszy raz od swego nieszczęścia uśmieła się serdecznie. I wiesz, Aniello, to będzie dobra anegdota do naszej powieści.

Ciekawam bardzo jak znajdziesz te moje materyały, portrety czy uchwyty. Nie kleiły mi się; prawdę mówiąc, mam myśl rozerwaną jeszcze ważniejszymi rzeczami. Choć siedzisz na wsi i nie bardzo wiesz, co się dzieje na świecie, przecież musiałś czytać o zabójstwie księcia Berry w Paryżu, miesiąc temu. Mnie się to nie zdawało tak bardzo ważne i zadziwiające. Lecz teraz wszyscy mówią, jakoby ten wypadek nie miał sprowadzić żadnej odmiany na dobre; owszem, może okazać się fatalnym, przez obawę jaką wzbudza. Już Izby francuzkie zaprowadziły prawo o cenzurze dzienników, minister *Descazes* wziął dymisyą; w całej Europie, a zwłaszcza na Południu burzy się, i ten rok nim się skończy, ma ujrzeć wielkie, bogdajby tylko nie smutne odmiany. I nasza młodzież niespokojna; ale to im starzy przyganiają. Mając brata, i takiego jeszcze jak Wacław, nie uwierzysz, ile podobne rzeczy obchodzą. Ale o tém obszerniej na drugi raz. Dziś bądź zdrowa i kochaj mnie.“

---

#### LIST SIÓDMY.

*Z Warszawy, dnia 10 Marca 1820 r. o szóstej z rana.*

„Nie spałam dziś całej nocy, kochana Aniello! wstałam już od godziny i pierwszy raz w życiu doznaję jakiegoś rodzaju nieukontentowania, jakiejś niepewności; nie widzę drogi mojej jasno przed sobą: słowem, nie dobrze jest ze mną, i chcę przynajmniej wygadać się przed tobą. Ani zgadniesz co mi się stało; nie bój się przecież, nie żadne nieszczęście; owszem, nie jedna na mojem miejscu gotowaby to nazwać

szczeńciem. Już ci powiem: oto Referendarz oświadczył się o mnie wczoraj. Najdalej za trzy miesiące mogę być panią, mężatką, mieć dom własny, karetę, los świetny na całe życie, bo i o znacznym zapisie wspominał. Moja matka jest za nim, o siostry ani się pyta; pan Stanisław całą rzecz prowadził: cóż z tego wszystkiego, kiedy ja przeciw niemu; a to jednak o mnie idzie: drugim łatwo mówić, chwalić i namyślić się odrazu, ale mnie cobym żyć z nim miała do śmierci, trochę trudniej, i dotąd przekonać się nie mogę. Cóż chcesz, moja Anielo, choćem bardzo mu wdzięczna za ów dowód najwyższego szacunku, jaki dać można kobiecie, choć mu przyznaję wielką i rzadką bezinteresowność, nie mogę żadnym żywym sposobem ani go kochać, ani go szanować; a w mojem przekonaniu szczęście zupełnie w małżeństwie wymaga obudwn tych warunków pół szczęścia, choć jednego; ale kiedy żadnego niema, to i żadnego szczęścia nie będzie. Czegóż ja mam ofiarę z siebie robić, kiedy na mojem zameżciu z Referendarzem niczyje zbawienie nie polega? bo i on się pocieszy, pewna jestem, dostanie ładniejszej, bogatszej. A co ja, to wcale a wcale nie potrzebuję iść zamaż, jak tyle innych panien, aby iść; ja małżeństwa nie uważam za posadę w towarzystwie konieczną, nieuchronną dla kobiety, za związek świecki: dalej patrzę i sięgam. Chcę albo być szczęśliwszą, użyteczniejszą niżli dziś jestem i być mogę, albo sobie zostać panną na zawsze. Co mi złego? proszę cię. Czyż nie używam już choć przy matce pewnej wolności, tysiącznych przywilejów? mam swój własny pokój, swoje wolne godziny i taką spokojną głowę. Czyżby nie lepiej nawet być samą przez całe życie, jak ze złym, z nielubionym towarzyszem? A choćby tylko na ludzi pamiętać, możeż być miły taki mąż, którym chlubić się nie można?

Mój Boże! mimo wszelkich rewolucyi socyalnych, wszystkich pism filozofów, a co większa, mimo tak dawno opo-

wiedzianej Ewangelii, wielki pan wstydzi się żenić z prostą szlachcianką, szlachcic z mieszczańką, mieszczanin z chłopką; zowią to poniżeniem, *mezaliansem*, a o mezaliansie i poniżeniu moralnym nikt ani wspomina? Pannie skromnej iść za człowieka złych obyczajów, pobożnej za bezbożnika, młodej i zdrowej za starego i schorzałego, to nic, to para dobrana, skoro w akcie ślubnym stoi jaśnie oświecony z jaśnie oświeconą, jaśnie wielmożny z jaśnie wielmożną i t. d. Ale trzeba ci powiedzieć jak się to stało.

Wczoraj z rana pan Stanisław, dziewosłab prawdziwy, przyszedł z uroczystą miną, moją matkę i mnie wezwał na osobną rozmowę. „Pan Referendarz rozkochał się we mnie szalenie; dosyć znał kobiet najlepiej wychowanych, ale nie widział jeszcze tak doskonałej i w jego guście: upodobał sobie mój rozum, moją prostotę, jednostajność humoru, starania koło matki i domu, uprzejmość dla gości, zgoła jest pewny, że mój mąż będzie najszczęśliwszym z ludzi i chce być tym najszczęśliwszym.“ Pan Stanisław wyliczył potem jego dostatki, mówiąc dwa razy o tych, o których wiedział, że mi przypadną lepiej do smaku: „ma dwa domy w Warszawie—w Warszawie; wielkie dobra w Lubelskiem z pałacem i ślicznym ogrodem—ogrodem; ma kapitały, klejnoty, pyszną bibliotekę—bibliotekę; dobór rzadkich książek polskich — polskich; żona jego będzie używała wszelkich przyjemności życia, a pamiętny na różnicę wieku, zapisze jój przy intercyzie połowę majątku, darowizną—darowizną.“

Kochana matka rosła jak na drożdżach; jój śliczne oczy iskrzyły się niezwycajnym światłem i uśmiechała się do mnie mile, mówiąc za każdym powtórzonym słowem: „A widzisz.“ „Widzę, kochana mamó, powiedziałam narzeczcie, ale to mego zdania nie zmienia; ja nie chcę iść zamaż, mnie i tak bardzo dobrze. Wdzięcznam niezmiernie panu Referendarzowi za te dobre chęci; jego rozmowa przyjemna, majątek piękny; lecz niech się uda do innój: jam



tęgo wszystkiego nie warta, nie znam się na tém.“ Oboje w krzyk na mnie, w uwagi, w morały, żem romansowa, że sama nie wiem co robię, a ja zawsze przy swoim. Nareszcie moja matka, cokolwiek nawet rozgniewana powiedziała mi z przyciskiem: „Ja cię przymuszać nie myślę, moja kochana, jużes pełnoletnia; jednak na odrzucenie podobnego losu odrazu nie pozwolę; odłożmy odpowiedź ostateczną do jutra: będziesz miała cały dzień, całą noc, może te przesadzone wyobrażenia wypędzisz. Pamiętaj, taka partya nie zdarza się dwa razy, i jak nią wzgardzisz, możesz bezpiecznie zostać na koszu. Namyśl-że się.“

I na tém stanęło. Pan Stanisław odszedł, a mnie moja matka znowu przedstawiać zaczęła już swoim ujmującym sposobem, wszystkie korzyści zamężcia i bogactwa, wszystkie niedogodności panieństwa i ubóstwa; wychwalała Referendarza, jego wspaniałość, rozum, dowcip, gust dobry; wyliczała i teby panien poszło za niego z pocałowaniem ręki, jak mi wszystkie zazdrości będą; jaki to tryumf dla mego wychowania, dla mego sposobu myślenia; dawne błędy jego składała na młodość, na zepsucie owego wieku: „Wreszcie—mówiła, choćby jeszcze co z nich zostało, ty go poprawisz, ty go nawrócisz, szczęśliwą zaś będziesz zawsze, bo już twój charakter jest szczęśliwy.“ Zawołała na siostry, powiedziała im wszystko zacierając ręce z radości; one zwyczajnie jak młode, zaczęły skakać, cieszyć się, wieszować mi, ścisnąć mnie, i pytać się o ślubną suknię i czy wesele będzie z tańcami? Zosia kłaniała mi się z uszanowaniem, zowiąc mnie „Jaśnie wielmożną Referendarzową, dziedziczką dóbr wielkich.“ Przed obiadem przyszedł Wacław; on obojętniej to przyjął, wziął mnie nawet na bok i zaklinał, żebym zupełnie własnego serca słuchała. „Ja będę majętny — powiedział—moim siostrom nigdy na niczém nie braknie. Znasz wspaniałą duszę Ludwiki, wszystko co jój będzie, moje; a wszystko co moje to wasze.“ Po obiedzie tak się jakoś

złożyło, że nie mogła pójść jak zwykle do siebie. Wieczorem zaczęło się schodzić dużo gości; przyszła i Sędzina z Sabina; przyszła panna Izabella; moja matka nie mogła ukryć swego zadowolenia: kilka razy napomknęła coś dosyć wyraźnie; widziałam jak się zachmurzyło czoło Sędziny, jak błysnęły gniewem i zazdrością oczy jej córki; słyszałam głębokie westchnienie biednej Izabelli, a ja tak byłabym rada z duszy odstąpić jej szczęścia mniemanego.

Nareszcie, jakżeśmy się rozeszli, moja matka zawołała mnie do swego łóżka, uściskała i powiedziała: „Nie uwierzysz, mój aniołku, jakiby mi kamień spadł z serca, gdybym ciebie zamąż wydała. Ty wiesz, ja bardzo słabowita i nie długo wieczna — dodała ze łzami. Zosia miałaby schronienie, łatwość zrobienia wielkiego losu, i Wacława podniosłoby bardzo w oczach rodziny Ludwiki takie świetne zameżcie starszej siostry.“ Te słowa, te łzy kochanej matki podobno najwięcej spać mi nie dały. Życiem mojem okupiłabym chętnie jej spokojność i szczęście; wszystkoby od dała, żeby się rodzeństwu na co przydać... Ależ doprawdy, zastanawiając się z zimną krwią i jak najsumiennie, nie widzę tu wyraźnie czarne na białem, najmniejszej potrzeby ofiary szczęścia i przekonania mojego. Wszak mieć córkę nie zameżną, nie może być nieszczęściem dla rozsądnej matki, skoro ta córka jest wesoła, szczęśliwa, skoro nawet ma los w samej sobie i zarobić potrafi na kawałek chleba, i na jakie takie znaczenie między ludźmi? Wszak broń Boże najokropniejszego dla nas ciosu, do którego, dzięki Niebu, podobieństwa niéma, siostrze młodszej o lat dziesięć matkować-bym mogła z wszelką przyzwoitością, a brat bezemnie Ludwikę dostanie?... Takie myśli przechodząc mi na przemianę przez głowę, oka zamrużyć nie dały i teraz mnie dręczą. Bo jak tu przekonać matkę? jak piérwszy raz w życiu i w rzeczy tak ważnej nie spełnić jej życzenia? Już były chwile wahania się; młode jeszcze serce przema-

wiało; „Pięknie, szlachetnie unieść się i poświęcić siebie dla drugich: życie takie krótkie.“ Lecz wnet odzywał się rozsądek: „Im nic nie przyjdzie z tego poświęcenia się twego, a ty będziesz nieszczęśliwa: życie bardzo długie dla tego co cierpi.“ I tak ciągle jestem w tój walce. Czemuż tu ciebie niéma? byłybyśmy dwie; a tak ja sama, pierwszy raz sama. Pomodłę się, może mnie Bóg natchnąć raczy!“

*Tegoż dnia w wieczór.* „Natchnął mnie Bóg miłosierny. Wszystko dobrze; matka się nie gniewa; aż mi lżej oddychać: jakbym się narodziła na nowo. Słuchaj:

Dziś rano przerwawszy moje pisanie do ciebie, modliłam się chodząc po moim pokoiku, modliłam się bez słów: łzami, duszą, jak to wiész. Wtém przyszła mi myśl tak jasna, tak prosta, żem się zdziwiła, dlaczego mi nie przyszła odrazu; i jakby ze znalezioną zgubą pobiegłam do mojej matki. Właśnie się obudziła; powiedziała jej dzień dobry, ucałowała ręce, nogi, i tak ją zagadnęłam:

„Mamo kochana, wszystko zrobię co chcesz, na wszystko przystanę; ale pierwej, proszę mi odpowiedzieć na jedno zapytanie szczerze i dobitnie.“

„Mów aniołku mój“—zawołała zdziwiona.

„Oto gdyby Referendarz był ubogi, czyby mnie mama za niego wydała?“

„Cóż za myśl szczególna? Oczywiście na biędę nigdy cię z domu nie puszczę; dała mi się nadto we znaki: wiész o tём bardzo dobrze. Ty prawie nic nie masz, jakby i twój mąż pewnego utrzymania nie miał, cóżby to było?“

„Przepraszam mamę; wszak kiedy się nam zdawało o panu Tomasz, jakoś się to układało, a on pewnego utrzymania nie ma; bo cóż znaczy urząd? dziś jest, jutro może nie być.“

„To zupełnie było co innego. Pan Tomasz młody i taki nieoszacowany chłopiec...“

„Mama sama broń mi podaje — wyrzekłam z uśmie-

chem—tém śmielej jeszcze raz się pytam i chcę wyraźnej odpowiedzi: gdyby Referendarz był ubogi, czyby mnie mama za niego wydała?“

„Strasznie na mnie nastajesz, a nie wiem w jakim celu. Jużci nie—wymówiła po chwili z trudnością.

Tegom tylko słówka chciała: krzyknęłam radośnie skacząc po pokoju i klaszcząc w dłonie jak dziecko: moja wygrana! moja wygrana! Bo wszak ani mama, ani pan Stanisław, ani nikt sprzedać mnie ani chce ani może; a ja też sama zanaǳto się cenię, żebym się i za dziesięć milionów sprzedać miała.“

Tu dopięro zaczęłam przedstawiać z niepospolitą, jak na mnie, wymową i żywością, że to nie żadne romanse, nie upór, nie wstřet nawet, ale przekonanie zupełne, sumienne. Doprawdy, gdyby to był jaki zacny i sędziwy wojskowy, z chlubą pielęgnowałabym szczątki tego życia, które on tyle razy narażał dla ojczyzny; gdyby był wdowcem szanownym, miał dzieci, i mnie wybrał na drugą ich matkę, poświęciłabym się chętnie i im i jemu; a w obudwóch tych razach brak miłości, brak owego szczęścia dwóch serc co się rozumieją, zastąpiłabym pokojem duszy, zadowolnieniem sumienia, przekonaniem, że Bóg chciał mieć mnie na tém miejscu, i żem powinna zgadzać się z Jego wolą. Ale wziąć męża dla tego jedynie że bogaty, gdzież tu i w czém szukać pociechy? nie znalazłabym jęj ani w sobie, ani u Boga, ani u ludzi; nie byłoby nawet prawa uzalić się przed kimkolwiek; bo pókibym miała karete, szale, klejnoty, wsie i pałace, pótybym miała to wszystko za com się sprzedała z duszą i z ciałem. Ów rozum salonowy, dowcip, wierszyki, co one pomogą w codzienném i tak ściślém poźyciu? Tu trzeba rozsądku, dobrej rady, zachęty, podpory, zgodności, wyrozumienia, a nie pochlebstw i rymów. Czy tobie na przykład przeskadza choć trochę do rzetelnego szczęścia, że twój mąż nie literat i nie tęgi Francuz? Tobie czytać

pozwała ile chcesz, chlubi się twoim rozumem, pierwszeństwo w tej mierze zawsze ci oddaje; ale gdyby nie myślał tak gruntownie jak myśli, gdybyś go nie mogła dzieciom za wzór przedstawić, gdyby nie miał twego i ludzi zacnych szacunku, toby ci zapewne wiele szkodziło...

„Moja mamó—powiedziałam nakoniec—kto jak ja wzrósł i wychował się wśród tak bogobojnej i szczęśliwej pary jak byli moi rodzice, ten w małżeństwie musi widzieć coś więcej niż los i pieniądze. Ja wiem żeś nie ładna i już nie młoda; najpewniej nie znajdę takiego coby się i mnie podobał i ocenić mnie potrafił; dla tego też oddawna mówię nie żartem sobie i drugim: nie pójdę zamąż i bez męża szczęśliwą będę. Wszak i kochany ojciec tak mawiał? Mnie się zdaje, onby dziś trzymał ze mną.“

Moja matka nic nie odpowiedziała i skończyło się na tém. Była smutna i mizerna cały dzień; krajało mi się serce, lecz uzbroiłam się w moc. Jak pan Stanisław przyszedł po odpowiedź, raz jeszcze mnie zawołała powtarzając znowu wczorajsze. Nic nie pomogło, jak miarkujesz. Wszystkim w domu moje postanowienie się nie podobało, a jakoś rozeszła się ta wieść bardzo prędko; jeden Wacław mnie popierał i powtarzał: „Krystynie innego męża potrzeba i dostanie go. Czemużby szczęście serca nie miało być i dla niej.“ Poczciwe chłopczysko! i kto wie, może on i zgadnie; może jest gdzie na świecie jakiś ktoś mnie przeznaczony, którego ja i kochać i szacować będę mogła, który równy mi wiekiem i sposobem myślenia stworzony był dla mego szczęścia, a ja dla jego... Jakaż byłaby boleść, co za wymówki spotkać się z nim po niewczasie, pieniędzmi zagrozić sobie drogę do takiego losu... O! moja Anieli, jakież to szczęście, że ja za Referendarza nie idę.“

## LIST ÓSMY.

*Z Warszawy, 20 Marca 1820 r.* „Moja Anielo kochana! wróciłam wczoraj z Olszanek, i o niczém już dziś i na kilka dni myśleć i pisać nie mogę, tylko o Olszankach. Jakże tam miło i dobrze, choć jeszcze zupełnie czarno na świecie! jak mnie ci poczciwi ludziska radzi byli! Jedna z nas potrzebna tam była koniecznie dla różnych obrachunków, wreszcie dla rozmówienia się z dzierzawcą i z jego żoną o tém, co nam mają przysposobić na święta; i oczywiście ja pojechałam nie moja matka. Wreszcie, trzeba ci wiedzieć o jednym sekrecie: między nami, jestem uważaną za dziedziczkę Olszanek. To postanowienie zaszło, skoro się wszyscy przekonali że nie żartem nie chcę iść za Referendarza. Poczciwy Wacław całą tę rzecz ukartował, pragnął pocieszyć naszą matkę po mojem wzgardzeniu pewnym losem, i pokazać jój, że bądź co bądź, spokojną o mnie być może. Bo Wacław, jak wiiesz, odstępuje części swojej, weźmie tylko kilka tysięcy na wyekwipowanie się przed ślubem; Zosi posag będzie zapisany na wiosce, a skoro pójdzie zamaż, procent opłacać jój się będzie; reszta stanie się moją własnością, ale oczywiście dochodami będę się dzielić z kochaną matką; wejdę w posiadanie Olszanek, da Bóg, na święty Jan 1822 roku: wtenczas dzierzawa trzyletnia się skończy, jako i zamierzony nasz pobyt w mieście. Pojmiesz tedy łatwo, ilem była rada piérwszój sposobności pojechania do mego przyszłego dziedzictwa.

Nie wiem czy to już skutek uczucia własności, ale nigdy jeszcze Olszanki tak miłemi mi się nie wydały; a co projektów przeszło przez głowę do ozdobienia ich kiedyś! „na wołowej skórce-by ich nie spisał”—jak mówi nasz Józef. Sam dwór wiele stracił, dzierzawca w nim mieszka z żoną, z dziećmi i z czeladzią, przecież dosyć czysto go utrzymują. Ileż tam wspomnień dla mnie w każdym kąciku!

przykro mi było bardzo widzieć piérwszy raz owo rozgospodarowanie się obcych, w domu, gdzie rodzice lat blisko dwadzieścia żyli tak zgodnie i szczęśliwie, gdzie każde z nas się rodziło, gdzie ojciec umarł... Ale cóż robić, kiedy inaczej być nie może; za dwa lata wszystko do dawnego stanu przywrócę. Teraz jedna tylko biblioteka nietknięta, ów gabinet taki miły i jasny, z widokiem na łąki i Bzurę, gdzie ojciec przesiadywał, gdzieśmy się z Wacławkiem uczyli, gdzie po śmierci ojca ja pracowałam, choć bardzo długo nie szła praca dla łez i żalu. Tam każdy stołek stoi na swoim miejscu, tam i tym razem schraniałam się ile mogłam jakby do świątyni. Mało jednak było czasu, choć całe trzy dni bawiłam; musiałam wszędzie być, wszystko obejść, musiałam się udzielić i pocziwym kmiotkom naszym. Chodziłam od chaty do chaty, od Franasa do Banacha, od Miedzy do Pietraszka i t. d. a piérwsza moja wizyta była u Wójta, u chrzestnych Wacława, którym i podarunek przywiozłam. Gdybyś ty widziała radość tych ludzisków! ale bo w Olszankach wszystko się cieszyło do mnie, nawet psy domowe. Tyran łąsił się jak piesek pokojowy, a Obal, ów ogromny brytan, jeszcze podobno z twoich czasów, chodził wszędzie za mną gdzieś się tylko ruszyła. Pocziwe wiejskie gospodynie błogosławiły mnie jak matkę, jak córkę i tak obdarzać chciały! I musiałam przyjąć mędel świeżych jajek od tój, krajanke sera od tamtój, od trzeciój wianek grzybów, od czwartój kwaterkę manny. A jak mi opowiadały swoje kłopoty! jak się radziły na różne dolegliwości! I widać było, że im ulgę przynoszę, że mnie kochają...

Starzy ludzie w Olszankach pamiętają doskonale babkę i dziadka, i mówią mi zawsze żem jak dwie krople do nieboszki pani Rawiczowój podobna; niekoniecznie pochlebne podobieństwo co do ciała, bo miała być uczciwie brzydka, ale sercu niezmiernie dogadza; nie uwierzysz jaką

ona lubą, świętą prawdziwie pamięć zostawiła we wsi i w okolicy; a czegoż kobiéta więcéj żądać może? Kiedy z ambony ksiądz każe się modlić za duszę Michała i Anieli, dawnych dziedziców Olszanek i ich syna, usłyszysz zawsze wznowione westchnienia w całym kościele. O! moja Anielo! jakże i mnie się uśmiecha podobna przyszłość! jakieżto piękne, miłe powołanie ziemianki! jeszcze piękniejsze jak autorki, mistrzyni, a łatwiejsze. Ja nie będę miała ani męża, ani syna, ale będę im wszystkim przyjaciółką i matką; założę szkółkę i będę uczyć dzieci; założę aptekę i będę leczyć chorych: czy to nie sto razy więcéj szczęścia, jak gdybym za Referendarza poszła i bawiła jego i siebie? „Mała, mała wioska!“ mówił wczoraj pan Stanisław; to i owszem, łatwiej powinności względem włościan dopełnić, niż w dużój. Ja nie rozumiem jak się to dzieje, że nie wszystkie wielkie i drobne dziedziczki ziemi cenią godność swoją, i znają jak należy powinności względem owych dzieci zleconych im przez Opatrzność. Jak można bez nagłej potrzeby, mając własny zagon ziemi jeszcze po rodzicach i z ich popiołami, gdzieś tam w dalekich krajach cudze kąty zamiatać? coby mi było i obcych dworów szukać, kiedy ja u siebie mogę być królową.

Tak jak dziś jestem, ani nawet marzę o zagranicy; gdyby mi się jednak sposobność zdarzyła, pojechałabym jak najchętniej widzieć owe skrzętne Niemcy, ów świetny Paryż, ową piękną Francją i inne kraje; alebym wszędzie tylko tyle czasu bawiła, ileby trzeba żeby poznać co mają dobrego, i jak najwięcéj takich rzeczy do mego domku, do mojej wioski nazbierać i przywieźć. Pamiętasz, jakeśmy to raz w Ugorzu patrzyły na jaskółki, co krążąc nad Nidą, w przelocie muskały piórkami wodę; a wiesz, dla czego one tak robią? one maczają sobie pierś, żeby zwilgotnić nią ziemię z której gniazdzka lepią: otóż i jabym za ich przykładem schwyła coś w obcym żywiole, jedynie żeby po-



prawić, upięknąć rodzinną strzechę i w niej pozostać na zawsze. Wiesz, mnieby nawet ciążył jak grzech każdy grosz wydany za granicą, nie w takim celu; bo co to za ubytek dla własnego kraju owe summy trwonione u obcych; jaka krzywda dla wioski, kiedy w niej dziedzic nie mieszka! My przynajmniej, co do Olszanek, nie mamy sobie téj krzywdy do wymówienia; nasza matka swoim zwykłym, serdecznym rozumem osłania ich od téj szkody. Jakeśmy już mieli wyprowadzać się do Warszawy, w głośnym żalu jaki nam chłopstwo okazywało, dostrzegła i trochę interesu. „A gdzież my teraz poniesiewa nase kurczątko, nase kapłony, nase gzybki i jagody, jak jaśne państwo wyjedzie, mówiły kobiety płacząc; juz tez nie będzie garści soli za co kupić!“ „Poczekajcie, odpowiedziała im moja matka, tak wszystko urządzę, że wam się nie stanie szkoda.“

I w saméj rzeczy, ponieważ Olszanki tylko o ośm mil od Warszawy, ułożyliśmy się z dzierżawcą, żeby on brał od nich wszelkie wiktuały, jakie się przewieźć dadzą, 'po raz postanowionéj cenie, płacił je zaraz gotówką, nam je tu przysyłał, a my także mu to przyjmujemy za grosz gotowy. Jest trochę kłopotu w tym układzie: dzierżawca z początku krzywił się; w rachunkach bardzo pilnować się trzeba, jako i przy odbiśraniu każdéj rzeczy; ale nas to zaspokaja że nasze poczciwe chłopki nie tracą na naszym mieszkaniu w Warszawie; miło także jeść własne i dobre; i choć z dowózką, daleko nam taniéj wypada, jak gdyby na targach kupować, i jest zawsze w domu jakaś obfitość. Inaczéj, pewnobyśmy tak uczciwie żyć nie mogli, a zwłaszcza, nasze zapustne Środy nie byłyby mogły być takie smaczne. Bo w każdy Wtorek przyjeżdżała fura ze śmietanką, z jajkami, z drobiem, czasem nam i piękne cielę przywieźli, to była i pieczeń, i galareta z nówek wyborna; a co kapłony Olszańskie, to zupełnie słyngły: tuczyliśmy je zawsze jakiś-czas w domu, wcześniej zabite kruszały i prawdziwie nie ustę

powwały w niczem Szylerskim. Od czasu jak Olszanki już niby moje, dwa razy lepiej mi wszystko smakuje i wszelkie zachody gospodarskie jeszcze mi miłsze niż dawniej. Na święta różne przedziwne rzeczy mieć będziemy małym kosztem, bo tylko pomyśleć o wszystkiem wczesnie, wszystko idzie jak z płatka. Nasza matka zupełnie jest jedyna w swojej pamięci i rozporządzeniach; ja znowu pochwalić się mogę tém, że uniem nie źle wykonać co ona obmyśli. Ona głową, a ja ręką: głowa zawsze szacowniejsza i rzadsza, ale i ręka potrzebna.

Ta moja przejażdżka do Olszanek bardzo ujęła panią Krynicką, naszą dzierżawczynię; zawiozłam jej piękny czepek, dzieciom zabawki, a nadewszystko byłam dla nich grzeczną, uprzejmą, jadłam z niemi, chwaliłam jedzenie, pieściłam dzieci i już komitywa jak najlepsza. Mnie się zdaje, u nas w ogólności ludzie są dobrzy i przychylni, tylko trzeba umieć się wziąć z niemi, strzedz się cieniu pogardy, a w czém się da, wyższość ich wynaleźć. Jestem przekonana, że niema najprostszėj dziewczki, któraby czegoś lepiej nie umiała odemnie; od mojej pani Krynickiej nauczyłam się kilku gospodarskich sekretów bardzo szacownych, z czego ona niewymownie była dumna i szczęśliwa. On znowu przyrzucił kilka dobrych anegdot i szczegółów do mojego słownika; wreszcie rozmawialiśmy o moim ojcu; on jeszcze za jego życia był w Olszankach dla pomagania mu w gospodarstwie, a potem moja matka wyniosła go na ekonoma. Człowiek poczciwości doświadczonėj i zna się na roli: trochę niedbały i leniwy; ale gdzież szukać owych doskonałości? Wreszcie, kocha nas, to już wiele. Żonka znacznie młodsza i przebieglejsza; siostrzenica panny Salomei i drogie mi jest to jej pokrewieństwo; ja tak wiele winnam tej nieoszacowanėj pannie Salomei i za siebie i za matkę. Pamiętasz, jak pani Podstolina nam jej zawsze zazdrościła. Ale, chciałam też być i w waszym Zatulinie; nie byłam tam

od czasu jak twoi rodzice przenieśli się do księztwa Poznańskiego; powiedzieli m że pana Michała i jego żony niema w domu, pojechali w Kutnowskie na zapusty i dopiero po Wielkanocy wróca. Skończyło się więc na ochocie. Jeździłam tylko do Wolenic, pomodlić się za ojca i odwiedzić kochanego księdza proboszcza. Wypadło mi doskonale, była to właśnie Niedziela, słyszałam więc jego kazanie, które zawsze jak i dawniej bywało: proste, tkliwe, budujące. Mali go rozumieją, a durnych poruszy i przekona.

Miewamy my i w Warszawie dobre kazania; przez czas postu codzień po obiedzie w innym kościele jest Passya, i jaki światły ksiądz każe. Kanonik Kotowski wcale pięknie mówi u Fary co piątek; wszystko jednak nie to, co nasz kochany ksiądz proboszcz. Może jest w tém i cokolwiek uprzedzenia, ale słowo Boże z jego ust daleko dzielniej na moje serce pada; nawykłam go uważać od kolébki jako ojca duchownego: on mi Chrztu świętego udzielił, on mnie uczył religii, on do piérwszej Komunii przysposobił i był odtąd takim wyrozumiałym stróżem mego sumienia; on ojca na śmierć przygotował, on matkę w jej nieszczęściu sam jeden uspokoił, nakłonił żeby żyła dla nas, przekonał że żyć potrafi: każde z nas tak kocha jakby własne dziecię i zawsze nas nazywa swemi dziećmi w Chrystusie. Zatrzymał mnie na obiad, musiałam mu obszernie opowiedzieć co u nas się dzieje; powierzyłam mu jak zgadujesz nasze familijne sekreta i widoki, i szczerze się niemi ucieszył. Pochwalił mnie bardzo, żem odmówiła Referendarzowi, i ręczył że mi Pan Bóg da za to bogobojnego i młodego męża, z którym sobie żyć będę szczęśliwie w Olszankach, jak żyli dзиаńowie i rodzice moi. Zawsze miły, wesoly, przyjemny; według dawnego zwyczaju, wolne chwile od powinności dobrego pasterza, poświęca naukom. Kontent był ze mnie, że nie próżnuję w mieście, badał o wszystko jak dawniej; ty wiesz jak ja jemu i co do mojej umię-

tności wiele winna, zwłaszcza od czasu jak straciłam w ojcu przewodnika. Panna Bogumiła wybornie wygląda, szczęśliwa, zajęta. Niktby jój nie dał pięćdziesiąt lat, a przysięgała mi się, że je tój zimy skończyła. Przybyło jój nowe zatrudnienie: ma staranie o dwunastoletnim siostrzanie, sierocie, którego ksiądz proboszcz bardzoby sobie rad wychować na następcę, jeżeli powołanie do tego świętego stanu mieć będzie. Ciotka zupełnie tak go kocha jakby matką jego była. Dziwna to rzecz, moja Anielo, jak my kobiety jeszcze mało umiemy obracać na dobre wyższe wychowanie, które odbieramy; jak nowotne jesteśmy w sztuce zastosowania uczonego rozumu do szczęścia i do cnoty. Ja tak sobie nad tём oddawna głowę łamię, i taką sobie zaletę z tego robię, że choć zostanę panną, muszę być szczęśliwą i użyteczną; a moja panna Bogumiła, która tylko na Złotym Ołtarzyku czytać umieć, ani nawet nie pomyślała, żeby inaczej być mogło i ma zapewne na świecie wiele takich koleżanek.

Prawdziwie, świętym powinno być obowiązkiem dla każdej z nas, staranniej wychowanej, wyżej oświeconej, być lepszą i szczęśliwszą od innych, w jakimkolwiek stanie Pan Bóg ją postawi: bo inaczej cofniemy, a raczej skrzywimy postęp wicku, co podobno jeszcze gorzej.

Nie spodziewałaś się tak górnego morału z przykładu poczciwej panny Bogumiły, przyjmij go jednak, kochanie moje, i bywaj zdrowa i swobodna.“

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Urywek rozmowy małżeńskiej.

— Bo już to daruj, mój kochany, ale jak tylko co sam swoją głowę zrobisz, pewno nic do rzeczy.

Takie słowa, niekoniecznie grzeczne, mówiła żona do męża; a przecież on się nie gniewał, bo żonka ładna i młoda, mówiła je z dowcipnym uśmiechem, wsparta na jego ramieniu, a on sobie siedział wygodnie na kanapie, w szlafroku, w pantoflach, z fajką w ustach.

— Gdybym ja tam była — mówiła jeszcze — rękę wszystkoby inaczej poszło; albo gdybyś mi był przynajmniej powiedział, wyjeżdżając o co rzecz idzie.

— Jakże chcesz, Nastusiu, leżałaś w pokarmowej gorączce; jednego słowa trochę głośniej nie było można wymówić przy tobie...

— Ach! te nieszczęśliwe słabości! niszczą człowieka i do wszystkiego są przeszkodą; już powiadam, że być kobietą, to lepiej...

— Wierzaj mi, moje życie — przerwał mąż wyjmując cybuch z ust i stawiając go na ziemi—wciągnęli mnie; nie było sposobu, należało coś zrobić. Jak cię z duszy kocham,

jeszczem nigdy tak się nie napocił, nie namyślił, nawet nad działową sprawą; głowa mi pękała, całej nocy nie spałem, pewny byłem że osiwieję. Kiedym ten koncept uchwycił, czy sam czy przez siostrę, bo już nie pamiętam, jak gdyby mnie kto na sto koni wsadził, i dalipan, byłbym szyję dał, że skoro się dowiesz o wszystkim, pochwalisz mnie i przyznasz sama, że m dyplomatycznie postąpił.

— Śliczny mi dyplomata! pozwolić na taką rzecz! i jeszcze jakby na pośmiewisko dać to pozwolenie na piśmie. Oni pewno ani spodziéwać się tego nie śmieli!

— Ależ za trzy lata, serce moje: uważ jak to mądrze pomyślano.

— Trzy lata, trzy lata! już upłynęło pięć miesięcy i cóż się odmieniło? Upłynie tak samo i reszta, jeżeli zawsze będzie siedziała u ciotki! i widywać będzie codzien rozkochanego kuzyna. Oj głowa! głowa! nie brzydka to prawda — i tu pocałowała go w gładkie i otwarte czoło, lekko osłonięne jasnemi włosami—lecz daruj, nie dyplomatyczna: dobroć zbyteczna jest ci na przeszkodzie. A z tą całą dobrocią, tęgoś wy kierował siostrę i nas wszystkich. Obiecać ją takiemu, który nic nie ma i nie będzie jęj miał gdzie zawieźć! bo jak słyszę, w wspaniałości swojej, chce siostrom jedynęj wioszczyny ustąpić. Czyś zapomniał, że my w dziale Ludwiki mieszkamy? ja to zawsze mówię, tyś lepszy dla wszystkich niż dla żony i dla dzieci; wszak w naszej Jaworówce nawet domu nie ma?...

— Trzy lata, żoneczko, trzy lata, jeszcze sobie wystawimy pałac.....

— Tak, pałac, a za co? czy pan nie pamięta, że procenta trzeba opłacać, że ta opieka góry złota kosztuje, że dziatek chwała Bogu dopięro pół tuzina. Tobie się zdaje doprawdy, że dzieci i piéniądze z rękawa wytrząsnąć można. Oto i teraz trzeba koniecznie przed świętami jechać do Warszawy po sprawunki; nie mam na imię Boże co wło-

żyć na siebie, wydarłam się ze wszystkiego, ani jednej sukni ~~potrzebnej~~ aż mnie wstyd ludzi; w domu wszystkiego brak, dzieci prawie nagie, — ~~zostanie~~ choć raz na rok koło Wielkanocy, trzeba wystąpić uczciwie. ~~Wtedy~~ pewno dużo się zjedzie i pan Edward pierwszy raz będzie u nas, ~~o~~ czasu jak jest naszym sąsiadem i dziedzicem Jaworowa. Ot, to byłby doskonały szwagierek, bogaty, rządny, a prawa się nie uczył.

— Prawdziwie, żoneczko—przerwał skwapliwie mąż—bardzo słuszną uznajesz potrzebę jechania do Warszawy; są też Bogu dzięki, pieniądze w kantorku. Icek wczoraj przyniósł paręset złotych za gorzałkę; jest i trochę dawnego złotka, zabierzemy i pojedziemy.

— Nie, duszko, mój złoty, ja sama pojedę; nasz Anteczek trochę kaszle i mamka niezupełnie zdrowa, byłabym niespokojna; przepadam za tym chłopczyną, pewno dla tego, że to Anteczek.... Na *madam* też w tych rzeczach spuścić się nie można, jedyna do słusznych panien, ale na dzieci nic nie uważa; jedno z nas musi zostać; a ty w Warszawie, jako zawsze pan wielki i wspaniały, gotówbyś nakupić tysiąc rzeczy niepotrzebnych, a zapomnieć o cykacie i o trzewikach dla mnie i dla dzieci.

— Już też nie gadaj, Nastusiu, zawsze ci po tuzinie od Szmulskiego przywożę; jabym o tej ślicznej nóżce miał zapomnieć..

— A tantym razem ani jednej pary mi nie przywiózłeś; nie mam żadnej a żadnej: ostatnią dziś włożyłam, boso przyjdzie chodzić.

— Nakupże sobie, serce, i nasprawiaj co zechcesz. Ty wiesz, czy ja ci czego żałuję; jabym rad, żeby moja żoneczka w złocie i w jedwabiach chodziła. I dobrze mówisz, zostanę w domu; wszystkie dzieci pokaszlują, a roboty mam wyżej uszów. Ale wrócisz rychło, kochanko; wiesz jak mnie źle bez ciebie...

— Za dziesięć dni najrychlej...

— Dziesięć dni, bardzo długo...

— Jakże chcesz, ptakiem ~~nie mogę~~ nie mogę; ośmnaście mil drogi ~~nie mogę~~ tam, dwa dni napowrót, z jaki ty-  
m ~~nie mogę~~ w Warszawie.

— Rozstawię ci konie, pojedę naprzeciw cię do Tykocina; wyrachuj tylko dzień z pewnością.

— Jeżeli wyjadę jutro rano, w Wielki Wtorek w wieczór mogę być w Tykocinie.

— Dobrze rachujesz, pojutrze Przewodnia Niedziela; niechże już i tak będzie. A nie zapomnij, kochanko, zawieźć ciotce różnych dobrych rzeczy...

— Nie turbuj się; umyślnie dla nich wezmę bryczkę i każe ją naładować czém najlepszym: będą ze mnie kontenci, zaręczam.

— Ani wątpię; ciębie, moje złotko do rany przyłożyćby można, kiedy tylko chcesz. I doprawdy, namyśliwszy się, rad temu jestem, że sama jedziesz; obaczysz, ani potrafisz oprzeć się Ludwice; tak mocno rozkochanej dziewczyny jeszcze nie widział; gdzietam, tyś nigdy mnie tak nie kochała; chciała wstępować do klasztoru, zabijać się, już się rzucała przez okno: ledwie ją uspokoił tём pozwoleniem. Byłaby się dała wykraść niezawodnie, a wtenczas byłoby gorzej i już bez ratunku... Bo też jak na biędę, ten Wacław piękny i łebski chłopak. Niech pani tylko nie bardzo mu się przypatruje...

— Niech sobie będzie jak Adonis, to jemu z tём bardzo dobrze, ale nam co po tём? Skoro nie majątny, a jeszcze prawnik, nie dla naszej siostry mąż.

— I ja tego samego zdania, wszak nawet wypisałem się z nim.

— Najlepiej było nie wiązać się ani słowem ani pi-  
mem, tylko przerwać ten głupi romans odrazu. Ale innego obrotu rzeczy nie można było się spodziewać po wykwin-



tniej ciotce i po przemądrej pannie Krystynie... Czegożby ona w owych rozumach od tylu lat szukała, jeśli nie sztuki mydlenia oczów ludziom. Zaraz mówiłam: „Staraj się jako wykrecić zreczenie testament nieboszki matki; nie oddawaj tam siostry, nie wypuszczaj jej z rąk, przewrócą głowę dziewczynie, zagarną jej majątek, nas zniszczą, z torbą pójdziemy.“ I zgadłam; na mojem się stało, tak jak zawsze; ale ty nigdy w życiu wierzyć mi nie chcesz, zawsze wszystko swoją głową robisz. I słabość masz wyraźną do tych utrapionych Rawiczów. A ja ci powiadam po setny raz, to są złe, przewrotne i niebezpieczne kobiety; a wszystkiemu winny te książki, te niesłychane mądrości.. Do czego to przypiąć taką wykwinną edukacją dla ubogich panien? Jabym wołała, żeby moje dziewczęta czytać nie umiały..

— Nie zbędzie jednak dziewczątkom naszym na rozumie po takiej matce... — przerwał z uśmiechem pan Antoni.

— Pochlebiasz, pochlebiasz; ja sobie bardzo prosta kobieta, zwyczajnie szlachcianka... chybaby po tobie? przecież to ty z mądrej krwi i z pięknej—dodała głaszcząc go białą rączką po rumianej twarzy. Ale nie bałamućmy, dajno duszko klucz od kantorka, niema czasu do stracenia, wybierac się trzeba co żywo.

I dał; a ona wygarniając pieniążki z szufladek, wytrząsając worki i woreczki, nie tyle myślała na ten raz co za nie kupi, jak o tém, jakimby sposobem naprawić to co w duszy zwała „głupstwem męża?“ Czy jej się udało, jak i kiedy, opowieć nam to Krystyna, do której listów znowu wrócimy.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Znowu listy Krystyny do Anieli.

#### LIST DZIEWIĄTY.

*Dnia 30 Marca 1820 roku, w Wielką Srodę w wieczór.*  
„Jest okazyja do Ugorza, jutro skoro świt, kochana moja Anielko; lubom bardzo zmęczona, gdyż pracujemy ciężko, przecież nim pójdę spać, muszę napisać do ciebie aby słów kilka, i przesłać tobie i państwu Chorążtwnu szczére życzenia świąt wesołych. Nadzwyczaj prędko minął czas od ostatniego mego listu do ciebie, chociaż prawie bez książek i pióra. Ledwie go napisała, przyjechała tu zupełnie niespodzianie pani Antoniowa za świątecznemi sprawunkami. Stała u nas, opatrzyła mnóstwem smacznych rzeczy; obwoziła nas po kupcach, po widowiskach; dosyć, powiadam ci, obejrzeć się nie było momentu. Kiedy nawet naszą matkę namówiła trzy razy na teatr, i kochana mama wyznaje sama, że się zabawiła precudownie! Wybornie się na nas gniewał pan Stanisław; od pięciu miesięcy pierwszy raz nikogo w domu nie zastał i partya wista go chybiła; za drugim razem tak się téż rozgniewał, że za nami przyszedł na teatr; grano właśnie *Barbarę* Felińskiego, a Bar-

barą była Lodóchowska: nie gniewał się długo. O! moja Anieło! musisz widzieć tę sztukę; jakież to silne i miłe wrażenie być na polskiej historycznej tragedyi! nasi młodzi literaci mówią: „Barbara rozwlekła, naśladowana, słaba;“ ja wiem, że kiedy nam się dostała jeszcze w Olszankach, w rękopiśmie, przepisałam jęj pięć aktów we dwóch dniach; a teraz nie wiem czy dla tego, że ją dobrze grają, czy téż dla tego że już Feliński nie żyje, ale żaden wiersz nie zdawał mi się zbyt cenny; każdy szlachetnym, tkliwym uczuciem nacechowany, każdy albo duszę podnosi, albo serce rozrzewnia, albo ucho pieści. Nie posiadałam się doprawdy z radości i z dumy, widząc to żywe przypomnienie złotego wieku naszego...

Pani Antoniowa biędy mi narobiła, teraz będzie mi się chciało bywać często w teatrze. Niezmiernie lubię tę zabawę, a używam jęj rzadko: zbyt kosztowna dla nas. Kiedy się téż zdarzy sposobność, cieszę się jak dziecko, aż mię wstyd, w nocy spać nie mogę z radości: Prócz *Barbary* widzieliśmy dwie precudowne komedye: „*Stuga dwóch panów*“ i „*Obiadek z Magdusią*.“ Nasz Żółkowski, Kudlicz, Zdanowicz i nasza prześliczna Kurpińska pewno nie mają sobie równych, a przynajmniej lepszych na żadnym francuzkim teatrze; każde z nich doskonałe jest w swoim rodzaju. Moja matka powiada, że gdyby była królową, Żółkowski miałby od nięj pensyą nadwornego doktora; bo pewno żaden najświetniejszy, skuteczniejszych lekarstw nie ma na wszelkie melancholie, spleny i spazmy. Prawda, samo ukazanie się jego na scenę już dobrą krew robi, do najszczęśliwszego śmiechu pobudza. Widzieliśmy także prześliczne obrazy historyczne układane z żywych osób, na dochód Towarzystwa Dobroczyńności. Pani Zamoyska, naczelna opiekunka Towarzystwa i pani Ludwikowa Platerowa, obie pełne gustu, trudniły się ich układem. Był to widok czarujący, i wszyscy wturujemy chętnie pochwałom wierszem,

które z tego powodu umieścił w gazecie J. D. Minasowicz do pani Zamoyskiej. Jakby to nasza Zosia wydała się cudownie w takich obrazach! Najpiękniejszą z gracyi, młodą Hebę, a może i samą Wenus byłby jój przystało. I pani Antoniowa nie mogła się uspokoić nad jój urodą... Ależ bo pani Antoniowej wszystko u nas się podobało; a jak ją bawiły nasze wieczory, nasze gry, jak je sama ożywiała!

Jeszczem jój nigdy nie widziała tyle uprzejmój i łaskawój; dotąd, w swoich rzadkich przyjazdach do Olszanek nie była z nami bardzo dobrze; zawsze w jakichsiś przytykach, zazdrościach; choć, prawdziwie nie wiem o co i za co; bo my im, jak żyję, w drogę nie weszli; oni sobie majątni, a my prawie ubodzy; i gdyby między tak blizkiemi krewnymi żale i zazdrości mogły mieć miejsce, prędzejby nam przystały. Lecz tym razem, z wielkiem naszym podziwieniem wszelkie chmury znikły, pogoda była doskonała, i kuzynka zakochała się w nas zupełnie. Obdarzyła nas z wielką trafnością: mojej matce dała piękną poduszkę swojej roboty, Zosi nakupiła nut i strojów, mnie kwiatów i książek. Dla Wacława była nie tylko grzeczna, ale czuła; wyznała nam w sekrecie, iż się nic nie dziwi przywiązaniu siostry; owszem, takim wyborem dowiodła dobrego gustu i rozsądku swojego: „Co tam na pieniądze uważać — mówiła — szczęście domowe pierwsza rzecz, a dobra głowa lepsza od majątku; kto ma rozum, dorobi się grosza, a kto głupi, stracić gotów to co ma.“ Tém wyznaniem, témi słowami ujęła do szczeru moję matkę i mnie; i dopiero teraz nie wąpimy na chwilę o ożenieniu się Wacława; ślub może i prędzej nastąpi niż za półtrzecia roku; wszystko mi się tak wydaje: pani Antoniowa wyjechała w Wielki Poniedziałek. Na dwie godziny przed jój wyjazdem, jakoś nagle i niespodzianie tak się rzeczy ułożyły, że Ludwika namyśliła się jechać z nią do Małanówki na święta. Za dwa tygodnie 11 Kwietnia, pan Antoni ją tu odwiezie.

Biędna dziewczyna zanosila się od płaczu wyjeżdżając; aż sam Wacław i my wszyscy łajaliśmy ją; boć to nie Ukraina, mil ośmnaście i jeszcze w Królestwie. A należała się ta grzeczność braterstwu, ile że pani Antoniowa o to pozwolenie siostry na czas tak krótki prosiła jakby o łaskę, zostawiając zupełnie do woli cici pozwolić albo nie. I bynajmniej nie przyjechała z tą myślą; dopiero w sam dzień wyjazdu przyszło jej do głowy, czyby nie można zrobić tej miłej niespodzianki mężowi? Prawda, że ona rządzi zupełnie pocziwym panem Antonim, i jest co się zowie *ten kobieta*; alez więcej jeszcze w tém jego winy; po co dał się zawojować? ona przynajmniej, widać kocha go szczerze i ma dla niego wiele względów. Zapewne, świat to przewrotny, kiedy żona ma pierwszeństwo w domu przed mężem; dla mnie byłoby to raczej upokorzeniem, niż powodem do dumy: ja chcę służyć mego męża, bo samo moje [posłuszeństwo będzie dowodem jego wyższości,; lecz kiedy który mężczyzna czy nie poczuwa się do tej wyższości, czy też nie dba o swoje prawa, już lepiej żeby żona rządziła niż nikt, albo ktoś trzeci. Wszak prawda, moja Anielo? My tymczasem korzystając z chwilowej niebytności Ludwika, wreszcie z świąt nadchodzących, zaraz po wyjeździe pani Antoniovej wzięliśmy się do wielkich porządków. Kochana matka, która, jak wiesz, kurzu i wszelkiego nieładu nie lubi, siedzi sobie przez cały dzień w moim pokoiku; wyporządzą go na samym ostatku; zresztą wszędzie wszystko porozstawiane, pootwierane; za to na Wielkanoc domek będzie czysty jak szklanka, i droga nasza matka oglądając wszystko, będzie się cieszyć, zacierać z radości swoje śliczne rączki i dziękować nam z rozrzewnieniem. Bo nawet kilka małych odmian i wygódek, obmyśliliśmy dla niej z Wacławem i z Zosią, i już nas uszczęśliwia zawczasu jej zadziwienie, i ośladza nam wszelkie trudy. Mnieby i tej myśli nie koniecznie trzeba; ja bardzo lubię czasem te gospodarskie przerwy w życiu.

Najprzód, w takiem szczupłym a ubogim mieszkaniu jak nasze, gruntowne uprzątnięcie potrzebne jest przynajmniej dwa razy do roku, dla zachowania ohydności, całej jego ozdoby; potem, są to prawdziwie wakacje dla głowy. Jakkolwiek przekładam nad wszelkie inne zatrudnienia, książki i pióro, przecież znajduję rzeczą pożyteczną i przyjemną rozstawać się z niemi kiedy niekiedy; wracam do nich z nową rozkoszą, z większą zdatnością; kilko-dniowy mocny ruch ciała a zupełny wypoczynek umysłu, dodają mi zdrowia i swobody. Nigdy, pojąć nie mogę tego co jeszcze tak powszechnie się dzieje, i tyle, w naszym zwłaszcza stanie, wyższej oświacie kobiet przeszkadza: że skoro która z nas coś niby umieć, jakiś ma talent, zaraz gospodarstwo, roboty ręczne ma za jakoweś poniżenie, a dzień spędzony bez czytania, pisania, rysunku i muzyki wydaje jej się nudny i stracony. Wszak domowe zachody są pierwszym i powszechnym zatrudnieniem kobiet; umysłowe prace, udoskonaleniem, postępem, wyjątkiem. Czyż przyszło kiedy komu do głowy pogardzać mową dla tego że śpiewa pięknie, albo nie chce chodzić, bo tańczy lekko?

Dla tego samego że tak wysoko cenię naukę i tak żywo się nią zajmuję, nie mogłabym od rana do wieczora nad książkami i papierami siedzieć; głowaby mnie rozbolała: wyraźnie potrzebuję krzątania się, roboty ręcznej. Wacław choć mężczyzna i uczonej, także ręczne prace lubi, zawsze sobie coś wynajdzie użytecznego do roboty; gdybyś mogła widzieć jak ów głęboki matematyk, wielki łacinnik i prawnik, przyszły wzór agronomów polskich, dziedzic dóbr rozległych, jak pracuje przez te dni! Nam wszędzie pomaga, gdzie trzeba mężczyź siły i umiejętności jego stolarskiej, która nam się dziwnie przydaje i wiele oszczędza; a prócz tego urządza ślicznie pokój Ludwiki. Wykleja go papierem zielonym ze szlakami różowej i białej akacyi, różne półki i półeczki własnej roboty przybija i zawiesza, duży kosz

do kwiatów sporządził z prostych gałązek olszyny, postawimy go na jój komodzie z cebulkowemi kwiatami, które już wszystkie mają pąki. Zdaje mi się, i serdecznie się tém cieszę, że coraz mocniej kocha swoją bogdankę; a przynajmniej więcej się z tém wydaje po jój odjeździe; pobyt pani Antoniovej upewnił jego nadzieje; pozwala więc sobie kochać się, a serce jego, w całym znaczeniu tego wyrazu, młode, nowe i kochające. Nasza matka z niepojętą pociechą upatruje w nim ten sam rodzaj kochania cnotliwego, wyższego, z pamięcią na przyszłość, jakie niegdyś w naszym ojcu wzbudziła, a któremu, jak zawsze powtarza, winna wszystko czem jest. Szkoda tylko że Ludwika wcale nie podobna do naszej matki; jedyna nadzieja w jój młodości i w przywiązaniu bez granic; zawsze szalenie rozkochana i role ich są zupełnie zamienione: ona jest zapalonym kochankiem, on tkliwą lecz skromną kochanką. Już mieliśmy dziś list od niój, z pierwszej stacyi gdzie obiadowali; niby do mnie, w rzeczy cały do Wacława; na każdym popasie, na każdym noclegu pisać obiecuje; a jak czule! nie czytałam Heloizy ani dawniej, ani nowiej, wątpię jednak, czy obie goręcej pisać mogły.

Według tego co pisze: „nie ję, nie śpi, łązy strumieniem leje i tak chce przetrwać te dwa tygodnie, jeżeli tylko przetrwać je potrafi; bo pewna jest że suchot dostanie z tęsknoty, umrze w tej obrzydłej Małanówce i zobaczymy ją bez duszy na marach.“ I dziwnej rzeczy jój się zachciało na ratunek i na uzdrowienie : oto żeby Wacław się przebrał za podróżnego, za wojskowego, za żebraka, za cobądz, choćby za żyda, i przyjechał, albo wreszcie przyszedł do Małanówki, aby na dwie minuty. Inaczéj nie uwierzy jego miłości. „Ale gdzietam, pisze na końcu, on zimny, nieczuły, łąza nie błyszczała w jego oku przy jój wyjeździe, żal nie unosił piersi: on sobie szydził z jój rozpaczy...“ i tysiączne tym podobne wymówki, których mu nigdy nie

szczędzi, a tak niesprawiedliwie! On ją sto razy lepiej kocha niż ona jego; on o jój szczęściu, o jój przyjemności jedynie myśli, a ona przy całym swoim kochaniu zawsze go dręczy. I ten jój list, lubo tyle pochlebiający, bardzo go zasmucił i w kłopot wprowadził. Przebierać się i zakradać nie będzie; kiedy go pani Antoniowa nie zaprosiła na święta, jawnie téż nie pojedzie; nawet nie napisze do Ludwiki: w owym układzie jest wyraźnie, że pisywać do siebie nie będą, a u niego słowo ma moc przysięgi. Skończy się na tém, że ja jutro do niéj napiszę, ułagodzę ją, upamiętam, a nim się na drugi list zbierzemy, to i powróci. Dwa tygodnie miną prędko, a jeszcze świąteczne. W Wielką Sobotę idziemy wszyscy razem do Wielkanocnej spowiedzi, i jeźlim cię w czém obraziła, to 'przepraszam jak najpokorniej.

Będziemy mieli uczciwe święcone i spodziewamy się dosyć gości; przez ten tydzień dom nasz zamknięty, tak dla nabożeństwa jak dla porządków: nagrodzą nam to zapewne nasi znajomi w dniu świąteczne. Zosia także bardzo zajęta, podjęła się ciast wszelkich, będzie je [piekła z panią Goździcką i z Celiną; ja urządzam resztę pod rozkazami kochanej matki. Święta w mieście nie takie uroczyste i wesole jak na wsi, bo już to nie ma na świecie nic nad wieś, ale przecież zawsze miłe. Jakie to będą u mnie w Olszankach, zobaczysz. Bo musicie i wy kiedy zjechać z całą dziatwą: ja myślę przybudować dwa pokoiki do domu; już mam plan własną ręką narysowany... Ale dobranoc ci, kochanie moje; już mi się oczy zamykają i podobno śnić zaczynam..."



## LIST DZIESIĄTY.

*Dnia 2 Maja 1820 r., z Warszawy.* „Czy uwierzysz, kochana Aniello, Ludwiki jak nie ma tak nie ma, a to dziś nie 11 Kwietnia ale już 2 Maja. List króciutki o którym ci wspomniałam opisując nasze święta był ostatni \*). Pisała z początku co poczta, nawet nam po trzy listy naraz od dawano; teraz 14-ty dzień, jak niémamy ani słóweczka. Wiemy jednak z pewnością, że zdrowiuteńka, i że się nic złego państwu Antoniostwu nie stało; ktoś z tamtych stron tu przyjechał. Wczoraj mówiła nam także Sędzina, prawda że Sędzina, która wyczytać miała tę wieść z wiarogodnych listów z Augustowskiego: jakoby „panna Ludwika znalazła tam konkurenta i przyjmowała go bardzo dobrze. Ani się dziwić temu że nie wraca—dodała z przekazem—dla milio nowego kawalera zatrzymać się warto: tacy nie piechotą chodzą.“ A gdybyś wiedziała Aniello, kto ma być owym kawalerem. Niejaki pan Edward Gryf, prawda, bogaty i był w Paryżu; ależ jaki nieprzyjemny, samolub, schorzały. I tu nim się tak brzydziła, tak się go wyrzekała; bo zaczął u nas bywać tych zapust i udawał się do niej cokolwiek, choć nie było wcale widać, żeby się w niej kochał. Wacław nieborak gdyby cień chodzi; pocieszamy go i uspokajamy ile możemy; i w rzeczy saméj niepodobna wierzyć dobremu przyjmowaniu pana Edwarda przez Ludwikę; ale jest coś, jest jakaś odmiana, rzecz pewna. Może plotki, może obmowa, a co najpewniéj, intrygi pani Antoniowéj; nie darmo ona głowę na karku nosi: nie uczona ale strasznie zręczna kobiéta, dowcipna i znająca serce ludzkie a raczéj słabości jego. Jak sobie teraz różne drobne rzeczy przypominamy,

---

\*) Ten list zaginął.

oczywiście wywiodła nas wszystkich w pole; przyjechała tu umyślnie po Ludwikę, a jako dobrodusznym, bo zwodzić nieumiejącym, zamydliła oczy z łatwością. Tego mi najwięcej wstyd, że nas pochlebstwem złowiła, a my jej słowa brali za świętą prawdę. Trzeba zawsze wierzyć pierwszemu wrażeniu i zapisywać je sobie mocno w pamięci. Coraz więcej czuję potrzebę owój książki z żywymi portretami, o której ci dawniej pisałam; słusznie tu ktoś powiedział: „Ludzi sądzić należy za pierwszym poznaniem, albo po dziesięciu leciech.“

Kiedy pan Antoni przywiózł nam żonę do Olszanek wkrótce po ślubie, moja matka zaraz powiedziała: „Ona fałszywa“. Jakoś się o tém zapomniało; tak trudno mieć złą opinię o ludziach i wystawić sobie, że ktoś inaczej mówi niż czuje. Mnie, przyznam ci się, fałsz i obłuda zupełnie pomieścić się w głowie nie chcą. Jakiś to pamięci trzeba, żeby zawsze kłamać i kłamstwo utrzymywać! Ależ jakim sposobem Ludwika miałaby się odmienić w przeciągu pięciu tygodni? tego także nie pojmuję i nie pojme, choćbym żyła sto lat. Jednak prawda jak Bóg w niebie, list jej ostatni do mnie, kiedy go teraz uważnie odczytujemy, nie a nie niepodobny do pierwszych. Jakieś wymówki, gniewy, wcale innego rodzaju jak z początku: „zaczyna otwierać oczy, poznawać się na samój sobie, widzieć jakiej miłości jest warta i jaka to jest miłość prawdziwa.“ Wacław powiada że ją tam zapewne ciemieją, zamykają, gwałtem takie listy pisać każą: już wczoraj koniecznie chciał wszystko rzucić i lecieć pocztą do Małanówki. „Niech się dzieje co chce, ale niech wiem co się dzieje, mówił bijąc się pięściami w czoło: ja tak oszaleję. Pojadę, wyzwę pana Antoniego, niech się nauczy co to jest przymuszać siostrę i żartować ze mnie.“

Ledwieśmy go uprosiły żeby poczekał na odpowiedź pana Antoniego. Moja matka napisała do niego z uczu-

ciem i godnością, nic nie żądając tylko prawdy. „Igraszkę sobie robić ze spokojności, z honoru mego syna, takie były jój słowa, ani on, ani ja nikomu nie pozwolimy; przy- muszać téż Ludwika nie myślę: ja chcę szczęścia dla Wa- cława, nie majątku; jednak zeznaję uroczyście, że z danój obietnicy nie zwolnię, dopóki nie będę miała przekonania, iż Ludwika tego chce sama. Siostra umierając oddała mi ją w opiekę, powinnam czuwać nad nią jak nad własném dzieckiem.“ Ów list wczoraj poszedł, pojmujesz łatwo jak niecierpliwie wyglądamy odpowiedzi. Ten biędny Waclaw pewno przechoruje tę próbę, i o matkę się boję: cierpiąca od kilku dni. Żle nam się wiosna zaczyna, a tak jój pragnęłam: zdawało mi się że jój piérwsze tchnienie wszystkie drzewa rozwinie, wszystkie troski rozwieje. Pamiętasz także jak jeszcze w Lutym cieszyłam się na posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół nauk; jutro będzie, mamy bilety i cieszyć się nie mogę. Czy uważałaś to co ja, Anieli! nigdy nie warto rachować z góry z pewnością, na przyjemność jaką: zawsze w skutku okaże się zawód, jakby dla przekonania nędznego człowieka, że on prawa nad przyszłością niéma, że przy- szłość do Boga należy. Nie odeślę tego listu aż jutro, że- by ci cokolwiek o posiedzeniu napisać. Przy téj pamięci będę lepiéj uważać na wszystko.“

---

*Nazajutrz po obiedzie.* „Byłam, i przez parę godzin za- pomniałam o naszych domowych kłopotach; i Waclaw był, i on się rozerwał choć trochę. Ależ bo niepodobna mając serce i cokolwiek zamiłowania nauk, widzieć takie zgroma- dzenie bez mocnego wzruszenia i bez pewnej chluby. O ja- kich tylko sławniejszych imionach między żyjącymi rodaka- mi słyszałaś, kogoś była ciekawa widzieć z uczonych i au-

torów naszych, wszystkich prawie tam masz, wszystkich się możesz napatrzeć, nasłuchać, a o oddalonych, niedawno zmarłych dowiedzieć się czegoś; było téż pełno osób, zwłaszcza młodzieży; ledwie się nie dusili: my wcześniej przyszli i mieliśmy dobre miejsca. Lecz chcąc prawdziwie skorzystać z podobnego zgromadzenia, nie dosyć jest dobrze siedzieć i widzieć, trzeba jeszcze mieć takich nieoszacowanych towarzyszków, jak ja miałam w panu Stanisławie i w bracie. Niestety byli odemnie, bom się ich co moment pytała. Nasza matka została w domu, bała się gorąca i tłoku, wreszcie, kiedy my gdzie jesteśmy, dla niej dosyć: „Wy mi to lepiej opowiecie“ mówi zawsze.

Ależ podobne posiedzenie trudno opowiedzieć i opisać, bo jakże udzielić tego co najciekawsze: twarzy, postawy, głosu, sposobu mówienia tylu znakomitych ludzi; i cóż znaczą owe nieokreślone słowa: „widziałam go, słyszałam“ dla tych co nie widzieli i nie słyszeli.

Towarzystwo odbywa posiedzenia swoje jeszcze na Kanoniach, w zbyt małej sali; będzie miało wkrótce swój własny dom na Nowym Świecie, w miejscu dawnego kościoła Dominikanów, nakładem szanownego prezesa swojego, księdza Staszica. O dobroczynności jego, nauce i dziwa-ctwach pewno nieraz słyszeć ci się zdarzyło; powierzchowność jego znacząca choć zaniedbana, odpowiada wyobrażeniu jakiem miała o nim, a wejrzenie ponure obok miłego uśmiechu, zamionuje odludka i przyjaciela ludzkości. Pierwój jednak od niego szukałam chciwie i dostrzegłam patryarchę naszych poetów, którego od samój kolebki nauczyłam się znać i kochać. Jakaż to piękna starość! co za rzewnosc w samym głosie. Niechże nam jeszcze długo żyje. I mam tę lubą nadzieję, bo choć on często powtarza i wczoraj jeszcze mówił: że „już jedną nogą jest w grobie“ po czerstwój jego twarzy widać, że stu lat doczeka. Zawsze pracowity, ledwie nie pierwszy uczynił zadosyć dawnemu

zażaniu Towarzystwa, i ukończył część historii polskiej która na niego przypadła. Oznajmił nam to wczoraj prezes, który zdawał sprawę publiczności ze wszystkich czynności Towarzystwa i członków jego przez ubiegłe półroczce; wyliczył dary odebrane, wymienił nazwiska przybranych członków, a nareszcie powiedział ze smutkiem o śmierci czterech mężów pełnych zasług: Karola Sierakowskiego, Jana Krystyana Hofmana, Tadeusza Matuszewica i Aloizego Felińskiego.

O dwóch pierwszych krótkie było wspomnienie; o trzecim czytał długą mowę Stanisław Potocki, znany pod imieniem ksiąźęcia wymowy polskiej; czy słusznie, wyrzec nie śmiem; zdaje mi się jednak, że jego zasługi obywatelskie przeważają literackie; o czwartym, o Felińskim, który mnie najwięcej obchodził, bo tak lubię jego Barbarę, i tyle się nasłuchałam ile on w Kamieńcu od uczniów był kochany, o Felińskim przemówił przyjaciel jego, Michał Wyszkowski także uczony i miły człowiek; przemówił z wielkiem rozrzewnieniem, które wszystkich mocno przejęło, i udzielił kilka jego poezyi dotąd nieznanych a bardzo pięknych. Czytali jeszcze inni członkowie: Karol Skrodzki, *O trąbie powietrznej*; Michał Szubert *O naszej sośnie pospolitej*: dosyć że ci powiem, było co słuchać i na co patrzeć. Bo to kochanko, nie żarty: kilkudziesiąt mężczyzn różnego wieku, nie ma zaś żadnego między niemi, przynajmniej tak wierzyć trzeba, któryby tam nie siedział dla jakiejś zasługi bądź w naukach, bądź w sztukach; i nie tylko masz historyków, literatów, astronomów i t. p., lecz i lekarzy, artystów, autorów użytecznych wynalazków, zgoła wszystkich, co się w rzeczypospolitej umiejętności ludzkich czémśie odznaczyli; a wśród tego całego grona, w którym są i hrabiowie i ksiąźęta, i generałowie i księża, siedział, zgadnij kto? nie zgadniesz: Żyd z wielką brodą, w krymce, Abraham

Stern, co machinę do rachowania wynalazł. Podobno to pierwszy przykład tak publicznej tolerancji u nas; i jak Zosię, tak może i wiele innych osób ta okoliczność najwięcej uderzyła i zabawiła z całego posiedzenia. I mnie się to dziwnym wydało, a razem i ucieszyło. Lubo nie mam najmniejszego nabożeństwa do Żydów w ogólności, i wiele nieszczęść Polski im przypisuję, przecież, w dzisiejszych zwłaszcza okolicznościach, kiedy tyle o Żydach i piszą i mówią, dwa tylko widzę na nich sposoby: albo ich wypędzić, albo ucywilizować, i potem porównać w prawach z nami; wtedy z czasem staliby się jak w innych krajach obywatelami, nie zaś niechętnymi przybyszami, jak są teraz.

Należałoby ci się, moja Anielo, o wielu jeszcze rzeczach i osobach wspomnieć: o różnych starożytnych pamiątkach w rozmaitych częściach Polski wykopanych, które tam były wystawione; o młodym jeszcze Joachimie Lelewelu, który już wybladł i zestarzał się nad księgami, ale którego erudycy Niemcy sami się dziwią, a rodacy obiecują sobie i jemu, że połączy zasługi Czackiego i Naruszewicza; o poczciwym księdzu Falkowskim, co żyje tylko nadzieją, iż założyć potrafi w Warszawie instytut dla głuchoniemych, gdyż serce jego miłosierdzia pełne, przejęło się szczególną litością dla tego rodzaju nieszczęśliwych. Ta myśl cnotliwą i poszukiwania uczone, jakie w tej mierze czyni, zrobiły mu miejsce w Towarzystwie. Ale, moja droga, jeżeli będąc w owęj świątyni nauk polskich, zapomniałam o wszystkim, za powrotem do domu odnowiła się boleść serdeczna, i tamte wrażenia znowu uleciały: zastałam kochaną matkę z zapłakanemi oczami. Była sama, a wiesz, nie lubi być samą. Zawsze powiada, że jój wtenczas sznurem stają przed oczyma wszystkie osoby które straciła, a obecne smutki jak kamień staczają się na serce. Muszę więc ten list zakończyć, a wrócić do niéj, rozpędzić ile możności te chmury. Może też Bóg da, przyjdzie co pocieszającego od Ludwiki.

Często człowiek posądza, gniewa się, skarży przed wszystkimi, a tu niespodzianie odkryje się niesłuszność jego, bo wszystko wystawił sobie, przewidział, prócz tego jednego co się stało. Bądź zdrowa, jak tylko będziemy co wiedzieć, zaraz ci doniosę.“

---

LIST JEDENASTY.

*Z Warszawy, dnia 12 Maja 1820.* „Wszystko skończone i zerwane właśnie dziś tydzień; pierwsze chwile bardzo były przykre i mimo obietnicy nie miałam serca pisać do ciebie: teraz doprawdy już lepij. Ta niepewność równała się śmierci. Wystaw sobie co się z nami działo. Szóstego dnia po wysłaniu listu, w Piątek po obiedzie, Waclawa w domu nie było, my z matką i Zosią rozmawiałyśmy właśnie, jaka téż odpowiedź będzie z Małanówki (ile iż w wigilią sam Waclaw dowiedział się z pewnością, że Ludwika zdrowa i wesola), kiedy niespodzianie zajechał z trzaskiem przed naszą kamienicę sam pan Antoni. Blady był jak śmierć i trząsł się cały. Położył na stoliku list od siostry i prosił żebyśmy go głośno i uważnie przeczytały. Może być iż żonka podała do niego myśli i konceptów parę, przecież cały napisany jest ręką Ludwiki i własnym jej stylem. Zeznaje w nim trochę ciemno jak się przekonała: „że Waclaw uszczęśliwić jej nie może, ani ona jego; że on jej wcale nie kochał, bo zawsze widział w niej same wady, a ona potrzebuje ślepiej, namiętniej miłości; chciała odwlec to niemile wyznanie, ale kiedy sami domagamy się prawdy, zwalnia Waclawa ze słowa, sama uwolnienia żąda, zamawiając sobie jednak zawsze naszą i jego braterską przyjaźń,

gdyż zawsze nas bardzo kocha.“ Pan Antoni przez cały czas tego czytania, coraz bardziej się mieszał; wyraźnie wyglądał czy Wacław zkaąd nie wypadnie z pistoletem albo z szablą w ręku.

Kiedy moja matka dziwić się zaczęła takięj naglęj odmianie i wypytywać się o rzetelne, o podobne do prawdy przyczyny, on jąkał się, sam nie wiedział co gadał; widać było nauczoną od żony rolę, którą zapomniał w drodze i ze strachu. Nareszcie z wielką nieśmiałością prosił o oddanie wiadomego pisma. Moja matka odpowiedziała mu z zimną krwią, żeby przyszedł po nie nazajutrz, o těj samęj godzinie; bo jakkolwiek żadnego już w jēj oczach nie miało znaczenia, przecież chce je oddać w przytomności Wacława i pana Stanisława. Pan Antoni wtedy jeszcze cichszym głosem przemówił coś o testamencie ciotki, o tēm że Ludwika już mieszkać przy nas nie będzie mogła, a nakoniec o kilkuset dukatach wynagrodzenia, które zdawało się jakoby już miał dobyć z kieszeni. Ledwie moja matka to usłyszała i zobaczyła, w mgnieniu oka zerwała się z kanapy, pobiegła do biurka z żywością piętnastoletnięj dziewczyny, wyjęła ów papier, rozdarła go i rzuciła na stół: „Ja odstępnę brać za syna!“ zawołała z pogardą i z boleścią. Jeszcze nigdy w życiu tak oburzonej jēj nie widziałam, aż się złąkłam, żeby się jēj co dziwnego nie zrobiło. Pan Antoni słupem stanął, ale po chwili wyciągnął rękę, zabrał podarty papier, skłonił się, wyszedł, i już nam się nie pokazał. Dowiedzieliśmy się, że tego samego wieczora na całą noc do siebie pojechał.

Pojmiesz to łatwo, ani Wacław ani pan Stanisław nie wzięli matce za złe owęgo uniesienia się. Biędny Wacław bardzo rozpaczał w piérwszych momentach, z razu nie dał słowa powiedzieć na Ludwikę; dziś przecież, choć sam jeszcze tego nie przyznaje, już nam mówić pozwala że nie byłby z nią szczęśliwy. Cała jēj miłość była jak widać



w głowie, później czy prędzej byłaby wyszumiała; a zatem im prędzej, tém lepiej. Wielkie szczęście żeśmy nikomu z obcych, prócz pani Goździckiej, która zapewne tego zaufania nie nadużyje, o tych układach nie powiadali, ani też Wacław przed żadnym kolegą swoim się nie chwalił; domyślało się wiele osób że oni się mają ku sobie, ależ między cioteczniemi, to rzecz dosyć zwyczajna; a ponieważ Ludwika ze swojej strony wszystkim naszym pannom pod wielkim sekretem się zwierzyła, teraz cała śmieszność i wszelki wstyd na nią spadnie. Ona nieboga przysięgała, że będzie kochać na wieki, przy jej dziwném ułożeniu należało przysięgać warunkowo: „Póty będę kochać, póki będę chciała.“

Nasi służący, którzy od nas nic nie wiedzieli, ale zapewne różne swoje wnioski robili, rozgadali się z Janem, lokajem pana Antoniego; ja wybadałam naszą poczciwą Agnieszkę; tyle im Jan powiedział: „Panienska po przyjeździe z Warszawy trzy dni płakała, w czarnej sukni chodziła, z zaczesanemi włosami, nie jadła, nie piła; aż ludzie Bóg wie co gadali: jedni że się rozkochała, drudzy że chce iść do klasztoru; ale jak jejność i madam, dawna guwernantka, co teraz jest przy naszych paniątkach, jak zaczęły szwargotać z nią po francuzku, śmiać się, żartować; jak na święta gości zgraja się zebrała, jak zajechał pan Edward Gryf koczem warszawskim, tęgą czwórką, z galonową liberyą; jak zaczął cukry Lesłoskie i pomarańcze od Dobrycza sztafetami sprowadzać, a tajemnie i prawie cudownie podrzucać kwiaty, listy przysyłać; jak potem sprosił wiele państwa do siebie do Jaworowa, gdzie ma pałac wspaniały, i wyprawił taki podwieczorek, że o nim rok ludzie gadać będą; z muzyką, z ogniami sztucznymi, z cyfrą panienki w powietrzu; jak zaczął codzien bywać, konno jeździć z panienką, tak za miesiąc ani jej poznać: wesola, wystrojona gdyby laleczka, żwawa, śmiejąca się. Nareszcie w dzień św. Atanazyi, na imieniny naszej pani, szeptano i w kuchni,

i w kredensie, i w kawiarni, że pan Edward się oświadczył; zrękwon jednak nie było, gdyż mówili, jakoby sama pani musiała jechać do Warszawy po pierścienie; alić nazajutrz po świętej Atanazji przyszedł list z poczty, i zaraz drugiego dnia, skoro świt, zabrałim się z panem i przyjechalim tu. Mówiła mi jednak Franusia, pokojówka panny Ludwiki, jakoby w przeddzień naszego wyjazdu, w wieczór, kiedy już państwo się rozeszło, panienska była trochę smutna. Ale nadeszła jéjmość i niebawem obie się śmiały i piślały coś długo w noc.“

Otóż to takie skutki czytania romansów, Ludwice niemi przejętej, zapewne tylko się zdawało, że kocha Wacława, bo jakże pannie ośmnastoletniej być bez kochanka? nigdy się to nie trafiło żadnej Eugenii, ani Ewelinie. Wacław téż może podobny do jakiego Oskara albo Mortywera; a przesładowania, ofiary jakich się spodziewała, tajemnica, do reszty ją przekonały, że tak z nią będzie jak w książkach, że dozna awantur, wyjdzie na heroinę. Tymczasem cały romans w bardzo krótkim czasie strasznie naturalnie się obrócił, a spełnienie jéj życzeń złożone zostało w jéj własne ręce. Prócz tego, pani Antoniowa znając lepiej od nas jéj charakter i głowę, musiała użyć wszelkich sprężyn do zawojowania jéj i odkochania; ręczę, delikatność Wacława w niepisaniu do niéj, unikanie najmniejszego cieniu podstępny, poczytane mu zostały za nieczułość. Już tu często ona nie była kontenta z niego; chciała koniecznie, żeby on wszystko porzucił dla niéj; kiedyśmy gdzie wyszły, on powinien był czatować na drodze; jeśli była słaba, co przynajmniej co drugi dzień się zdarzało, powinien był przybiedz skoro świt, dowiedzieć się o jéj zdrowie, bukiety znosić, *surprizy* robić, myśli zgadywać. Pocciwy chłopiec nie miał na to ani czasu ani pieniędzy; miłość co zajmowała całą Ludwikę, u niego, jak zwykle bywa u rozsądnego mężczyzny i który jest pewny wzajemności, drugie trzymała

miejsce; kraj, nauka, sława, szły piérwój: wszystko to ją ostudzało. Tam, pan Edward wyuczony, prowadzony przez panią Antoniówą, poświęcił się cały zalotom, kilkaset dukatów wydał, i dziewczyna zdurzona uwierzyła, że mocniej ją kocha niż Waclaw.

Wreszcie, pannie, która od śmierci matki, a podobno i piérwój, zupełną miała wolność, i jak sama nam mówiła nieraz, nic a nic nie robiła, tylko jadła, spała i romanse czytała, takiój pannie nie mogło przypaść do smaku życie regularne, czynne, naukowe, do jakiegośmy ją tu wprawiali, i do którego sam Waclaw ją zapędzał. Skoro otarła piérwsze łzy, zbyt rzęsiste i gwałtowne, aby długo płynąć miały, skoro się ujrzała w dawnym żywiole, a do tego, i próżności zręcznie dogodzone: sztuczna miłość znikła. Szkoda jój, byłaby się ułożyła wśród nas, przy takiój matce, z takim mężem: tak, Bóg wie co z niój będzie, jeżeli jeszcze ją wydadzą za pana Edwarda. Szkoda dla niój, szkoda trochę i dla nas. Jużeśmy się byli oswoili zupełnie z układami i widokami majątkowemi; człowiek taki słaby, tak łatwo do tych marności przylega. Ja osobliwie, zupełnie jestem jak owa mleczarka Lafontena z owym dzbankiem mléka, aż mi się już teraz śmiać chce: moje dziedzictwo rozbiło się. Co robić? Olszanki będą znowu Waclawa, a ja będę jego gospodynią; alboż to i taki los zły dla starój panny? On biédniejszy: na większą skalę zamki na lodzie budował. Cuda robić zamyślał z dobrami przyszłej żony: szkółki, fabryki, rozdanie gruntu chłopom, wszystko to miało mieć miejsce; mnie się zwierzał ze swemi planami; teraz od wszelkiój pracy ochota go odpadła, i zapewne nie zaraz wróci: piérwszy zawód taki bolesny! W tym roku kończy uniwersytet, najlepiej byłoby wyprawić go na parę lat za granicę; cóż kiedy nie ma za co.

Wiesz, Anielo, teraz piérwszy raz przyszło mi żałować trochę, że odmówiła Referendarzowi. Któż wie jednak,

czybym była mogła przy tych wszystkich majątkach rozrządzić kilką tysiącami; żona co nie wniesie wielkiego posagu, choćby najbogatszego męża miała, rzadko kiedy swojej familii świadczyć może, ile, że jak mi się po wielu rzeczach zdawało, on musi być skąpy. Moja matka, której o tém wspomniałam, toż samo mi zaręczała. Co to za doskonałość, ta nasza matka; prawdziwie codzień więcej uwielbiać trzeba jej niepospolity charakter: była za Referendarzem, nie zapiera się tego; ale od czasu jak mu odmówiłam ostatecznie, i jak pierwsze jej żale minęły, jedném słówkiem mi nie wyrzuciła mego postępowania; nie powiedziała mi ani razu: „A widzisz—mówiłam.“—Tego co się stało i odstać się nie może, nigdy żałować nie należy, a tém bardziej nie wymawiać: takie jest jej zdanie i obchodzenie się.

Ale wracając do Wacława i do jego podróży, ani możemy teraz myśleć o udzieleniu mu grosza. My nawet z matką zachodzimy w głowę, jak tu będzie utrzymać się w mieście; nie mając już żadnej pomocy ze strony Ludwiki? Szczęście jeszcze niesłychane, żeśmy nie ruszyli pieniędzy za trzeci kwartał, które nam pani Antoniowa przywiezła. Rządność, to skarb prawdziwy, nawet do cnót pomaga. Kto nierządny, często ani delikatnym, ani rzetelnym być nie może. Nasza kochana matka oddawna taki tryb w domu wprowadziła: nigdy naszych szczupłych intrat nie wydajemy z góry, tylko z dołu; pensya Ludwiki należała się nam od 1 Kwietnia; jak jej przyjazd zaczął się spóźniać, moja matka, nie pozwoliła jej ruszyć ani 1 Maja; i tak mogliśmy zwrócić te pięćdziesiąt dukatów w całości, skoro już wszystko się zerwało.

Pani Antoniowa pewno sobie pomyślała odbierając je: „Co za głupi ludzie z całym swoim rozumem?“ ale naszego wewnętrznego uczucia, owój radości sumienia, kiedyśmy te pieniądze odsyłali, żadne góry złota nie wyrównają.

Kontenta bylam z Zosi w tój chwili; ma ona swoje wady i często jest trudna w pożyciu, lecz jój dusza piękna i wspa-  
niała: zupełnie uczuła godność, konieczność tego postępku ..  
Bogu dzięki, i w Waclawie i w Zosi uczucie prawdziwego  
honoru, owój delikatności w tém wszystkiém, co pieniądzem  
się zowie, zdaje się być ze krwią wlane; i to jest w oczach  
moich rzetelne szlachectwo. Na Waclawie w czasie kilko-  
letniego pobytu w mieście, nie pokazał się ani cień żadne-  
go nierządu. Wszystko płacił, nie pożyczał od nikogo, nie  
zadłużył się nikomu, z bogatszych kolegów nie korzystał,  
a w każdój koniecznej potrzebie udawał się do nas otwar-  
cie; nie mieliśmy tóż z jego winy żadnego wstydu; a kiedy  
mojój matce kto powiéd jak jest pospolity zwyczaj: „A! pani  
masz młodego syna, jaki to kłopot być musi!“ ona odpo-  
wiada z lubym swoim uśmiechem: „to nie kłopot, to szczę-  
ście i chluba.“ Ta odpowiedź, ten uśmiech są Waclawowi  
dostateczną nagrodą za wszelkie przykrości i prześladowa-  
nia, jakie koniecznie spotykać muszą młodzieńca, który  
w wielkiém mieście i między mniej rządnyimi towarzyszami  
umie ograniczać swoje potrzeby; ile że wszystko troje nie  
mamy najmniejszego pociągu do skąpstwa, owszem, według  
narodowój skłonności, daleko większy *rezon* od worka, ale  
rozsądek i bojaźń zasmucenia, rozgniewania matki, wszyst-  
ko przewyższa.

I teraz nie uwierzysz, moja Anielo, jak baczyć musi-  
my troskliwie, żeby nie wpaść w jakie kłopoty kieszonko-  
we, które, choć bardzo poziome, niezmiernie są przykre.  
Zaokrąglamy nasze wydatki jak tylko można: cokolwiek  
było trochę zbytkiem, wszystko poszło precz. Waclaw znowu  
się do nas sprowadził, i na tém coś się ochroni. Ja myślę,  
że przy takiej ciągłej bacznosci, może potrafiemy wyżyć  
w mieście; jeżeli nie, matka już sobie postanowiła po roku  
ułożyć się z dzierżawcą i na wieś wrócić, o co ja się pewno

nie rozniewam. Znajomi nasi tutejsi będą się dziwić, obmawiać, wymyślać przyczyny; pogadają tak trzy dni i potem przestaną. W ciągu przyszłych zapust, nasze panny, może i mężczyźni powiedzą parę razy: „szkoda tej pani Rawiczowój, nie źleśmy się u niej bawili!“ Sędzina i inne sąsiadki dodadzą: „my zaraz mówiły: to nie potrwa; zawsze taki koniec u przemądrych kobiet.“ A o nas tymczasem Pan Bóg nie zapomni; Zosię i na wsi mąż zacny znajdzie, i będziemy sobie żyli spokojnie w naszych Olszankach, jakżeśmy żyli lat tyle... Wartożby to dla gadania ludzkiego ciągnąć się nad siły, chyba długi robić, i po kilku latach wpaść w prawdziwe nieszczęście. Przecież nie cały los nas wszystkich był w Ludwice; nie cała przyjemność naszego życia w tém ożenieniu się Waclawa...

Wyznam ci jednak szczerze, moja Anielo, że jakkolwiek staram się w tym razie jak i w innych widzieć rękę Boga, który nam daje i odbiera, według potrzeby naszej prawdziwej; jakkolwiek staram się ile możności pokrzepiać siebie i drugich: przecież, od jakiegoś czasu, tak mi smutno, ciężko, duszno, iż czasem rady sobie dać nie mogę. Tobie jednej powiem co to jest; prócz tych wszystkich zmartwień i kłopotów, mam swoją własną przyczynę do smutku; może dziecinną, ale rzetelną: oto niesłychana tęsknota za wsią. Od kiedy żyję, pierwsza to wiosna w mieście, na ciasnej, brudnej ulicy, gdzie ani jednego drzewka nie widać. Pókim była ożywiona nadzieją dziedzictwa Olszanek, myślałam o nich prawie ciągle i jakoś mnie to spokoilo; wreszcie, niedawno mamy prawdziwą wiosnę; ale od tego czasu nie jestem w stanie ci wyrazić, jak coś we mnie pragnie zieloności, drzew, nieba, słońca, świeżego powietrza. Zdaje mi się żem w więzieniu, żem przykuta, żem jakoś dalej od Boga, tak mało widzę dzieł Jego... Nie potrafisz wyobrazić sobie tego uczucia; ty szczęśliwa wieśniaczko; gdyby mi

dawniej kto był co podobnego opowiadał o sobie, anibym była uwierzyła. Wiesz, że wcale nie nerwowa, i spazmów nie znam dotąd; tymczasem jak parę dni temu pani Goździcka wywiezła mnie pierwszy raz za miasto do Królikarni, i obaczyłam świat w całej wiosennej świetności, jakby w szacie godowej, piękny, wesoły, jasny, i już nawet niektóre drzewa rozkwitły: taki mnie zdjął żal, iż się to wszystko zrobiło bezemnie, że nie mogła wstrzymać się od płaczu. Matka i Zosia ani tego pojmują; w tym jednym, innym jesteśmy natury; nie śmiem też skarżyć się przed niemi.

Obie niezmiernie lubią miasto i bardzo im dosyć widać czasami kilka drzew w Krasińskich ogrodzie i mieć bukiet świeżych kwiatów na stole. Wrócić do Olszanek będzie dla nich ofiarą, dla mnie byłoby najwyższą rozkoszą; ja wolę naszą lipę od wszystkich pałaców warszawskich, a śpiew słowika od całej orkiestry... Słowika! nie słyszałam go ani razu tej wiosny i zapewne nie usłyszę, a on tam przecie w naszej olszynie śpiewa jak co rok... Nie śmię się ze mnie, Aniello, ale i teraz łyżę mi się kręca w oczach, i zdaje mi się, że ci tylko szczęśliwi co są na wsi, co drzewa widzą. Moją rozrywką największą pióro i książki; jak się niemi zajmę, o wszystkiem zapominam. Jednak, jakby się to inaczej i miliej pracowało przy oknie otwartem na ogród, z widokiem błękitnego nieba i jasnych obłoków wiatrem pędzonych; tu jeżeli okno otworzę, zalatują mnie wcale nie fijołki, a zamiast łąk i gajów widzę dachy i mury. Jedno drzewko, promyk słońca, dziś celem wszystkich moich życzeń; skromne życzenia napozór, przecież i te nie zawsze zaspokoić się dadzą... Jednak trzeba żyć i być szczęśliwą. Gdyby przynajmniej Wacław dawną swobodę odzyskał i matka była nam zupełnie zdrowa! o mnie już mniejsza. Człowiekowi nie może iść wszystko po jego woli, cała na tym sztuka, żeby znosić przeciwności i wielkie i małe

z dobrą myślą, żeby pokoju wewnętrznego nie utracić. „Szczęście twoje niechaj będzie w cierpliwości“ mówi Święty, a ukochany mój pisarz \*), którego codzien czytuję i nigdy naczytać się nie mogę.“

LIST DWUNASTY.

*Z Warszawy, d. 27 Maja 1820 r. w Sobotę.* „Smutki nasze i kłopoty, tęsknotę moję, rozzerwały dwa zdarzenia, z których jedno publiczne, a drugie domowe, i póki jestem pod ich wpływem rańniejsza i zdrowsza, piszę do ciebie, droga Anielo, bo ja miłych wrażeń bardzo udzielać lubię; przykre, zwłaszcza własne, wolę zachować dla siebie, i chyba już z jakiegoś nadzwyczajnego przepełnienia wynurzam się z niemi, nawet przed tobą.

Otóż, owo pierwsze zdarzenie jest całkiem romansowe. Warszawę strasznie zajęło, może już i do was doszło, a naszej Zosi zupełnie zawróciło głowę. Trzy dni temu, we Środę, w dzień Świętej Joanny, odbył się w zamku królewskim akt bardzo zadziwiający, i jak dla nas, co daleko od wielkiego świata żyjemy, całkiem niespodziewany: ślub małżeński Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowicza, brata i następcy Imperatora wszech Rossyi i króla polskiego, z panną Joanną Grudzińską. Widziałam ją właśnie godzinę temu, pierwszy raz w życiu, przechodząc z Wacławem i z Zosią przez zamek. Szczęściem, była sama jedna, wysiadła z karety, w szafirowej jedwabnej sukni, we włosach ślicznie ułożonych; zapewne jechała do swojej matki, do pani Brońcówój, której mąż jest, jak wiesz, marszałkiem

\*) Ś. Tomasz à Kempis.



dworu; jasna blondynka, nie wysoka, rysy od niechcenia, ale miła, kształtna, i wiele mająca pojęty. Jój wejrzenie jest niezwyčajne, jakieś powłóczyście i urocze; a spojrziała się mile na nas, bo Zosia krzyknęła na głos: „*Jeanetta*.” Jak mówią, podobała się Wielkiemu Księciu na balu, w gawocie, którego ma tańcować cudownie. Ślub był dwojaki, katolicki i prawosławny; odbył się bardzo prywatnie, w przytomności matki panny młoděj, ojezymba, dwóch siostr i kilku świadków. Akt cywilny pisał rejent Skorochoł Majewski ze wszystkimi formalnościami, co miało nudzić pana młodego; przecież poddał im się, bo kilka razy powtarzał, iż chce żeby nie brakowało temu obrzędowi, tak pod względem religijnym, jak prawnym. Zaraz tego samego dnia panna młoda przeniosła się do mieszkania Wielkiego Księcia, do Brühlowskiego pałacu, i odtąd wszyscy ich spotykają razem. Do téj pory żadnego nie ma tytułu, zowią ją jak dawniej *Jeanettą*. Powiadają, że Imperator, który wraz z Cesarzową matką zezwolił uroczyście na to małżeństwo, nada jój tytuł księżnėj polskiej, jak tu na sejm zjedzie. Wczoraj była z wizytą u pani Gutakowskiėj, u pani kasztelanowej Połanieckiej i kilku innych dam, i meldować się kazała: żona Wielkiego Księcia.

Pojmiesz łatwo, moja Anielo, jakie pole do gadania otworzyło to nadzwyczajne małżeństwo, do rozmaitych wniosków i uwag, nawet do bujnych nadziei. Teraz ci opowiem zapowiedziane zdarzenie. Wacław, choć niby rozkochanym bardzo się nie zdawał, tak mocno uczuł niestałość Ludwiki, że koniecznie mu trzeba dla zdrowia i dla wzbudzenia w nim dawnego ducha, jakowėjś wielkiej odmiany. Prócz tego, są téż różne ważne przyczyny, dla jakich może i lepiej jeszcze zbyt młodogo człowieka, a tyle obiecującego, oddalić teraz z Warszawy; więc tedy nasza matka się namyśliła wysłać go, bądź co bądź, na trzy lata dla nauki za granicę. I on sobie tego życzy niesłychanie, nie z pró

żnej ciekawości, lecz jedynie w chęci żeby stosownie do woli kochanego ojca i własnej, prawdziwie umiejętnym gospodarzem i użytecznym obywatelem mógł kiedy zostać. Już ma lat dwadzieścia dwa, ugruntowany jest w cnotach domowych i ojczystych, nie zapomni ani wiary, ani języka, ani obyczajów, a przecież świat przejrzy i obaczy, czego to nam brakuje że nie jesteśmy jak drudzy, a przecież byliśmy i być pewno możemy. Lecz do dopełnienia owego pięknego planu potrzeba pieniędzy, i nie ma innego ratunku, tylko zaciągnąć na Olszanki dług, który już rachować się będzie kiedyś na część Waclawa. Powinnoby to przyjść z łatwością, Ś. Jan nadchodzi; właśnie regulują hypotekę dóbr w województwie Mazowieckim, a na naszej wiosce ciąży tylko parę tysięcy summ kościelnych. Tysiąc dukatów chcemy pożyczyć, i po sześć tysięcy złotych co rok mu przysyłać. Bogaty panicz co jedzie dla tonu w obce kraje, dla błyszczenia w salonach, słowem, dla użycia świata, możeby i miesiąca za tę summę nie wyżył; ale ubogi szlachcic, co dla tego dom rzuca, żeby się uczyć, i wrócić do kraju nie z dziwactwami i modami, ale z zapasem rzetelnych wiadomości, ten i taką sumką się obejdzie. Nasza matka zawsze mówi: „uczyć się daleko taniiej kosztuje jak bawić się.“ Z razu chcieliśmy upatrzeć mu towarzysza, któryby i koszta podzielił i oko miał na niego; ale o takiego towarzysza trudno, i pan Stanisław przekonał naszą matkę, że kiedy młody człowiek od lat kilku zostawiony sobie prowadzi się dobrze w kraju, to i za granicą się nie odmieni i lepiej zaufać mu zupełnie. Towarzysz często i na większe wydatki i na co gorszego wyciągnie.

Wyjazd Waclawa już jest tedy niezmienny, nie wiemy tylko kiedy nastąpi, najpewniej w końcu Sierpnia; tyle dobra upatrujemy dla niego w tej podróży i na teraz i na przyszłość, że znika żal rozdzielenia się z nim. Kochana matka nasza, prawdziwa matka, choć wiem czém to będzie

dla niej nie widzieć przez lat trzy jedynaka, przecież wszelkie ofiary ponieśćby gotowa, byle doprowadzić ten zamiar do skutku. Mnie saméj aż lżej oddychać, i jakoś jaśniej koło mnie. Może téż to wrażenie dzisiejszych odwiedzin. Co tydzień, od czasu jak jesteśmy w Warszawie, przychodzi do nas ubogi staruszek, pewno ośmdziesiąt-letni, z długą białą brodą, w szaréj sukmanie, rzemieniem przepasany, z paciorkami u pasa: nauczyciel niegdyś wiejskiej szkółki, wiesz jaki sobie obrał sposób do życia? Oto, z małą księżeczką w ręku chodzi od domu do domu; gdzie mu pozwolą wstępować, stawa na progu, skłania sędziwą głowę, i mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ i czyta tygodniową Ewangelię. Otaczają go wnet domowi, dzieci, i każdy, to parę groszy, to kawałek chleba chętnie mu daje. Dziś, czytał nam te słowa: „Pokój zostawuję wam; pokój daję wam; nie tak jak go świat dawa, ja wam daję. Niechże serce wasze nie frasuje się ani lęka.“ \*) Takie usłyszawszy słowa, jakże mi nie ma być lżej na świecie? jak nie mam mieć nadziei? Bądź zdrowa; skoro będzie co dobrego, niebawem ci doniosę.“

---

#### LIST TRZYNASTY.

*Z Warszawy, dnia 10 Czerwca 1820 r.* „Aniello! droga Aniello, czy uwierzysz? Waclaw za dziesięć dni wyjeżdża za granicę, a ja jadę na miesiąc do ciebie... Nieoszacowany pan Stanisław, prawdziwy nasz opiekun i przyjaciel, pożyczą nam tysiąc dukatów i wszystko ułatwione. Zobaczymy się... czy ty to słyszysz, duszko moja?... Najdalej za dwa

---

\*) Wyjątek z Ewangelii świętecznej.

tygodnie, jeżeli żadnej przeszkody nie będzie, uściskam cię... Aż mi żal, że nie widzę radości twojej, w chwili kiedy czytasz te słowa... Ale niech ci opowiem, jakim sposobem wszystko się tak niespodzianie a dobrze ułożyło. Już mimo całej pracy nad sobą, zaczęłam widocznie zapadać na zdrowiu. Moja matka się przeległa i wezwała Czekiarskiego; on spojrzawszy na mnie, zgadł odrazu, że mi potrzeba wsi, ruchu, powietrza, rozrywki. To niepospolity jest lekarz, równie uczony jak piękny, i zupełny ma dar czytania z oczów, co się dzieje w duszy chorego. Niech mu Bóg da wszystko dobre. Kochana matka chciała natychmiast przenieść się do Olszanek, ale ponieważ przekonałyśmy się, że wyżyć potrafimy w Warszawie z naszych intrat, a cały postęp Zosi w muzyceby zmarniał, gdyby teraz przerwała lekcye, nie chciałam żadnym sposobem przyjąć téj ofiary; ile żeby biedna mama tysiąc przykrości użyć musiała, mieszkając w jednym domu z dzierżawcą i z jego dziećmi. Już miałam jechać sama do Olszanek na mleko i na rzeczne kąpiele, i cieszyłam się tą myślą, kiedy kochana matka, co i we śnie i na jawie naszym szczęściem jest tylko zajęta, raz w nocy nie śpiąc, coś lepszego wynalazła. Wacław wybierze się prędzej jak był początkowy zamiar, pojedzie na Kraków, a po drodze odwiedzie mnie do ciebie. Zabawię w Ugorzu cztery tygodnie, a potem, czy sama, czy z kim się zabiorę i wrócę. Może i ty się namyślisz i mnie odwiedzisz, albo kto z waszych okolic się trafi.

Nie posiadam się z radości, jak się to ułożyło: dwa lata już my się nie widziały. i Ugorze takie piękne! Dopieroż się nacieszę wsią, niebem, tobą. Moje życie, aż sobie wymawiam, że się tak cieszę na wyjazd z domu. Kochana, jedyna matka nie ma mi tego jednak za złe; owszem, taka szczęśliwa z lepszego apetytu mojego i cery, bo doprawdy, zdrowszam od wczoraj. Już téż jęj to nie pierwszy raz tak mnie wyprawiać od siebie; wszak byłam i u was

i u obydwóch ciotek? Wiesz, pókiśmy na wsi mieszkali, lubiła nawet wysłać mnie tak czasami, żebym trochę poznawała świata, i żebyśmy mieli o czém nowém gadać. Teraz chce mnie przekonać, iż moje czasowe oddalenie się, wiele korzyści przyniesie Zosi; w mojej niebytności będzie ją wprawiać do zastępowania mnie, i będzie pracować dzielnie nad przerobieniem jój charakteru. Prześladuje mnie tém zawsze, że ja ją psuję; prawda, może źle robię; łagodzę nadto jój harde odpowiedzi i zapobiegam złemu humorowi; to są lekarstwa tymczasowe; ale bo moja dusza niecierpi sprzeczek i kłótni, i wiem jak naszej matce szkodzą wszelkie przeprawy tego rodzaju.

Już tedy ostatni list piszę do ciebie; ledwie śmiem temu wierzyć: najdalej za dwa tygodnie uściskam cię i będę na wsi. Może też przecie twój mąż zawita? Pana Henryka jeszcze niema; myślisz, że nie przyjedzie aż w jesieni, bo nie okazuje żadnej ochoty wracania: mniejsza o to, będziemy więcéj same. Przyznam ci się, nie mam jakoś wielkiej opinii o nim; tak się zaś nie spieszyć do kraju po czterech latach włości; i to włości bez celu! a tyle go tu obowiązków czeka: starszemu bratu pomagać w zawikłanych familijnych interesach; wieś piękną a zniszczoną urządzić. O! mój Wacław! mój Wacław! gdyby był na jego miejscu, jakżeby czynnym i użytecznym być umiał! Ale, zapominam ci donieść: Ludwika już po zaręczynach z panem Edwardem; śliczny wybór, niema co mówić; źle o nim ludzie gadają, ma być bez wychowania, chciwy, samolub, ale majątny, rządny, i pan siebie, bo rodziców nie ma. Jak słyhać, już zachodzą takie układy, że Małanówka zostanie przy państwie Antonioście, a on ich dział weźmie. Na rękęby im to bardzo było, u siebie nawet domu mieszkalnego nie mają; lecz kto wie, w co się obrócą te piękne układy po ślubie? Pani Antoniowa doniosła nam o rychłym i nigdy nieprzewidzia-

ném zameżciu siostry, w liście, któryby warto wydrukować na wzór niewieściój dyplomacyi. Jużby i *Talleyrand* lepiej nie potrafił. Wykręca się z postępowania swojego jak najzręcznieję; wyznaje, niiby ze szczérocią: iż omyliła się zupełnie na przywiązaniu Ludwika do Wacława; że to było przywidzenie młodej, niedoświadczonęj, trochę romansowęj głowy; że prawdziwie szczęśliwém natchnieniem wywiozła ją z Warszawy, gdyż skoro podobne rzeczy zerwać się kiedyś mają, albo na złe obrócić, to im prędzēj tém lepiej.

Czułości, grzeczności, pochlebstw dla nas wszystkich, dla naszěj szlachetności w postępowaniu, żalów nad zerwaniem takiego pożądanego związku: co się zmieściło. Nawet wybór pana Edwarda tłumaczy na najłepsze. „Już tu nie miłość nią kieruje, pisze, tylko rozsądek i spokojne uczucie przyjaźni: te się nie zmieniają. Dla takięj zaś zapalonęj głowy niema ratunku, jak w rychłém zameżciu: uczucie powinności, wszystkie inne przytłumi.“ Szczęść im Boże! Ludwika tylko się przypisała, i to urzędowym stylem: „Przy nadchodzącęj odmianie stanu, mam sobie za obowiązek donieść cioci dobrodziejce... i t. d.“ Ślub będzie na święty Michał, a na zimę państwo młodzi mają jechać do Paryża. Szczęściem, Wacław ten cały rok spędzi w Niemczech. Jak w owym kraju myślących ludzi teorią się z bogaci, dopiero po praktykę ruszy do Francyi. Tak pan Stanisław i kilku światłych professorów, których rady moja matka zasięgała, zgodnie postanowili. Utrzymują wszyscy, że w Niemczech, tak co do umiejętności, jaką Wacław sobie obrał, jak co do innych, można umysł z bogacić wybornemi i gruntownemi wiadomościami, a we Francyi klucz do nich znaleźć, nauczyć się jak ich użyć i zastosować. Wacławowi już wróciła cała moc młodzieńczęj duszy, choć jeszcze smutny i bardzo spoważniał. Już on przy Boskięj pomocy nie straci, ale skorzysta za granicą; może nawet ową nieszczęsną skłonność nie wyjdzie mu na złe: nabył doświadczenia, nie

będzie tak dowierzający ani drugim, ani sobie, i zapewne na czas długi, zupełny zrobi rozbrat z miłością. Zaczynają mi już teraz inne przychodzić dla niego nadzieje i widoki; nic o nich jednak nikomu nie mówię, nawet mojej matce...

Ale po co ja też to wszystko ci piszę, kiedy wnet rozmawiać będziemy. A oprócz tego, pełno mam roboty, trzeba Wacława obszyć i wyprawić na drogę; trzeba i siebie oporządzić, matkę i dom na czas mojej niebytności opatrzyć. Jest więc i w domu i za domem zatrudnienie, bo jak wiesz, każdą rzecz od najmniejszej do największej kupuję sama. W doskonałe dwa przepisy co do rządu kochana matka mnie wprawiła: samój wszystko kupować; i nic, na owinięcie palca nie brać na kredyt, ani u kupców, ani u rzemieślników. Pewna jestem, że my jedynie tym sposobem utrzymujemy się w mieście z tak szczupłymi dochodami; służący nie mogą się tak znać i wiedzieć co potrzeba; a biorąc na kredyt, bierze się często takie rzeczy, bez którychby się i obeszło. Nieraz tych zapust była ochota na nowe suknie dla nas, na strojny czepeczek dla matki; nie było za co, i uszły ślicznie już noszone. Choć więc mało mamy, zawsze nam wystarcza. Wacław także bardzo rządny, jak ci już wspomniałam, i to wielka rękojmia naszej spokojności o niego, choć z oczu nam zejdzie; Zosia tylko wcale rządu nauczyć się nie może. Kto wie, czy to nie jakie przeczucie przyszłego jój państwa? Tymczasem nieboraczka napłakała się niedawno gorzko z téj przyczyny. Od Nowego roku bierze co miesiąc kilkanaście złotych na obuwie, rękawiczki i inne drobiazgi, ale zwyczajnie po kilku dniach już niéma ani grosza. Przeszłego tygodnia koniecznie jój było potrzeba coś kupić, a nie miała za co; pożyczyla pięć złotych od naszej Agnieszki: moja matka, dowiedziawszy się o tém, nietylko zganila surowo, ale odebrała pensyą na całe trzy miesiące. „Pożyczać, zawsze jest bardzo źle, powiedziała, a pożyczać od służących, to zupełne poniżenie

i rodzaj przewrotności, bo panowie stają się niewolnikami sług swoich.“ Tak to matka kochana nic nam nie daruje; sama mówi: „daleko wygodniej pobłażać, przez szpary patrzeć na to co dzieci robią nagannego, ale potem ciężko przychodzi odplącić owo pobłażanie.“

Moja Anielo, wiele będę miała z tobą do mówienia o naszej matce; będziesz mogła skorzystać nie mało z jej postępowania co do prowadzenia twego drobiazgu; żyjące wzory sto razy lepsze od książkowych; a największym prawie jej talentem i który coraz rzadziej u młodych dzisiejszych matek widzę, jest to, iż potrafiła wzbudzić w nas niezmierne uszanowanie dla siebie. Przecież widzimy jej niedoskonałości, ona sama mówi nam o nich; nic to jednak uszanowaniu nie przeszkadza. Ja sądzę, że dzisiejsze matki nadto się poświęcają dzieciom w podrzędnych rzeczach; służą im zupełnie, poniewierają się dla nich: dzieci w tém rosną i przyzwyczajają się uważać matkę jak osobę, która im cała oddać się powinna, a dla niej dosyć nagrody, jeżeli one to jej poświęcenie i usługi przyjmować raczą. Ale zostawiam sobie te wszystkie uwagi do widzenia się z tobą. Jakież to miłe słówko, kiedy tak rychło ma się spełnić.“

---



## ROZDZIAŁ X.

### Listy córki do matki i odpowiedź.

#### I.

*Z Ugorza, d. 7 Lipca 1820 r. w Sobotę.* „Kochana, jedyna Mamo! Stałam tu szczęśliwie we Wtorek rano; zdrowa jestem, Aniele, dzieci i wszystkich zastałam w dobrém zdrowiu: przyjętą byłam jak najlepiej. Wacław nasz kochany odprowadził mnie, nocował, a we Środę skoro świt, ruszył w Imię Boże w dalszą, w wielką podróż swoją... Ucałowałam go ostatecznie za kochaną Mamę, a jako starsza siostra poważylam się pobłogosławić... List jego przyłączam; o rozstaniu się naszym nie piszę: zgadnąć łatwo jakie było... Pocziwe chłopczysko! ile on też sobie wymawia, że nie dosyć Mamie okazywał swego przywiązania, swojej wdzięczności; jak pragnie życia, powodzenia, powrotu, żeby mógł się wywdzięczyć. Choć go trochę łajałam za tę niby zbytęcną troskliwość i uspakajałam ilem mogła, przecież nic a nic mu się nie dziwię, bo ja sama póki jestem w domu, nigdy tego nie czuję ile my kochanój Mamie winni; dopięro jak

gdzie pojedę, wszystko mi to przed oczyma staje, i mam także przekonanie, że niczém nigdy ani się wywdzięczyłam, ani wywdzięczyć potrafię.... Ale dajmy temu pokój, nie skończyłabym dzisiaj, gdybym chciała wypisać wszystkie moje uczucia; a wiem, jak mój list niecierpliwie wyglądany w Warszawie; tu zaś pan Chorąży zaraz po obiedzie pocztę wyprawia; śpieszyć się trzeba, a dużo rzeczy mam do powiedzenia; nie wiem nawet, czy już przypomnę sobie wszystko co przez te dni notowałam w myśli, mówiąc zawsze: „Trzeba to Mamie napisać.“

Droga nasza cała była bardzo pomyślna, choć nie pośpieszna: piaski straszne a gorąco wielkie. My też usłuchaliśmy dobrej rady; jechaliśmy wieczorami i rankami popasając od jedenastej do trzeciej. Gdyby nie myśl rozłączenia się z Mamą, z Zosią, z panem Stanisławem, gdyby nie pamięć ciągła rychłego rozstania się z bratem, byłabym najszcześniejsza w tój całej drodze. Jakiż ten świat piękny i szeroki! jak dobrze, wolno, lekko oddychać w polu! aką się jest panią, kiedy można obejrzeć całe niebo i widzieć daleko, daleko przed sobą ścigać okiem ten sam obłok, póki się nie rozplynie na jasnym błękiecie... Co do osobiwości krajowych, tych nie opisuję; jużto podobno niéma ich wiele na tym gościńcu; wreszcie nie zajmowaliśmy się wcale ich wyszukiwaniem; piérwszy raz w podróży nie byłam ciekawą i nie myślałam o notatkach; w pojeździe gadaliśmy albo dumali; na popasach i noclegach ja się krzątałam, Wacław zajadał, a potém każde swoim dworem spało jak mogło. Wiem tylko tyle, żeśmy drugiego dnia nocowali w Końskich, a w Poniedziałek rano stanęliśmy w Skalmierzu, zkąd raniuteńko ruszyliśmy do Ugorza, błędząc nielitościwie, bo furman nie wiedział drogi.

Nieczierpliwie nas tu wyglądano; Aniela od trzech dni wyjeżdżała wieczorem naprzeciw nas, nie wystawiając sobie nigdy, żebyśmy rano przyjechać mogli. Zastałam ją z tém

samém sercem kochającym, wylaném jak zawsze, z tém sercem, które taki ma zapas czułości, iż wystarcza zupełnie najgorętszej głowie w świecie; nie chce wierzyć, że mię widzi, że mię ma na kilka tygodni: nie może napatrzeć się mnie, naściskać, a już płacze nad moim odjazdem. Dużo się zmieniła przez dwa lata, znowu słaba i często cierpiąca. Męża jeszcze niema i nawet nie pisze z pewnością kiedy wróci; ta nieszczęśliwa sprawa ukraińska przeciąga się wiecznie. Biędna kobięcina znękana tém wszystkiém, i dobrze zem przyjechała; lżej jój daleko jak się wygada, wyżali, wypłacze; ona tego potrzebuje: nie umie wcale żadnego uczucia wytrawić w cichości serca. Dzieci zdrowe ale rozpieszczone i męczy się nimi zbytecznie; cienia dla nich się boi, a z najmniejszej rzeczy najokropniejsze zaraz przewiduje. Chociaż ją łaję za to i żartuję z niój, w duszy wymawiam sobie każde takie słowo, bom nie była matką, a ona dwoje dzieci takich ukochanych straciła!... Nie sposób jednak potakiwać jój w tój zbyttecznej troskliwości; Bóg wie gdzieby zaszła... Dzieciny kiedy nie grymaszą, bardzo zabawne i miłe; Marynia ładna dziewczynka i wcale duża na swój wiek; Feluś najmłodszy strasznie delikatny; pięcioletni Ignaś walny chłopaczek, śliczny i dowcipny. Wszystkie wiedziały, że „ciocia Tyna“ przyjedzie, i wszystkie mówiły, że mnie poznały. Aniela powiada: „moje dzieci z mlékkiem wyssały przywiązanie do Krystyny, zaparłabym ich się, gdyby jój nie kochały.“ Książeczki i zabawki bardzo miłe były przyjęte, a podobno pierniczki najmilój. „Jaka tóż dobra ta ciocia Tyna—mówił dziś Ignaś dojadając maleńki kawałek piernika, który mu matka dała—co za szkoda, że nie większa.“

Państwo Chorążtwo oboje zdrowiuteńcy, owój choroby tak gwałtownej i niebezpiecznej już na nim ani znaku, nic a nic się nie zmienili; ta sama kapota szaraczkowa, ta sama ruda, długa peruka u jegomości, ten sam czépek

ugarniowany, z czoła włożony u jejmości; bardzo się dopytywali o panią konsyliarżową dobrodżikę, i on sam ściele się pod jój stopeczki. Zawsze wesoly, w conceptach grzeczny, kłaniający się niziuteńko, ceremoniant; ona poważna, powolna, akuratna, trochę gdérająca: oboje gościnni, zacni, prawdziwie staroświeccy ludzie. Jeżeli im co zarzucić można, jeżeli zbyt mało posunęli się z dzisiejszym wiekiem, a zanadto dawne czasy pamiętają i chwają, to zdaje mi się jedynie dla tego, że nie mieli własnych dzieci; bo jakkolwiek serdecznie kochają bratanki, już to co innego. Nic ich nie złączyło, nie zespoliło z dzisiejszym stanem towarzystwa; uczucie rodzicielskie, wreszcie sama moc konieczności nie nagięły zwolna ich umysłów do dzisiejszych wyobrażeń; do tego, taki wielki przedział lat jest między nimi a dziećmi dużo młodszego brata, których wychowaniem bynajmniej się nie trudnili; a zdarzyło się to właśnie w czasie, który nietylko zdaniem wszystkich jest wiekiem postępu, ale wiekiem skoku. Staralam się wytłómaczyć tę moją uwagę Anieli, która ich kocha, szanuje, wdzięczna im bardzo za zapisanie całego majątku panu Ignacemu, ale nie może im tego strawić że ją mają za dziecko, że nie rozumieją wyższych pojęć i wykwintniejszych uczuć.

Trafiają się tedy dotąd, jak to i dawniej bywało, częste niesnaski między nimi, a zwłaszcza ze strony pani Chorążyny; spodziewam się jednak że przy mnie znowu się to na jaki czas złagodzi: obiedwie wynurzą się przedemną, a ja obie wysłucham i tém samém uspokoję. Tém pewniejszą jestem swego, iż zachowałam zupełnie dawne łaski u obojga staruszków; skoro się z czém odezwę, zaraz chwają, potakują: „Otóż to, otóż to“ powtarzają. Już wczoraj mi się udało wytłómaczyć Anielę przed panią Chorążyną. Nie przyszła na ósmą na kawę! Ale tak wymownie opowiedziałam jak mało spała téj nocy dla swoich cierpień, że pocziwa stryjenka udobruchała się zupełnie. Aniela w tém grzc-

szy i powiedziała jej to: w małych rzeczach nie umie się zastosować do gustów i zwyczajów tych nieoszacowanych staruszków, nie może przystać na ich drobne i już nieodmienne wady, a kiedy im uchybi, nie przyzna tego po prostu, nie przeprosi słówkiem, pocałowaniem ręki; przeciwnie, albo się żywo odetnie albo też zachmurzywszy się zmilczy, i widać jak w sobie mówi: „Jużcić w moim wieku i matce dzieciom wolno przynajmniej w tych rzeczach mieć własną wolę.“ Im znowu w takim razie staje na pamięci wszystko co dla niej i jej męża robili i robią, wdzięczność i względy jakie im się słusznie należą, i ztąd wieczne kwasy. Wczoraj z rana wróciwszy z owój kawy miałam z Anielą długą rozmowę; skarżyła się bardzo, płakała nawet gorzko. „Czy jest rzeczą podobną — spytałam jej nareszcie — żebyście się rozdzielili ze stryjostwem?“ „Cóż też ty mówisz — odpowiedziała z żywością — przecież wiedzieć powinnaś że to być żadnym sposobem nie może. Najprzód, z naszej strony, byłaby to najczarniejsza niewdzięczność; bo oni za wszystkie dobrodziejstwa swoje, tego jedynie żądają od nas, żebyśmy przy nich mieszkali rozweselając ich starość; potem, rodzice mego męża zostawili majątek znaczny ale zadłużony: niebyśmy nie mieli i Ignacy nie byłby nawet mógł żenić się ze mną, gdyby nie oni. Teraz co przecie dźwiga interesa i ową wielką sprawę może prowadzić, to wszystko z ich łaski; bo co tylko mamy, tém splacamy wierzycieli; nasze życie w Ugorzu prawie nic nie kosztuje, jabym nawet ani chciała mieć tak prędko swojego domu, nie lubię gospodarstwa, nie znam się nie mam zdrowia, nie mam czasu.“

Jam to wszystko doskonale wiedziała oddawna, ale umyślnie dałam jej się wygadać, bo znając szlachetność i dobroć jej serca, wiedziałam że sama się obwini. „Więc widzisz — powiedziałam — kiedy tak jest i nie może być inaczej, kiedy ty ich kochasz i znasz coś im winna, czemuż się nie starasz, żeby wasze pożycie było ile możności zgo-

дне i mile? I oni będą kontenci i ty będziesz daleko szczęśliwsza.“ Obiecała mi święcie zwyciężać się i wczoraj cały dzień była precudowna; rozpływali się oboje staruszkowie: kochają ją serdecznie i szczycą się nią jak najdroższym klejnotem swoim; było też właśnie parę obcych osób, był i pan Henryk.

A bo zapominam donieść wielkiej tutejszej nowiny: pan Henryk przyjechał niespodzianie od dwóch tygodni z zagranicy. Nie chciało mu się bardzo wracać do wioski zniszczonej, wolał niszczyć ją coraz więcej zatrzymując niegodziwego dzierżawcę, dla tego jedynie, że mu dosyłał gotowych pieniędzy. Zawsze się tłumaczył starszemu bratu, iż nie samą filozofii uczy się w Niemczech, ale i doskonałych gospodarskich sposobów u Thaera i innych agronomów niemieckich, z którymi jak wróci do kraju, wielki majątek oba zrobią. Dobry pan Ignacy długi czas był cierpliwy; nareszcie sprzykrzyło mu się kłopotać się tu samemu, odjeżdżać żonę i dzieci dla sprawy im obudwom wspólnej, napisał do niego list naglący z Ukrainy i pan Henryk przecież wrócił. Przyznam się Mamie, znalazłam go zupełnie inaczej niżlim wystawiała sobie: bynajmniej nie filozof i nie agronom, raczej ładny chłopiec, panicz, belletrysta. Wczoraj dopiero zrobiliśmy pierwszą znajomość; gdyż właśnie był wybiegł na kilka dni do Krakowa, w wigilią mego przyjazdu. Jasny blondyn, średniego wzrostu, w okularach, modnie i starannie ubrany; napozór, i co do ułożenia i rozmowy jest niby wyżej od pana Ignacego, daleko więcej ocytany; nie myślę przecież, żeby takie miał nieoszacowane serce jak brat i taką głowę do interesów. Znać na nim oglądę świata, a bez przesady, owszem, prędzej ma za mało niż za wiele chęci podobania się; grzeczniejszy jest i rozmowniejszy kiedy się zapomni, jak kiedy pamięta o sobie. Zdaje mi się że młodzieniec, lubo podobno mało co gruntownego umie, i więcej się bawił niż uczył za granicą, ma niepo-

spolitą o sobie opinią, a takie kobiety jak ja i Aniela uważa za nic. Nie z wielką delikatnością powiedział nam wczoraj, że gdyby był kobietą, a brzydką i nie młodą: utopiłby się natychmiast.

Dla stryjostwa jest jednak z wielkiem uszanowaniem, i widać grunt dobry, choć świat dorzucił kąkolu do czystego niegdyś ziarna. Wygląda przyjazdu brata i razem boi się go, gdyż będzie musiał wziąć się do pracy, a na wielkiego leniuszka patrzy. Przyzwyczaił się do życia bez obowiązków, nie dziw, że ma wstręt do zatrudnień, zwłaszcza nudnych. Nie miał on takich rodziców jak Wacław i wczasu stracił oboje. Można jednak nie turbować się o niego, da sobie radę na świecie i dostanie kogo zechce; lat dwadzieścia siedm, dobre imię, majątek piękny, ułożenie przyzwoite i czas długi za granicą spędzony. Czy żona jego będzie tak szczęśliwa jak Aniela, o tém wątpię? choć mogę się mylić, zwłaszcza po dwudziestocztero-godzinnéj znajomości; ale Mama wie: ja lubię w sobie wydać sąd o każdym z pierwszego wejrzenia. Pani Chorążyna zwierzyła mi się iż jest dla niego upatrzona żona, jedynaczka u majątnych rodziców, także z Krakowskiego, której posagiem w gotowiznie będzie mógł oczyścić i urządzić własny zadłużony majątek. Owéj przejażdżki do Krakowa celem było poznanie się z nią: nie wiadomo jak mu się podoba.

Oprócz pana Henryka jeszcze jedną zastałam odmianę w Ugorzu, która prawdziwie maluje nieoszacowane serca tutejszych dziedziców: dwie sieroty przybrali znowu do domu, w którym i tak nie zbywa na rezydentkach i na wychowankach. Aniela, nie wiem jakim sposobem zapomniała mi o tém pisać w swoich listach. O milkę ztąd zdarzyło się téj zimy okropne nieszczęście. Była jedna wdowa z dwiema córkami, która od dwóch lat trzymała wioskę dzierżawą od pana Chorążego. Czy ktoś przez złość ogień podłożył, czy téż stało się to nieuwagą, dosyć że jednéj nocy,

dworek ubogi w którym mieszkała, obory, cały inwentarz, cała krescencya, wszystko poszło z dymem. Ona sama uduśliła się na śmierć, na starszą córkę uciekającą belka spadła i nogę jęj strzaskała, młodsza tylko czternasto-letnia dziewczynka oknem wyskoczyła i wyszła cało i zdrowo. Poczciwy pan Chorąży skoro mu o tém nieszczęściu znać dano, pojechał zaraz na miejsce i przywiózł do Ugorza obie sieroty, można sobie wystawić w jakim stanie. Przy troskliwych staraniach, starsza, Tekla uleczoną została na swoją nogę, jednak będzie kaleką na całe życie: mocno kuleje. Obie są tu do téj pory jak najlepšíj uważane, lecz starszą bardzo korci jeść chléb darmo, ile że pan Chorąży okazał się względem nich prawdziwie wspaniałý; na siebie przyjął całą szkodę, zapłatę czeladzi i podatków; roczną dzierżawę, która na Ś. Jan mu się należała darował; a co tylko przez urzędową licytacýą dało się spieniężyć z pozostałych ruchomości, wszystko to oddał sierotom, i każda z nich ma swoje kilkaset złotych. Ale to na całe życie wystarczyć nie może; wreszcie cóż za los być zawsze na łasce, żyć bez celu?

Tekla to czuje z rzadką delikatnością; bardzo mi się podoba ta panienska, i ona przystała do mnie odrazu; Mama pokochałaby ją za to samo. Ma lat dwadzieścia, rodzice jęj byli niegdyś dosyć majątni, ale na różnych spekulacyach wszystko stracili; ojciec ze zgryzoty umarł, a matka żyła jako tako biorąc małe dzierżawy. Miała to być bardzo zacna kobiéta, bogobojna i nawet wyżej wychowana. Znać to po córkach, wcale są dobrze ułożone obiedwie, i cóskolwiek umieją. Tekla, której główną cechą charakteru i całego układu jest słodycz i smętność jakaś, zwierzyła mi się, iż w ciągu tych dwóch miesięcy cierpienia które przebyła w łózk, nieutulonęj w żalu po matce, bez żadnej przyszłości przychodziła często myśl wstąpienia do klasztoru; jednak od chwili wyzdrowienia, jakiś strach ją ogarnia, sądzi się być niegodną tak świętego powołania;



nie wie czy nie jest zbyt młodą, czy jej się godzi opuścić siostrę znacznie młodszą, i która nikogo nie ma prócz niej jednę. Ja sędzę, i ciekawam bardzo zdania kochanej Mamy, że owa myśl klasztoru była Boskiem natchnieniem, gdyż jej dusza wydaje mi się prawdziwie „dla Boga stworzona“ prosta, czysta, kochająca, pokorna, oderwana od świata. A nawet po ludzku rzeczy biorąc, nie widzę coby mogła zrobić lepszego? młoda, kaleka, uboga, sierota, nie byłoby to szczęściem dla niej znaleźć bezpieczne schronienie, kawałek chleba, matkę, siostry i dzieci w Chrystusie. Bo ja namawiam ją (gdyby się namyśliła), żeby wstąpiła do takiego zakładu gdzie wychowaniem się trudnią. Onaby wolała chorych doglądać, ale *Szarą siostrą* nie może być dla swojej ułomności; z trudnością chodzi, a na Siostrę miłości i serca gorliwego i zdrowia potrzeba.

Widzę w niej wielką jeszcze niepewność i walkę i sama nie wiem, czy ją namawiać silnie, czy dać pokój? taki strach cudzą przyszłością rządzić, choćby też w najlepszych chęciach! tém bardziej, że jak kochanej Mamie dobrze wiadomo, sama nie czuję w sobie najmniejszego powołania do klasztoru; może nadto mam szczęścia w domu, może wczesne zamiłowanie nauk zrobiło mnie więcej świecką; a ja przejęłam się dziwném może zdaniem: nie mam śmiałości zalecać drugim cnót i poświęceń, do których się sama nie czuję zdolną. Przyszło mi tedy na myśl napisać do naszego kochanego księdza proboszcza o radę dla niej i dla siebie; wspomniałam jej o tém i chwyciła się téj myśli obiema rękami; nagli mnie strasznie i napiszę dziś jeszcze: poślę list wprost, żeby mieć prędkiej odpowiedź i doniosę kochanej Mamie jaka będzie. Niespokojność Tekli co do młodszej siostry da się usunąć, mam nadzieję. Jest to panienka wcale obiecująca, przystojna, żywa, wesoła, rozgarniona; namawiam Anielę żeby ją wzięła do siebie i kształciła na nauczycielkę swoich dzieci. Mając taki drobiażdżek,

a słabując często, niepodobna matce obejść się bez cudzej pomocy; czyż nie sto razy lepiej mieć osobę swego kraju i kroju, jak zapisywać sobie kogoś z końca świata? Anię wstrzymuje jedynie nieumiejętność Anny w języku francuzkim, a więcój jeszcze zły akcent z którym wymawia te kilkanaście słów co umie. Ja ją przekonywam, że skoro ona sama dobrze ten język posiada i czysto wymawia, to powinno być bardzo dostateczném dla dzieci; niech już na siebie francuzczyznę weźmie, kiedy jój tak koniecznie pragnie, z Anną niech zawsze mówią po polsku.

Nie do pojęcia jest ta wielu najrozsądniejszych matek słabość, która z wyższej klasy do naszej średniej coraz więcój przechodzi, żeby koniecznie mówić doskonale po francuzku; podobno my tylko zarażeni nią jesteśmy: Niemcy, Anglicy, Włochy nie wstydzą się bynajmniej swojej cudzoziemskiej wymowy i nie chcą koniecznie uchodzić za Francuzów; nie można im przecież zarzucić żeby mniej oświeceni byli od nas, ani tego przypuścić, żeby więcój ojczyznę swoją i imię od nas kochali. Spierałam się o to właśnie wczoraj z Anią i z panem Henrykiem, który świeżo wróciwszy z zagranicy pozwala sobie czasem językiem i krajem pomiatać. Wracając do Anny, ponieważ mam nadzieję przekonania w tém Anieli, zajmę się nią szczerze przez cały czas co tu zabawię; będę z nią czytać, pisać, rozmawiać, a nadewszystko będę się starała wystawić jój powołanie nauczycielki jako piękne i szanowane, żeby ona przy najmniej nie miała się za ofiarę.

Wspomniałam już o tój mojej chęci pani Chorążnic, radząc jój się czy namawiać do tego Anię? Dała zupełne przyzwolenie. Ona sobie jako staro-polska szlachcianka, i nie umiejąca żadnego obcego języka, Francuzie nie cierpi i zawsze jest w wielkiej trwodze żeby synowica jakiejś madamy dziwaczki albo luterki nie wprowadziła w jój dom. W rozsądku jednak swoim i znajomości rzeczy i ludzi, zro-

biła uwagę, która mi nie powstała w głowie: „A jak pani Ignacowa wyedukuje dziewczynę z pracą, a téj się zamąż trafi? nie będzie można zabronić i wszystko przepadnie.“ Wyznaję, na te słowa zapomniałam mowy w ustach; ale zacna starowinka po chwili zastanowienia się, sama rozstrzygnęła tę trudność. „No, to i pójdzie zamąż—dodała—może pensją gdzie założy, a nie, to własne dzieci dobrze wychowa; zawszeby to Pan Bóg porachował naszój pani Ignacowój za uczynek miłosierny: sierocie los zapewnić, wielka zasługa. Możeć, aby te dzieciny zachować jój w nagrodę raczy!“ I tu zapłakała, gdyż prawie równo z Anielą żałuje dotąd tych dwojga starszych wnucząt co pomarły.

Ale ja kochanój Mamie piszę same rzeczy poważne, chciałabym ją przecież czemsis zabawić. Oto mieliśmy tu wczoraj przecudowną wizytę. Aniela wesola chwilami do pustoty, takie migi do mnie robiła, że kilka razy ledwie się nie rozśmiała w nos owym pociesznym gościom. Był to pan Assesor z żoną, który tu niedawno majątek kupił i objeżdżał sąsiedztwo. Wymuskany, wyświeżony, w złotych łańcuszkach, śpilkach i pierścieniach, z orderem Miechowskim u guzika; chodzi na palcach, cedzi każde słowo, i nie wiem czy jest, ale chce się wydać wysoko mądrym. Nabytego rozumu może mieć bardzo wiele, lecz prostego, chłopskiego, jak mówi pan Chorąży, bardzo mało. Żona jeszcze pociesniejsza; zupełnie gdyby papuga powtarza wyszukane wyrażenia męża, i nic jój nie idzie o rzecz, byle choć jedno górne i staro-polskie słowo wmieściła. „Strudzonam dziś—mówiła nam—bom wiele *działała*.“ „Wczoraj *miasto* na dwie osoby, *uczyniłam* kawy na cztery.“ „*Uwielbiam* takie skórzane trzewiki!“ powiedziała patrząc na moje obuwie, kiedyśmy po ogrodzie chodzili. „*Przeczuć* można warszawski kapelusz—dodała jeszcze—co to za *śmiała* kokarda!“ A kiedy śpieszyła się bardzo do siebie i pytałyśmy jój się o przyczynę, odpowiedziała: „Sześcioro *niemo-*

włot zostawiłam w domu.“ „Jakie to szczęście — szepnęła mi Aniela — nie będą takie *mowne* jak rodzice.“ Więcej jeszcze było podobnych kawałków, alem zapomniała, a nie ma czasu przypominać sobie; już po jedenastój, trzeba napisać do księdza proboszcza, ubrać się, a o piérwszój obiad; na kwadrans zaś piérwój trzeba być na sali z listem.

Życie tutejsze zawsze regularne jak zegarek Gugenmusa: o ósmój kawa, o jedenastój wódeczka i chléb z masłem, o piérwszój obiad; po obiedzie przypatrywanie się bocianom przez perspektywę i wybijanie much klapką; o piątój znowu kawa, o ósmój wieczerza, maryasz; o wpół do dziesiątój dobranoc. Godziny jednak poranne i poobiednie między owém pięciorakiém a do znudzenia sutém jedzeniem można mieć dla siebie; ja dziś prawie cały ranek listy piszę, a od jutra myślę się zabrać szczerze do roboty. Mało jednak będę pisać i czytać sama u siebie, żal mi Anieli; urzędzę jój pracę jaką, w którą jak się włoży przy mnie, to już prowadzić będzie ciągle, choć wyjadę. Wszystkie pozaczynała o których tylko jój pisałam, i bardzo dowcipnie i oryginalnie; cóż kiedy żadnój się nie trzyma. Mało osób ma ów pewny a konieczny statek i smak w robocie, co to sprawia, że dnia przetrwać trudno bez użytecznego zatrudnienia, a wszystko co się zacznie, to téż się i kończy, choćby tak nie bawiło późniój jak z początku. Sposób wychowania wiele do tego się przykłada. We wszystkich prawie tak wiejskich jak miejskich domach, które widziałam, jest jakiś nieład, jakieś rozstrzelenie godzin, jakiś pośpiech w życiu, jakaś chęć nienasycona zabawy i nieustanne odmiany; dzieci rzadko kiedy trzy dni ciągle się uczą i trzy miesiące w jedném są ręku. U pani Podstoliny także tak było, jak Mama dobrze pamięta; zawsze jakieś powody do przerwania nauk, coraz inny sposób uczenia: na Anieli to znać do dziś dnia, lubo od zameżcia niemal nadto regularne i jednostajne życie prowadzi. Nie

wszystkim tak się udaje jak mnie. Wszystko się złożyło, żebym była pracowitą. Aniela mnie wynosi pod niebiosa, nie może się uspokoić nad mojami doskonałościami, a ja doprawdy nie jestem o połowę taką, jakąbym być powinna....

Jakże ja niecierpliwie wyglądam listu z Warszawy. O wszystkim a wszystkim niech mi kochana Mama donieść łaskawie raczy, a osobliwie o zdrowiu swoim. Wszak mam obietnicę ogromnego listu. Nóżki i rączki ucałuję jak wróćę. I Zosia mi przyrzekła dziennik dokładny, ale czy dotrzyma? Szkoda że poczta kosztuje i że ztąd tylko co tydzień do Skalmierza jeżdżą, pisałabym codzień takie foliały; rano wstaję, późno się kładę, mam swój własny pokój na górze z jednemi drzwiami i z precudownym widokiem. Nie mogę się jeszcze napatrzeć nieba, gwiazd, drzew, łąk, téj pięknej Nidy, co tak blisko domu płynie, jak nasza Bzura w Olszankach, tych gór i lasów nad Nidą; nie mogę się nasłuchać nietylko śpiewu ptasząt, ryku bydła, ale nawet brzęczenia pszczoł, skrzeczenia żab i trelów świerszcza domowego, a chodząc wiele, myśli bez końca snują mi się po głowie; wszystkichbym zaś rada kochanej Mamie udzielić, choćby dla tego, żeby ją z miastem trochę pokłócić. Ale i tego listu widzę, nigdy końca nie będzie; całuję rączki i nóżki kochanej, najdroższej Mamy. Czy tam Zosia dobrze mnie zastępuje? i radabym żeby potrafiła i znowu się boję; bo jak zupełnie dobrze będzie bezemnie, któż za mną zatęskni?“

## II.

## Odpowiedź pani Rawiczowej.

Z Warszawy, dnia 12 Lipca 1820 r. „Kto za tobą zatęskni?“ aniołek mój na ten jeden raz nie był szczery. Nie sądzę jednak, moje dziecię, żeby mi bardzo źle było bez ciebie i ani myśl o powrocie, póki zupełnie do siebie nie przyjdiesz; ja tak dobrze jestem co do zdrowia, jak dawno nie pamiętam: daję ci urlop do 1-go Września, i będę się gniewać naprawdę, jeżeli prędyj przybędziesz. Choć mówisz o dobrém zdrowiu swoim, ja widzę, że dotąd ani jiesz, ani śpisz, i bardzo cię proszę o trzy rzeczy: żebyś się nie męczyła nadto chodzeniem, osobliwie po górach i w słońcu; żebyś szła spać najpóźniej o wpół do jedenastej, i nie pisała nigdy długo jednym ciągiem, ani po obiedzie: ztąd bicia krwi i bole głowy. I ty i Wacław w zbytku czułości waszjej, nie wiecie jak mi się wywdzięczyć? ja wam powiem: pilnujcie waszego zdrowia, bądźcie weseli, szczęśliwi, prowadźcie się całe życie tak jak teraz, a ja dziękować będę codzien za was Opatrzności, jak dotąd dziękuję. Z Zosi jestem także kontenta; na dobrą sprawę powinabym mieć jęj wielką wdzięczność: większą nawet niż tobie mój aniołku. Wierzaj mi, gdybyś ty była ciągle zemną do śmierci, jabym kiedyś te słodycze straszliwie w czyścju odpokutować musiała: zbyt miłe i wygodne życie mi czynisz, osłaniasz moje szpetne wady i niedostateczności w taki sposób, że ja mam o sobie jaknajlepszą opinią i o poprawie ani myślę; Zosia zaś pomaga mi do zbawienia ile tylko może: wbija mnie w pokorę, przy niej dopięro jasno widzę, jak to źle być leniwą, gnuśną, rozpieszczoną, i ucę się świętęj cierpliwości.

Miałam z nią kilka przepraw, jak to wiész, osobliwie z powodu muzyki i wydatku; zawsze jęj się zdaje, że ma

więcej rozumu od swoich metrów, i niesłychane państwo w głowie; przekonywam się jednak coraz bardziej, iż w pierwszym momencie złego humoru, ani warto jej co mówić, na jedno słowo dziesięć znaleźć: najlepiej po twojemu, aniołku mój, zmilczeć, choć to mnie wiele kosztuje; jak ochłonie, wtedy uwag i morałów nie szczędzę; a z tych zawsze najwięcej skutkuje, kiedy jej powiem, że szkodzi memu zdrowiu gniewając mnie: serce złote u tej dziewczyny i mimo jej wad, trzeba ją kochać szalenie. Przecież coraz więcej jej przyszłość mnie trwoży. Jakiego jej to męża rozsądnego i wyrozumiałego będzie potrzeba; jak się zastanawiam, nawet z takim mężem jak wasz ojciec nie byłaby szczęśliwą: wiesz jaki on był prędki, jak często jednym słówkiem nie wporę, można go było rozgniewać okrutnie. Ani sobie wystawiam, gdzie my jej przyjaciela dobierzemy, jeszcze przy takiej piękności... Panu Bogu tę niespokojność oddać należy: albowż On już mało okazał miłosierdzia swego nademną! Wreszcie mamy czasu dosyć: mów co chcesz, jam nie rada jej wydać przed tobą i przed dwudziestym rokiem...

Pędzimy obiedwie życie czynne, ile możliwości; gospodarujemy, czytamy, rozmawiamy przy robocie, gramy, śpiewamy, piszemy rano i po obiedzie, jednak nie tyle, ileby należało: teraz, co wieczorów prawie niema, i metrowie Zosi rano przychodzą, muszę przyjmować po obiedzie, i goście nam przerywają, zwłaszcza panie i panny. Każda z nich wzięła sobie za obowiązek pocieszać mnie i rozrywać; czasem mnie znudzą i zinęczą; przecież trudno nie być wdzięczną, kiedy to z dobrego serca. Sabiny z matką pozbędziemy się, Bogu dzięki; wybierają się do Litwy, do najmłodszej córki na parę miesięcy, i ładują furgon strojów: jużto podobno ostatnia wycieczka na bogatego męża, możeć się uda. Szczérze im tego życzę, ta panna psuje ton przyzwoity na-

szego towarzystwa; inne nie wszystkie zabawne i przyjemne, ale przynajmniej skromnie ułożone i nie wydają tak jawnie zasadzek swoich i chęci. Wraz z panią Goździcką boimy się nawet, żeby nasze dziewczątka nie przejęły od niej w końcu tego zaczepnego ułożenia; wreszcie, żeby się z niem nie oswoiły; prócz tego, co za nieznośna rzecz dla mnie, widywać często kogoś takiego, o którym zawsze trzeba mówić Zosi: „Nie bądźże taką; nie róbże tak.“ Jakże miliej i wygodniej z Celiną, którąbym znowu rada, żeby co do joty naśladowała. Lubię i szacuję tę panienkę, i wiesz co mi się o nią wydaje? ona kocha naszego Wacława, ale tak, jak cnotliwa dziewczyna kochać może pierwsza; podobał ję się, woli go od wszystkich mężczyzn, jest pewna, że jego żona będzie najszczęśliwsza, połowę życia by dała, żeby była od niego wybraną, ale nikomu tego nie wyzna, chyba jednej matce.

Zmiarkowałam co się dzieje w ję serduszku, kilka dni temu, z uczucia pogardy, z jakim o Ludwice mówiła; a wiesz jak ona zwykle wszystkich broni i oszczędza. Nie wiem czy się postrzegła sama, czy ję matka co powiedziała, ale od tego czasu nie mówi wcale ani o Ludwice, ani o Wacławie, tylko iak go kto wspomni, rumieńcem płonie, a dla Zosi i dla mnie jeszcze czulsza niż dawniej; nie będzie ona miała zapewne i połowy posagu Ludwiki, a co gorsza, nie szlachcianka; ale jużbym podobno zamknęła oczy na tę mamonę, i pisałabym się chętnie na taką synowę! Prawie codziem wieczorem chodzimy z nią i z Izabellą do Krasińskich ogrodu, gdzie na nas zawsze pan Stanisław już czeka; biędna Izabella łudzi się, że to na nią: zawsze ma w nim ostateczną nadzieję; niestety! zupełnie prózną. Uszczęśliwia nas, jak codziem przychodzi na ten spacer, wyświeżona, w prześlicznych loczkach, w paradnym swoim szalu, z pieskiem na niebieskiej wstążce i z om-



dlewającemi oczyma. Nic dobrego pan Stanisław, kiedy mu podagra nie bardzo dokucza, to jój rzuci z niechcienia parę słówek grzecznych, co niebodze na kilka dni wystarczy. I nie mają mężczyźni żartować sobie z kobiet? Niechby wszystkie były harde jak mój aniołek, wnetby ci panowie inaczej śpiewali; chociaż między nami mówiąc, tyś cokolwiek za harda, i nie tracę nadziei, że się kiedyś udobruchasz. Dopierożbym ja była szczęśliwa... Ale wracajmy do ogrodu. Przyszedszy, ja sobie siadam na najbliższej ławce, a panienki chodzą. Ludzi mało bywa; Saski ogród zawsze w modzie; kontentam z tego dla Zosi: i tak aż nadto na nią patrzą, skoro na ulicę wyjdziemy. Wracamy przed zachodem słońca; jeżeli nie zmęczona, odbywamy nasze trzy *robry* ze zwyczajnymi graczami, którzy wiernie przychodzą, a Zosia tymczasem nam przygrywa i kalteszałem częstuje. Sonety Beethovena wyuczyła się dobrze, ronda Fielda i kilku romansów pani Szymanowskiej bardzo ładnych. I ja sobie jeden wybrałam, *le Murmure*; przeważaliśmy go Miurmiurkiem, i wiem że ci się spodoba.

Zosia posyła ci dziennik; pisała go z ochotą i zupełnie sama; jak na nią to wiele: wiesz, po kim lenistwo wzięła? nie daleko jabłko od jabłoni pada. Nic więcej się z niego nie dowiesz, jak z mego listu; dosyć ci było jeden dzień posłać, wszystkie niemal takie same. Boję się czasem, czy dziewczyninę ta jednostajność nie znudzi; choć dla niej możeby to i nie źle było: nie mogąc się bawić, gotowa pracować. Twój list i w tém precudowny, podał nam nową i obfitą materję do gadania. Poczciwa Aniela, że tak zawsze jednakowo cię kocha, ale biedna z tą swoją zapaloną głową; strofuj ją i wstrzymuj ile możesz, i powiedz jój, że ja ją zawsze męczennicą nazywam. POCO tak żywo brać rzeczy, poco złe przewidywać? dosyć czasu martwić się jak przyjdzie. Ani wątpię, że twoja bytność w Ugorzu

wiele dobrego zrobi; gdzież z tobą źle, aniołku mój? Ślicznie państwo Chorążtwo się znaleźli względem tych dwóch sierot. I romansów czytać nie trzeba, żeby być dobrym i miłosiernym: dosyć na Ewangelii. Przedziwnieś zrobiła, żeś napisała do naszego kochanego proboszcza o Tekli; duchowne rzeczy zawsze najlepiej oddawać duchownym, a jeszcze takim wyrozumiałym jak on. Namawiaj stale Anielę na Annę; już jeżeli przybierać pomoc do wychowania dzieci, oczywiście najlepiej taką z własnej poręki, a jeszcze lepiej obejść się bez nikogo, tak jak ja. Ależ mało komu się uda mieć w pierwszej córce, zamiast trudu i kłopotu, pomoc; bo mnie się zawsze zdaje, żeś ty się sama wychowała i nie potrzebowałaś nikogo; ciebie zaś wszyscy, zaczawszy od matki. Pan Assessor i żona jego wyborni. Zbieraj tam takich figur więcej, przecie uśmieć się można, a ty wiesz jak mnie zdrowo, kiedy się trochę pośmieję. Wczoraj cały wieczór *działaliśmy* na wyścigi, pan Stanisław i Zosia, na wzór państwa assessorstwa przypinali precudownie wielkie słowa do małych rzeczy, i było śmiechu aż miło.

List od mego drogiego Wacława przerwał mi pisanie, posyłam ci go przepisany ręką Zosi. Zdrów, dzięki Niebu, i dobrze mu podróż idzie. Brakowało mi czegoś, żem nie mogła podzielić zaraz tój radości z tobą. Pan Bóg dobre mi dał dzieci, niech będzie Imię Jego pochwalone! Ściskam cię i błogosławię z głębi serca. Obdziel tam wszystkich uściskami, uszanowaniami, ukłonami, wszystkich, prócz pana Henryka, którego nie znam i wcalem nie ciekawa, kiedy w wigilią twego przyjazdu odjechał, i nie poznał się na tobie. Bywaj zdrowa, używaj wsi bez najmniejszego skrupułu, i wróć nam tłusta i rumiana; a nie opal się: bardzo cię proszę.“

P. S. „Ale, wiesz téż jaki się stał skandalik: Pelasia, owa nieśmiała Pelasia, dała się wykraść jakiemuś ofi-

cerkowi. Za pomocą jego siostry, która w dom ciotki zręcznie się wzięła i zaufanie niewiniątka zyskała, usnuła się cała intryga, i ciotka rada nie rada, musiała pozwolić na wesele. Wielka to różnica skromności od nieśmiałości, i takie zbyt lękliwe i powolne panny, częściej zbłądzą od żywych i śmiałych: pleców im tylko potrzeba.“

---

## ROZDZIAŁ XI.

### Coś nakształt pamiętnika.

#### I.

....„Wczoraj odebrałam nareszcie upragnione listy z Warszawy, od kochanej matki, od naszego Wacława, od Zosi; ani marzyć mogłam o lepszych, o czulszych. Jutro pan Chorąży wyprawia zwyczajnego posłańca do Skalmierza; chciałam obszernie odpisać, dać wierny obraz tego co porabiam; wzięłam się do tego wcześniej, odmówiłam nawet przejażdżkę ranną do lasu, któraby tak mogła być przyjemną po wczorajszym deszczu: zaczęłam dwa listy, ale oba dwa leżą zdarte przedemną. Rzecz dziwna, pierwszy raz w życiu pisząc do matki, słowa leniwo mi się toczą; szukam ich, dobieram: pierwszy raz w życiu zdaje mi się, jakby nie wypadało jój pokazywać tego wszystkiego co mam w sercu, co mam w myśli... nadto mi tu dobrze, a bez niej.... Czém się to dzieje? sama jeszcze zdać sobie sprawy nie umiem. Ja, która zawsze sądziła, że mam klucz do własnej duszy, że mi dosyć być samą na chwilę, zamknąć oczy zmysłowe i wejrzeć umysłowemi w siebie, żeby dać sąd rzetelny

i dokładny o sobie: ja teraz sama się nie poznaję, i nie wiem czemu przypisać szczęście moje? Najpewniej, skutek to wsi, której tak pragnęłam, do której jestem stworzona, tego świeżego powietrza którym oddycham, tego mleka co piję, tych kwiatów, do których nowe przybywają, tego zdrowia, co tak widocznie mi wraca. O! tak, to nic innego tylko zdrowie; dusza tak wiele od ciała zależy. Od początku wiosny, od tych wszystkich kłopotów i zawodów naszych, byłam często jakoś słaba, nie swoja, ociężała; nieraz przymuszałam się do pracy; niekiedy nawet żale mię brały do ludzi, do losu, usychałam prawdziwie za wsią; teraz jestem silna, swobodna, wesoła, czynna, i choć właśnie trzy dni temu miałam gwałtowny ból głowy, jest mi dobrze, miło, błogo, jak gdyby mi życia przybyło, jak gdybym się urodziła na nowo.

I kiedy się zastanawiam, ten stan wcale nie jest ze szkodą mego prawdziwego *Ja*, i to mię bardzo uspakaja; owszem, czuję w sobie jakąś większą pobożność niż zwykle, jakieś wzniesienie ducha, jakiś nadmiar wdzięczności dla Boga, życzliwość dla ludzi; wszystkich kocham, wszyscy mi się wydają dobrzy, za dobrzy dla mnie; każdemubym nieba przychylić rada, choćby z poświęceniem własnym: słowem, jestem szczęśliwa, wesoła, kontenta z samój siebie, jak jeszcze nigdy nie byłam—kiedy mi się nawet wydaje, żem wyładniała... Jakże tu pisać matce o mojem szczęściu, o mojej wesołości i swobodzie, kiedy jój nie widzę, a tamte dwa zaczęte listy jaśniały radością; musiałam je podrzć, spróbuję więc na tym osobnym papierze: spiszę od niechcenia, bez żadnego przymusu, wszystko co przez te dni z nami się działo, i dopiero z tego wybiorę szczegóły i słowa, coby serca matki nie obrażyły, i ułożę list obszerny w jój guście. Jać wiem jakiej ona jest anielskiej dobroci, pragnie jedynie szczęścia naszego; ale wiem także, jak mi było miło dojrzyć w jój liście, obok zapewnień, że

zdrowa, że jęj dobrze, widocznej tęsknoty za mną. Darmo, człowiek każdy ma trochę samolubstwa: jak kiedy kocha, pragnie wzajemności, i szczęśliwy kiedy ją dostrzeże.... Zapewne trudno by się dziwić, choćby moja matka więcej tęskniła bezemnie, niż ja bez nięj; zawsze tym daleko gorzej, co zostają na miejscu, i jeszcze w mieście! A ja tu na wsi, z moją drogą Anielą, w tak miłym towarzystwie, wśród tylu rozmaitych rozrywek, i czas jaki cudowny! okolice, jak zwyczajnie w Krakowskiem: Szwajcarya polska; góry, parowy, lasy, strumienie, rzeka, widoki przepyszne, niwy dojrzewającego zboża, lud rzeźki, wesoly, swobodny, spacery pieszo, powozem, w łódce, rano i w wieczór; odwiedziny w sąsiedztwo i nawzajem. A jeszcze dla mnie, dla której każda wieś jest rajem; co już miałam siedzieć sama jedna w Olszankach parę tygodni i cieszyłam się na to! Jakże nie mam tu być szczęśliwą, wesolą? Nic a nic w tém dziwnego!

Wczoraj na przykład, jak miło i szybko dzień zbiegł. Od onegdajszego wieczoru deszcz pożądaný i rześisty padał wśród grzmotów i piorunów; ani sposobu było wyjść albo wyjechać: Henryk piérwszy raz musiał zanocować w Ugorzu. Rano, przy kawie, w czasie której rozmowa była ożywiona i zajmująca, jak jeszcze nigdy, poszliśmy do Anieli; i on rysował z kolei portrety jęj dzieci: ma wielki talent, skoro popracuje trochę, może zajść daleko. Mieliśmy przytém czytać nowy romans polski: *Śluby nierozsądne*, przez Bernatowicza, ale zeszło nam na rozmowie, aniśmy się spostrzegli; a biędna Aniela była cierpiąca, nawet położyć się musiała i dopiero sen ją uleczył. Na gwałt się ubierałam, żeby na czas być w sali na obiad, a nie wiem, zaco nie tak prędko się ubieram jak w domu? W gościnie będąc, przyjechawszy ze stolicy, wypada oczywiście się ubrać nie tylko porządnie, ale i gustownie; prócz tego ułożyłyśmy sobie z Anielą, żeby codzień inny mieć kwiatek we włosach

i u boku: z początku nie chciałam, ale kiedy ona, matka dzieciom i starsza odemnie nosi kwiaty, toć i ja mogę? Na wczoraj wypadły nam gwoździki karmazynowe, i nie mogłam ich włożyć odrazu do twarzy, ani dobrać sobie sukni stosownej; nareszcie namyśliłam się na zieloną jedwabną, i podobał się mój ubiór.

Po obiedzie, według odwiecznego zwyczaju, państwo Chorążtwo patrzyli na swoje ulubione gniazdo bocianie, co jest na starym dębie w końcu sadzawki, wprost okien sali, a my po nich z kolei. Henryk przedziwnie do mego wzroku i wzrostu teleskop ustawił; nigdy jeszcze lepiej ich nie widziałam i nigdy tyle mię nie zajęły. Patrzyliśmy we dwoje na przemiany i coraz dostrzegliśmy coś nowego! Młode choć już duże, jeszcze są w gnieździe; właśnie samiec przyleciał, przyniósł węża w dziobie, a samica obdzielała już duże dzieci. Jaka była radość w gnieździe, kiedy go ujrzaly w powietrzu! Aniela patrzeć nie chciała; mówiła przedziwnie, pół żartem, pół doprawdy, że ją ten widok nadto rozczula; jój pan bocian buja po szerokiej Ukrainie, a ona tu z piskletami sama. To gniazdo, rzecz prosta, może nawet dziecinna, śmieszna, wczoraj jednak zdawało mi się jakieś rzewne, poetyczne. Doprawdy, czyżto nie jest jakby żyjący, opiekuńczy pomnik zacnych dziedziców Ugorza, jak był niegdyś nad chatą Piasta i jego żony? Już lat czterdzieści i dwa od pierwszego roku pobrania się państwa Chorążtwa, bociany lęgają się co rok w tém samym miejscu. Już parę razy zaciągano na dąb inne koło, bo dawne próchniało. Trudno uwierzyć, żeby zawsze były te same ptaki, ale rzecz pewna, ten sam ród; i broń Boże z inném zdaniem edezwać się przed panem Chorążym: wolały już podobno, żeby mu jego Nałęcz zaprzeczyć! Oni oboje widzą w tych ptakach, do których wszędzie u nas wróżba szczęścia przywiązana, jakąś przyczynę, jakąś rękojmią długiego i zgodnego pożycia swojego, i zupełnie ich szanują. Któżby tego uczucia

nie pojął, nie pozazdrościł im nawet! Owo gniazdo gra też w Ugorzu rolę niepospolitą, a piskłeta idą podobno zaraz po wnukach.

Jest na kantorku w sali osobna księga (i ta bez wątpienia naszym Jundziłom i Jarockim nie byłaby obojętna), w której pan Chorąży od lat czterdziestu, t. j. od r. 1780 zapisuje jak najskrupulatniej co rok, którego dnia na wiosnę bociany przyleciały; kiedy samica zaczęła siedzieć w gnieździe; kiedy pierwszy raz piskłat dojrzano; kiedy rodzice zaczęli młode bocianki wywabiać z gniazda; kiedy na jesień wszyscy razem odleciały, i wszelkie inne przygody, jakie przez czas ich gnieźdzenia przytrafić się mogły. Przez tyle lat, dziedzice Ugorza i ksiądz proboszcz równie wierny dostrzegacz, nauczyli się z odmian zachodzących w dorocznych zdarzeniach wyprowadzać pewne wnioski, nie tylko co do pogody i urodzajów, ale nawet co do politycznych przygód. Upadek Napoleona przewidziany był, i inne dawniejsze jeszcze i późniejsze odmiany i nieszczęścia. Pan Chorąży opowiadał nam to wczoraj dokładnie, jako i różne anegdoty o bocianach; powtórzył nowy wniosek swój historyczny: jakoby Lech bocianie gniazdo a nie orle znalazł? Wszystko to znałam i pamiętałam co do słowa; bawiło mię jednak, ile że Henryk przekomarzał się dowcipnie ze stryjem, i uśmieliśmy się serdecznie. Nadeszły też listy z poczty, tak oddawna żądane: pobiegłam z mojami do mezo pokoju na górę, żeby je przeczytać w cichości, w samotności, żeby im się oddać cała; wnet wróciłam rozrzewniona, ale jeszcze szczęśliwsza: kochana, jedyna matka, zdrowa, napisała tak czule i obszernie, i od Waclawa jest list i Zosi dziennik przecudowny.

Czekano na mnie z czytaniem gazet: zasiedliśmy około stolika przy oknie. Pani Chorążyna z Teklą i z Anną poszywała siatkę do kościoła, my z Anielą szłyśmy w krosnach szlak do kobierca do kaplicy Matki Boskiej; pan



Choraży rozparł się na swoim krześle, spłótszy palce na poważnym brzuszku; ksiądz proboszcz dobył chustki, tabakierki i okularów, i siadł na brzegu stołka za Henrykiem zaglądając mu przez ramię; Henryk czytał. Przedziwnie czyta; wiadomości z obcych krajów przeplatał opowiadaniem przyjemnym i uczącym: nie pojmuję jakim sposobem pan Choraży usnąć potrafił; bo obce wypadki polityczne nader są ważne i zajmujące, nowe uczucia i zdania na jaw wychodzą, i Henryk z wielką żywością i znajomością rzeczy o tém wszystkiém z nami mówił. Pan Choraży nie nie słyszał, dopiero kawa go obudziła. Po kawie nie było już co czytać, deszcz ciągle padał, więc dla odmiany zasiedliśmy wszyscy do *kalabrika*. Ja karty nie koniecznie lubię i *kalabrika* miałam zawsze za grę bardzo nudną; przecież było niezmiernie wesoło; siedziałam między Anielą i Henrykiem, przegrałam parę złotych, i o tom się nie gniewała. Po wieczerzy starsi zasiedli do codziennego *maryusza*, którego pani Chorażyna nigdy nie daruje a my do klawikordu. Henryk sam nie gra ale przepada za muzyką; ma głos śliczny i śpiewa z dziwnym wyrazem, jak jeszcze nigdy nie słyszałam; jego pieśni zupełnie trafiają do duszy: wyuczyłam się jak mogłam najlepiej muzyki do niektórych, żeby mu przygrywać; lecz nie szło to bardzo gładko. Żal mi teraz że nie mam talentu, że nie śpiewam, a i Anieli wtórować mu nie mogła, zupełnie głos straciła nieboga!

Aniśmy chcieli wierzyć jak wpół do dziesiątej wybiło i państwo Chorażtwo spać poszli. Anieli wolno przyjmować u siebie; zajmuje drugą część domu: stryjostwu to nic nie przeszkadza, bo nie słyszą hałasu, i owszem bardzo lubią żeby pani Ignacowa się bawiła. Kiedy pan Ignacy jest w Ugorzu a są goście, zawsze u nich bywa herbata, i nieraz późno w noc siedzą. Otóż wczoraj litując się nad mężowskim bratem, któremu wcale się nie chciało iść spać o wpół do dziesiątej, Anieli zaprosiła go pierwszy raz na

herbatę. Zabałamuciliśmy się do samój dwunastój, choć właśnie kochana matka mi zaleciła w swoim liście, żeby daleko wcześniej być w łóżku, rozmowa przecież nie była wesoła, owszem bardzo poważna. Henryk rozgadał się o sobie, o interesach, o wsi, o planach swoich na przyszłość. Jednak to nie zawsze pierwszy sąd jest trafny; ja zbyt prędko i mylno wyrok wydałam o nim w liście moim do matki, i bardzo tego żałuję. To młodzieniec niepospolity! dusza piękna, szlachetna, serce kochające, otwarte; tylko potrzebuje być poznanym, zrozumianym a może zachęconym... Jak on nam tkliwie mówił wczoraj, że człowiek potrzebuje drugich oczów, żeby widziały co on robi, drugiego serca żeby go nagrodziło! On zna powinności swoje, wie że zaniedbał i radby ten błąd naprawił. A kto wie co oznacza większą potęgę moralną: czy nie mając sposobności nie zbłądzić nigdy; czy też zbłądziwszy uznać winę i mieć szczerą chęć poprawy?

Wyspowiadał nam się zupełnie: „dotąd tracił czas i pieniądze, marnował życie, marnował serce, nie znał się ani na rzeczach ani na ludziach: teraz musi się ustatkować, odmienić, zacząć żyć prawdziwie, być użytecznym obywatelem, ziemianinem polskim, tak doskonałym jak będzie kiedyś Wacław... Szczęśliwy Wacław, któremu od kolebki prawa droga wskazana była, którego najświętsze uczucia na tej drodze wspierały... Wszystko mi się coś zdaje, że Aniela trzy dni temu, korzystając z bólu głowy co mię przymusił położyć się zaraz po obiedzie, bardzo mu wiele o nas nagadała; bo od tego czasu, jakiś taki zupełnie inny i tyle wie o mnie... Nie śmiem się jęj zapytać, gniewałyby się trzeba; a nie mam ochoty gniewać się na kogobądź, dopieroż na nią... Prosił nas usilnie, żebyśmy kiedy pojechaly do niego; mała milka do Zanidzyna, śliczne ma być miejsce, tylko zaniedbane. Chce naszej rady zasięgnąć co do urządzenia domu i ogrodu; już mu pilno do zajęcia się

czémsiś użyteczném, a jak powiada, sam nie nie umieć, nie może; jest prawdziwym synem Adama, o którym sam Bóg powiedział że mu „pomoc“ jest potrzebna. Aniela powiedziała że pojedzie, mnie téż odmawiać nie wypadało...”

---

## II.

Odczytałam com napisała i wcalem nie kontenta; tu prawie nic z tego wszystkiego posłać do Warszawy nie można; wybrać nie wiedzieć co? a gdybym posłała te parę ćwiartek jak są, myśleliby i wystawiliby sobie rzeczy dziwne. O! nie trzeba ani matki, ani siebie, ani nikogo ludzić. To tak sobie, na dobrą, na braterską przyjaźń się zanosi; on mnie uważa za siostrę, za drugą Anielę: tém imieniem mnie nawet nieraz nazywa. Owe kwiaty, owoce, codzién z Zanidzyna przywozi, to dla nas obudwóch; on zawsze Wacławowi zazdrości. Gdzieżby myśleć o czém inném? Zbyt młody, zbyt przyjemny, zbyt majątny; dostanie kogo zechce: pięknej, młodej, bogatej; i takiej nawet mu trzeba. Na wsi widujemy się codzién; jego wychowanie jest wyższe, wiele przestawał z kobietami, lubi ich towarzystwo; te dzieła czytał co i my czytujemy; woli przeto rozmawiać ze mną i z Anielą, jak ze stryjenką, z Teklą i z mężczyznami, jakich tu mieć może. Równego zupełnie będąc wieku, na wiele rzeczy jedném okiem patrzymy, a kiedy w czém zdania nasze są przeciwne, on chce żeby je rozbierać, żeby się spierać o nie, bo już taki jego układ; lubi mówić, lubi się sprzeczać, ztąd rozmowy niewyczerpane, ożywione i nie nudzi mu się z nami, ani nam z nim. Choćbym rada odwołać moje zbyt porywcze zdanie, muszę przecież o nim jak najmniej w liście do matki wspominać; bo cóżby to znaczyło? dwa tygodnie jak się znamy.

Jać wierzę, że on ma lepszą dziś opinią o mnie od téj co miał pierwszego dnia; wierzę także cokolwiek temu co mi nieraz mówił, iż nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać kobiety w takim rodzaju, równie gruntownej: dotąd i w kraju i zagranicą uważał jedynie na ładne i na młodziuchne; na takie jak ja ani spojrział: jakże się miał poznać na nich? Piękność ma ten wielki przywilój, że odrazu uderzy, ujmie, podoba się; nam któreśiny jój pozbawione, trzeba czasu i sprzyjających okoliczności. O! bezwąt্পienia, gdyby i tu była młodsza i ładniejsza, a równego jemu wychowania, ani by patrzył na mnie, ani przemówił... i to wszystko najpewniej z wyjazdem z Ugorza się skończy...”

### III.

...Napisałam tedy jeszcze onegdaj ów list do kochanej matki, ale tak mi nie szedł, tak mi się nie podobał, że aż zmyślić musiałam ból głowy; teraz żałuję: będzie się turbować. Dla zaspokojenia sumienia, muszę pisać dalej ów niby pamiętnik, który tak się urodził sam z siebie, bez żadnej myśli, będę posyłać do Warszawy listy obojętne o Ugorzu, o sąsiedztwie, o dzieciach, o Tekli, o Annie, o książkach, a jak wrócę, co bądź się stanie, przeczytam drogiój matce to co tu piszę: ona mnie zrozumie, oceni moje powody i nie weźmie mi za złe, owój piérwszój w życiu nieszczęściu.

Widząc ja doskonale, że jest coś; zbyt przyzwyczajonom do zastanawiania się nad sobą i nad tém co mnie otacza, ażebym tego nie widziała; nie mogę także zataić ile to, czego doznaję jest dla mnie miłe, nowe, a razem tworzące; ale pisać o tém przez pocztę, żeby i Zosia i pan Sta-

niślaw, a może i zupełnie obcy czytali, tegobym na sobie przenieść nie mogła!... Wreszcie, z kąd pewność czy to *coś* jest i w jego sercu, czy tylko w moim?... W takim razie jakże tu mówić o tém komubądź, a tém bardziej pisać; nawet z Anielą, kiedy mnie chce przesładować, staram się wszystko w żart obracać, bo z jój głową, dalekoby zabrnąć można. Ja sama o sobie dobrze nie wiem, jak nazwać co się we mnie dzieje?... Może to także przyjaźń, uczucie braterskie?... Ależ ja i dla pana Tomasza miałam wiele przyjaźni i brata kocham z całej duszy; nigdy przecież nie było mi tak przyjemnie być z niemi, nigdy moja spokojność, moja zabawa tak zupełnie nie zależała od tego, czy oni byli, czy nie byli i jak byli dla mnie?

Nigdy względem żadnego z nich, względem nikogo w świecie, nie doznawałam tych przecuć, téj bojaźni, owego tysiąca drobnostek, które przecież tyle wazą... Znam go tak niedawno, a rozpoznam zdaleka chód jego, stąpanie konia: wiem przed wszystkiemi kiedy on się zbliża. Jeżeli go niéma, jakby nikogo nie było; a jak godzina zwykła jego przyjazdu wybije, a on nie przyjechał, mimowolna niespokojność mnie całą przejmuje: pewnam, że już go nigdy nie zobaczę. Skoro wiem że jedzie, obok żywój radości powstaje zaraz trwoga, czy wraca taki sam jak wczoraj? a jak o tém się przekonam, znowu się boję, żeby nie było znać po mnie mojego szczęścia; i ledwie odjedzie, już sobie wymawiam, że albo zanadto, albo zamało byłam dla niego; że z tém nie trzeba było się wydawać, a to należało mu powiedzieć. Zupełnie to inaczej jak z panem Tomaszem, jak z Wacławem, jak ze wszystkiemi!.. Co więcéj, i co mnie najmocniéj zastrasza, widzę wszystkie jego wady: widzę lekkość, zarozumienie, lenistwo, trochę samolubstwa, wcale nie tyle pobożności ileby należało; nie taką gorącą miłość kraju jak ja lubię i wymagam: a te wady w nim nie rażą mnie o po-

łowę, gdzie tam, o dziesiątą część tyle co w innych, tyle co z początku. Słowem, często kiedy się przebudzę w nocy, albo kiedy w dzień wejrzę w głąb serca, jakiś dreszcz mnie przejmuje; lękam się, bo mi się wydaje, jak gdybym wymykała się sama sobie, jak gdybym traciła siebie, ów skarb, który sam jeden miałam tak długo za mój własny i nie odjęty. O! gdyby, broń Boże, on nie był wolny albo ja, uciekłabym ztąd bez żadnej uwagi na nic... ale, on pan swojej woli i ja także: uciekać, byłoby śmiesznością. Nie zawadzi jednak pilnować się z całych sił, wzywać pomocy Boga, światła Jego, żeby nie nadto wierzyć, nie nadto ufać ziemskiej nadziei, być jak najmniej samą, starać się nie myśleć o tém, zajmować się więcej niż kiedy, rachować się codziennie już nie tylko z sumieniem, ale i z sercem, trzymać to serce obiema rękami, kiedy tak ulecieć rade, głuszyć je, kiedy odezwała się w niém jakaś nieznaną dotąd struna...

Achl jakieżto w jój dźwięku urok, jaka harmonia! uchowaj jednak Boże, aby jój ktobądź dosłyszał, dopóki zupełnej pewności nie będzie, czy i w drugiem sercu zabrzmiała podobna?... Taki wstyd dla kobiety stawiać się pierwszą: im mniej ma powabów, tém baczniejszą być musi; piękność jój cała w duszy, cała ponęta w skromności, w godności niewieściej, tém bardziej szanować je w sobie powinna. Jabym oczu na ludzi podnieść nie śmiała, gdyby ktokolwiekby mógł pomyśleć o mnie, żem pokochała pierwsza, żem pokochała bez nadziei być żoną, że kocham bez wzajemności... a jeszcze ja, o której rozsądki wszyscy tak wielkie mają wyobrażenie, zapewne dlatego, żem nie ładna i już nie młoda. O! zupełnie ja taka kobieta jak inne, tak słaba, tak pełna próżności, tak łatwo wierząca pochlebnyim słowom, jak najmłodsza i najładniejsza... Cobądź się stanie ze mną, przynajmniej pobłażania i wyrozumienia dla drugich nabędę: dobre i to.“

## IV.

... „Doprawdy, boję się pisać dalej ten pamiętnik; nie wiem sama gdzie go chować, żeby go nikt nie dostrzegł; nie wiem kiedy go pisać, żeby mi nie Anieli nie zesłała: więcej też niż tydzień słowa tu nie przybyło; ale znowu wczoraj napisałam list nieszczerzy do matki: trzeba koniecznie mieć się czém usprawiedliwić jak wrócę... Mimo tego powodu, podobno źle robię, że piszę; jest i w tém pisaniu wdzięk niepojęty: ale może rzecz niebezpieczna, nadawać jakąś trwałość, jakieś ciało uczuciom, rzeczom, co może jak bańka na wodzie — zniknąć? Leczby trzeba i nie myśleć o nich, tego zaś mimo całej pracy nad sobą dokazać nie mogę; a nawet nie wiem, czym powinna koniecznie... Usypiając, budząc się, we śnie, coś mi szepcze słodko do ucha do serca: „Podobałaś się, będziesz kochana; nie wszyscy mężczyźni samą piękność cenią: piękne dusze na duszę patrzą.“ Gdybym opisywać chciała dzień po dniu, godzina po godzinie, cośmy przez tamte dni robili, wszystko co mi przez głowę, przez serce przeszło, i podobno nie przeszło, ale na zawsze zostało, mogłabym zapisać arkusze: lecz to były po większej części rzeczy takie drobne, tak ulotne, a razem tyle znaczące i miłe, że umknęłyby przed piórem i słów dla nich nie znam... Gdybym ja umiała oddać to wszystko słowami co czuję, byłabym poetą, i jakim poetą! Ale ja widzę, z tych ludzi jestem co mam poezją niemą; może i lepiej, nikt jój nie usłyszy: zostanie we mnie...

Zapiszę więc tylko, że mi było dobrze, za-dobrze, a nawet byłam czynna... choć tak często, zwłaszcza kiedy się jest samą przychodzi ochota sięść, oprzeć głowę na ręce, i dumać nie wiedzieć o czém, nie wiedzieć jak długo. Bronię się wszelkimi siłami téj ochocie, wypędzam ją zatrudnieniem; jednak onegdaj zesłałam się w takiém dumaniu:

wybiegłam na moment do ogrodu, bo mi jakoś smutno było; usiadłam na kamieniu pod drzewem nad Nidą, i, czy być może, całą godzinę tak siedziałam patrząc się na płynącą wodę. Jedna też ta godzina w całym dniu zbiegła prędko i lekko, drugie prawdziwie się wlokły; nie pamiętam jak żyję dnia tak długiego i żebym tyle rzeczy narobiła. Z Anną pracowałam więcej niż zawsze, Anieli przyrządziłam książkę na słownik, bo sobie nową robotę sama wymyśliła, rodzaj encyklopedyi: pod literami będzie zapisywać rozmaite ciekawe rzeczy; skroiłam suknię dla pani Chorążyny, która bardzo wysoko ceni moję krawiecką umiejętność; czytałam z Teklą duchowną książkę, wskazaną przez naszego kochanego ks. proboszcza, wyszyłam kilka kwiatków w krosnach, i jeszcze zostało wiele chwil próżnych. Ale bo pierwszy raz byliśmy sami; dotąd nie było dnia takiego: Henryk co wieczór odjeżdżał, czasem mówił że nie przyjedzie nazajutrz, ale przecież codziennie na obiad wracał; nareszcie we Wtorek wieczór zapowiedział nam, że już doprawdy nie przyjedzie aż drugiego dnia raniutko, to jest wczoraj, żeby nas zawieźć przed gorącym do Zanidzyna, i dotrzymał słowa: nie przyjechał, chociaż przez całą tę nieznośną Środę, zdawało mi się przynajmniej sto razy że jedzie. Ależ wczorajszy dzień wszystko nagrodził.

Wstałam ze słońcem, ubrałam się ładnie, świeżo. Otrzymaliśmy pozwolenie od państwa Chorążtwa nie być z niemi ani na kawie, ani na chlebie z masłem, ale dopiero zjechać na sam obiad. Co to była za miła i pamiętna podróż, i jak się tu obronić od jakiegóż lubiej nadziei? Powoził sam z taką troskliwością, powóz taki był śliczny, zaprzęg tak staranny; mogło to być wszystko dla Anieli więcej niż dla mnie; ależ dojeżdżając, mnie samęj, aż mi to przykro było, wszystko przedstawiał, wszystko opowiadał: doprawdy, zdawało się jak gdyby panją temu miejscu przywoził. Zanidzyn daleko, piękniejszy od



Olszanek, majątek znaczny i prześliczny, cudaby porobić się dały, gdyby wziąć we dwoje. Dwór a raczej pałac murywany i na górze, dziedziniec obsadzony, dwie małe oficyny po obu stronach, ogród wielki, a w nim Nida, stare odwieczne drzewa, góry, parowy, gaje. Zaniedbanie jednak wielkie; oczywiście, gdzie dziedzica od lat dwunastu niema (bo już trzynasty rok jak rodzice jego pomarli), inaczey być nie może. Pałac pustkami stoi, a pokojów dużo i piękne; byłoby gdzie pomieścić wygodnie liczną rodzinę; jeden zwłaszcza gabinet narożny z cudownym widokiem, mógłby być czarujący, idealny, gdyby w nim jeszcze drzwi do ogrodu zrobić, a zamiast dachu ganek, na który wstąpiwszy, możnaby widzieć całe niebo, Ugorze i okolice na kilka mil. Co moment pytał się mnie o moje zdanie; com tylko powiedziała przyjmował, a memi pochwałami zupełnie się cieszył, jak gdyby to wszystko kiedyś moje być miało...

Zaprowadził nas z nienacka do pysznej lipowej ulicy krytej, w boku pałacu będącej; tam jego matka siadywać lubiła, tam i on z bratem najczęściej się bawił. Na jednej lipie pokazywał nam miarę swego wzrostu, ręką ojca nacinaną na korze, od trzech do czternastu lat... Tam zastaliśmy zastawione śniadanie wyborne, wszystko co ja lubię: kawę, świeże mléko, masło doskonałe, ciasta, owoce, nawet moje ulubione poziomki, choć już pora spózniona; dla mnie o niczém nie zapomniał, przeciez o herbacie dla Anieli nie pamiętał, a ona kawy nie pija: wołałabym była, żeby o mnie był zapomniał... Wracając, z największym staraniem osłaniał mnie od słońca, szukał cieniu jadąc: wie że mi upał szkodzi. Ale nic mi nie było, cały dzień byłam zdrowa, a chwilami zbyt szczęśliwa. Mówię chwilami, bo czasem, już teraz i przy nim, takie niespokojności i trwogi mnie biorą, jakich nigdy w życiu nie znałam: jedno słowo, jeden moment, wszystko gdzieś znika i znowu szczęście... Kiedy nawet pani Chorążyna dziś rano, jakem z nią inspe-

ktą obchodziła jeszcze przed kawą, coś mi takiego mówiła, że mi się aż w oczach zaćmiło, takem się zmieszała. Już ta owa majątna panna do której jeździł do Krakowa, wcale mu się nie podobała; każdej sąsiadce jaką mu się widzieć tu zdarzyło, znalazł przyganę i o żadnej słyszcć nie chce; ksiądz proboszcz miał dla niego jakąś wdówkę bardzo bogatą i ładną, ani sobie mówić o niej nie dał: „Może on ma i racyą, powiedziała nareszcie poczciwa starowina; jemu trzeba raczej żony rozgarnionej, pracowitej, aniżeli pięknej lub posażnej; śliczny to majątek ten Zanidzyn, ale nigdy nie był dobrze zagospodarowany, bo i ś. p. bratowa, ufna w wdzięki i w wiano, nie wiele się domem trudniła: tam nie tyle pieniędzy trzeba, ile umiejętności i rządu.“

I nie wiem, czy pod jakim urokiem jestem, ale mi się zdaje, że to mówiąc spogląda na mnie bardzo mile i z jakimś znaczeniem. Mimowolnie pocałowałam ją w ramię. Teraz tego mocno żałuję. Mogła to wziąć jakby za podziękowanie, czy za przymawianie się z mojej strony... Przecież przy drugim śniadaniu była dla mnie równie uprzejma jak zawsze; pan Chorąży tylko nie zdawał mi się tak łaskaw, jak zwykł być; o łatwości do nagłych zapałów dzisiejszej młodzieży z przekąsem wspominał, i także mi się zdawało, że to mówiąc, spogląda na mnie z ukosa; ale jakież to było inne spojrzenie, jak jego nieoszacowanej żony!.. Może mi się téż to wszystko tylko zdawało, bo teraz bardzo często dziwne rzeczy mi się wydają; pewno staruszek obchodząc gospodarstwo, jakiej szkody gdzie dostrzegł, albo w gniaździe bocianiem, jakiej niepomyślniej wróżby dopatrzył, i to go w zły humor wprawiło... Ja teraz wszystko do siebie biorę i często bardzo się gniewam za to na siebie.“

## V.

„Aniela mnie zgubi; od czasu jakieśmy byli w Zanidzynie, już przeszło tydzień, skoro chwilkę jesteście same, o niczym mi nie gada tylko o *tém*; już nawet przy nim wytrzymać nie może, i często jakieś dwuznaczne słówko powie, z jakimś prześladowaniem się wyrwie; uciekam od niej, proszę jej się, błagam: nic nie pomaga. Ona się zarzeka na męża, na dzieci, na Boga, że on o mnie zamyśla, że on we mnie się kocha. Kiedy jej odpowiadam, choć może usta wtedy nie bardzo są szczere, że to rzecz nie do wiary, aby taki młody i powabny człowiek mnie sobie upodobał i wybrał, zwłaszcza że nie zna jeszcze dobrze ani mego wychowania, ani mego sposobu myślenia; ona przerywa i mówi: że ja się nie znam na sobie, ona zaś zna mnie doskonale. I przyznała mi się dziś właśnie do wielkiej zdrady. Już temu dawno, byłam słabą, i zaraz po obiedzie musiałam odejść do siebie; ona przez ten czas, już nie wiem jak do tego przyszło, pokazała mi całą naszą tegoroczną korespondencją, i on te listy wziął z sobą do Zanidzyna, całą noc czytał, i dopiero nazajutrz je odwiózł. Miał być zdamiony, i odtąd nietylko dla mnie, ale dla całego naszego domu, osobliwie dla mojej matki przejęty jest najwyższym uwielbieniem, a nad moim rozumem, sercem, dobrocią, prostotą uspokoić się nie może.... Zrazu gniewałam się bardzo na Anielę, boć tam są rzeczy, które dla niej tylko pisane były: moje marzenia, familijne sekreta, tyle drobnostek; ale po chwili nie mogłam się oprzeć tajemnej radości: „wić wszystko o mnie“ pomyślałam; teraz znowu kiedy się zastanawiam, nie wiem prawdziwie czy się cieszyć, czy się gniewać?

Miło mi, że wyczytał o Referendarzu; nie kontentam że się dowiedział o panu Tomaszu, o wielu dzieciństwach,

o zdaniach trochę dziwnych, nadto śmiałych; gotów myśleć że ja z miłości się śmieję, że zamąż iść nie chcę, że mi już nic do szczęścia nie brakuje, że książki i nauki nad wszystko cenię.... Teraz dopiero dochodzę, zkąd on wiedział tysiączne rzeczy o mnie, o moich gustach, zatrudnieniach, o moim sposobie myślenia; zkąd mię tak często prześladował mojem okrucieństwem i dumą. Myślałam sobie czasem: „Czy on mnie znał dawniej, czy on sobie żartuje ze mnie?“ i strach mnie zdejmował, jak przed jakąś wyższą, tajemniczą istotą.... Jednak, o ile badałam Anielę na wszystkie strony, on ani oddając listy, ani teraz, ani nigdy nie powiedział jednego wyraźnego słowa o swoich zamiarach. Prawda, byłby to zbyt prędki namysł w rzeczy tak ważnej; ile że ja szalonej, nagłej miłości wymagać nie mogę: ledwo miesiąc jak się znamy! miesiąc, jakże on zbiegł, a jakim jest wiekiem co do odmiany, jaką zrobił we mnie całej: co do skarbu uczuć, myśli, wspomnień, pamiątek; co do szczęścia, jakie po sobie zostawił.. Ach! bo żadna minuta nie zmarniała; każda naznaczona, każdą policzyćbym mogła, każdą pamiętam.... i pamiętać będę. Otóż Aniela się przysięga, że gdyby tu był jój mąż, pewnoby się przed nim zwierzył; że niezawodnie na jego przyjazd czeka, i nawet jój to dał kiedyś do zrozumienia. On ma być bardzo prędki w najważniejszych namysłach swoich; przed wyjazdem za granicę zakochał się bardzo w jednej przeslicznej pannie; w przeciągu miesiąca oświadczył się, i już miał się żenić i jechać z żoną do cudzych krajów, wtém coś mu się nie podobało w matce panny: zerwał natychmiast i sam pojechał.

Niezmiernie uważa na blizkie związki, na rodziców, na rodzeństwo, i sama słyszałam jak kilka razy powtarzał, że nigdyby się nie ożenił z córką źle się prowadzącą albo ograniczoną matki. Z tego względu jestem spokojna; i teraz, kiedy wiem, że czytał moje listy, trudno mi nie widzieć wyraźniej intencji w tém wszystkiém, co mówił

tyle razy o matkach w ogólności.... Jużto z najzimniejszą krwią rzeczy biorąc, ani podobna nie przyznać, iż w tysiącznych sposobach dał mi poznać skłonność swoją, zamiary, a nadewszystko wysoki szacunek; pewna także, iż mi powiedział pełno znaczących rzeczy, ale do wyraźnego oświadczenia nie przyszło, może i z mojej winy; bo ja przez wrodzoną dumę, czy przez tajemną bojaźń, zamiast go wyciągać na słowa, zawsze wszystko w żart staram się obrócić, albo udaję, że nie słyszę i nie rozumiem. Wczoraj, na przykład, rozszedł się po wieczerzy z państwem Chorążtwem, poszliśmy chodzić koło domu, jak zawsze, ja trzymając Anielę pod ramię, a on przy mnie; była noc przepyszna, prawdziwa letnia, listek nie zdrzał, trawka się nie ruszyła, zdawało się że ziemia w milczeniu słucha nieba co jój powie; i mówiło: bo te miliony srebrnych gwiazd na tym ciemnym błękitcie, czyż to nie słowa pewne wymowy? Patrzyliśmy w górę i w oczach naszych spadło, jak mówią po prostu, gwiazd kilka. Były i z tego powodu różne miłe wnioski; któż bowiem nie wie, że to co myślimy w chwili, kiedy się zjawi ta nić światła w przestrzeni, spełnić się ma niezawodnie?....

Żeby dać inny obrót rozmowie i przerwać trącania Anieli, która za każdym takim słowem ścisnęła mi ramię, zaczęłam się wpatrywać szczególnież w *Orla*. Mój ojciec lubił niezmiernie tę konstellacyą; siadując przed naszym domkiem olszańskim, mawiał nieraz do żony: „Te trzy gwiazdy to nasze dzieci: jasna środkowa to Wacław, a dwie mniej świetne dziewczęta...“ Powtórzyłam wczoraj te słowa, i on powiedział: „Gwiazdy są własnością wszystkich; i nas tu jest troje, rozbierzny je między siebie: pani damy najświetniejszą, ja najmniejszą wezmę, byle zawsze być z nią“ dodał ciszej. Śmiać się niby zaczęłam i zaręczać, że nigdy nigdzie pierwszego miejsca nie chcę, i wolę zostać przy owém podrzędném, które mi ojciec wyznaczył; ale

brzmia mi jeszcze dotąd słowa: „byłe zawsze być z nią“ i wiem, że teraz z nowym uczuciem na *Orla* patrzeć będę. Dziś rano wstawszy, mimowolnie szukałam go na niebie; właśnie kładąc się wczoraj, zostawiłam go wprost moich okien. Ja, co tak słońce lubię, żalowałam że świeciło, że tłumilo gwiazdy, chociaż pewno już inne oczy, w innej strefie kuli ziemskiej na mego *Orla* patrzyły... i w tej chwili tęskno mi do wieczora, żebym go znowu ujrzała.... Ach! jakież to drobnostki, dzieciństwa! aniby sposób codzien takie rzeczy zapisywać, a codzienby ich się tyle znalazło.... Matce może pokażę ten pamiętnik, ale więcej nikomu, a tém bardziej Zosi. W co się to wszystko obróci, jak ja się z niemi zobaczę?.... Sześć tygodni, które tu bawić miałam, niedługo się skończą; aż smutno o tém pomyśleć. Gdybym kochałój matce jednem słowem napomknęła o jakiejbądź nadziei, przedłużyłaby, pewna jestem, swoje pozwolenie do zimy, jak najchętniej i do wiosny, gdyby tego była potrzeba; ale tak nie domyślając się niczego, już w ostatnim liście rachowała dni do mego powrotu.

Sama zdrowa, Bogu dzięki, idzie jęj tylko bardzo o Zosię, że się nudzi; wiele osób się porozjeżdżało, mało kto bywa, i nie tacy coby ją bawili. Boi się także czy i ją tęsknota za wsią nie weźmie. „Biędaż mnie, pisze, lubiąc samęj miasto, pogodzić takie wieśniaczki; zupełnie jestem jak kokosz z kaczątami nad stawem.“ Ani więc sposobu przedłużyć mój pobyt w Ugorzu, nie napisawszy jęj o wszystkiém, a co tu pisać i jak? w głowę zachodzę. Aniela mnie pociesza: najprzód mamy jeszcze prawie całe dwa tygodnie przed sobą; ona się spodziewa męża z pewnością, nie pisał już przeszło miesiąc, więc jedzie; a skoro przyje dzie, wszystko weźmie pomyslny obrót, i dopiéro wtenczas będzie co mojęj matce donieść i napisać list obszerny. Pocziwa Aniela! ona chce sama ten list napisać w największym tryumfie: już cały ułożyła. Jak ona też

sobie tego życzy! i powiada mi teraz, że ten związek od dawna był jój marzeniem, i byłaby męża i stryjostwo przygotowała do tego; ale tak dobrze ją przekonałam, że nie chcę, nie potrzebuję iść zamaż, iż jój to wyszło zupełnie z myśli: innych widoków dozwoliła i sama szukała dla brata.

Prawda, byłoby to szczęście, o jakim nawet w szesnastu latach marzyć nie śmiałam; być jój siostrą, tak blisko niej mieszkać, w takiej okolicy, być sobie panią, mieć takie otwarte pole do czynienia dobrze! W Zanidzy nie jest przeszło pięćdziesiąt osady, jest i kościół, choć jeszcze więcej spustoszały od pałacu; dobrawszy sobie, aby trochę podobnego proboszcza do naszego, możnaby wiele zrobić; a właśnie probostwo wakuje.... Trochę byłoby lepiej jak za pana Tomasza, albo za Referendarza. A matka, kochana matka, jakże byłaby szczęśliwa! jak dumna ze spełnienia wszelkich wróżb swoich o jój drogin aniołku!.... O nim, o sobie, wcale nie mówię; nie pozwalam sobie tych snów ile możności. Coraz lepiej go poznaję, coraz więcej się przekonuję, że łatwo by można mieć zbawienny wpływ na jego prawdziwe szczęście. Jemu brakowało czułości, troskliwości, starań niewieścich; matkę zawczasem stracił, siostry nie miał, same płocze albo dużo niższe od siebie kobiety znał i kochał; a on jest z tych ludzi, którzy potrzebują podniesienia umysłu, rozgrzania serca, zachęcenia, spółki do pracy, i może zręcznego prowadzenia; ale bardzo zręcznego i nieznacznego, bo chce mieć we wszystkiem swoje zdanie i wolę, i bardzo jest żywy i do gniewu skłonny. Jeżeli mnie Opatrzność przeznacza być tą jego pomocą, o której on tak często wspomina, jeżeli ja mam uczynić go lepszym, szczęśliwszym, nie było i nie będzie na całym świecie szczęśliwszej kobiety nademnie. Przy największej urodzie, doskonalszego szczęścia, świetniejszego losu pragnęłabym nie mogła.... Ale jakże ja mam czoło

pisać takie rzeczy?... jak się samój siebie nie wstydzę? Już zamknę ten pamiętnik na cztery klucze i nie dobędę go, póki coś stanowczego nie zajdzie.

---

## VI.

*Trzy dni później.* „Nie zaszło nic, lubo nieraz zdawać się mogło, że już, już stanowcze słowo na wylocie, już z serca do ust bieży: nie zaszło, a ja przecież otworzyłam ten pamiętnik i piszę. Tekla wyjechała przed godziną do Krakowa, do klasztoru Panien Wizytek, gdzie jój wszystko ułatwia kochana pani Chorążyna, i gdzie za cztery dni na Wniebowzięcie Matki Boskiej rozpocznie nowicyat. Płakała rzewnie odjeżdżając; żegnała się z siostrą, z dobroczyńcami, zemną, ale mimo to pełna była świętėj radości, że już do kresu dobija, spróbowałszy krótko ale boleśnie kolei światowėj podróży. Kiedy mnie po raz ostatni ścisłała serdecznie i dziękowała, że to moje rady i list księdza proboszcza ustaliły jój powołanie, ja miałam ochotę klęknąć przed nią, pocałować ją w rękę i prosić o błogosławieństwo; tyle mi ona lepszą się zdawała, a może i szczęśliwszą, przynajmniej pewniejszą szczęścia i zbawienia.... Przecież na zamianę mego losu z jój losem, dziśbym wcale nie przystała; i ciekawam czy tak zawsze, czy tak długo będzie?... Dlatego otworzyłam ten pamiętnik, żeby w nim zapisać to zapytanie, a za rok, w ten sam dzień, jedenaścigo Sierpnia, odpowiedzieć mu.

Choć on wczoraj był nadzwyczaj czuły i dziś jeszcze wcześniej niż zwykle przyjechać obiecał, bo się boi, żeby mnie nie wzięła ochota ruszyć także do klasztoru, przecież od wyjazdu Tekli stoją mi ciągle na myśli te słowa Zbawiciela: „Marto! Marto! troskasz się o wiele, a jednej



tylko rzeczy potrzeba...“ Ależ nie wszystkim дано jest być Martą; „ja mniej godna, nie na oblubienicę Jezusową stworzona, ale na gospodynię Jego“ jak pisze nasz Skarga: moje powołanie iść do Boga przez świat. Daj tylko Panie, abym matce, rodzeństwu i komuś jeszcze służyć mogła całe życie w Chrystusie, jak służyła Marta i tyle innych świętych żon i matek! Już zamykam ten pamiętnik na dobre, i nie otworzę go jak dla mojej matki. Znowu miałam list od niej, coraz więcej za mną tęsknią. Wypadnie wnet myśleć o powrocie, żeby koniecznie być w Warszawie na pierwszy Września. Strach jakiś niesłychany mnie bierze: każda zmiana przykra, a raczej trwożąca, kiedy obecna chwila miła. O! żeby to się dało jaki układ z losem zrobić i zapewnić sobie choć parę miesięcy takich jeszcze!...”

---

## VII.

*14-go Sierpnia przed południem.* „Dopisuję dziś słów kilka, już też niezawodnie ostatnich: dzień stanowczy się zbliża. Aniela dostała wczoraj list od męża i jest w najwyższej radości: pan Ignacy przyjeżdża, już pewno jest w drodze, wygrał sprawę. Spodziewając się, że brat jest oddawna w Zanidzynie, żąda, żeby odebrawszy list jego, i on i żona jego z dziećmi zabrali się i pojechali natychmiast do Warszawy; on tam zjedzie niezawodnie na 20-go Sierpnia najdalej, i zaraz do nas się zgłosi, pewny, że u nas Anielej zostanie. W Warszawie chce zabawić czas jakiś, żeby raz zakończyć prawnie i urzędownie wszelkie układy majątkowe z bratem. Gdyby stan żony tego wymagał i ona sobie życzyła, nie byłby nawet przeciw temu, by słabość za dwa miesiące spodziewaną odbyła w mieście, a potem zabawiła przez całą zimę, jako wyna-

grodzienie za niedoszłą przeszłoroczną. Pisze jeszcze, że mu się już trafił kupiec na owe dobra ukraińskie wygrane, ale nie dosyć korzystne warunki podawał; wreszcie nie chciałby pozbywać się tego majątku, nie naradziwszy się pierwój z bratem. Wszystko zaś taki pomyślny obrót wzięło, iż każdy z nich popracowawszy przez lat kilka, może bezpiecznie rachować na pół miliona czystego majątku. Te pół miliona, nad którymi Aniela skakała jak dziecko, tak, że aż ją napominać musiałam, mnie ubodło w samo serce, jakby sztylet.... gdzież tu mnie myśleć o tak świetnym losie.... Przecież on przez cały dzień wczorajszy nic się nie zmienił, owszem, jeszcze więcej niż zwykle mówił, że samby sobie nie dał rady, że pomocy jak najrychlej szukać musi; tyle zaś razy powtarzał: „dobra i rozsądna żona, najlepszą jest w życiu pomocą...”

Jakkolwiekby już się skończyło nasze błogie i lube życie w Ugorzu; a choć wiedziałam, że to lada dzień nastąpić musi, choć się cieszę serdecznie na kochaną matkę, na Zosię, na dom, żal mi przecież bardzo, że się nie spełniły przynajmniej owe sześć tygodni: już takich drugich pewno mieć w życiu nie będę. Gdzieżto równać stosunki, zabawy wiejskie z miejskimi? jak nam tam ciasno, ciemno, duszno będzie w tych pokoikach! będzie jednak jakoś dobrze, jeżeli się nic nie zmieni... Aniela ptakiem do Warszawy poleciećby rada, oczywiście i dla męża, którego pół roku nie widziała, ale równie tyle dla mnie; ona jest pewna jak słońce na niebie, że się to zrobi; tylko trzeba, żeby ona pierwsza i sama wszystko mężowi powiedziała, i żeby się z nim naradziła: jak sobie potem postąpić z państwem Chorążtmem, jak z Henrykiem, żeby nie zmiarkował jej gorących życzeń.

W Piątek, nazajutrz po Wniebowzięciu, czyli pojutrze, wyjeżdżamy ztąd ogromnym koczem, bo z dziećmi i z Anną; on jedzie z nami swoim ślicznym koczykiem, i jak mówi

kuryerem i marszałkiem naszym będzie, gotując nam wszędzie wygodne popasy i noclegi; nie będziemy mogli bardzo pośpieszać, Aniela już poważna a niekoniecznie zdrowa, jednak w Poniedziałek na noc z pewnością będziemy w Warszawie. Napiszę o tém do kochanej matki, dziś zaraz; na jej radość się cieszę, nie tak jednak jakbym powinna, jak byłoby każdej innej chwili... Samowładne to jest, tyrańskie uczucie; wszystkim innym chce panować, i za to jedno go nie lubię... Możeby téż inaczej się działo, gdyby pewność była. Moja matka zawsze mówi: „dziecię chore kocha się nad wszystkie, zdrowe są przy niém niczém, a jak wyjdzie z niebezpieczeństwa, równowaga sama z siebie wraca.“

W tym nagłym powrocie, jedna rzecz mnie cieszy i uśmiecha mi się mile. Skoro przyjadę, pierwszego wieczora jak tylko wszyscy się rozejdą, zatrzymam matkę w salonie i wszystko jej powiem... Jaka to ulga, jaka radość będzie! Aniela ma stać u nas do przyjazdu męża, i dopóki mieszkania przyzwoitego sobie nie upatrzą; dawny pokój Ludwiki wolny: pomieścimy się jakotako. Kochana matka jak jej wszystko opowiem, najlepiej pozna, czy można temu biednemu sercu trochę więcej pozwolić, czy można wierzyć zupełnie? przy niej daleko bezpieczniejszą, daleko spokojniejszą będę: tu nie miałam żadnej opieki i rady, Aniela mnie gubiła, balamuciła, powtarzam jej to sto razy. Już téż dziś niezawodnie koniec tego dziwnego pamiętnika: pieczętuję go na wszystkie strony, i dopiero w Warszawie otworzę w moim pokoiku... Jakże mi się ciemny i smutny mój pokoik przedstawia; nadto mam w pamięci ów jasny i wesoły gabinet narożny w Zanidzynie... Ale nie myślmy o tém; lepiej pójdę pomagać Anieli do pakowania: biega po całym domu jak szesnastoletnia dziewczyna, wszędzie ją słyhać, wszędzie jej pełno, jeszcze rozchorować się gotowa.“

## ROZDZIAŁ XII.

### List Henryka do przyjaciela.

*Z Zanidzyna, dnia 14 Sierpnia 1820 roku, w wieczór.*  
„Nie pisałem do ciebie, kochany Stefanie, czas długi, i zapewne z tego samego miarkujesz jakąś nową w mojem życiu, a raczěj w sercu odmianę. Mówisz tam sobie: „Otóż znowu wietrzny motyl upatrzył kwiateczek, może dziki, polny, i kocha się po swojemu, szalenie, zapamiętałe.“ Otóż zgadujesz i nie zgadujesz. Nie, ja się niekocham; nadtom spokojny, bezpieczny, przytomny; ja się niekocham, bo widzę, że ona wcale nie piękna, nie młoda: ale od czasu jak ją poznałem, zdaje mi się, że się spotkał z domowem szczęściem, z cnotą, z przeznaczeniem mojem; widzę że lepszy, i że jak się z nią ożenię, zacznę żyć prawdziwie, żyć tak jak człowiek myślący żyć powinien, zwłaszcza taki co już wypłacił swój dług młodości i światu. Ty znałeś we mnie zawsze stronnika małżeństwa i oba w tym poważnym stanie widzieliśmy koniec naszych wiecznych bujań a nawet jedyne lekarstwo na niestałość uczuć. Naznaczaliśmy jednak, jeżeli pamiętasz, termin na owe więzy dopiero w trzydziestym roku; ale, mój kochany, wkrótce po moim powrocie do

siebie uznałem potrzebę konieczną przyspieszenia o lat parę owego terminu. Majątek jest, i teraz znacznie się powiększył wygraną sprawą na Ukrainie; ależ co za nieład, jaki chaos, jak mnie ten dzierżawca oszukiwał, co długów i dłużków, co roboty, aż włosy na głowie powstają! a jak się chcesz wziąć do czego, do jakiegoś ulepszenia, do jakiejś odmiany, ani sposobu: wszystko się urywa, i ręce opadają. Mój drogi! może nie ma nic gorszego jak młodemu Polakowi bez żadnego pierwej w kraju doświadczenia, prosto z pensyi i z salonów warszawskich, uczyć się gospodarstwa w instytutach agronomicznych w Niemczech; tam wszystko idzie jak w zegarku, jak z płatka; wszystko masz pod ręką, ludzi i maszyny; wracasz, a tu nie ma nic, żadnej pomocy z nikogo, nikt cię nie rozumie, jeszcze cię wyśmiejają: wszystkoby trzeba samemu wymyślić i zrobić od najmniejszej do największej rzeczy; szkoła Robinsona i Piętaszka byłaby daleko lepsza jak Thaera, i podobno taką, trochę późno, przejśćby mi wypadło, gdybym chciał sobie sam dać radę. I z pomocą brata nigdybym z tych wszystkich trudności nie wybrnął, ile, że i on także ma o czém myśleć; trzeba mi więc kogoś, coby był jak drugi ja: słowem, trzeba mi żony.

Z Zanidzyna nigdy nic nie będzie, jeśli się w nim nie zasiedzę, nie zagospodaruję, i nie wezmę się szczerze do pracy. Ignacy dobrze pisał, należało wracać dawno; ale się wierzyć i nudzić nie chciało! Powiadam ci, takie tu zniszczenie, taka *Arabia deserta*, że ledwie mam gdzie przenocować; filiżanką kawy chcieć kogo poczęstować, to już na dwa dni lataniny, a jam polubił porządek za granicą, nauczyłem się wygodek, i lubiłbym żeby u mnie ładnie i dobrze było, żeby przecie przyjąć można uczciwie. Kiedy więc trzeba wszystko z gruntu przerabiać, poprawiać, odmieniać, czyż nie lepiej za jednym razem się i ożenić? Wprawdzie marzyłem ja o żonce ładnej, młodej, bogatej; bo któryż

z nas życzył sobie kiedy innój, i wątpił, że taką znajdzie? tymczasem, ona jest w moim wieku, uchodzi za brzydką, i po najdłuższém życiu matki będzie miała trzecią część stu-tysięcznej wioski; przyznasz tedy, że żadnemu z tych trzech warunków nie odpowiada. Cóż chcesz, koniecznie mi się zdaje, jakby ona była dla mnie stworzona, jedna żona na całym świecie; i tém bardziej temu wierzę, żeć nie jestem, jak to tyle razy bywało, pod urokiem namiętności, kiedy ją widzę taką jak jest, kiedym sobie taki zupełnie spokojny, cały swój, i kontent z siebie. Przyjechawszy tu w Czerwcu, nudziłem się okropnie; nie śmiałem się ani tknąć owego lasu interesów bez brata; mozem się i bał skompromitować przed mojami ludźmi, bo choć się to i tu i owdzie było i liznęło teoryi gospodarowania, w praktyce jestem sobie głupiuteńki; ksiąg i papierów nie chciałem dobywać z pak, nie mając gdzie ich ułożyć, i będąc tak bez żadnego zatrudnienia, bez żadnego *u siebie*, bom nawet jadał u ekonoma, jeździłem niemal codzień do stryjostwa, myśląc że już zastanę brata.

Jakież jednostajne i niezuosne wydawało mi się Ugo-rze! Przyjeżdżam przed południem, wódeczka i chleb z masłem, i rozprawa między panem Chorążym i księdzem proboszczem, która lepsza: anyżowa czy kminkowa? albo żwawa obrona pani Chorążyny gruszek maczanych przeciw prasowanym. Potem obiad, a przy obiedzie rozmowa o dészczu i pogodzie; po obiedzie, pół-godzinne widowisko: przypatrywanie się przez teleskop gniazdu bocianiemu, wybijanie much klapką; do wieczora, czytanie starych gazet, przechadzka noga za nogą po ogrodzie, i maryasz po szelągu do puli, w którym to najlepsze, że kto wychodził, siadał na kanapie i drzemał. Uważ, jakie to były zabawy dla kogoś, co sobie przez półczwarta roku bujał po Paryżach, Wiedniach, Berlinach; boć tak porachowawszy się sumiennie, jeżeli pół roku odciągnę w tych czterech latach na naukę,

nie zmień się z prawdą. Jedyłą moją rozrywką była fajka, z którą uciekałem do ogrodu i bratowa z dziećmi. Ale pani Aniela często bywała smutna i słaba, dzieci rozpieszczone, krzykliwe a zatem najzabawniejsze kiedy je z pokoju wynieśli. Ja jednak, co do wszystkiego łatwo się przyzwyczaję, któremu w domu jeszcze gorzej było, jeździłem tam prawie machinalnie przez całe dwa tygodnie; nareszcie jakoś się ułożyło, i wybiegłem na parę dni do Krakowa. Słyszałem ją, że jest spodziewaną w Ugorzu przyjaciółka od serca pani Anieli, ale obito mi się także o uszy że już nie w pierwszej jest młodości i wcale nie ładna; nie byłem jej tedy bynajmniej ciekawy i w duszy zlorzeczyłem bratowej, czemu też sobie pięknej przyjaciółki nie dobrała?

Aż tu wracam z Krakowa, zastaję pannę Krystynę Rawiczównę i z początku patrzę na nią zupełnie obojętnie; wiesz, czem jest dla nas panna nie ładna, nie młoda, nie majątna i nie zaczepiająca; ale w kilka dni, miarkuję, że to wcale niepospolita osoba, godna bliższej uwagi i względów: taka dalipan, jakiej jeszcze nie widziałem. Od tego czasu jakby czarami jakimi, wszystko w Ugorzu się zmienia: bociany, gazety, karty, wszystko mnie bawi; dnia nam nie wystarcza na spacer, czytania, roboty: zawsze są na jutro plany, życzenia. Pan Chorąży nie taki ceremoniant i nie tak się powtarza z anegdotkami, pani Chorążyna nie tak zrzędzi, bratowa zdrowsza, wesola, dzieci grzeczniejsze, pełne dowcipu, sam ksiądz proboszcz rozmowniejszy. Ma w sobie całej jakiś pokój, jakiś statek, jakąś chęć być wszystkim użyteczną i miłą, a przytem zapas niewyczerpany prawdziwej choć poważnej wesołości, które sprawiają, że wszystko przy niej, nie tylko wydaje się lepiej, ale się i dzieje lepiej. Uważ co to za skarb w domowym, w codziennym pożyciu! Kiedy się już raz do ciebie ośmieli, bez żadnej chęci popisu, bez żadnej złości, prawdziwie ci wszystko opowie, każdego opisze; a bez najmniejszej prze-

sady, owszem nie znam prawdziwszych ust: każdemu coś przyjemnego powie, każdemu dogodzi, choć nie pochlebia nikomu. Ze mną pierwszych dni była grzecznie, ale bardzo zimno; zdawało się jakby nie miała wielkiej opinii o mnie i jakby nie myślała bynajmniej o takiem podobaniu mi się, jak to panny zwykle myślą. Zakorciło mię to, i bardzo; jak wiesz, dotąd nie mogłem się skarżyć na brak szczęścia do ładnych nawet kobiet; zacząłem się tedy tak dobrze starać, że w tydzień była dla mnie jak dla innych, a wnet zaczęło się pokazywać i coś więcej.

Prawda, najpiękniejsza kobiéta nigdy jeszcze nie wzbudziła we mnie równie prędko takiej ochoty, takiego postanowienia wziąć ją za żonę, i takiego przekonania że będę z nią szczęśliwy; nawet owa nieszczęsna panna Leontyna, o którą w miesiąc po jój ujrzeniu oświadczyłem się. Ale bo w dziesięć dni po jój poznaniu, znałem ją tak jak znam dziś, jak ją zna Aniela, która ją ubóstwia. Trafiło się że dostała mocnego bólu głowy, długo się siliła nie chcąc tego pokazać po sobie; nigdy nikogo sobą nie zajmuje, lecz nareszcie sama Chorążyna zlitowała się i przymusiła ją żeby się poszła położyć wkrótce po obiedzie. Nieznośne było to poobiedzie, a upał taki że wyrzeć z domu ani sposobu. Starsze państwo się zdrzémnęło; księdza proboszcza zawołano do chorego; bratowa widząc moje nudy, spytała mi się czybym nie chciał zrobić portretu jój Maryni, który już dawno obiecywałem. Przystąpiłem chętnie, i poszedłem za nią do jój pokojów szukać papieru, ołówków. Na jój biurku postrzegłem teczkę na klucz zamkniętą, a na niej napis: „Moje dobro.“ Bardzo mnie zaintrygował. Po wielu żartach przyznała mi się bratowa że to jest ośmioletnia jój korespondencya z Krystyną; a kiedym się bardzo napierać zaczął, dała mi wszystkie jój listy tegoroczne, zaklinając na Boga, na honor, żebym jój o tem nie wspominał, i nie zdradził nigdy sekretów familijnych, jakie tam być mogły.



Przycém opowiedziała mi wiele rzeczy prawdziwie rozrzuwających o ich wzajemnej przyjaźni, o rodzicach Krystyny, o jój wychowaniu; aniśmy spostrzegli, kiedy nam parę godzin minęło, a o portrecie zapomnieliśmy zupełnie. Po kawie, niegodniem grał w maryasza ze stryjostwem, bom tylko o listach myślał, a zaraz po wieczery dosiadłem konia i ruszyłem wcał do siebie.

Czytałem późno w noc pókim nie skończył, a niektóre listy odczytywałem. Zajął mnie mocno, a nawet zdziwiły; jakkolwiek zaczynałem się poznawać na niej i ceniłem ją wysoko, przecież nie domyślałem się jeszcze w niej wielu rzeczy. Jakaż to piękna, jak rzetelnie pobożna, jaka wzniosła dusza! jaki szlachetny sposób myślenia! co za serce kochające i gotowe do poświęcenia się! tyle światła i prostoty razem! takie wyższe pojęcie przeznaczenia kobiety, takie rzetelne uważanie małżeństwa! taki skarb szczęścia i dla siebie i dla drugich! Cóż z tego że nie piękna, kiedy tyle ma w sobie nigdy nie zwiędłych piękności, kiedy wreszcie jój powierzchowność niema nic odrażającego, kiedy mnie się podoba? świeża, zdrowa: są dalipan chwile, w których mi się wydaje wcale nie szpetna. Co szkodzi i to, że jak na pannę już nie młoda; nie warto na żonę wziąć dziecko: sto razy lepiej mieć przecie dojrzałą kobietę, której nie trzeba prowadzić, układać, ale która ła sobie radę i na świecie, i w domu, i z dziećmi jak je Bóg da. A co do posagu, ty wiesz, jam nie chciwy, i nie radbym być nadto wdzięcznym żonie. Mam dosyć majątku na nas oboje, a ona mi przyniesie właśnie to, czego nie mam: rząd, oszczędność, starania, obrót przywoity. Nie uwierzysz jaka to główka do wszystkiego. Możesz z nią pomówić o polityce, i o filozofii, i o literaturze, i o ekonomii politycznej; wszystko zrozumieć, nawet nowe myśli ci poda; a do gospodarskich, do domowych najdrobniejszych rzeczy, do robótek kobiecych, jest

tak jak gdyby to jedynie umiała. I nawet ma jakby dar w tój mierze.

Uprosiłem ją raz, żeby przyjechała z bratową do Zanidzyna; w godzinie czasu więcej rzeczy dostrzegła, więcej dobrych rad mi dała i do domu i do ogrodu, niż ja, com tu miesiąc siedział. Już przewiduję, że ożeniwszy się z nią będę najszcześniejszym człowiekiem w świecie, o nic mnie głowa nie zaboli, będę opływał jak pączek w maśle, i Zanidzyn będzie słynał, jak dziś z nieładu, tak później z rządu i piękności. Z taką żoną będę siedział i w kraju i na wsi jaknajchętniej; żebyś ty ją słyszał, żebyś ty czytał jój listy, gotówbyś uwierzyć, iż każda nasza wioska może być rajem, a każdy dziedzic znakomitym i użytecznym człowiekiem. Obaczysz, ja wyjdę na takiego; a skoro trzydzieści lat skończę, muszę być posłem na sejm, otrzymać tę najpiękniejszą obywatelską godność, a tymczasem poznawać ile możności kraj mój i jego potrzeby. Ona mi i w tém nie małą będzie pomocą. Jednój muzyki, co żal mi wielki, że nie posiada; tyłem razy mówił: „moja żona musi grać pięknie i śpiewać,“ ale w sobie wszystkich doskonałości posiadać trudno: ona gra cokolwiek, lubi muzykę, ale nie ma ani talentu, ani głosu. Wreszcie, mój Stefanie, daleko wolę sam się ożenić, jak gdyby mnie ożenili, a na to się zanoszą; wiesz, ja choć niby uparty i w małych rzeczach lubię mieć swoją wolę, przecież w większych daję powodować sobą; a tu wszyscy żony mi stręczą, zaczawszy od stryjostwa aż do ekonoma. Już w Krakowie z jedną mię poznali: jedy-naczka, posażna i wcale piękna; ale jakież pańskie tony! jaka przesada! co za słabe zdrowie! Paryża dla niej nie wioski szlacheckiej, doktora nie męża! Objechałem także z bratową i z nią całe bliższe sąsiedztwo; wszystkie panny którem widział ładniejsze od niej, a żadna mi tak do serca nie przypadła.

Stryjostwo, osobliwie stryj, życzą sobie oczywiście sy-

nowicy majątnój; lecz ona takie ma u nich łaski, iż podobno jój jednéjby wybaczyli, choćby wielkiego posagu nie wniósła. A co bratowa! bałbym się doprawdy, żeby nie zachorowała z radości. Choć mi nie mówiła wyraźnie i słowa, dobrze widzę jak pragnie tego związku. Ja nawet pewny jestem, że moje ożenienie się miałoby wpływ wielki na domowe szczęście brata. Pani Aniela jest sobie trochę dziwna, czyli po prostu mówiąc romansowa; dobra, kochająca, żywa, dowcipna, bardzo nawet ocytana, jest jednak zupełnie jakby z innego świata; nie ma zdrowego zdania o rzeczach, inaczéj je widzi jak są; a choć bardzo kocha i męża i dzieci, zawsze jój źle na świecie, wszystko ją razi koło niéj; żałuje że za mąż poszła, żałuje że żyje, i zupełnie się gniewa na Boga i na ludzi za to, że się nie urodziła mężczyzną? coby to jednak był za mężczyzna z osoby co kobietą być nie umi! Krystyna jedna ma dar godzić ją z jój losem, to rozsądnemi uwagami, to żarcikami, a najwięcéj własnym przykładem; powtarzam ci, ona ma coś w całej sobie spokojnego, swobodnego, cnotliwego; i nie tylko ten skarb ma dla siebie, ale go rozda je tym co kocha, co są blisko niéj. Mój Stefanie, czemuż ja tedy raz w życiu nie mam zrobić coś rozsądnego i nauczyć was wszystkich, czego szukać macie w żonie? Raz jeszcze, co tam po téj piękności i młodości? jużesmy tego dosyć, może aż nadto użyli. Meja bratowa jak poszła zamąż, była śliczna i młodziuchna. Dalipan, gdyby nie sumienie, byłbym w pierwszych latach brał się do niéj nie żartem, i ona jest jedną z przyczyn spóźnienia mego powrotu do Zanidzyna; dziś, mój kochany, widzę w niéj i szanuję żonę brata, żonę cudzą, bez najmniejszój trudności i zasługi; biédaczka prawie co rok rodzi: schudła, szerniała, zaniedbała się, i otóż macie piękność.

Moja Krystyna za dziesięć lat będzie taka sama jak dziś. Mówię *moja*, jak gdybym już pewnym jój był; ona

przecież odmówiła bogatszemu odemnie, i wcale nie pragnie iść zamąż. Ale bo tam serce nie przemawiało, dotąd nigdy nie kochała; teraz dopiero piérwszy raz tkliwość jój się odzywa; chociaż to u niój każde podobne uczucie zgadywać trzeba, tak się osłania skromnością, przyzwoitością, tak wreszcie się boi pozwolić sobie mocniejszej skłonności; widać jednak, że jest z liczby tych kobiet, co kochać umieją prawdziwie, i pewny jestem, skoro raz ją zmuszę do wyznania i przekcnam o mojej wzajemności, nie będzie człowieka lepiej kochanego nademnie. Nie uwierzysz, ile mi się podoba, ile mnie zajmuje, że nie powiem bawi, ta jój zupełna zawistość odemnie, a razem największa wstrzymaność i niedowierzanie sobie; miłości tak tkliwej, czystej i nieśmiałej razem, pewnoś nie widział. Czasem wymawiam sobie, czemu nie zakończę jój niepewności prostem wyznaniem moich widoków; bom jeszcze się nie oświadczył i niczém nie związał; lubo druga mniej delikatna, na jój miejscu, byłaby mnie mało tysiąc razy za słowo schwyciła; ty mnie znasz, ja się ukrywać nie umiem; mogę pewnych wyrazów nie wymówić, jak sobie zakażę, i jak mnie nikt za język nie ciągnie, ale wydam się całym sobą. Sparzony jednak owym nagłym romanssem z panną Leontyną i tylą innemi wypadkami, postanowiłem sobie, jak wiiesz, nie oświadczać się aż po jakimś czasie nieco dłuższym, i nigdy nie prosić o rękę córki, póki nie poznam matki, siostr i bliższych stosunków. Już tu jakbym znał wszystkich i wiedział wszystko z owych listów; wołę przecież na własne oczy zobaczyć i nie wejść piérwszy raz w dom obcy jako konkurent: to głupia i nieznośna rola.

Właśnie tak się ułożyło, że jedziemy razem z nią i z bratową za dwa dni do Warszawy, gdzie mieszka jój matka; mój brat tam zjeżdża dla urządzenia i zakończenia naszych interesów. Jemu najpiérwój się zwierzę, i on mnie pewno pochwali i pomoże mi. Strach mi trochę tych

wszystkich oświadczyn, korowodów, pokłonów, sentymentów, przez które przejść potrzeba, żeby się ożenić; słyszę już także gadania i żarciki świata i dawnych znajomych: „Ot, to ów wybredny Henryk, dobrałże sobie żonkę: brzydka, stara i nie posażna.“ Nie zrażą mnie, przygotowanym na wszystko. Jednak dałbym wiele, żeby jakim cudem rok minął odrazu, języki ludzkie ucichły, a jam się przebudził nagle, już mężem Krystyny, zagospodarowany w moim Zanidzynie... Ale kiedy rzeczy muszą iść naturalnym trybem, najdalej za miesiąc spodziewaj się odemnie zaprosin na wesela. A czasby też był, żeby i pan łaskawy porzucił bałamuctwa, miłości i pomyślał o żonie. Będziemy ci tu hodować siostrzyczkę, która ma być śliczna. Młodszyś odemnie o lat parę, to właśnie będzie dobrze, bo i ona znacznie od mojej młodsza. *l'ale et me ama.*“

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### Wyznanie.

W miesiąc od daty powyższego listu, właśnie o samym zachodzie słońca, koczyk czterokonny z zaprzęgą krakowską toczył się śpiesznie przez rynek Starego Miasta Warszawy i dążył ku Nowemu. Na Freta ulicy w kamienicy środkowej, na połaci po prawej ręce, wyglądały oknem otwartym, na pierwszym piętrze, dwie kobiety głowy upatrujące czegoś w tej samej stronie, z wielką widać niecierpliwością; czasami pokazywała się i młodzieńcza twarz mężka, ale wnet się chowała, choć i na niej widoczne było wzruszenie. Nareszcie, młodsza z głów niewieścich, wydała radośny okrzyk: „Jedzie! jedzie!“ znikła z okna i kiedy zakurzony powóz stanął przed bramą, dziewczyna śliczna jak anioł, we włosach, w bieli, już była na ulicy, wyciągała ręce i wołała: „a przecie! a przecie! jak się masz Krystyno! już też teraz nikomu cię nie damy!“ a nie dopuszczając służących, co także zbiegli powitać ukochaną pannę, otwierała sama, drzwiczki, ścisnęła, całowała siostrę w twarz i w ręce i ciągnęła ją na górę. Nad schodami stała matka, i przyjęła córkę w swoje objęcia z największą radością. Krystyna roz-

czulona i szczęśliwa, jeszcze przecie kogoś szukała; zbliżył się i ten *ktos*, który stał we drzwiach od siebie, wziął jej rękę, pocałował, i uczuła drżenie jego ręki. Weszli wszyscy do pokoju, on wszedł ostatni; w pokoju już prawie było ciemno.

— Jakże Aniela? jak twoja Krynieczka? biedna! coś ty się nacierpiała! A jak my tu tęsknili! bo i listów nie mieliśmy prócz ostatniego, i po parę słów tylko pisaliśmy sami, myśląc codziennie, że przyjedziesz! Jakie szczęście żeś już z nami! Zdejm kapelusz, rozgość się! siadaj na kanapie!

Takie zapytania i słowa bez ładu sypały się przez kilka minut.

— Aniela wcale zdrowa, Bogu dzięki, i moja Krynieczka przedziwnie. Jak i mnie tam tęskno było i przykro bez długich listów! Puścić mnie nie chcieli. A mama, Zosia, wszyscy jakże? O! jak dobrze żem już tu!

Takie były odpowiedzi i zapytania nowo przybyłej, a widać było, że mimowolnie oczekuje słowa z owych ust co nie mówiły: „Bardzo pomieszany!—przeleciało jej przez myśl—nie dziwnego.“

Wtém wszedł pan Stanisław i trochę z gniewem powiedział:

--- Bodajże tego furmana Pan Bóg kochał! jam był pewny, że Długą ulicą przyjedzie i czekałem godzinę przed pałacem Chreptowicza.

— A dobrze tak panu — przerwała ze śmiechem Zosia—nie trzeba być upartym. Wszak ja mówiłam: od Nowomiejskiej bramy przyjedzie; ja też najpierwsza wypatrzyłam naszą kochaną Krystynę!

I zaczęła skakać po pokoju i kręcić się żywo i radośnie. Wbiegła także i Celina z serdecznym uściskiem i panna Izabella z czułościami; i powstały nowe wypytywania się, nowe żale, nowe okrzyki wesole, przy ciągłym tych samych ust milezeniu.

Już się zupełnie ściemniło.

— Czemu świec nie dają—zapytała pani Rawiczowa.

Zosia wybiegła do jadalnego pokoju. Wtedy Henryk, bo jak łatwo zgadnąć, jego to twarz wyglądała, jego ręka drżała, jego usta milczały, wstał, przysunął się do Krystyny i do jej matki, które obok siebie na kanapie siedziały i powiedział cichym głosem:

— Zostawiam panie, przeszkadzać im nie chcę; z drogi trzeba wypoczynku.

— Nic nie szkodzi! jam wcale nie zmęczona, i owszem—wymówiła zdziwiona nieco Krystyna; ale on już był za drzwiami w sieni i niewiadomo czy tych słów dosłyszał.

— Jakiż to nieoszacowany chłopiec—zawołała pani Rawiczowa, ledwie Henryk wyszedł—już dawno nie zdarzyło mi się widzieć podobnego.

— Bardzo do rzeczy młodzieniec, jak rzadko w tych czasach—odpowiedział pan Stanisław.

Krystyna nie rzekła i słowa, tylko pomyślała: „co to będą dopiero za łaski, kiedy się dowiedzą...” a rumieniec radości wystąpił jej na twarz.

Wnieśli świece. Matka wzięła jedną do ręki, i świecąc w oczy córce, powiedziała wesoło:

— Muszę się przypatrzeć memu aniołkowi! jeszcze cię dobrze nie widziała. Wybornie wyglądasz—dodała, całując ją w czoło—doprawdy, żeś mi wyładniała; a jak starannie ubrana, choć z drogi, aż miło.

— I mama kochana przedziwnie wygląda—mówiła Krystyna, wpatrując się wzajemnie w zawsze piękne, a teraz jeszcze rozjaśnione szczęściem rysy matki, a pan Stanisław? a Zosia? niechże cię lepiej zobaczę, kochanie moje i uściskam, dodała, obracając się ku siostrze: doprawdy że jeszcze urosła.

Zosia błysnęła swoją śliczną twarzą, nachyliła giętką



kibić, koralowe usta społa czule z ustami siostry, ale wnet się wymknęła, i znać było na niej jakieś wielkie i tajemne zajęcie. Krystynie przebiegło przez myśl: „On mi pewno zdziwienie miłe chce sprawić, jak to w Ugorzu bywało“, a w ten moment, jakby na potwierdzenie swego wniosku, schwyciła uśmiech między matką i panem Stanisławem.

— Zosia z Celiną—szepnęła pani Rawiczowa, widząc że wszystkie trzy panny wyszły z pokoju, przyrządzają ci przysmaczki na wieczernę. Ale my tu trochę ważniejsze rzeczy mamy dla ciebie, i już strasznie niecierpliwie cię wyglądałam...

Tu wróciła Zosia.

— Krystyno, co ci się stało, ani zajrzesz do rozpakowania swoich rzeczy? już wszystko poznosili; pójdź tylko, pokaż nam gdzie ci co poukładać w twoim pokoju: już my to ślicznie z Celiną i z Izabellą zrobimy, ale przyjdź zaraz.

I nie czekając wzięła ją pod ramię, i prawie podniosła z kanapy.

Poszły obie, za niemi matka i pan Stanisław, a Krystyna zadziwiła się i ucieszyła, kiedy siostra nie zaprowadziła jęj do owego małego i ciemnego pokoiku, ale do dawnego pokoju Ludwiki, który daleko większy i jaśniejszy, teraz był suto oświecony, zastawiony ulubionemi meblami Krystyny, i tém co dom cały posiadał najpiękniejszego; kwiatów było pełno i w doniczkach i rwanych, ale nie było Henryka, choć Krystyna ciągle się oglądała, czy zkąd nie wyjdzie?

— To już twój pokój, aniołku mój—powiedziała matka całując ją—tu weselęj ci będzie, tu słońce czasem dochodzi.

— I patrz tylko, co masz prześlicznych rzeczy—prze-rwała Zosia oprowadzając ją i pokazując każdą z osobna—franki z siatki mamy roboty, pokrowiec na krzesło, nie wymawiając, przezemnie na kanwie wyszyty, kałamarz bron-

zowy od pana Stanisława, stoleczek pod nogi od Celiny, klatka z parą młodych kanarków od panny Izabelli, kwiaty od pana Henryka; sam je ustawiał ze mną w tym koszu, pocziwego Waclawa roboty.

Rozszerzyło się nieco na te słowa ściśnięte, mimo tylu powodów do rozczulenia, serce Krystyny, i zaczęła całować z duszy matkę, siostrę, dziękować wszystkim jak najuprzejmiej. Przesunęło jej się tylko przez myśl: nie wiedzą, że to może nie na długo. A z podwójną radością zaczęła oglądać z osobna każdą rzecz, nad każdą się dziwić i cieszyć, za każdą rzecz dziękować.

— Wié pan Bóg co robi—szepnęła rozrzewniona matka do pana Stanisława—jak jej zawsze mało do szczęścia potrzeba!

— Albo to mało—podchwyciła całując ją w rękę—to wiele, za wiele—a oko jej objąwszy cały pokój spoczęło z upodobaniem na przepysznych kwiatach, i już myślała który z nich jutro wepnie we włosy, jak to w Ugorzu bywało.

„Mama nie powie — rzekła w sobie z wewnętrznym uśmiechem, że zawsze tylko ciemne wstążki noszę.“

Na tych oględzinach zszedł czas niemały, wszedł Józef i zaprosił do stołu. Dzień był postny ale mimo tego wyborne rzeczy; Zosia z Celiną wysadziły się ze swoim talentem: karp' na zimno, pirożki z powidłami, krążki z ryb, śmietanka bita; jadły też same serdecznie. Krystyna nie chcąc im zrobić przykrości, kosztowała i chwaliła wszystko, nadto była pomieszana, może i nadto szczęśliwa żeby jeść mogła. Prosto od wieczerzy, która się przeciągnęła długo, bo pani Rawiczowa lubiła siedzieć przy stole, pan Stanisław, panna Izabella i Celina pożegnali się i odeszli, Zosia bardzo zmęczona poszła spać, a matka dała znak Krystynie; wzięła sama jedną świecę, postawiła ją na fortepianie w bawialnym pokoju; zamknęła oboje drzwi, a siadając na swojej kanapce, powiedziała misternie i wesoło:

— Ty nic nie wiesz, aniołku mój, na co się tu zano-  
si? siadajno koło mnie.

Krystyna uśmiechnęła się i pomyślała: „Może ja wiem  
lepiej.“

— Ty się ani domyślasz—mówiła dalej—a to weselem  
pachnie; i jaki los! co to za chłopiec rzadki! jak on ciebie  
cenić umie! to prawdziwe szczęście co się zowie. Sędzina  
z Sabiną gotowe uschnąć z zazdrości.

Krystyna chociaż szczęśliwa że Henryk nareszcie prze-  
mówił, pomyślała z żalem: „Szkoda—już wie, nie ja pierw-  
sza jęj powiem.“

— I nic nie mówisz, nic nie zgadujesz. Henryk sza-  
leje za Zosią, tylko patrzeć rychło się o nią oświadczy.  
Dziewczynina sama sobie tego jeszcze nie przyznaje, ale  
także go kocha: powiadam ci jak anioł od tego czasu, słod-  
ka gdyby baranek, wesoła jak nigdy nie była.

W Krystynie stojącej dotąd przed matką, krew wszyst-  
ka się ścięła, usta się zawarły; świat zniknął przed nią na  
chwilę: zdawało jęj się że w przepaść leci; nie żeby już  
uwierzyć zupełnie miała, ale że pierwszy raz zwątpiła.  
Wnet jednak wrodzona duma niewieścia, wrodzona tkliwość,  
bojaźń skłócenia jednem słowem radości macierzyńskiej  
choćby przywidzianęj, wreszcie nadludzka siła, której we-  
zwała tajemnym, krzykiem: „o Boże!“ wszystko to sprawi-  
ło że wróciło jęj czucie, a uchwyciwszy się obiema rękami  
stołu wyrzec potrafiła:

— Doprawdy!

— Tak, nieinaczęj, mój aniołku — mówiła dalej z ży-  
wością matka—i teraz cała sztuka na tém, żeby to popro-  
wadzić zręcznie, nie dać ostygnąć tęg trochę naglęj, ale go-  
rącej i prawdziwęg miłości, przed którą, widać on sam,  
wszelkieni siłami się broni, a obronić się nie może; mo-  
niejsza od niego, i jak cię kecham, Zosia od pierwszego

razu takie na nim zrobiła wrażenie, zupełnie jak ja na waszym ojcu... Ty, aniołku mój, najwięcej w tém pomóż mozesz, on ma dla ciebie najwyższy szacunek; tyś mu dała o nas wszystkich najlepszą opinią: wreszcie ty jedna przez Anielę wyrobisz zezwolenie jego familii, która, jak mi dawniej pisałaś, ma inne dla niego widoki... Ale kiedy on bogaty, może się obejść bez żony posażnej. Wieleżto on będzie miał, a raczej wiele ma, bo to taki chłopiec delikatny, nigdy o swoim majątku nie mówi i słowa?...

— Pół miliona — odpowiedziała Krystyna, rada temu, że odrazu sobie przypomniała tę liczbę.

— Widzisz, pół miliona. Przy całej piękności naszój Zosi, gdzież się tu było spodziewać takiego losu. A do tego młody, przystojny, dobrego domu i wychowania, czytany, dowcipny, zabawny. Tyś go nam niedosyć chwaliła w twoich listach; masz przeciw niemu jakieś uprzedzenie widzę; nie wielki religiant, ale jest grunt pobożności, to przyjdzie z wiekiem, zobaczysz; nie tak zapalony do sławy jak Waclaw; nie dosyć może gruntownie uczony; nie wszyscy też to mężczyźni tacy jak był wasz ojciec, jak będzie spodziewam się brat..

— O! zapewne! — wsunęła półgłosem Krystyna.

— Trudno doskonałości żądać, mój aniołku, i Zosia wcale nie doskonała; a przyznam ci się z tą jój pięknością trudnoby sobie długo dać radę: jabym się nie podjęła pilnować jój do dwudziestego roku. Trzpioty warszawskie już ją wysłedziły. W końcu przykro mi było bywać w Krasieńskich ogrodzie, tak za nią biegali, tak jój zaglądali w oczy. Już raz Henryk ledwie pojedynku nie miał z jakimiś dwoma paniczami, i wyraźnie jój obrońcą się postawił. Teraz Bogu dzięki, wychodzić mniej potrzebujemy; on ma powóz wozi nas na spacer: już się nie nudzi moja dziewczynka. Codzień tu przychodzi, i nie odszedłby i o jedénastój, gdy-

byśmy go grzecznie nie wyprosiły. Nie wiem co mu się dziś stało, że znikł jak kamfora? Co wieczór gramy, śpiewamy. A jak w muzyce Zosią postąpiła, nie do uwierzenia. Może ty i nie wiesz jaki on ma głos piękny?

— O, wien!—powiedziała Krystyna, a miarkując że matka domyśli się nareszcie czegoś, jeśli ona tylko obojętnymi słówkami odpowiadać jej będzie; lubo coraz większą boleścią przejęta, więcej wewnątrz pomieszana i wątpiąca, zdobyła się przecież na pytanie, w którym jeszcze podobno była nadzieja:

— A pan Stanisław cóż na to? czy wierzy?

— Jakto czy wierzy? — przerwała matka z głośnym śmiechem—trudnoby nie wierzyć oczom i uszom. Pan Stanisław, chociaż dzisiejszej młodzieży zawsze przygania, jego niezmiernie polubił, i bardzo jest za tém; wie on dobrze jak teraz trudno iść dobrze zamąż pannie bez posagu. Jużto ja widzę, moje dziecię, biedny Henryk nie miał tego szczęścia podobania ci się, i chciałabyś coś jeszcze lepszego dla Zosi; musiał on być inny w Ugorzu jak tu; zobaczysz sama; precudowny chłopiec, do rany go przyłożyć, i jaki kontent ze wszystkiego, żadnych tonów, kaprysów: najszcześliwszy, kiedy go zaprosimy na nasz skromny obiadek. Imponowałaś mu bardzo, cała rzecz; on téż choć z najwyższym szacunkiem cię wspomina, mówiąc o tobie zawsze był wstrzymały i jakby słów szukał. Pokochasz ty go jednak serdecznie jak zostanie twoim szwagrem... Ależ przecież nie bardzo złego nie wiesz o nim?—dodała ze strachem, widząc jakieś wzdrygnięcie w córce na to ostatnie słowo.

— O! nie, i owszem—odpowiedziała Krystyna z pośpiechem.

— To i widzisz—zawołała matka oddychając na głos,—strasznem się przejęła, aż mi dech zajęło. A jednak byłaś z nim prawie sześć tygodni; gdyby co było ważnego, patrząc na niego obojętnie i twemi uważającemi oczami, by-

łabyś niezawodnie dostrzegła. Boguż dzięki!—dodała składając ręce i wznosząc zroszone oczy w górę—dopomóż Panie, aby to zameżcie doszło do skutku a spokojnie umierać będę! Bo wierzaj mi, mój aniołku—powiedziała głaszcząc pieszczotliwie Krystynę, która już ustać nie mogąc siadła była przed matką na stołku—wierzaj mi, ja nigdy o ciebie, ani o Wacława jednej chwili nie miałam prawdziwie niespokojnej, ale o nią, ileżto już nocy bezsennych!... Kiedym nawet dawniej tak pragnęła twego zameżcia, kiedym się zmartwiła Ludwiką, wszystko to było dla niej; bo powiedz sama, czyby ona mogła nie iść zamaż, i być ubogą, smutną? Jój trzeba miłości, dostatków, szczęścia. Alboż to każdy ma taki zasób w sobie, że mu już niczego więcej nie potrzeba? alboż to każdemu szczęście drugich wystarczy? alboż to każdy jak aniołek mój, co żyje w drugich i dla drugich bez najmniejszego zwrotu na siebie? alboż to wiele matek takimi córkami jak ty szczycić się może?... W twojej niebytności, kochanie moje, myślałam często o tobie; i doprawdy, czasem gwałtem chciałam sobie przypomnieć jakiś żal do ciebie, jakieś uchybienie z twojej strony, i nie mogłam... zawsze, od urodzenia z ciebie sama słodycz, sama pociecha i chluby. Już takie Bóg ci dał serce i przeznaczenie anielskie.. Bo nawet te kilka chwil przykrych za tego nieszczęsnego Referendarza, to z mojej były winy; i teraz przepraszam cię za nie, moje dziecko... oddawna ciążyły mi na sumieniu...

A pani Rawiczowa sama tak była przejęta, oczy jój tak zaszyły łzami, że nie zdziwiła się bynajmniej widząc iż Krystyna w milczeniu zsunęła się ze stołka na ziemię, i u nóg jój także drżała i płakała. Owszem, tém mocniej rozczulona owym nowym dowodem jój miłości, wzniosła cokolwiek śnieżne ręce swoje nad głowę córki ukrytą w jój kolanach, i już nie tyle ustami co sercem wymówiła w głębi duszy macierzyńskie błogosławieństwo. Po chwili takie-

go świętego milczenia, które jednak słyszane było zapewne w niebie, podniosła się nagle i powiedziała z uśmiechem do podnoszącej się z trudnością Krystyny:

— Ja coś na romansową matkę wychodzę; kocham a dręcę; i ciebie, aniołku mój, zmęczoną z drogi i zapewne z bólem głowy, tak długo wytrzymuję. Będziemy miały czas się nagadać; teraz idźmy spać, już ani słowa do jutra. I ja gwałtem potrzebuję spoczynku.

A pocałowawszy córkę, poszła zwolna do swego pokoju, gdzie na nią czekała wierna Agnieszka, i gdzie Zosia już spała smacznie.

Krystyna prawie machinalnie trafiła do swego nowego pokoju i drzwi za sobą zamknęła na klucz. W jednej półgodzinie jakby wiek cały przeżyła. Upadała też pod tym ciężarem. Szła pomału trzymając się ściany, chwytając się sprzętów; chciała dojść do łóżka, rzucić się na nie i spocząć chwilę, a raczjć przyjść trochę do siebie, porachować się jakoś z sobą, czy to sen, czy na jawie, czy już wierzyć czy jeszcze wątpić? Oparła się o kosz z kwiatami; mocny zapach ją uderzył, słabo jój się zrobiło, oczy zamknęła i już daljć iść nie mogła. Wtém, ktoś zapukał mocno do drzwi: Krystyna drgnęła i ocknęła się.

— Pani mnie przysyła—odezwała się Agnieszka—żebym wyniosła kwiaty z pokoju panny: zapach mocny mógłby zaszkodzić.

— Prawda, dobrze; dziękuję—wymówiła słabo Krystyna a w sobie dodała: „może i lepiej wszystko odrazu.“

I powlokła się drzwi otworzyć; otworzywszy klęknęła przed najbliźszém krzesłem, chowając w dłonie schyloną głowę.

Agnieszka otworzyła okna w jadalnym pokoju, wyniosła po jednej wszystkie doniczki i szklanki, i poustawiała za oknami, nie bez gdérania, bo już taki był jój zwyczaj; miała w domu wszelkie prawa starjć sługi: ona wypiasto-

wała Krystynę, Wacława i Zosię, a teraz nieodstępną była samą pani Rawiczową.

— Niema co mówić! tuberozy, heliotropy, kwiat pomarańczowy; a toby bezpiecznie usnąć można na wieki! Głowy też to głowy! A mówiłam panience; ale gdzie tam, ruszyć nie dała: co pan Henryk robi, to najlepsze. Dobrze co pani teraz przyszło na myśl. Byłaby nasza kochana pan-na śliczne miała przywitanie! męgrena pewna. Jezu miły! tuby jęj każdy z nas rad nieba przychylił, a onaby się tu nam na samym wstępie rozchorowała.

I poszła nareszcie.

Krystyna wstała. Może przez ten czas modliła się, może ją też rozrzewniły ostatnie słowa pocziwój sługi; ale łzy, które jeszcze nie oschły od błogosławieństw matki, puściły się obficie z jęj oczów.

Sen miałam — powiedziała po chwili zamykając znowu drzwi i już daleko silniejsza—sen uroczy. to prawda; obudzenie gorzkie, upokarzające.. Ależ prócz niego, co znikł przedemną jak cień, jak mara, którego już ani oczami, ani myślą nie schwytam, nie znajdę, prócz niego, wszystko tak samo na świecie! wszyscy mię kochają jak dawniej, lepiej jeszcze. Matka mi dziękuje. Matka mnie przeprasza, Matka błogosławi! „Żyć dla drugich bez najmniejszego względu na siebie, takie mi Bóg dał przeznaczenie, ona tak mówiła. Zosi trzeba miłości, dostatków, szczęścia, bo już tak stworzona; mnie szczęście drugich wystarczy.“ To prawda być musi; byłam spokojna, szczęśliwa, kontenta z mego losu, pókim tak myślała, pókim tak robiła; znowu wyrzec siebie się trzeba, i będzie dobrze jak dawniej było.... będzie, jeśli Bóg doda siły... Ależ Zosia, będziesz z nim szczęśliwa? czy on i dla niej się nie zmieni? czyż on ją kocha? Czy on mnie kochall.. Musiała to być tylko przyjaźń braterska, szacunek... ja niedoświadczona wzięłam ją



za coś innego... miłość potrzebuje wdzięków, jakiegoś powabu, uroku, którego ja nie mam... On mógł myśleć i o ożenieniu, nie kochając się, boć to wszystko co mówił, nie śniło mi się, zwłaszcza przy pożegnaniu... przecież nie chciał żartować sobie ze mnie!

A na tę myśl oburzyła się w niej cała niewieścia dumma i spłonęły rumieńcem blade jęj lica.

Nie, tak źle myśleć o nim nie mogę.. zbyt młody, nadto rachował na samego siebie; czyż on raz nam mówił że przepadał za ładnymi kobietami? czy raz się wygadał, że dawniej kobieta nie piękna nie zdawała mu się kobietą? czyż nam nie wyznał, że się kochał kilkanaście razy? Ja niebaczna i łatwowierna uwierzyłam że to minęło... Alboż to mężczyźni tak uważają miłość jak my? U nas jest jedna, stała, wystarczająca na całe życie, u nich jest to zabawa, ustęp, dodatek, chwila.. Biedna Zosia! i jęj serce już przemówiło i ona już chce stanowić o całym życiu swoim.. tak wczesnie! Gdyby ona wiedziała jak mimowolnie zburzyła całe szczęście moje, wszystkie nadzieje, jak rozdarła to serce... O, nigdy! nigdy o tém wiedziéć nie będzie. Nikt! nikt! Aniela zapomnieć musi. Lecz, nie jestże to moim obowiązkiem matkę ostrzedz, oświecić, powiedziéć jęj wszystko, pana Stanisława się poradzić? bo jak on i z nią tak postąpi.. I cóż im powiem, cóż on zrobił ze mną? czy się oświadczył? czy mi co przyrzekł? czy mówił co komu? wszak i bratu słowa nie powiedział. Aniela pytała się męża prawie wyraźnie: o niczém nie słyshał, niczego téż szczęściem się nie domyślił; a jam pewna była, że on to wszystko odkłada do mego powrotu do domu, i że dziś, najdalej jutro rano szczęśliwa i zdziwiona matka ręce nasze złączy! I jakżeby tu bez najmniejszego wstydu wyznać im to całe omamienie, ten zawód? jak zniszczyć jedném słowem całą radość matki? jak wystawić siostrę na męki, które ja cierpię.. O Tekło! szczęśliwa Tekło! Ty nie doznasz nigdy podobnego ciosu,

podobnej boleści. Ten któregoś sobie obrała, zawodzić nie umie, nie zmienia się nigdy...

Takie i tym podobne były rozmowy Krystyny z samą sobą w tej długiej nocy, którą, jak każdy łatwo zrozumie, prawie bez snu i we łzach przetrwała, lubo dla niepoznaki i ze zwyczaju rozebrała się i położyła jak zawsze. Nad ranem, kiedy to jak zwykle z powrotem słońca i do umysłu człowieka myśl jaśniejsza przystępuje, Krystyna już znacznie uspokojona, była w stanie rozpoznać drogę swoją przed sobą.

Co do mnie—powiedziała z boleścią lecz mężnie,—wszystko się skończyło; choćby nawet nie było zupełnej prawdy w zapamiętałej jego miłości dla Zosi; choćby przyjaźń jego i widoki dawne wznowić się mogły, dla mnie dosyć tej myśli. Zazdrościć siostrze! zazdrościć każdej ładnej kobiecie! na tę mękę się nie wystawię. Boże! dziękuję Ci żeś mnie wczas ostrzegł i ochronił... Dopomóż, abym do jego szczęścia przyłożyć się mogła! niech druga tak go kocha, jak jabym kochała!

## ROZDZIAŁ XIV.

### Drugi list Henryka do przyjaciela.

*Z Warszawy, 1 Października 1820.* „Dziwne rzeczy dzieją się czasem na świecie, i ci, którzy powiadają, że w romansach same zmyślenia i bajki, myślą się bardzo; trafiają się i w potoczném życiu szczególne wypadki. Napisałem do ciebie, kochany Stefanie, list ogromny, sześć tygodni temu, jak dziś pamiętam, 14-go Sierpnia w wieczór, adresowałem go do twojej wioski; od tego czasu przeklinałem w pień samego siebie za to, że go napisałem; byłem pewny, że już w życiu mojem nie odważę się pisać do ciebie, i byłbym dał nie wiem co, żeby cofnąć można owe foliały, mieć je w ręku i spalić na proch. Aż tu wczoraj wieczór, wróciwszy do domu, zastaję jakby cudem ten sam mój list do ciebie, za który tyle się nawstydziłem, drugą pieczęcią przypieczętowany, na kopercie moje nazwisko i te słowa: „Nie zgłaszano się przez długi czas, nie wiadomo gdzie mieszkanie, zatem odsyła się temu co pisał.“ Mój Jakób tłumaczy się pokornie, jak musiał zapłacić parę złotych, a ja miałem nie zmyśloną ochotę dać mu drugie tyle żeby poszedł się upić za zdrowie tego nieoszacowanego

pocztmistrza. Co mi szkodzi że on czytał, byleś ty nie czytał; ile że w ostatnim twoim liście, w którym przecie dokładny swój adres mi przysyłasz, bardzo sobie pan żartuje, jakby przez przeczucie, z mojej niestałości i z moich nagłych zapałów.

Rachujesz mi, wielem razy się kochał, i wiele razy chciałem się żenić; to się nie godzi panie Stefanie, po tak dawniej przyjaźni. Miałżebyś dopiero pole do nowych żarcików, gdybyś był mój list odebrał, gdybyś wiedział co dziś dzieje się zemną. I to wtenczas pisałem ci z największą pewnością, że się chcę żenić; i dziś to samo z głębi serca napisać ci jestem gotów; przecież, mimo tój pozornój stałości w zdaniu, wstydę się ciebie, wstydę się siebie, bo wtenczas miałem w myśli jedną, a dziś drugą. Prawda, obie rodzone siostry: podobno to jeszcze gorzej. Dalipan, gdyby można mieć dwie żony, natychmiast wziąłbym obie; ale kiedy i Ewangelia i kodeks tylko na jedną pozwala, już nie chcę innój na całe życie, na wieki, prócz Zosi. Gdybyś ty ją mógł widzieć raz jeden? anioł, bóstwo, klękać i uwielbiać. Jój siostra, ta pierwsza, to dobroć, enota, rozum, rozsądek chodzący, i gdybym się był z nią ożenił, jak miałem szczerą ochotę, byłbym niezawodnie szczęśliwy, byłym zapewne i stały; boć ja nie wątpię, że małżeństwo nadaje mężczyźnie statek, muszą być łaski do tego stanu przywiązane, których my bałamuty nie pojmujemy; jest wreszcie sumienie, wstyd ludzki; i człowiek żonaty co ślubował wierność kobiecie swego wyboru przed Bogiem i przed ludźmi, nie myśli o tём, nie pragnie tego, co człowiek wolny; bo sobie nie pozwala ani myśleć, ani pragnąć; bo wreszcie inne obowiązki, inny sposób życia robią go innym człowiekiem. Ale mój kochany, ja nie byłem ożeniony, nawet się nie oświadczyłem; przewiniłem jednak i wymawiam sobie moję winę ciężko; bo i tamta pierwsza, to żywy anioł, tylko tyle, że nie w takiem aniel-

skiem ciele jak siostra; przewiniłem tedy, gdyż po tém wszystkiém com jój dawał do zrozumienia i jak byłem dla niój przez całe dwa tygodnie, mogła mieć śmiało zupełną nadzieję, że się z nią ożenię; i teraz prawdziwie, choć zmieniłem zdanie, radbym nieraz paść jój do nóg, ślady jój stóp ucałować: taka jest nieoszacowana, taka wyższa nademnie, nad wszystkie kobiety, nad samą Zosię...

Ale wracając do rzeczy, nie byłem tedy ani ożeniony, ani zaręczony, ani rozkochany; miałem tylko szczerą ochotę żenić się, i o niój pisałem ci obszernie, chwając się z tak rozsądnego wyboru; bo to powiadam ci osoba wcale nie ładna, nie młoda i nie bogata, tylko dobra, cnotliwa, rozumna. Po kilku tygodniach przepędzonych z sobą na wsi, spokojnie, jednostajnie, lecz przyjemnie, mieliśmy jechać razem z nią i z moją bratową do Warszawy, gdzie mój brat także zjeżdżał do ukończenia interesów, wygrawszy owę sprawę na Ukrainie. Zamierzyłem sobie poznać się z jój rodziną, zwierzyć się poczciwemu Ignacemu, oświadczyć się matce i opiekunowi przez niego, w ciągu zimy ożenić się, a potém osiąść na wsi, we dwoje wziąć się do pracy, dom urządzić, majątek oczyścić, słowem zostać zacnym i użytecznym obywatelem, panem podstolim dziewiętnastego wieku. Było to święto; w wieczór poprzedni pisałem był do ciebie, a nazajutrz w Piątek mieliśmy rano ruszyć z Ugorza. Wtém w ów Czwartek święteczny, przy wieczerzy, moję panią bratową, w poważnym stanie będącą, porywają mdłości, boleści. Przestrach w całym domu, krzyk, bieganie; wysyłają mnie o dwie mile po doktora: kiedym z nim przyjechał o świcie, zastaliśmy malutką dziewczynkę, którą mi zaraz kazali trzymać do chrztu z Krystyną, i panią bratową bardzo osłabioną i cierpiącą. O zamierzonej podróży warszawskiej niepodobna było myśleć, a koniecznie wypadało komuś jechać. Pani Rawiczowa, matka Krystyny, była uprzedzona i czekała; brat mój najdalej na 20 Sierpnia miał zjechać

i spodziewał się nas tam zastać: wszyscy tedy i ona sama mnie wyprawili, i wyjechałem w Piątek, w wieczór na całą noc.

Nie wiem czy przez przecucie, ale mi jakoś było przykro odjeżdżać, jak gdybym co złego robił, albo miał zrobić. W tym pokoju napół ciemnym, chorój a przecież szczęśliwój bratowój, Krystyna piastująca ową małą dziecinę, którą wszyscy jój córeczką i jój imieniem zwali, miała dla mnie coś poważnego i uroczego; pierwszy raz w życiu uczucie ojcostwa i jakaś świętość przywiązana do tego tytułu przejęły mnie żywo; a kiedym się z nią żegnał, trzymałem długo jój rękę całując ją i ściskając z głębokim uczuciem; i o mało com nie wymówił: „Krystyno! przyjmij mię za męża, za przyjaciela: bądź matką moich dzieci!“ Przeznaczenie chciało żem nie wyrzekł tych słów i pojechałem. Przez drogę smutno mi było; myślałem sobie jak ona tam biédaczka sama teraz cały ciężar, całe nudy tego życia znosi; dzień i noc albo przy łóżku Anieli, albo nad kołyską małej Kryni, albo ze starém stryjostwem, którzy bardzo poczciwi, ale nie zabawni; przypomiinałem sobie jak ona się cieszyła tą wspólną podróżą do Warszawy, a jak chętnie, nie zmieniając uśmiechu została przy chorój przyjaciółce. „Nagrodzę ja jój to wszystko,“ mówiłem w duszy i uspokoiłem się tą obietnicą. W Nowem Mieście spotkałem się z dawnym kolegą naszym, jeszcze z pensyi, z Adol-fem; dobry zawsze chłopiec, ale trochę birbant. Nie zwierzyłem mu się z niczem; a bojąc się żeby mię bardzo za moję powagę nie prześladował, spełniłem z nim przynajmniej parę butelek węgryna.

Stałem w Warszawie w Niedzielę w wieczór; tak nie ubrany, z drogi jak wysiadłem, pobiegłem zaraz na Freta ulicę; Krystyna prosiła mię tak usilnie, żeby ostrożnie powiedzieć matce o Anieli i przeprosić serdecznie za to, iż bez jój wiedzy obiecała nieodstąpić przyjaciółki, do-

póki mąż nie przyjedzie. Chciałem wywiązać się jak najprędzej i najlepiej z tego polecenia; miałem téż i list od niej. Przychodzę, ciemno na schodach; dzwonię, wychodzi służąca i powiada mi: „Niemasz nikogo.“ Zostawiam list, bilet mój, i odchodzę jak niepyszny. Co tu robić? Od czterech lat nie byłem w Warszawie; ani wiem czy jest kto z dawnych znajomych, gdzie mieszka? Czas przesłiczny, do mojej niemieckiej oberży wracać mi się jeszcze nie chce. Idę jednak Długą ulicą; wstępuję do Szylera, zjadam całego kapłona; ktoś koło mnie wspomina o teatrze: idę do teatru. Staję sobie za filarem na parterze, nie mając najmniejszej ochoty z kim się spotkać w zaniedbanym podróżnym stroju. Był to koncert. Dawała go przejeżdżająca śpiewaczka Polka rodem, Leonowiczówna, pani Campi. Widziałem ją w Wiedniu, miło mi było ją słuchać; wiesz czem dla mnie muzyka, osobliwie piękny głos kobiety, a od wyjazdu z Niemiec nie słyszałem dobrej muzyki. Kończyła właśnie wielką aryę Girowetego; skoro przestali, patrzę na teatr, nie tyle mały i ubogi mi się wydał po zagranicznych ile pusty; bo nie wiem, czy dla tego że pani Campi Polka, czy że to był pierwszy jój koncert, czy dla gorąca, czy dla innej jakiej przyczyny nie było prawie nikogo, ledwie kilka łóż zajętych. Przecież, w jednej, na pierwszém piętrze, postrzegam osobę tak piękną, tak zachwycającą, że szczerze ci mówię, nic jak żyję nie widziałem podobnego. Lat najwięcej szesnaście, oczy cudowne czarne, włosy przesłiczne kręcone, nosek, fraszka wszystkie greckie, pleć biała, gładka i świeża, aż łuna jakaś od niej błyskała; wysoka, wcięta, udatna: ale to wszystko niczem jeszcze obok wyrazu niewinności, dowcipu i słodyczy téj anielskiej twarzy, obok powagi, wyższości, prawdziwie królewskiej postawy.

Patrzano się téż niezmiernie do jój łoży, gdzie siedziały dwie kobiety nie młode i jakiś poważny mężczyzna. Byłbym się mógł zapytać: kto to? pierwszego sąsiada, każ-

dy byłby mi pewno odpowiedział, ale i tego przeznaczenie nie chciało, nie spytałem się. „Wyjdę przed końcem, pomyślałem sobie, stanę u drzwi głównych, jak będzie wsia- dać do karety, dowiem się i nazwiska i godności; najmniej jeśli księżniczka, może cułzoziemka.“ I tak zrobiłem: czeka- kam; było najwięcej ze sześć powozów, żadnego pańskiego; wołają na stangretów z kolei, ale nie słyszę ani wielkiego imienia, ani owój cudownej piękności nie widzę. Złym. Wracam do teatru, lustro leży na ziemi, lampy pogaszone; chodzę po korytarzach; nie ma nikogo: lożmajster zamyka z trzaskiem ostatnia lożę. Wybiegam na ulicę, już tylko kilku latarników się uwija: „Poświecę panu! Poświecę panu!“ wołają otaczając mnie dokoła. „Dajcie mi święty pokój!“ krzyknąłem z gniewem opędzając się i ruszyłem do siebie. Czy uwierzysz, nie mogłem spać tój nocy; a choćem zasnął, cudna dziewczyna ukazywała mi się w różnych postaciach, a coraz cudniejsza, i budziłem się.

Wstałem nie kontent z siebie, ale jeszcze mocniej zaintrygowany niż wczoraj. Pocziwa Krystyna była mi na myśli z lekkim wyrzutem, mówiłem jednak sobie: „Cóż ja temu winien? Wreszcie, gdybym równie piękny obraz albo posąg gdzie zdaleka spostrzegł, przecieżbym się starał wi- dzieć go choć raz bliżej, i coś o nim się dowiedzieć? Jam ciekawy z natury i wielbiciel *pięknego*; nie przestanę nim być i nie osłepnę choć się i ożenię; ale raz zaspokoiwszy ciekawość, nasyciwszy oczy, skończy się wszystko.“ I przez cały ranek, ile żem nie miał nic innego do roboty, chodzi- łem po ulicach, po sklepach, zaglądałem do kościołów, póki były otwarte, wszędzie szukając czy jęj gdzie nie zobaczę? Ale napróżno. Poszedłem jeść do Szowota i nie zdybałem się z żadnym znajomym. Po obiedzie, koło czwartej, myślę sobie: „Już można iść do pani Rawiczowój.“ Idę—wchodzę do przedpokoju, słyszę granie. Służący mi powiada: „Jest pani, można wejść.“ Otwieram z wolna drzwi, matka siedzi



na kanapie i czyta; kłaniam jój się, coś mówię; ona mi przerywa radośnie: „Pan Henryk!“ Na te słowo osoba grająca porywa się, odwraca, przybiega... i kogóż widzę? wczorajsze bóstwo, tylko jeszcze sto razy piękniejsze; bo te same śliczne włosy kręcone, ta suknia biała co wczoraj, ale dla gorąca, dla grania, niema na śnieżnej szyi zazdrośnej chusteczki, niema na utoczonych rączkach długich rękawiczek. Stałem osłupiały, trzech zliczyć nie mogłem. „Ależ Krystyna zdrowa?“ wymówiły obie nie uważając zapewne mego pomieszania, gdyż widać było, że cała ich dusza jest w niespokojności o Krystynę. „Zdrowa, zupełnie zdrowa“ powtórzyłem, a usiadłszy na wezwanie obudwóch, opowiedziałem ile potrafiłem i o ile się dało, całą przygodę Anieli i onę sukni.

Ileżto było życia w tój słodkiej twarzy w czasie mego opowiadania! jak jaśniało uczucie, jak kwitła skromność jak błyskał dowcip w krótkich słowach, którymi nie przerywała, ale raczej zachęcała mnie do dalszego mówienia. „Wiele jednak odwagi z pana strony — powiedziała nareszcie z zadąsaną, ale czarującą minką — przyjechać samemu w takim poselstwie, kiedy my się śiodziwały Krystyny, Anieli, dzieci, Anny... I ta biedaczka nasza tyle miała zmartwienia! Teraz tam jest Szarą siostrą i Bóg wie na jak długo, bo ten pan Ignacy gotów nigdy nie przyjechać. Tak sobie wymawiam ten wczorajszy teatr. Bodaj tego pana Stanisława z jego łożą. My się tu bawiły, a ona się tam kłopotcze i nudzi... taki anioł!“ I poszła do okna i widziałem jak z tych ślicznych oczów różanemi paluszkami swemi łzę ukradkiem obtarła. Jak cię kocham szalałem, nie wiedziałem na jakim świecie jestem. I cóż ci będę opisywał dalej. Oto od tego dnia codzienną jakąś siłą niewyciężoną ciągnęła mnie do tego domu; a jakom raz przyszedł, wyjść nie mogłem i siedziałem dopóki przyzwoitość pozwalała siedzieć, dopóki mnie nie wyprosili.

Zrazu wmawiałem w siebie: „To wielkie szczęście, że mi się tak podoba dom matki projektowanej żony, i matka sama, i opiekun, i sposób życia, i wszystko; jednak, że to człowiek nie nowicyusz, nie mogłem nie wiedzieć, że przyszła siostra zanadto mi się podoba. Powiedz mi, co tu było zrobić? Być panem samego siebie. Niepodobna, uczucie mocniejsze było odemnie. Jam nie Kato ani Scypio! Wrócić do Ugorza? Zapewne tam przy Krystynie może byłoby wywietrzało owo pierwsze choć tak silne wrażenie. I gdyby to była obca osoba, dalibóg byłbym tak zrobił. Już, jak cię kocham, jednego wieczora wracając od niej, chciałem posłać Jakóba po konie pocztowe i ruszać na całą noc; moje skarogniade nie zdawały mi się dość rączce, żeby mię wywieźć prędko i daleko. Ależ zastanowiłem się że to siostra! nie mogłem żadnym sposobem zenić się z jedną, bez narażenia się na częste widywanie drugiej. Mówiłem więc sobie najprzód: „Przyzwyczaję się“ potem „Zobaczę“ ile że słowa nie dałem; a wnet przestałem i mówić i myśleć, bom się zakochał ślepo, na śmierć jak jeszcze nigdy.

Ale bo tylko wystaw sobie, co tu złego na jednego: przy tój cudownej urodzie, przy tych szesnastu latach, niewinna jak dziecię, skromna, wstydliva jak sama cnota, wspaniała, dobra, czuła, jak wszystkie anioły razem, żywa jak iskra, wesoła, dowcipna, rozmowna, jak nie widziałem dziewczyny w tym wieku. Dla matki pełna względów, choć matka za nią szaleje; siostrę, brata, przyjaciółkę kocha nad życie; gospodyni nawet będzie doskonała: wyborae przy-smaczki sporządza i ślicznie na kanwie haftuje. I jakby na dobiecie mnie już zupełne, głos ma boski i prawdziwy zmysł muzyki; co raz usłyszysz, wygra i wyśpięwa, najtrudniejsze sztuki wykonywa prześlicznie, nawet Beethowena, i śpięwa bosko; wierzaj mi jak otworzy te swoje usta koralowae i oczy wzniesie do góry, niebo się otwiera, człowiek

sam nie wie co się z nim dzieje. Prócz tego wszystkiego, rzeczy tak jakby z umysłu się złożyły, że mi nie wypadło jechać. W kilka dni po moim przyjeździe przyszedł list od brata, jako nie mógł się stawić na dzieńznaczony, ale jest ciągle na wylocie i prosi, żebyśmy na niego czekali w Warszawie; mnie zaś daje tymczasem różne polecenia do adwokatów, rejentów, sędziów, Bóg wie do kogo. Musiałem tedy rad nie rad interesów pilnować i o powrocie do Ugorza ani myśleć.

Odebrawszy listy od Ignacego, posłałem je bratowej, i dopisałem także słów kilka; mogły je wziąć obiedwie do siebie, ile że czasem zwałem je obie siostrami; tam wspomniałem, że moim drugim listem będzie brat, i że prosimy wszyscy, aby natychmiast po przyjeździe jego, druga matka małej Kryni była nam oddana. Od tego czasu spodziewając się codzień brata, nie pisałem więcej, i podobno nikt tu z domu nie pisał. We trzy tygodnie, które ani wiem kiedy minęły, przyjechał nareszcie poczciwy Ignacy; interesa ułożył wcale nie źle, dobra wygrane sprzedał, gotówki przywiózł, kontent był że mnie zobaczył; ale za to radość znikła, jak się nieborak dowiedział o żonie. Nie zabawiwszy i godziny, pocztą poleciał do Ugorza, a w tydzień, jak dziś pamiętam, w Sobotę wieczorem przyjechała Krystyna.

Jak miarkujesz, nie mówiłem nic nikomu o mojej nowej miłości, a Zosi nierównie mniej niż dawniej Krystynie. Nie uwierzysz jak się boję tej dziewczyny, jak sobie nie ufam przy niej; jednem słowem mogłaby mnie rzucić o ziemię, jednem słowem zrobić nieszczęśliwym... jakże tu stawić na kartę odrazu los całego życia... Lecz jeżeli ona nie zgadywała i nie zgaduje co wzbudziła we mnie, bo to nie do uwierzenia niewinność, a przytém harda jak królowa; to matka, domowi, przyjaciele widzieć musieli co się ze mną dzieje? Nawet po mieście zaczęto mnie prześladować; małom tu znalazł dawnych znajomych, przecież zjawilo

się kilku i rozgadało, że zakochany szalenie w pięknej Zosi Rawiczównie; ile że mi się udało raz obronić ją na ulicy od natręctwa dwóch paniczów, których wyzwalałem na pojedynek, lecz przeprosili mnie i do zgody przyszło. Już więc kiedy Krystyna przyjechać miała, wiedziałem aż nadto o stanie mego serca; szalałem za Zosią, ale nawet myśleć nie śmiałem, żeby ona kiedy mogła być moją: zdawało mi się to niepodobne i zbyt wielkie szczęście. Wreszcie, choć nie dałem słowa Krystynie, choć wiedziałem dowodnie, że nawet matka nie wie jakie mogła mieć nadzieje, przecież uważałem sam siebie jakby za związanego. Przyjechała, i jeżeli zgrzeszył przeciw niej tą nieobecnością, tym niezastanowieniem się, któremi tak często grzeszymy, wierząc mi, odpokutowałem w tej chwili: byłem na torturach. Już się ściemniało, siadłem tyłem do okna, ona mnie widzieć nie mogła, ale ja widziałem z jej mowy i z niej całej, że nie ma cienia obawy ani wątpliwości, i ten widok był dla mnie piekłem.

Dla niej te cztery tygodnie minęły zupełnie jednostajnie, w ciągłych przypominaniach, w ciągłych zapewne rozmowach o mnie z Anielą; wracała więc zupełnie taka sama, może jeszcze czulsza, i pewniejsza jak ją zostawiłem, i to mnie zabijało. W rozpacz, tracąc głowę do szczytu, wyszedłem już nie wiem pod jakim pozorem, a przez cały dzień następny nie miałem odwagi, nawet chęci wrócenia do nich. I ani wiem co by się było stało? bo choćem głową bił o ścianę, choćem przemyślałem cały dzień i dwie noce, nicem nie mógł wymyślić mędrszego nad to, żeby zamknąć się w stancyi i złożyć sobie i światu. Wtém, drugiego dnia w Poniedziałek w południe, mój Jakób oddaje mi liścik i mówi: „Józef od pani Rawiczowej czeka na odpowiedź.“  
Poznaję rękę Krystyny, otwieram i czytam co następuje:

„Moja matka obchodzi dziś małym wieczorkiem mój powrót do domu, radaby zebrać wszystkich naszych przyjaciół;

bardzoby jój było miło policzyć pana w tém gronie. Jeżeli więc zdrowie nie jest na przeszkodzie, prosimy przyjść wcześniej: prosi o to usilnie

*Siostra.*

Zamiast odpisywać, ubrałem się co tchu i pobiegłem. Gdybyś ty wiedział, z jaką ona anielską dobrocią, z jaką delikatnością, z jakim taktem, a oraz z jaką godnością, i tak, że tego nikt zgadnąć nie mógł, ośmieliła mnie, i nie tylko przebaczyła, ale rozgrzeszyła i jakby zapomniała sama. Nie, doprawdy, jak się zastanawiam, musiałem się pomylić: ta kobieta mnie nie kochała; bo znowu takiego zupełnego wyzucia się z samej siebie, z wszelkiej próżności, trudno przypuścić w kobiecie, ile że cienia gniewu w niej niema, cienia żalu ani do mnie, ani do siostry. Owszem, taka miła, uprzejma, rada, sprzyjająca. Smutna jest czasem i mizerna, ale i matka i ona sama i wszyscy mówią, że powrót ze wsi do miasta zawsze na niej taki skutek robi, i to bardzo być może, bo przepada za wsią. Od owego pamiętnego Poniedziałku, wszystko znowu dobrze: sto razy lepiej niż dawniej było. Zosię dostać muszę, inaczej już być nie może; zastizeliłbym się: prawda, jak Bóg w niebie! Od matki, od Krystyny, od nikogo nie tę tę miał trudności; ale co ona, to doprawdy, ani wiem czy mi sprzyja czy nie, czy mię kiedy kochać będzie? a ja chcę koniecznie, żeby mię kochała, choćbym miał życiem przypłacić. Może ona mnie i lubi cokolwiek, lecz zupełnie uważa jako niewolnika. Niech i tak będzie, będę z ochotą niewolnikiem wiek cały, byle kiedyś panem być pozwoliła... wtedy niech robi zemną co chce: będę najszczęśliwszy z ludzi.. Choć czasem niepewność, w jakiej żyję, śmiercią mi się staje, przecież oświadczając się jeszcze tak prędko nie śmiem i nie chcę; wiedzą jednak o moich intencyach i rad temu jestem. Pan Stanisław Gozdawa jój opiekun, bardzo zacny człowiek, wracając ze mną niedawno w wieczór, coś napomknął delikatnie

„Czy nie zaczęsto bywam w tym domu? bo to dom uczciwy, jakich mało; panienska młoda i piękna, której łatwo takim sposobem przeszkodzić można do innego losu; czym się nad tém wszystkiém zastanowił i obrachował z sobą? gdyż takie rzeczy lepiej przeciąć odrazu, kiedy do niczego doprowadzić nie mają.“

Podobała mi się ta troskliwość; ścisnąłem go serdecznie za rękę i zapewnilem, że moje widoki są najczystsze; żem panem siebie i majątku, i pragnę tylko czasu, ażeby pozyskać wzajemność i przekonać, żem godzien takiego szczęścia! Uściskał mnie pocziwy, jakby syna, i mnie ciężar spadł z serca. Kiedy się komu wyjawi jakieś gorące pragnienie, zdaje się, że prędzój zaspokojone będzie; od tego czasu myślę sobie, że już dałem jakby zadatek na moję Zosię i jestem pewniejszy. Braterstwo lada dzień tu zjadą z dziećmi; ona sama już zdrowa. Krystyna upatrzyła im tu mieszkanie niedaleko, w domu Karolego; najęła meble, urządziła wszystko, nawet nie wiem jak i kiedy to zrobić potrafiła; trzeba na to jēj czynności, jēj chęci przyśłużenia się każdemu; a miała zachodu wiele, bo u nas teraz, jak wiész zapewne, choć się tak zagrzebał na wsi, Imperator i zjazd wielki. Jest życie w Warszawie, i dali-pan, ani tęsknię za granicą.

Ale dosyć tego, trzeba raz skończyć ten list ogromny; wstyd mi go prawie; odczytywać ani śmiem; niechże idzie i niech nie wraca: miałbym to sobie za złą wróżbę. Bywaj zdrów, kochaj mnie i już nateraz nie żartuj, prędzój żałuj, bo to jednak Bogiem a prawdą, głupia rzecz tak się kochać. Wierz albo nie wierz, ale to zupełnie coś innego jak dotąd bywało, i dałbym się zabić, że co teraz, to już na całe życie.“

## ROZDZIAŁ XV.

### O wszystkim.

I na ten raz Henryk nie zawiódł się na samym sobie, a może raczej okoliczności go nie zawiódły, gdyż i okolicznościom sprzyjającym lub przeciwnym, wiele w takowych razach przypisać należy. Prześliczna Zosia, której w całej Warszawie trudno było znaleźć piękniejszej, którą codzień widywał, którą wszyscy jakby od niechcienia w najlepszym ukazywali mu świetle, powabami i wadami swemi, a może najwięcej hardą obojętnością, zupełnie go ujarzmiła; bo chociaż się zdawało pani Rawiczowej, że serce jej młodziej córki przemówiło, nie było tak w istocie.

Dziewczyna ceniąc może nad wartość, urodę swoją i wdzięki, rachowała z pewnością, jakto już oddawna zgadywała Krystyna, na los nierównie świetniejszy, na los nadzwyczajny. Przy podobnym usposobieniu umysłu, pan Henryk Nałęcz, wcale przystojny młodzieniec, ale w okularach, ani wysoki, ani błady, ani melancholiczny, syn szlacheckiego domu, jakich jest krociami w naszej Polsce, znany jej od dzieciństwa z imienia, z nazwiska, z koligacyi, który zrobiwszy się hreczkosiejem i żonę zamknąwszy na

wsi, mógł mieć kiedy kilkakroć sto tysięcy czystego majątku w dobrach, który przyjechał po prostu ze wsi, z listem od siostry (gdyż nawet o przygodzie teatralnej nie dowiedziała się aż dużo później), pan Henryk, mówię, bynajmniej nie odpowiadał jej widokom i marzeniom. Ona wprawdzie nie czytała nigdy romansów, ale jeszcze od piastunki swojej, z bajki o szklanym trzewiczku i innych podobnych dowiedziała się i spamiętała doskonale, że dziewczyna piękna, choćby najuboższa, dostać może wielkiego pana, królewicza nawet ślicznego i dobrego jak anioł. Bogobojnie wychowana, przejęta zacnością niewiasty i świętością małżeństwa, więcej dumna niż próżna z natury swojej, nie oswojona z przykładami zepsutego świata, nie przypuszczała też ani na chwilę myśli, żeby można wabić jakiegobądź mężczyznę, w którym się nie widzi chętnie przyszłego męża, albo też pójść zamąż, tymczasowo.

Prawda, od czasu przyjazdu Henryka była weselsza, daleko łagodniejsza niż dotąd, bo bawiła się lepiej i miała ciągle obce oczy za świadka; przykładała się usilniej do muzyki, bo przybył znawca co słyszał Cataloni, Borgondio, Pasta, a przecież jej głos nad ich głosy przenosił; Zosia nawet bardzo lubiła Henryka; ze wszystkich mężczyzn jakich kiedykolwiek znała i widziała, on jej się podobał najlepiej. Nie przyznając tego samemu sobie, wdzięczną mu była za jego grzeczności, za to, że się na niej poznał; cieszyła ją może mimowolnie ta pierwsza próba potęgi jej wdzięków, ale gdyby sobie gdzie był na zawsze odjechał, byłoby jej smutno, nie tyle bez niego, ile bez jego pochwał, nadszkania, bez owego zajęcia z jakim słuchał każdego jej słowa, i dzielił najdrobniejszy wypadek codziennego jej życia; przecież po kilku tygodniach byłaby się pocieszyła, a gdyby się był zmienił dla niej i oświadczył o jaką inną pannę, na przykład o Krystynę albo o Celinę, byłoby ją to zakorciło i zdziwiło w pierwszym momencie; lecz po chwili rzu-



ciwszy okiem w zwierciadło, powiedziała z uśmiechem i ruszając ramionami: „Alboż ja myślałam kiedy o nim, cóż mi do niego! niech sobie bierze kogo chce; dla mnie jest tam przecie ktoś lepszy: spodziewam się.“ I byłaby tańcowała do upadłego na jego weselu, ciesząc się serdecznie szczęściem bądź siostry, bądź przyjaciółki.

I w takiej obojętności, tém mocniej zapalającej Henryka, im więcej była rzetelna i bez żadnych planów, trwała jeszcze parę miesięcy po powrocie biednej Krystyny. Napróżno on kilka razy, już nie mogąc się ukryć, mówił jej nieśmiało.... lecz prawie wyraźnie o swoich chęciach i nadziejach; dziewczyna czy go nie rozumiała, czy nie chciała rozumieć, i zbywała go zawsze żartami. Nakoniec on coraz bardziej zakochany, a coraz mniej pewny, truchleć zaczął, żeby mu kto inny z nienacka tak pożądanego skarbu nie porwał. Odstąpił przeto od początkowego zamiaru pozyskania pierwój jej wzajemności, i przez brata, którego z łatwością nakłonił do swojej woli, oświadczył się pani Rawiczowój. Że był przez nią przyjętym, że Krystyna popierała jego sprawę i nawet długo oburzoną Anielę pozyskać mu potrafiła, o tém ani on, ani nikt nie wątpił; ale co z Zosią, nie tak łatwo rzeczy poszły, i dłużej trzeba było namowy, silnych przedstawień, nawet prośb ze strony matki i siostry, obszernego opowiadania o jego niezwykłej i gwałtownej miłości, o romansowój teatralnej przygodzie, nim się namyśliła dać ostateczne słowo: nie mało nawet łez owe piękne oczy wylały w tych stanowczych chwilach; a kiedy zdziwiona Krystyna pytała jej się troskliwie: „Dlaczego płacze?“ ona odpowiadała: „Żal mi mamy, żal mi ciebie, żal mi domu“ a w istocie żal jej było siebie samój, żal przerywać tak wczesnie złote sny młodości, zamykać tak rychło wrota świata przed sobą; żal jej było powiedzieć sobie te lodowate słowa: „Już wiem wszystko, a wiem tak mało.“

Wesele odłożono do następnej wiosny. Państwo Chorażostwo niekoniecznie mile przyjęli oświadczenie Henryka, kiedy przyleciał pocztą na godzin kilka do Ugorza prosić ich o pozwolenie i o błogosławieństwo. Nietylko pani Chorażyna ale i on sam byłby już daleko wołał Krystynę; oboje mu to powiedzieli, nie tając nawet zdziwienia swego, nad zmianą jego uczuć: ich słowa już nie rumieniec wstydu na lica, ale uśmiech wywołały na lica młodzieńca. Lecz poczciwi staruszkowie nie mieli ani chęci, ani prawa sprzeciwiania się dłużej kochanemu a pełnoletniemu bratankowi; ślub naznaczony tedy został w dzień, kiedy przeszliczna Zosia siedmnaście lat skończyć miała. Cała zima, którą Aniela z mężem, z dziećmi i z Anną przebyła w Warszawie, przeszła na domowych jedynie schadzkach i zabawach, na zatrudnieniu około wyprawy, którą Krystyna głównie się zajęła i pewno z równą gorliwością jakby dla samej siebie. Dwa razy tylko Zosia pod opieką Anieli wystąpiła na wielkich zgromadzeniach: raz w resursie kupieckiej, drugi raz w ratuszu, na balu, na dochód Towarzystwa Dobroczynności. Tam, jeżeli pochwały powszechnie jej dawane, powinszowania szczerze i nie szczerze, jakich się nasłuchał szczęśliwy Henryk od znajomych, dowiodły mu, że będzie miał piękną i zazdroszczoną żonę, jej skromne i naturalne ułożenie, sposób przyzwoity przyjmowania grzeczności najpiérwszej młodzieży, przekonały go także, iż znajdzie w niej wierną i przykłądną małżonkę.

Jakoż tak się stało. Zosia, jak wiemy, jeżeli długo się namyślała, jeżeli się drożyła przed daniem słowa, to dlatego najwięcej, iż mimo młodości i dumy, miała to głębokie i niezmienne przekonanie, że raz przyrzekłszy rękę Henrykowi, już dla niej nie będzie żadnych innych mężczyzn na całym świecie prócz niego, innych widoków i marzeń prócz tych, które się godziły dziedzicze przyszłej Zanidzyna, i że jej powinno wystarczyć na zawsze szlacheckie

maleńkie szczęście, jedno serce do kochania, jedno miejsce do życia.

To przekonanie oparte na Religii, na wrodzonej szlachetności, na domowych przykładach i naukach sprawiło: iż lubo cudownie piękna i powabna była, jest dotąd wzorem cnoty małżeńskiej, i żaden cień, jój sławy niewieściój ani na chwilę nie zaćmił. Zataić tego nie można i nie trzeba, że młodzi sąsiedzi wiejscy, modnisie warszawscy i owe europejskie motyle, coto u wód zagranicznych gonią za różami wszelkich krajów, wszyscy przy sposobności chcieli z duszy jój nadskakiwać i służyć i nie zaniedbali użyć wszelkich środków, zwykle używanych, do zawrócenia jój głowy i zniewolenia serca. Byli między niemi ludzie daleko piękniejsi, przyjemniejsi, zamożniejsi od Henryka; byli hrabiowie, książęta, poeci: nie doszło jednak do tego, żeby ktokolwiekbądź zakochał się w niój na dobre, żeby powiedziano o niój te ohydne słowa: „Ma amanta“ bo ta przygoda nigdy się nie trafia cnotliwej i rozsądnej mężatce, która szczerze i prawdziwie jój nie chce. Ona także chociaż bez żadnej miłości poszła za Henryka, nie doznała jój dla nikogo; gdyż jeszcze prawie łatwiej sobie aniżeli drugim w podobnych razach panować, i bajką mi się widzi zupełną, żeby każda kobiéta koniecznie choć raz w życiu kochać się musiała, żeby oprzecz się nie mogła występnej miłości. Miłość nie złodziej, co bezbronnego napada i zwycięża odrazu. Najgwałtowniejszej namiętności, która zupełne zapomnienie się i nieszczęście sprowadziła, naznaczyć można początek; i każde naganne uczucie, wszelką nieprzyzwoitą i niebezpieczną zażyłość, łatwo było przeciąć w zarodzie, tylko woli i siły nie było.

Jednak Zosia, chociaż dotąd przykładnie żyje z mężem i jak najlepszej sławy używa, chociaż ów niestały Henryk dziś, ani podobny do tego żeby kiedykolwiek był motylem, i od chwili jak ją poznał, ją tylko jedną kochał i kocha;

choć Pan Bóg im pobłogosławił liczném i urodném potomstwem: przecież ona nigdy nie była i nie jest szczęśliwą, a przynajmniej nie uznaje się za taką, co przy ogólnym obrachunku podobno na jedno wychodzi. Dziecko zepsute natury, rodziny i losu, takim zepsutém dzieckiem poszła zamaż, i takim chce być zawsze. Każda przeciwność jest dla niej nieszczęściem, każdy ból męczarnią, każdy zachód ciężką pracą, każde słowo prawdy z ust męża, bądź co do obejścia się z dziećmi, bądź co do wydatków i rządu domu; każde sprzeciwienie się jęj woli dowodem obojętności, krzywdą, uciemieniem, krzyżującą niesprawiedliwością, nad którą umie rozwodzić się wymownie i obficie i przed nim i przed drugimi, twierdząc zawsze: że te wszystkie cierpienia i niesmaki ją tylko jedną spotykają, i że jest najniezszczęśliwszą z kobiet na całym świecie. Prawda, prawie z równą prędkością z jaką się uniesie i rozplacze, z taką się i uspokoi i uśmiechnie; przecież te częste spory, wymówki, lzy i nareekania mężowi gorzkie życie czynią.

Niéma on żadnego ważnego powodu do użalania się na nią, ani téż niéma prawa powiedziéć, ażeby w czémkolwiek go zawiodła; piękność jęj nawet mało co do téj pory się zmieniła, chyba powagi nabrała; charakter zaś i ułożenie te same są zupełnie, przed któremi klękał i bił czołem niegdyś, nie myśląc wtedy, że w podobieństwie do owych rodziców co pieczęcią dzieci zbytecznie, odpokutować mu przyjdzie ciężko tę słabość. „Co innego to kochanka, a co innego żona;“ wszyscy powtarzamy tę prostą prawdę; lecz mało który mężczyzna pamięta o niej przed ślubem, mało która kobiéta uwierzyć jęj chce i zgodzić się na nią po ślubie. Zosia była z téj liczby; i Henryk lubo ją kocha serdecznie, lubo ceni jęj cnotę i uwielbia piękność, przecież nieraz czuje i wyznaje to sam przed sobą: że z Krystyną byłby daleko szczęśliwszy i lepszy. Krystyna byłaby żyła

dla niego, Zosia wymaga żeby on żył dla niej. Krystyna byłaby czuwała nad jego rzetelném dobrem, byłaby dźwi-gała razem z nim ciężar życia, biorąc nawet na siebie wszystko co przykrzejsze; byłaby go zachęcała do użytecznej pracy, do znaczenia, do sławy, do wszystkiego co piękne i szlachetne: wdzięczna za przywiązanie jój okazywane, za wybór jego, za to że jój pozwala kochać się i pieścić, odplacałaby mu się szczęściem, a w jego szczęściu znalazłaby własne. Zosi to wszystko nigdy nie powstało i nie mieści się w głowie: ani nad własném, ani nad męża udoskonaleniem, bynajmniej nie pracuje; woli daleko żeby przy niej siedział, żeby jój czytał i służył kiedy ona słaba albo smutna, jak żeby czas trawił u siebie nad księgami, albo za domem trudnił się to gospodarstwem, to obywatelskimi posługami; a o jego przyjemnościach codziennych o tyle myśli, o ile te przyjemności sama z nim podzieli i w swoim przekonaniu aż nadto robi dla męża kiedy mu jest wierną, na wsi cały rok siedzi, dzieci sama karmi, długów nie zaciąga, konfitury smaży, muzyki nie zarzuca; kiedy szczególnie dwa razy namówiła go za granicę i to nie dalej jak do Karlsbadu, a w każdą Niedzielę jeździ nudzić się do Ugorza.

Bo żyje jeszcze pani Chorążyna, choć już przeszło ośmdziesiątletnia. Pan Chorąży umarł dziewięć lat temu. Śmierć jego dziwnym trafem, jakby przepowiedziały ulubione bociany. Dwudziestego szóstego Maja, pamiętają to dotąd w Ugorzu, piorun uderzył w dąb odwieczny, strzaskał go i zgruchotał gniazdo. Wiedzieć nawet nie można było z pewnością, co się stało z ptakami? Pani Chorążynie i księdzu proboszczowi zdawało się, że widzieli jak uleciały ku zachodowi; to jednak pewna, że troje piskląt zaledwie wylęgłych znaleziono w trawie bez życia. Pan Chorąży, lubo wtedy wcale zdrów, zwiastował zaraz rychłą śmierć swoją i różne nieszczęścia, i powiedział: „Zetnijcie do szczętu strzaskane drzewo i zróbcie dwie trumny: ja

w piérwszój się położe.“ Jakoż w piérwszych dniach Wizeńnia, tegoż samego roku życie zakończył.

Od téj smutnéj pory już nie państwo Ignacostwo są przy sędziwój stryjence; nie wypadało im mieszkać w Królestwie; poszli więc na swoje, nabywszy znaczne dobra w Wielkiém księstwie Poznańskiém. Zastąpiła ich w Ugorzu najstarsza córka, Marynia; mąż jój zacny młodzieniec z sąsiedztwa, trzyma od pani Chorążyny w dzierzawie cały jój majątek, w dożywociu jój zostawiony i wraz z młodą żoną pielęgnuje troskliwie ostatnie lata zacnej matrony, która mimo wieku, jeszcze koło gospodarstwa domowego się krząta, dopuszczając jednak wnuczkę do pomocy; a resztę czasu trawi na pacierzach, na robocie do kościoła i maryszu, oczekując niedalekiéj już zapewne chwili, kiedy się podoba Bogu powołać ją do siebie i połączyć z dozgonnym przyjacielem. Ze szczątków wielkiego dębu, na którym niegdyś gnieździły się bociany i na tém samém miejscu wznieść kazała krzyż udatny; nową drogę do Zanidzyna obrócono tamtędy; u stóp krzyża jest prośba do przechodnia o „Zdrowaś Marya za duszę Ignacego“ a jego wdowa prawie codzień wnukom przypomina, żeby po jój śmierci imię Maryanny dopisali.

Pani Rawiczowa nie ucieszyła dzieci swoich sędziwą i czerstwą starością. Kobięty, nie zadające sobie przyzwoi tego ruchu, prawie nigdy nie są zdrowe i rzadko kiedy długo żyją; krew w nich zdaje się krzepnie i psuje się i gasną boleśnie przed czasem. Spokojna o los Zosi, która nawet póki ona żyła, nie tyle czuła mniemanego swego nieszczęścia, zgodziwszy się zupełnie na niezamężcie Krystyny, ledwie doczekała szczęśliwego powrotu Waclawa z zagranicy, a w rok potém ożenienia się jego z nadobną Celiną, kiedy ciężko zapadać zaczęła i po długich a okropnych cierpieniach zgasła, otoczona dziećmi, obok zięcia i synów, które z serca kochała, uśmiéchając się do lubych wnu-

cząt, oddała ducha Bogu, jak prawa chrześciana. Rzecz zastanowienia godna! ona co przez całe życie bała się śmierci i tyle razy ją widziała z okropną trwogą przy sobie, kiedy jeszcze daleką była, w tym straszliwym i uroczystym momencie męstwo i spokojność znalazła. Prawda, odwiedzał ją w ciągu bolesnej choroby, a na parę dni przed jej zgonem zjechał do Warszawy, święty sługa Boży, dawny jej przyjaciel, kochany ksiądz proboszcz; on ją opatrzył na tę wielką podróż, on zamknął jej oczy i pierwsze słowa pociechy ośmielił się wyrzec do stroskanych dzieci.

Potrzebowały ich, a osobliwie, jak każdemu zdawać się może, potrzebowała ich Krystyna. Wacław miał żonę, Zosia męża i dzieci; oboje powinności swoje wyraźne, jakby wydzielone ręką Boga: ona nikogo i nic. W pierwszych jednak chwilach po śmierci matki, czuła tylko jej stratę, bez żadnej myśli o sobie; i pewno nie czuła jej mocniej od Wacława i od Zosi. Bo choćby od niewiem wielu osób kto był kochany, choćby miał jedno serce, na któreby mógł zupełnie rachować; choćby widział przed sobą zawód pełny i luby: zawsze kiedy matkę utraci, wie jakby instynktem, że nikt w życiu już go tak kochać nie będzie; że dopełnienie żadnych innych powinności nie ściągnie na niego tak obficie błogosławieństw Boskich; i jest w głębi jego serca, w przyszłości, jakaś boleść, jakaś próżnia, którą długo, a podobno nigdy, nie ziemskiego, ani zgoić zupełnie ani zapełnić nie może. Prócz tego, Wacławowi stawały w pamięci, prawie jakby wymówki, owe lata daleko od matki spędzone, w których tylko listami i dobrą prowadzeniem się dawał jej dowody przywiązania swego; mimo korzyści jaką mu owe lata przyniosły, byłby teraz chciał z duszy zwrócić te chwile i poświęcić każdą na jej posługę. Zosi gorzej jeszcze było: wznosiły się przed nią, jak widma straszliwe, wszystkie uchybienia, każde słowo prędkie i przykre, każda harda odpowiedź, jakimi kiedykolwiek zasmu-

ciła, rozgniewała matkę. Z trwogą patrzyła na drobne dziatki ją otaczające i głos ponury mówił jęj w sercu: „one ci to odpłacą.“

Krystyna przynajmniej żadnego podobnego rachunku z sobą nie miała: jęj Bóg pozwolił, a ona użyła tego pozwolenia dowolnie, służyć matce od swojej kolebki do samego jęj grobu; w jęj duszy brzmiały ciągle jak anielskie chóry, owe słowa tego pamiętnego wieczoru, odtąd wielokrotnie i na śmiertelném łożu powtarzane: „Z ciebie od urodzenia samą miałam słodycz, pociechę i chlubę.“ Ona więc może z początku z mniejszą nawet goryczą niż rodzeństwo płakała; lecz gdy minęły pierwsze chwile, gdy oni wrócili do dawnego życia swego, w którém nic się nie zmieniło, Waclaw do Olszanek, Zosia do Zanidzyna, a ona została sama w owych pustych Warszawskich pokojach: wtedy przyznać należy, iż lubo napozór spokojna i cierpliwa, w duszy uczuła nie tylko wielki smutek, ale i głęboką nad samą sobą litość i jakąś odrazę do życia. Upadały koło nięj jakby jakie sztuczne roboty, owe obowiązki i zatrudnienia niezamężnej kobiety, o których dawniej z taką pewnością twierdziła, jakoby mogły zapełnić życie; już były nawet chwile, kiedy jęj przychodziła ochota iść w ślady pobożnej Tekli, która od lat trzech, zostawszy zakonnicą, błogosławiła codzień święte postanowienie swoje i cieszyła się zupełną wiadomością przyszłości swojej; wiadomością, która natrętna i ziębiąca dla bujnej, szesnastoletniej wyobraźni, jest dobrodziejstwem dla starszej i pokój lubiącej duszy. Lecz Krystyna znała do siebie nadto wielki zapas uczuć rodzianych i obywatelskich, zbyt wielkie nauk świeckich zamiłowanie; wreszcie widziała w sobie może jeszcze nadto żywe i słodkie miłości ziemskiej wspomnienie, ażeby można tę myśl przelotną, zniechęceniem wywołaną, wzięść za górne natchnienie i wmówić w siebie powołanie, jakiego nigdy nie miała. Zaniechała więc zupełnie świętobliwój



ochoty, a wnet dźwignęła się całemi siłami, żeby dopełnić przeznaczenia, jakie od lat tyłu kreśliła dla siebie i dla podobnych sobie.

Na mocy duszy jęj nie zbywało, jak wiemy, i bez wątpienia, w tęg chwili kiedy już szło jedynie o nią samą, kiedy cios długo przewidywany w nią ugodził, cios z ręki Boga, a nie wprost od ludzi, ani tęg z własnej jęj winy; kiedy mogła postępować otwarcie, radzić się przyjaciół; kiedy potrzebowała pokonać już nie serce i uczucie jego najpotęgniejsze, ale ocięężałość, zn'ecbęcenie przemijające: wtedy prędszego, a raczej łatwiejszego zwycięztwa spodziewać się mogła.

Jakoż, ledwie minęło pierwsze półrocze od śmierci matki, ona już więcęg niż trzydziesto-letnia, poprzysięgła Bogu i sobie wieczne i rzetelne dziewictwo, przybrała ubiór i powagę wdowy chrześciańskiej i przedsięwzięła żyć zupełnie na karb swój i na imię swoje. Gdyby żadnego nie miała majątku, byłaby niezawodnie albo weszła w obowiązki nauczycielki, do czego nawet od najpierwszych rodzin w kraju ofiary jęj czyniono, albo tęg byłaby w Warszawie lub w Krakowie otworzyła dom wychowania panien, jak dawnięj za życia matki marzyła; lecz mając cośkolwiek swego, a nie mając dla kogo pracować, wołała zostać niepodległą, zostać wśród swoich. Nie wielkie było jęj mienie: sześć tysięcy złotych w gotowiznie, sto dukatów rocznego dochodu, taka szczupła fortunka przypadła na nią po najsumienniejszych obrachunkach z rodzeństwem; bo jak każdy zgadnie, ofiar żadnych nie przyjęła, tylko to co jęj się należało: przecię z jęj rządnością i umiarkowaniem wyżyć z tego mogła, zwłaszcza osiadłszy na wsi, gdzie ją ciągnęły wszelkie jęj gusta i skłonności i coraz silniejsza z wiekiem tęsknota za swobodą i za naturą.

Czas jakiś wahała się gdzie osiąść? czy w Poznańskiem, u Anieli? czy w Zauidzynie? czy w Olszankach? Już

to wszędzie chciała mieć swój własny domek, choćby najmniejszy i choć parę zagonów ziemi i wszędzie jęj to z serca ofiarowano. Za Anielą mówiła silnie ich dawna przyjaźń, a silniej jeszcze owo przekonanie, że jęj obecność była potrzebna do istotnego szczęścia i ulepszenia tęg zawsze kochającęj i wybujalęj duszy. Ale u Krystyny związki krwi miały pierwszeństwo przed związkami samego serca: droga najprostsza, najbliższa, była zawsze dla nięj najlepszą. Wnet tedy usunęła zupełnie Poznańskie z szali i ważyła się tylko między Zanidzynem i Olszankami. I ten wybór nie trwał długo, choć może także nie spełnił się bez poświęcenia.

W Zanidzynie, Krystyna zapewne byłaby bardzo potrzebna i znała to aż nadto dobrze: tam rozpieszczoną i leniwą dziedziczkę wiele prac otaczało niedokonanych, zaledwie tkniętych, tak co do wychowania dzieci, jak co do prowadzenia domu i co do opieki nad wiejskim ludem; lecz tam mieszkać nie chciała, a to wcale nie dla siebie, tylko dla siostry. W sercu Krystyny ani występne, ani nawet nieszlachetne uczucie ostać się nie mogło. Wkrótce zatęm po owym okropnym powrocie z Ugorza, skoro, wpatrując się w Henryka, tęg okiem, jakięm biegły lekarz na niebezpieczną chorobę drogięj osoby patrzy; skoro mówię, przekonała się, że nowa miłość jego jest głęboła, nieuleczona; że zupełnie inaczęj kocha Zosię niż ją kochał: z boleścią, ale z męztwem wyrwała z serca wszelką nadzieję, a z nią równie silne jak tkliwe uczucie; została na długo rana, została na zawsze blizna—nie zostało żadne niebezpieczeństwo. Lecz korciły ją tajemne myśli i żale Henryka, które sama jedna odgadywała; znała to, że gdyby żoną była, nie samęj miłości męża, ale może więcęg jego zaufania, szacunku i przyjaźni byłaby zazdrośną: nie chciała przeto narażać się na odebranie siostrze najlepszęj cząstki uczuć mężowskich; wiedziała zaś, iż mieszkając blisko, wi-

dując się codzien, to skrzywdzenie byłoby nastąpiło mimowolnie. Namysliła się więc na Olszanki, i ledwie tam osiadła, dziwiła się sama sobie, jak mogła myśleć kiedy o innej siedzibie, jakby nawet potrafiła wyżyć gdzieindziej?

Prawda, w Olszankach może mniej potrzebną była niż gdziekolwiekbądź. Miła, potulna, pracowita Celina, ów zbiór niewieścich cnót i wdzięków, w ręku ukochanego męża, który spełniał wszystkie dawne życzenia ojca, wszystkie nadzieje matki i był prawdziwie światłym i użytecznym gospodarzem i obywatelem, Celina pełniła godnie obowiązki polskiej ziemianki. Ale żona, matka, córka, pani kilku wiosek i domu gdzie goście uczęszczają, nie może dać sama rady wszystkiemu: potrzebuje wyręczenia, pomocy. Krystyna to wyręczenie, tę pomoc wzięła na siebie, i spełniła się dla niej tym sposobem najpiękniejsza część snów lubych, jakie niegdyś jako domniemana dziedziczka Olszanek kreśliła.

Wacław doświadczywszy swojej uniejętności na małym gospodarstwie i przysposobiwszy się do większego, właśnie w pierwszym roku po śmierci matki, ukończył był znaczne odmiany w ojcowskim majątku. Posagiem żony zakupił parę wiosek sąsiedzkich, i tę gdzie stał kościół parafialny, gdzie były groby rodziców, gdzie mieszkał kochany ksiądz proboszcz. Chcąc jednak życie spędzić w gnieździe ojczystym, w Olszankach, w miejscu nieco odległym ode wsi i od dawnego dworu, postawił dom obszerny i wygodny, a około niego urządził zabudowania gospodarskie z całą znajomością nabytą w obcych krajach, a którą zastosować się starał do naszej Polski. Stary dwór, mało co różniący się od chat wiejskich go otaczających, został tedy zupełnie wolny i ten darował urzędownie Krystynie z przyległym podwórzem i ogrodem; ona prawie całego swego kapitału użyła na grutowne jego jakby odbudowanie, wygodne przeobrażenie i ozdobę, na ogrodzenie całej posiadłości, na urzą-

dzenie sobie małego gospodarstwa; nazwała to państwo swoje *Ustroniem*, i stało się dla niej i jest dotąd prawdziwem siedliskiem pokoju i pracy. Bo Krystyna, jak każdy zgaduje, nie żyje dla saméj siebie i spełnia przeznaczenia kobiety, lubo żoną i matką nie była i nie jest. Onaby nie potrafiła dni trawić na hodowaniu piesków i ptasząt, na kładzeniu kabały, na przejażdżkach, zabawach i plotkach, jak to wiele panien umie; dla niej nawet, lubo rzetelnie jest pobożną, tak zwana *dewocya* nie byłaby dostateczną, ani téż książki i pióro, chociaż lubi je dotąd, jak dawniej lubiła; jój, jak każdéj prawdziwéj kobiecie trzeba być czynną: trzeba żyć sercem.—I takie téż życie prowadzi.

Najstarsza z rodzeństwa, uważana jest poniekąd jakby głowa rodziny; u niej skarbiec wszelkich rodzinnych pamiątek i wspomnień, u niej znajomość rzeczy przeszłych, u niej zawsze ucho powolne, rada dobra, słowo pociechy. Do niej dzieci brata przychodzą na niektóre nauki, chłopcy póki małe, dziewczęta póki zamąż nie pójdą. U niej prawie zawsze bawi jedna z córek siostry albo przyjaciółki; każda matka jój przywozi przynajmniej na rok, na rzetelne dokończenie wychowania; ona wszystkie bez wyjątku *naszemi dziećmi* zowie, a one ją *Ciotnią*; one ją jak drugą matkę kochają i odjeżdżają z żalem z Ustronia, z bogactwami i obywatelskimi cnotami i prawdziwem światłem, zbudowane jój przykładem. Przymiennie, ona bliższą jest jeszcze od saméj Celiny opiekunką włościan Olszańskich; ma prawo dawności, ma więcéj wolnego czasu. Wreszcie, do nowego dworca, do pana i do pani dąży chłopstwo ze wszystkich wiosek z ważniejszymi sprawami; do starego dworu, „do naszéj panny“ idą matki z dziećmi, młode dziewczęta z tajemnicami swemi, stare kobiety z kłopotami; już od lat tyłu znana im ta droga, a Krystyna świadoma ich domowych okoliczności, za pierwszym słowem ich rozumie! Do tego, nową ona jeszcze zasługę położyła w ich oczach,

której jakkolwiek z razu uznać nie chcieli, dziś błogosławia.

Przez zimową porę codzien, a przez cały rok w każdą Niedzielę, dziewczęta Olszańskie od lat siedmiu do czternastu przychodzą do niej, jakby do szkoły na parę godzin. Uczą się czytać, pisać, rachować, robót ręcznych; w udzielaniu tych wiadomości, w pilnowaniu karności i porządku pomagają jej stary Józef i poczciwa Agnieszka; z własnych zaś notat, a więcej jeszcze z pamięci, ona sama im opowiada historią świętą, historią polską, nie szczędząc moralnych i stosownych do ich stanu nauk. Te nauki już blisko od lat czternastu dawane, przerwane przez jeden tylko rok, rok śmierci Chorążego, dla ważniejszych obowiązków, ulepszyły już znacznie w Olszankach młode pokolenie kobiet, a przez nie, będą mieć niezawodnie wpływ wielki na mężów i na synów. Krystyna widzi dobro jakie czyni i dziękuje codzien Bogu za szczęście swoje. Może niegdyś świetniejsze, pełniejsze uroku błysnęło przed nią na chwilę; lecz nie żałuje go, i zupełnie zaspokojona własnym losem, wszelkie życzenia, jakie jeszcze składa na to życie, są dla rodziny i dla kraju.

Ale podobno najlepiej będzie dla tych z czytelniczek moich, któreby coś jeszcze dokładniejszego wiedzieć chciały o Krystynie, umieścić tu list jej do Anieli, bardzo świeżej daty.

## ROZDZIAŁ OSTATNI.

### Ostatni list Krystyny do Anieli.

*Z Ustronia, 5 Września 1840 r. w Sobotę.* „Otóż i drugą córkę, lubą naszą Krynę, wydajecie za mąż, kochani moi, i podług wspólnych dawnych życzeń naszych. Niechże jęj Bóg miłosierny pobłogosławić raczy! Mnie się zawsze zdaje, że ona jest tyle moja co wasza; a choć już dwadzieścia lat minęło od chwili, jak prawie pierwsza na ręce moje ją przyjąłam, jeszcze mi ta chwila pamiętna i droga! Wreszcie, ona jest moją córką chrzestną, najdłużej z *naszych dzieci* i po dwa razy była przy mnie; i nigdy tego nie zapomnę, że w owych pierwszych czasach po śmierci mojej matki, kiedy mi tak bardzo tęskno i pusto było na świecie, oboje chcieliście darować mi ją zupełnie. Wiesz, nigdy bez najwyższego rozrzewnienia wspomnieć sobie nie mogę o tym dowodzie waszj przyjaźni, a oraz dosyć dziękować Bogu, iż mi dał siłę oprzeć się tēj pokusie i prośbom samj dziewczyny, która, jak dziś pamiętam, tak mię błagała i całowała, żeby ją wziąć koniecznie. Powiedz sama teraz, czy byłaby taką jak jest, czy kochałaby tak

i was i rodzeństwo; czy byłaby taki los zrobiła, gdybyśmy ją byli ściągnęli z drogi, jaką jej Opatrzność naznaczyła? Im dłużej żyję, moja Anielo, tém więcej o tój prawdzie się przekonywam; ludzie nic lepszego nie wymyślą nad odwieczny rzeczy porządek: zawsze będzie najlepiej, kiedy dzieci będą się chowały przy rodzicach, żona nie oddzieli się od męża, panna wśród rodziny zostanie: mogą się znaleźć wyjątki, nie przeczę; zawsze jednak bezpieczniej i lepiej nie należeć do wyjątków. Odpiszę Kryni i jej Zygmuntowi na przysłą pocztę, i prześlę chętnie żądane błogosławieństwo które codzień składam przed Bogiem za każde z *naszych dzieci* z osobna. Ty masz trzy, Zosia pięć, Celina dwie, a ja mam dziesięć, bo wszystkie twoje są mojemi, nie rachując chłopców, których także kocham serdecznie. Mimo jednak tego macierzyńskiego przywiązania do wszystkich a do Kryni w szczególności, nie obiecuję się wam na wesele. Najprzód, wiesz, nigdy nie lubię wyjeżdżać z domu, dopiero w zimie; to moje siewy i żniwo w tój porze: w zimie moja panienka najlepiej pracuje, szkołka regularnie idzie, we wsi chorób i potrzeb najwięcej, a w długie wieczory przy kominku, tak się dobrze czyta i pisze; potem, chociaż mi zaręczasz, że będzie bardzo mało ludzi i wesele zupełnie ciche, skoro dzień naznaczony w zapusty, będzie huczno, będą tańce, a mnie to wszystko strasznie przeciwne.

Ale przestańmy o tém, dalekoby mnie ten przedmiot zaprowadził: oto wolę powinszowawszy wam przyszłego zięcia i porządziwszy trochę, jak to *Ciotuni* już nie młodej nie zawadzi; wolę powiedzieć ci, żeśmy tu wszyscy Bogu dzięki zdrowi; że Wacławowi po zimnej kuracyi, bole z ran zupełnie odzywać się przestały; wolę ci opisać jaka mnie w tych dniach spotkała niespodziewana przyjemność. Wyjechałam na parę tygodni do Warszawy, jeszcze w interesach tego biednego pana Stanisława. Blisko ośm lat jak umarł, a dopiero teraz odziedziczyłam jego zapis. Wiesz,

jak rozpierzchnięci po świecie jego krewni, wiesz kto przy-  
 pytywał się do sukcesyji? nie dziw więc że tak długo cią-  
 gnęła się sprawa. Mam tedy nareszcie wszystkie książki  
 polskie z jego biblioteki, portret niezmiernie podobny Bro-  
 dowskiego roboty i kilka wcale pięknych obrazów i staro-  
 żytności. Upakowawszy te skarby, wracałam właśnie w tę  
 Środę do domu, myśląc sobie z radością, jak już nie żartem  
 moje Ustronie wychodzi na jakąś naukową i rodzinną „oa-  
 sis“ a ja jakby na kapłankę, stróża tych szacownych zaby-  
 tków; bo i kochany pan Choraży w tym celu zapisał mi  
 swoje stare księgi i rękopisma, i wasz poczciwy Ignasz tyle  
 rzeczy z zagranicy mi przysyła, i wy wszyscy co możecie  
 i macie, to mi dajecie do przechowania; ale tak się rozply-  
 wając, dumalam także bardzo, gdzie pomieszczę to wszystko  
 com wieźla? gdyż moje szafy i półki co do jednej zajęte;  
 żałowałam także żem się nie zebrała tego lata na to, żeby  
 mój domek odświeżyć, niektóre jeszcze zmiany porobić  
 i dopiero wtenczas „Bibliotekę“ co się zowie urządzić. Aż  
 tu gdy zajeżdżam, Wacław z Celiną, z dziećmi, z Jadwisią  
 wybiegają naprzeciw mnie wesoło; wchodzę, i cały domek  
 zastaję jak nowy: moje pokoje wylepione ślicznym papié-  
 rem, gabinet wybity kobiercem, od góry do dołu cały w pół-  
 ki i już w nim nic, tylko mój stół zasłużony przy oknie,  
 krzesło mego ojca w kąciuku, stołki roboty *naszych panie-  
 nek*, kanapka kochanej matki obok komina, na którym roz-  
 stawione różne najdroższe moje graciki. Wszystko to Ce-  
 lina z radą Wacława i z pomocą Jadwisi prawdziwie cudem  
 w tak krótkim czasie zrobiła; nawet sień, szkółka, kuchnia,  
 olejno wymalowane, izdebka mojej Agnieszki papiérem wy-  
 lepiona i poczciwa sługa uszczęśliwiona i wdzięczna, pewno  
 jednak nie tyle co jęj pani.

Przez te dni urządzając moje całą bibliotekę, układają-  
 cą moje piśmienne skarby, do których ciągle choć po tro-  
 chu przybywa, miałam czas wiele myśleć i dumać, moja



Aniło, i kilkakrotnie przebiegłam w pamięci całe życie moje. Już przynajmniej dwie trzecie części jego ubiegło, jest już więc nad czém myśleć i dumać... Chociaż były często łyzy to słodkie, to gorzkie w oczach, bo kiedyż wspomnienie łez nie wywoła? przecież odłożywszy na bok stratę rodziców, patrząc jedynie na siebie, na majątek serca, który mi Bóg zostawić raczył, nie mogę tylko dziękować Mu pokornie za wszystko i mianować się bardzo szczęśliwą. Wy wszystkie, prócz Celiny (która to jedynie przyznaje, że gdyby nie była sobą, chciałaby być mną) wy, mówicie mi nawet zawsze, że ja sto razy od was szczęśliwsza. Tak jest i nie jest, kochanie moje: los twój i Zosi i wszystkich kobiet co mają dobrych mężów i własne dzieci, jest pomyślniejszy od mego, więcéj w porządku rzeczy jak mój, i choć macie zapewne więcéj kłopotów i cierpień, mogłybyście być odemnie szczęśliwsze. Ale ja nauczyłam się od dzieciństwa nic nie wymagać od losu dla siebie, bom widziałam, że wielkich praw do łask jego nie mam; dlatego jednak nie wyrzekłam się bynajmniej rzetelnego szczęścia, owszem starałam się tém usilniéj posiąść je w samej sobie, rachować najwięcéj na siebie, i wiesz jak mi się to od piérwszój młodości udało.

Raz tylko, już dojrzałą będąc, ośmieliłam się rachować na los, i bolesnego doznałam zawodu; szczęście na czas jakiś pokłóciło się ze mną, lecz wnet przy Boskiej pomocy, nastąpiła zgoda, dawny pokój wrócił, i teraz nie żałuję wcale tego wszystkiego co wtenczas się stało. Gdyby nie ta przygoda, na którą ty do téj pory się gniewasz i wymawiasz ją sobie, nie rozumiałabym tak życia, serca; mniejbym miała pobłażania, wyrozumienia na wiele rzeczy, nie *naszym dzieciom* użyteczną była. Wreszcie, pamiętasz ty, ów mój drugi pokoił Warszawski, gdzie przez zimowe miesiące tylko na chwilę promień słońca zaglądał; skoro znikł, ciemniéj jeszcze się zdawało, przecież dla téj jednéj

chwili pokoik ten był miłszy i weselszy od pierwszego, kwiaty się w nim lepiej utrzymywały, i owa jedna chwila, lubą pamięć na cały dzień mi zostawiła. Otóż takim promieniem słońca w życiu mojem były i są owe sześć tygodni przed urodzeniem naszej Kryni. Wy, którym to słońce tak długo świeciło i jeszcze świeci, nie jesteście to winą waszą, żeście nie tyle, nie więcej nawet szczęśliwie odemnie? I ten mój zarzut tak jest prawdziwy, iż właśnie w tych dniach myślałam sobie: „Z każdą z was mieniałabym się na urodę, na los, na dowcip, na majątek; z żadną na stan wewnętrzny duszy: ani na twój, ani na Zosi miejscu nie chciałabym być tobą albo nią, tylko sobą.“

Gdybyś ty czytała ostatni list Zosi do mnie, osądziłabyś, że to kobieta co ma tyrana męża, który ją nic nie kocha; że jej na wszystkiem brakuje i jest najniezszczęśliwsza w całym świecie. A dlaczego te wszystkie skargi? Oto dla tego, że Henryk namyśliwszy się przecie na zaprowadzenie cukrowni u siebie, i dążąc z jej wykończeniem na czas, nie mógł zawieźć żony do Grefenberga, jak chciała koniecznie, ile że niema tego żadnej potrzeby, gdyż zawsze zdrowa jak rybka, śliczna i świeża jak róża, i dzieci także zdrowiuteńkie. Najgorzej mnie w tém martwią owe jej wymagania, że mogą mieć bardzo zły wpływ na dzieci; bo jeśli im się widzą być słuszne, krzywdzą tą myślą poczciwego ojca i uczą się same wymagania; jeśli zaś uznają ich nedorzecznosc, szacunek ich dla matki się zmniejsza. Mam tego dowód na jej córkach: starsza, Terenia, dosyć podobna, jak wiiesz, charakterem do matki, która nie mało jej dokuczyła, ale jako najstarsza więcej jeszcze jej przyjaciółką i powiernicą była niż córką, Terenia zawsze jej stronę przeciw ojcu trzymała; i bardzo szczęśliwie i dla niej i dla Zosi, że wcześniej poszła zamaż, i za człowieka tak zacnego i dojrzałego jak pan Stefan, który nauczony doświadczeniem przyjaciela, wybornie ją prowadzi, i pewno kobietę do-

rzeczy z niej zrobi. Jadwisia znowu, już dziś daleko jest rozsądniejsza od matki; widzi wszystkie jej wady, ubolewa nad ojcem, którego nad życie kocha, a który, niestety, miał tę słabość, że przed córką szesnastoletnią skarżył się nieraz na matkę! Uważ sama, jak mnie, o którą to wszystko się obija, trudno czasem dostrzedz, co mam mówić, co mam robić, za kim się ująć? Żadnego innego nie mogę nigdy dopatrzeć środka, tylko iść zawsze drogą prawdy; i powiadam ci, to droga najkrótsza i najlepsza. I Zosia obok dziwactw swoich, i Henryk obok słabości, mają tyle nieocenionych i pięknych przymiotów, iż można śmiało z rozsądną córką mówić o ich wadach, tłómacząc je przecież i osłaniając ile możności; ja przynajmniej tak sobie postępuję z Jadwisią, i sposobię ją do tego, żeby jak wróci do domu, mogła być aniołem pokoju między rodzicami; mam nadzieję że mi się to uda: dziewczynka ma wiele czucia, rozumu i taktu; coraz więcej mi przypomina naszą kochaną matkę, chociaż nie z twarzy, bo zawsze bardzo do ojca podobna.

Rok jej pobytu u mnie skończy się na Wielkanoc, ale rodzice chcą, żeby do przyszłego ś. Jana została; jadąc do Warszawy na jarmark wełniany, zabiorą ją sami. Radam temu niezmiernie; waszą Józję dopiéro za rok mi obiecujecie, nie będę więc długo samotna w Ustroniu; wreszcie, przywiązałam się niezmiernie do tej dziewczynki i ona do mnie. Ma nierównie więcej zdatności i gustu do pracy od Tereni, i taka zabawna, że zawsze powtarza: iż nie nie żąda na świecie, tylko kiedyś w Zanidzynie mieć swoje *Ustronie* i wyjść także na *Ciotunię*. Starsza z córek Waclawa, Helenka, także z tém życzeniem się oświadcza; to będzie niepospolita główka! Kiedy my obie na autorki dotąd nie wyszły, mimo wszelkich naszych zamysłów i podobno już nie wyjdziemy, a innym dziewczętom naszym ani się śni o autorstwie, ona podobno nas wszystkie zastąpi; i nie

weźmie się do błachych pism, ale do gruntownych; bo głęboko rzeczy bierze: poważne i historyczne książki najwięcej ją zajmują. Teraz właśnie za pomocą wydoskonalonej metody Jaźwińskiego układa pod mojem okiem „*Dzieje świata wiekami*“ z wielką zdatnością: każdy wiek nie zajmuje więcej nad arkusz, a masz w każdym, najprzód na czele „*Główny wypadek wieku*“ a potem „*Znaczniejsze daty u wszystkich więcej znanych ludów*“, które umie na pamięć, jak pacjent. Przymiemy, za polskim językiem przepada, i szczerze ci mówię, dostrzega w nim piękności i wynajduje obroty, jakich my się ani domyślamy! I bez wątpienia, przy obecnym ruchu i olbrzymim postępie naszej literatury, muszą i kobiety wiaść się szczerzej niż dotąd się brały do nauk, jeżeli zechcą imie sobie zrobić i być użyteczne.

Jużto nie uda się tak łatwo dziś, jak się udać mogło przed dwudziestą laty! a trudno tego zaprzeczyć: potrzebne nam są jeszcze *pisma niewieście*, zwłaszcza co do edukacji córek, i co do tych lżejszych a moralnych dzieł, które potoczne życie i serce malują. Zdaje mi się, że ja wykieruję Helenkę na taką autorkę, jak dziś autorkę rozumiem; i ona przejdzie wszystkie Polki, co dotąd pisały: zobaczysz! Lecz wracając się do jój i do Jadwisi odgrażań, nie wiem czy która z nich dotrzyma słowa? Mogłoby się to jednak zdarzyć łatwo; cobądź nastąpi, zawsze będzie dla mnie wielką pociechą: że kiedy Pan Bóg dał wam wszystkim trzem po kilka córek, mają wśród siebie przykład, iż niekoniecznie zamaż isć trzeba kobiecie, ażeby być użyteczną, mile zajętą i szczęśliwą: przydomek *starój panny* nie będzie dla żadnej z nich postrachem, jak zwykle bywa, ani celem śmiechu i żartów.

O! moje życie! gdybyś ty widziała tę biędną Sabinę! była u mnie teraz w Warszawie; wystaw sobie, jeszcze w uśmiechach i w nadziejach. Matka prawie zupełnie ślepa, nie widzi ile córka się zmieniła; zachęca ją ciągle do stro-

jów, do zabaw, i zawsze o jój wielbicielach prawi, o obecnych i dalekich, żyjących i nieboszczykach. Poczciwy pan Tomasz, który, jeżeli przypominasz sobie, doglądając z nami szpitalów, na cholerę umarł, w jój przekonaniu zgaśł na suchoty z miłości dla Sabiny; i owa Sabina wyschła jak wiórek, wyłysiała, jeszcze w otwartych sukniach chodzi, róż kładzie, czépka ani włoży, i przekonana że męża znajdzie. Już lepsza Izabella, chociaż nie wiele szczęśliwsza, bo jest w ciężkiej niewoli. Namówiła się przecie na miejsce *dame de compagnie*, do jednéj pani choréj, znudzonéj, która podróżuje. Pisała do mnie niedawno z Paryża; myślałam że mi serce wyskoczy, jakem zobaczyła ten znak pocztowy; ale nie znalazłam w nim czegom chciała: pisze tylko o sobie, o romansach, teatrach i modach.

Zgadnij kogom jeszcze widziała w Warszawie? oto państwa Edwardów: spotkałam się z niemi u adwokata, Trzeci raz mi się dopięro zdarzyło widziéć Ludwikę, po jój sławném zameżciu, i więcéj niż kiedy przypominać sobie musiałam, że to owa „romansowa Ludwika“ ażeby własnym oczom uwierzyć. Ni mniéj ni więcéj, tylko pieniaczka i żarłok, zupełnie jak w komedjach wystawiają. Ogromna, czerwona, krzykliwa, wszystkich chce przegadać, a o niczém nie gada, tylko o przysmakach, o dobrych obiadach, procentach, spekulacyach, procesach. Mąż jój, który zawsze ledwie mówi i ledwie się kołacze, tak ją zawojował, a raczej przerobił, że nic w niéj nie widać dawnego; wszelkie jój samolubne skłonności i myśli, bo innych nigdy nie miała, zwrócił do chęci używania życia po swojemu, i do zrobienia majątku; jedynaka mają syna, dla którego to zdrowia przyjeżdżali naradzić się Malcza; jeśli przed czasem nie zgaśnie, pewno roztrwoni piéniądze tak skrętnie przez rodziców zbierane. Z państwem Antonioństwem w ciągłej są nienawiści, i historye mi gadali o niéj saméj, którym mi się wierzyć nie chce; od téj spraw o Małanówkę,

co to w takich drażliwych okolicznościach wytoczyli i wygrali, nie widzieli się na oczy. Pojmiesz to? mieszkać o granicę, brat z siostrą, i nie widzieć się przeszło ośm lat? Wybrawszy się do Warszawy po tylu latach, starałam się odwiedzić wszystkich naszych dawnych i dobrych znajomych. Słowem, moja Anielo, skoro ucho w świat puścić, same prawie okropności; dążyłam téż do Olszaniek, do Ustronia, jak gołąbek do arki. O! najlepiej nam kobietom siedzieć w domu, wśród swoich, i nowe pokolenie kształcić.“

KONIEC TOMU JEDENASTEGO.

# SPIS RZECZY

W TOMIE JEDENASTYM ZAWARTYCH.

|                                                      | <i>Str.</i> |
|------------------------------------------------------|-------------|
| Do Czytelnika . . . . .                              | 7           |
| ROZDZIAŁ I. Wieczór . . . . .                        | 9           |
| „ II. Co dawniej bywało . . . . .                    | 18          |
| „ III. Pewien rodzaj kobiety . . . . .               | 24          |
| „ IV. Wychowanie. . . . .                            | 31          |
| „ V. Parę słów o przedostatnich wypadkach . . . . .  | 49          |
| „ VI. Nazajutrz wieczoru . . . . .                   | 56          |
| „ VII. Ośm listów Krystyny do Anieli . . . . .       | 65          |
| „ VIII. Urywek rozmowy małżeńskiej. . . . .          | 161         |
| „ IX. Znowu listy Krystyny do Anieli. . . . .        | 166         |
| „ X. List córki do matki i odpowiedź . . . . .       | 197         |
| „ XI. Coś nakształt pamiętnika . . . . .             | 216         |
| „ XII. List Henryka do przyjaciela . . . . .         | 240         |
| „ XIII. Wyznanie . . . . .                           | 250         |
| „ XIV. Drugi list Henryka do przyjaciela . . . . .   | 263         |
| „ XV. O wszystkiem . . . . .                         | 275         |
| „ Ostatni. Ostatni list Krystyny do Anieli . . . . . | 290         |



INSTYTUT  
CHEMICZNY PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**









F  
1085

M